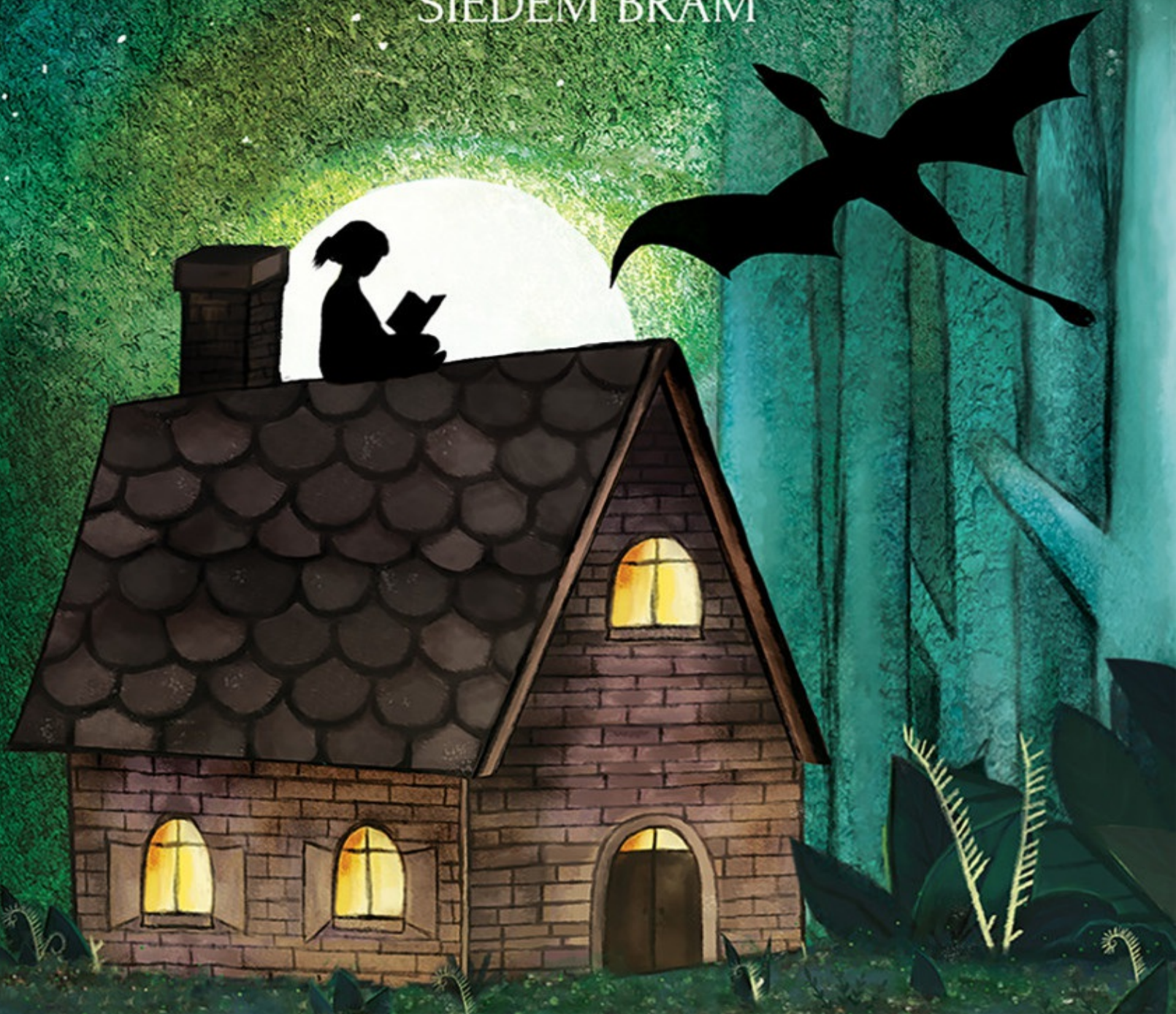


ADAM FABER

KRONIKI JAARU

SIEDEM BRAM



ADAM FABER

KRONIKI JAARU

SIEDEM BRAM

ADAM FABER

KRONIKI JAARU

SIEDEM BRAM



 CZW
ARTA
STRO
NA

Copyright © A.G. Adam, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt layoutu okładki: Julia Boniecka

Projekt ilustracji i stron tytułowych: Angelika Szczepaniak

Przygotowanie okładki do druku: Dawid Czarzyński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

ISBN 978-83-7976-864-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



Prolog

W ciemnym lustrze zalśniła nagle twarz ferini. Kąciki jej oczu i ust otaczał czarny tatuaż, układający się w misterny wzór. Ciało ferini było srebrzyste, jej skrzydła przezroczyste i potężne jak u ważki, również pokryte zawiłymi symbolami. Były to skrzydła kogoś, kto należał do królewskiego rodu, i na takie pochodzenie wskazywał też wyraz twarzy ferini – dumny i poważny – oraz jej strój: suknia uszyta z aksamitnego, cienkiego materiału utkanego z sieci tyriańskich pajaków. Na jej piersiach połyskiwał zielony wisior z lapis lazuli, od dawna niedostępnego w tych stronach.

– A więc jesteś pewien? – spytała ferini głosem, w którym pobrzmiwała niepewność. Nie mogła pozwalać sobie, by ktoś inny poza Mędrce mógł ją dosłyszeć; wszak było to uczucie, jakie nie przystoi królowej. A jednak nosiła je w sobie od czasu, gdy tylko dotarła do niej wieść Mędrca. W końcu musiała dać upust emocjom.

Wieść była najniezwyklejsza: kamień, spowity konarami świętego Drzewa Wzroku, przebudził się i zalśnił. Jedyne legendy wspominały czasy, gdy robił to wcześniej, a teraz, przed jego własnymi oczami...

– Tak – odparł Mędrzec.

Królowa odwróciła się w jego stronę, jakby chciała upewnić się, czy jej nie okłamuje. Natychmiast przypomniała sobie jednak, że nawet gdyby to robił, nie byłaby w stanie rozpoznać oszustwa. Mędrzec, mimo że jego oczy były otwarte – nie tak, jak zazwyczaj, gdy medytował, siedząc przy drzewie – miał tę samą, wiecznie spokojną twarz.

– Czy wiesz, co to może oznaczać? – spytała królowa.

– Oznacza to pojawienie się Siódmego Strażnika. Jak zawsze.

– Jak zawsze – powtórzyła znudzonym głosem królowa. – Czym jest to twoje *zawsze*? Historia nie pamięta czasów przebudzenia żadnego ze Strażników. Tymczasem ty mówisz, że ma przybyć siódmy z nich. To musi oznaczać, że pojawiło się już sześciu. Dlaczego więc nic o tym nie wiemy?

Mędrzec zwlekał z odpowiedzią. Złościł tym królową – dobrze wiedziała, że nie musiał się nad nią zastanawiać.

– Kamień ukryty w Drzewie Wzroku jest kamieniem Siódmego Strażnika – powiedział wreszcie – a to jedyny, który nas chronił. Zaś co do historii... Być może nie pamięta ona czasów przebudzenia, bo ich nie zna?

– Mówisz do mnie zagadkami, ale Tirnanie nie oczekują zagadek! – oznajmiła królowa, czując coraz większy ciężar swojej pozycji. – To, czego będą chcieli, to fakty i decyzje. Ja natomiast nie mogę nic im odpowiedzieć, bo niczego nie wiem! – Poruszyła się gwałtownie, jednak natychmiast sprowadziła samą siebie do pionu. Znow, nie wolno jej było pokazywać tak otwarcie swoich uczuć.

Mędrzec spojrzał na Drzewo. To ono dostarczało mu wszelkich informacji, nie tylko z Tir-na-Nog, ale z całego Jaaru. Jego gałęzie sięgały wysoko ku niebu, wznosząc się ponad kamienny sufit sali, jaką wybudowano wokół, gdy Drzewo miało już wiele tysięcy lat. Nikt poza Mędrcelem nie potrafił jednak czytać jego magii. Za ten dar zapłacił wysoką cenę. Drzewo dawało mu nieśmiertelność, zrastając się z nim, ale tak bardzo wypełniło go sobą, że zapomniał swego imienia i przeszłości.

– Myślę, że ma to związek z Wielkimi Rzeczami. Tymi, które miały miejsce zaledwie kilka miesięcy temu – oznajmił.

Oczywiście królowa była świadoma Wielkich Rzeczy, a przynajmniej tego, że wszyscy o nich rozprawiali. Rozesała nawet zwiadowców, by doglądali tego, co działo się na niebie i ziemi, jednak żaden nie wrócił z jakimikolwiek wieściami, chyba że za takie uznać rozbłyski na niebie i niezwykle ułożenia planet, które z perspektywy czasu przestają być niezwykle.

– Zapomniałam już o tym. – Królowa zlekceważyła słowa Mędrca. – Tamte... *Wielkie Rzeczy*... nie dotyczyły nas. Dopiero to, co stało się teraz, może mieć wpływ na Tir-na-Nog.

– Ależ pani! Nic nie jest oddzielone. Miasta i krainy, a w dalszym ciągu również planety i światy, są niczym gałęzie tego Drzewa. Wyrastają ze wspólnego pnia, który sam w sobie nie jest jeszcze ostateczny. W końcu ma korzenie i ziemię, z której wychodzi, a sam powstał z ziarna, zasadzonego dawno temu przez odwieczne siły. Jeśli cokolwiek ma się wydarzyć, dzieje się w korzeniach i w pniu, a my widzimy tylko rozbłyski tych rzeczy. Wypatrujemy odbić, królowo. One wiele mówią.

Królowa znow spojrzała w lustro. Pragnęła, żeby było w stanie ożywić się, oddzielić od niej, stać się jej powiernikiem i doradcą, lecz wciąż widziała jedynie swoją twarz, bardziej niepewną niż kiedykolwiek wcześniej, odkąd objęła swój urząd.

– Co mam robić?

– To ja kieruję to pytanie do ciebie – odparł Mędrzec. – Królowo... – dodał z naciskiem. – Jeśli jednak chodzi o mnie, nie mogę zrobić nic innego niż to, co każe mi Drzewo. Ono przemawia, a ja jestem jedynie naczyniem. Muszę czekać.

Królowa skinęła głową. Ostatnie słowo Mędrca sprawiło, że w jej głowie uformowało się rozwiązanie. Tymczasowe, ale być może właściwe.

– A więc czekać... – Pokiwała głową i wbiła dumne spojrzenie w ścianę, na której cienie gałęzi Drzewa Wzroku zdawały się ożywać. – Musimy czekać. Nikt oprócz mnie i ciebie nie może się o tym dowiedzieć. – Spojrzała na Mędrca jak na poddanego, od którego mogła oczekiwać całkowitego posłuszeństwa. – Nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć. – Zmrużyła oczy, jakby chciała w ten sposób wysłać Mędrcowi niewypowiedzianą groźbę.

– Tak – odparł spokojnie Mędrzec. – Komu zresztą miałbym mówić, siedząc tu samotnie? Nie wiem tylko, czy to... Czy to na pewno *właściwe* posunięcie?

– Jeśli powiem Tirnanom, że nasz kamień rozbłysnął... Co to zmieni? Jeśli to oznacza niebezpieczeństwo, pytają jakie, jeśli natomiast kamień chce powiedzieć, że mamy się na coś przygotować, to na co? Nie wiem nawet, jak wygląda Siódmy Strażnik i kim lub czym jest. Strażnicy to energie, a one mogą przybrać różne formy.

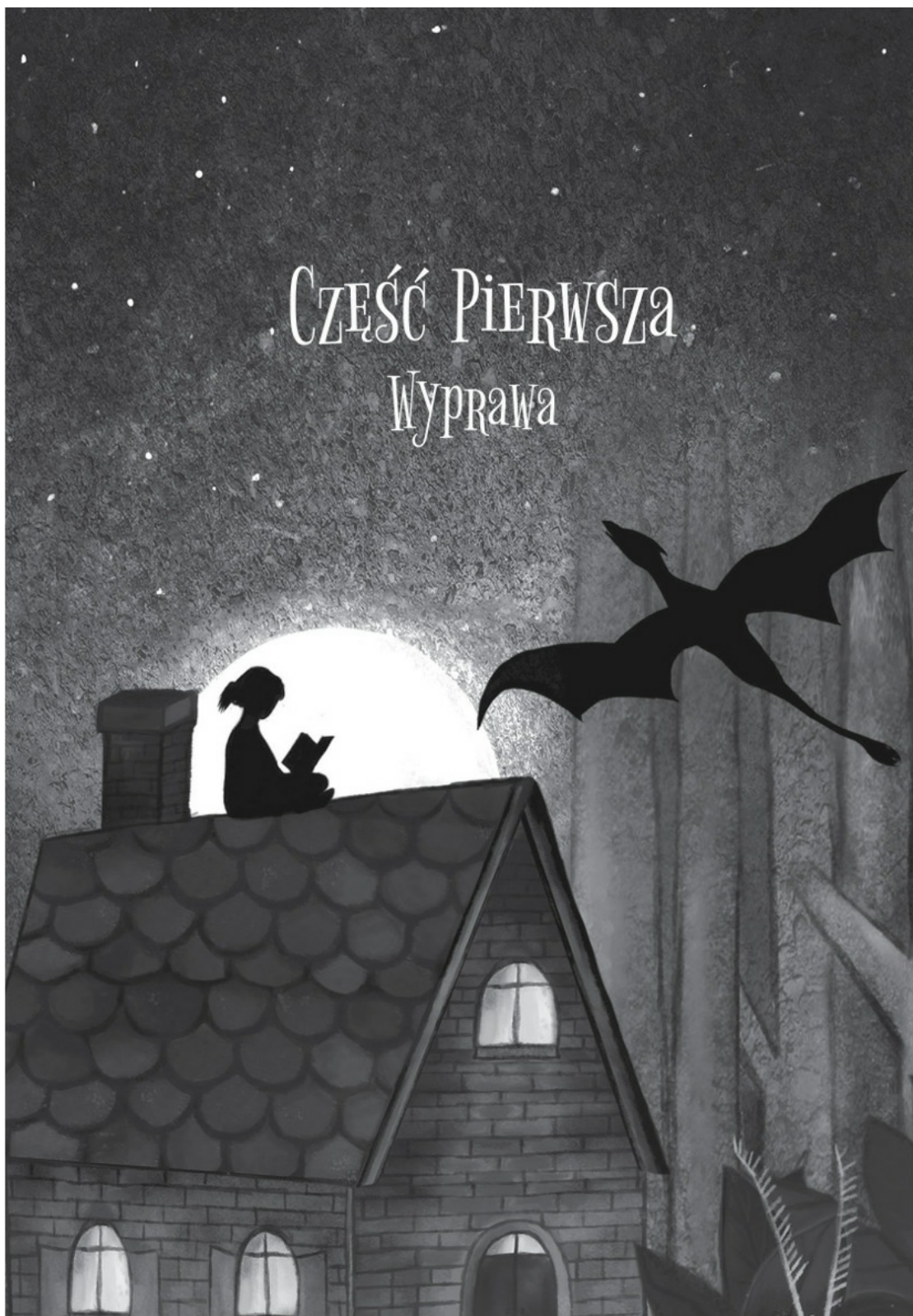
Mędrzec schylił głowę.

– Masz słuszność – powiedział. – A jeśli ktoś czegoś się dowie...

– Wtedy być może zrozumie z tego więcej niż my – ucięła królowa, na co Mędrzec ponownie przytaknął. Przeczynał jednak – i o tym samym szeptało Drzewo Wzroku – że ktoś już dostrzegł Wielkie Rzeczy i zrozumiał je.

Ktoś już wiedział.

CZEŚĆ PIERWSZA
Wyprawa



„Cokolwiek się stanie, stanie się, ale dobieraj swoich towarzyszy z ostrożnością. Wybieraj tak, by ich widok sprawiał ci przyjemność, by podobało ci się brzmienie ich głosu. Innymi słowy – wybieraj ich po to, by ich kochać. W przeciwnym wypadku nie będziesz w stanie długo znosić ich towarzystwa”.

Anne Rice, *Wampir Lestat*, tłum. T. Olszewski



Rozdział 1

Zaproszenie

Bywały dni, gdy Hillena Hallander stwierdzała, że jej życie byłoby o wiele prostsze, gdyby nie była czarownicą. Nie musiałaby wtedy, na przykład, po raz trzeci próbować upiec ciastek na święto pełni księżyca ani zмагаć się z plamami po ubitych jajkach na suficie, kiedy pomyliła proszek do pieczenia z zasypką do latających dywanów. Odkąd jej bratanica, Kate, została wiedźmą, pani Hallander niemal zupełnie przestała przejmować się tym, gdzie kładzie magiczne przedmioty. Dawniej wszystko miało swoje miejsce, w odpowiednio opisanych pudełeczkach i butelkach. Teraz, gdy magia omal nie rozsadziła jej nowego piekarnika, uznała, że lepiej będzie wrócić do starych zwyczajów. Zresztą po co w ogóle był jej ten proszek? Przecież do latania używała tylko miotły.

Pani Hallander, zirytowana swoimi porażkami – do których nie przywykła, bo przez czterdzieści lat swojego życia starała się robić tylko to, co dobrze jej wychodziło – usiadła przy stole i zapatrzyła się w okno. Termometr za szybą wskazywał kolejną rekordowo wysoką temperaturę. Zima właściwie zmieniała się w lato, zupełnie jakby tego roku kalendarz postanowił ominąć wiosnę. Było to tym dziwniejsze, że jeszcze przed miesiącem zima ścisnęła Anglię tak mocno, że nikt nie sądził, by prędko ją wypuściła. Teraz jednak ulicami Londynu spływały potoki topniejącego śniegu.

Na niebie pojawiła się nagle niewielka świetlista kula. Pani Hallander nie zauważyła jej, mimo że światło było magiczne i zmierzało wprost na jej ulicę. Biorąc pod uwagę, że pani Hallander i Kate były jedynymi mieszkającymi tu

czarownicami – nie licząc Challisów z domu naprzeciwko, którzy być może mieli kiedyś coś wspólnego z magią, ale nawet jeśli, to nikt już nie pamiętał, co to dokładnie było – światło z całą pewnością zmierzało do nich. Zaczęło okrążyć dom w poszukiwaniu dogodnego przejścia. Wreszcie prześlizgnęło się przez szparę w drzwiach frontowych i popłynęło do kuchni. Zwróciło uwagę pani Hallander dopiero, gdy uformowało się za jej plecami na kształt jej ferini, Badb: żółtej, latającej istoty o skrzydłach jak u pszczoły.

– Droga Hilleno! Z nieskrywaną i olbrzymią radością pragnę zaprosić cię na ślub mojej córki, Fione `yl Maas, z dwudziestym pierwszym księciem Elphame, Tammuzem. Uroczystość odbędzie się podczas święta Beltane w Kryształowym Pałacu.

Pani Hallander, po usłyszeniu tych słów, aż przyklasnęła. O ślubie Fione wiedziała już od wakacji, ale do tej pory nie wiedziała, gdzie i kiedy się odbędzie. Perspektywa odwiedzenia Kryształowego Pałacu brzmiała wyśmienicie. Przysparzała pani Hallander okazji do wykonania różnego rodzaju badań. W stolicy Elphame z całą pewnością można było spotkać mnóstwo rzadkich roślin i zwierząt.

Od razu chciała pobiec po notatnik i zacząć spisywać swoje plany, ale piekarnik głośno zatrzeszczał, sugerując, że i tym razem coś jest nie tak z ciastem.

– Co znowu? – Pani Hallander zmarszczyła czoło, jakby w nadziei, że piekarnik ugnie się pod jej stanowczym spojrzeniem. Kto wie, może nawet trochę posmutniał, co nie powstrzymało jednak ciasta przed wychodzeniem z formy, zmuszając panią Hallander do dociekania, co tym razem wyłądowało w nim zamiast mąki.

Tymczasem światło, które wróciło już do poprzedniej formy, pomknęło wzdłuż schodów i precyzyjnie się do dużego pokoju przez dziurkę od klucza.

Pokój był zagracony. Na podłodze leżały porozrzucone ubrania, a wśród nich kilka różdżek, drewniany pentakl i opakowanie po kartach tarota. Lustro oblepiały karteczki zapisane datami, wyznaczającymi czas na ćwiczenia manipulowania energią, poznawanie teorii magii, a także czas wolny. Magiczne światło wyczuwało to wszystko nie jako plątaninę rzeczy, ale raczej energii – w większości całkiem przyjaznych. Na biurku, obok statuetki tańczącego bóstwa, płonęło kadzidło. Kate i Jonathan siedzieli na łóżku, przykryci różową kołdrą. Jonathan odgarniał jasne włosy z twarzy Kate. Gdy światło znów zmanifestowało swą ukrytą formę, odskoczyli od siebie i naciągnęli kołdrę aż pod nosy.

– Badb? – przeraziła się Kate. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak zażenowana. – Co tu robisz?!

Ale Badb zdawała się wcale jej nie słyszeć. Zaczęła na nowo wypowiadać słowa zaproszenia, zamieniając tylko imię pani Hallander na Kate i Jonathana.

– Dobrze, przyjdziemy – odparła Kate, potrząsając głową. – Mam tylko do ciebie prośbę, żebyś...

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy sylwetka Badb rozplynęła się w powietrzu,

a światło zaczęło uderzać o szybę, szukając nowego wyjścia. Kate otworzyła okno, pozwalając mu odpłynąć, a potem spojrzała na pociągłą twarz Jonathana, na której odmalowało się zdziwienie zmieszane z niepokojem.

– Co to było? – zapytał.

Oczywiście znał Badb. Fione była zresztą jego ferinią, a jej brat bliźniak, Fion, ferem Kate. Jednak nigdy do tej pory Badb nie zachowywała się w podobny sposób.

– Chyba coś z nią nie tak – stwierdziła Kate. – Zaraz powiem o tym ciotce.

Wstała z łóżka i szybko zaczęła szukać w porzrzucanych ubraniach czegoś, w czym mogłaby pokazać się na dole.

– Wydawała się jakby zahipnotyzowana – powiedział Jonathan. – Widziałas jej oczy? Ale może to tylko przez przygotowania do ślubu? Pewnie ma sporo na głowie.

Kate, nie mogąc zdecydować, z której strony zacząć rozplątywać frędzle w swojej bluzce, by wyglądać jak należy, machnęła w końcu ręką i zbiegła na dół. Gdy stanęła przed ciotką, z całą pewnością wyglądała na kogoś, kto właśnie w pośpiechu narzucił na siebie ubrania. Zapomniała zapiąć paska w spodniach, włożyła tylko jedną skarpetkę, a jej włosy były potargane. Miała jednak nadzieję, że gdy powie ciotce o Badb, zdoła odwrócić jej uwagę od nieistotnych szczegółów.

– Posłuchaj – wysapała. – Badb była u mnie i... chyba coś z nią nie tak. Zachowywała się dziwnie.

Ciotka Hillena obrzuciła Kate spojrzeniem i odparła zdeglustowana:

– Jak ty wyglądasz?

Kate nabrała powietrza w usta. Nie sądziła, że ciotka tak lekko podejdzie do jej słów.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – oburzyła się. – Właśnie ci powiedziałam, że twoja ferini sprawia wrażenie, jakby rzucono na nią urok, a ty patrzysz na mój strój? – Schowała stopę pozbawioną skarpetki za drugą.

– Ale Badb wcale tu nie było – oznajmiła spokojnie pani Hallander.

– Co?! A więc sobie to wyobraziłam, tak? Zapytaj Jonathana. On też ją widział!

– Och, a więc Jonathan jest tutaj? – Ciotka raz jeszcze zlustrowała Kate wzrokiem od stóp do głów. – To by wiele wyjaśniało...

– Sugerujesz, że oboje mamy zwidy? – Kate omal się nie zagotowała. Ciotka Hillena mogła być najbardziej opanowaną wiedźmą świata, ale ich rozmowy i tak często kończyły się wybuchami.

– Niczego nie sugeruję. Staram się tylko wytłumaczyć, że wcale nie widziałas Badb. To był tylko jej fantom. *Magiczny* fantom. Inaczej mówiąc, specjalna energia, którą napęlnia się mocą, by przesłać jakąś wiadomość. To rozsądne rozwiązanie, gdy chcesz wysłać zaproszenie. Nie trzeba wtedy fatygować się do każdego z osobna.

Kate poczuła, jak z twarzy odpływa jej krew. Dopiero teraz dopadło ją prawdziwe zażenowanie z powodu stroju.

– Uhm... Och...

Na szczęście ciotka zwolniła ją z tłumaczenia się:

– No, do ślubu jeszcze sporo czasu – powiedziała. – Jeszcze o tym pogadamy, a ty... koniecznie zamknij drzwi w pokoju, gdybym... No, zawsze mogę je otworzyć magicznie, ale w razie czego będę wiedziała, kiedy tego nie robić.

Kate, woląc nie komentować tych słów, natychmiast odwróciła się na pięcie. Zatrzymała się jednak, gdy coś przykuło jej uwagę. Właściwie powinno było przykuć ją od razu, ale uprawianie magii od kilku miesięcy sprawiało, że wyrobiła w sobie większą tolerancję dla dziwactw.

– Dlaczego to ciasto się rusza? – Wskazała na stół, po którym wędrowało ciasto pani Hallander, formując ze swoich rogów coś na kształt nóg.

– Och. – Ciotka machnęła ręką. – Próbuję zrobić ciastka na esbat, ale niechcąc dodałam do mąki trochę posypki witalizującej.

– Ciastka? – Kate nie przypominała sobie, by ciotka kiedykolwiek wcześniej coś piekła. – Nie jestem pewna, ale chyba najpierw wycina się w cieście foremki, a potem wkłada je do piekarnika.

Po tych słowach Kate pobiegła na górę, przekonana, że bardzo pomogła ciotce, uświadomiwszy ją, że od samego początku wszystko robiła źle. Gdy ciasto podskoczyło i wykonało w powietrzu coś na wzór piruetu, pani Hallander zaczęła poważnie zastanawiać się nad odwiedzeniem cukierni.

Światło pędziło dalej ulicami Londynu, niezauważone przez nikogo, może za wyjątkiem kilku dzieci, pokazujących je sobie palcami, i staruszki na wózku inwalidzkim, która uznała je za świetlika. Wreszcie zatrzymało się przy starej kamienicy i zaczęło zaglądać w jej okna. Na parterze znajdował się sklep ezoteryczny *SELENE*, a w jednym z mieszkań wyżej widoczna była kobieta w fioletowej sukni oraz towarzysząca jej dziewczyna. Liczba wisiorów na szyi tej pierwszej i sznurków we włosach drugiej zmuszała do zastanowienia, czy wszystkie te ozdoby nie stanowią zbyt dużego ciężaru. Dziewczyna podawała kobiecie kryształ, które ta wkładała do kartonowego pudełka.

– Uważaj – ostrzegła matkę Diana, wkładając jej do rąk różowy kwarc ociosany na kształt lotosu. – To był ostatni, jaki mieli na targu w Elphame.

Selene była wyraźnie podenerwowana.

– To wszystko przez Hillenę – skarżyła się. – Chciałabym, żeby była trochę delikatniejsza, a ona zadzwoniła dziś do mnie i zaczęła mówić coś o zasypkach do dywanów. A przecież dobrze wie, że kojarzą mi się tylko z tym... No, z tym facetem, który przypadkiem został twoim ojcem.

Diana wzruszyła tylko ramionami. Nigdy nie widziała swojego ojca, a matka nie trzymała nawet jego zdjęć. Zresztą wszystko, co Diana na jego temat wiedziała, sprawiało, że wcale nie miała zamiaru go poznawać.

Ich rozmowę przerwało pojawienie się fantomu. Gdy tylko wygłosił swoje zaproszenie, wiedźmy zaczęły plotkować:

– Ciężko mi w to uwierzyć – oznajmiła Selene. – Swoją drogą... Nikt nam do tej pory nie wyjaśnił, jak doszło do spotkania Fione z Tammuzem! Przecież coś musiało się stać, skoro ksiązę zechciał akurat ją.

– Jest całkiem ładna – zauważyła Diana. – W każdym razie chyba wcale nie chciałabym dostawać tego zaproszenia. Nie mam zamiaru iść na ceremonię, na którą nie zaproszą naszej ferini, mimo że jest częścią rodziny.

– Nie opowiadaj głupstw. Musimy się pojawić. Poza tym Annwynn na pewno dostała zaproszenie.

– Ta, na pewno przyjdzie – prychnęła Diana.

– To nie nasza sprawa – ucięła Selene. A przynajmniej tak jej się zdawało, bo Diana uznała, że to do niej powinno należeć ostatnie zdanie.

– Jestem czarownicą – syknęła – i będę robić swoją sprawę z czego tylko zechcę.

Po chwili w kamienicy między matką a córką wybuchła kolejna sprzeczka, od której zatrzęsły się ściany, jednak świetlistego fantomu już tam wtedy nie było. Unosił się teraz nad dachami na obrzeżach miasta. Odnalezienie właściwego mieszkania zajęło mu tu najwięcej czasu, bo Badb nigdy wcześniej nie odwiedzała tego terenu. W większości zamieszkiwali go nieprzynależący, ludzie, którzy nie znali magii. Choć przywykli do widzenia rzeczy dziwnych i przypisywania im z pozoru mniej dziwnych wytłumaczeń, mogliby zbyt dociekać, dlaczego za ich oknami unosi się latające światełko.

Fantom, wreszcie wyczuwając znajomą energię, wylądował w wielkim pokoju pełnym książek i dziwnych przedmiotów leżących w kątach. Na dywanie, naprzeciw siebie, siedzieli chłopak i dziewczyna o identycznym kolorze włosów. Byli bliźniętami, jednak dla fantomu ich energie bardzo się różniły. Aura dziewczyny była zielonkawa i wodnista (pełna buchających uczuć), a chłopak błękitny i powietrzny – myśli wirowały wokół niego, wchodząc i wychodząc bez żadnych zakłóceń. Wokół nich od czasu do czasu przechodziła jeszcze jedna postać: niska i pulchna kobieta. Jej aura wydawała się całkiem przyziemna.

– Tom, Lilian – powiedziała zniecierpliwiona kobieta – skończcie wreszcie grać w te karty.

– My nie gramy, mamo, tylko wróżymy – odparła Lilian, mimo że to, co robili, wcale nie wyglądało na wróżenie. Oboje ściskali w rękach karty, rozłożone jak do pokera, i wykładali je na dywan. Nie wyciągali ich jednak z własnych wachlarzy, tylko zabierali od siebie nawzajem.

– Dobra, to ja mam dziewiątkę kielichów – powiedział Tom, wyciągnąwszy kartę od Lilian. – Nie podoba mi się, więc zamienię ją na szóstkę monet.

– Moglibyście chociaż tu posprzątać – fuknęła znów matka, na co Tom machnął tylko ręką, a porozrzucane rzeczy wróciły na swoje miejsce. – No, nie musisz się od razu popisywać! – upomniała go rodzicielka. – Dobrze wiesz, że ciarki mnie przechodzą od tej waszej *magii*.

Kobieta aż podskoczyła, gdy fantom Badb zmaterializował się tuż obok niej. Z przerażeniem patrzyła, jak wypowiadał słowa zaproszenia, a potem wyszła, trzaskając drzwiami i mówiąc coś o rzeczach, których jest już stanowczo za wiele.

– O nie – jęknęła Lilian, gdy fantom znikł. – Zupełnie o tym zapomniałam, a to przecież już za dwa miesiące. Myślisz, że mamy wziąć osobę towarzyszącą? Jeśli

tak, to nie mam pojęcia, z kim pójść...

Tom uniósł brwi. Nawet on, mimo że pamięć prawie nigdy go nie zawodziła, miałby problem z wymienieniem wszystkich chłopaków Lilian. Zresztą nigdy nie było też do końca jasne, co akurat działo się w jej życiu uczuciowym.

– Myślałem, że pójdziesz z Joem – powiedział.

– Em... Nie, raczej nie. Lubię go, to prawda, ale... Myślałam o kimś nowym. O jakimś nowym romansie. Daj, na to też sobie powrózę.

Sięgnęła po kolejną kartę z talii Toma, ale on cofnął rękę.

– Nie – powiedział poważnie. – Teraz mieliśmy wróżyć o naszej misji. Potem przyjdzie czas na dyrdymały.

Lilian, ze skwaszoną miną, wyciągnęła kolejną kartę i położyła ją na podłodze obok pozostałych, które układały się na wzór krzyża z kolumną po prawej stronie.

– Dobra, to ja wyciągnę ostatnią – oznajmił Tom i sięgnął po jedną z kart trzymanyh przez Lilian. Mruknął z niezadowoleniem: – As Pucharów. Znowu za bardzo uczuciowa karta. Zmienię ją na Słońce.

Lilian przytaknęła.

– Słońce to w końcu sukces, w ten czy inny sposób.

Gdy rozkład był już gotowy i ułożony po ich myśli – a by tak się stało, musieli zmienić przynajmniej połowę kart – Lilian i Tom złapali się za ręce i wyszeptali jednocześnie:

– *Przez powietrze, ogień, wodę i ziemię, niech się stanie nasza wola.*

Świetlisty fantom sięgnął skłębionych chmur. W jednej z nich odnalazł niewielką ciemną kropkę, miniaturową dziurę czasoprzestrzenną. Przepchnął się przez nią i nagle pojawił się w innej części kosmosu. Dawniej ta część wszechświata stanowiła jedność z tą, z której właśnie powrócił, choć teraz nic już na to nie wskazywało. Wprawdzie tu również panowała wiosna, jednak daleko jej było do nieprzewidywalności angielskiej pogody. Wiosna w Elphame, rozciągająca się na błękitnym niebie i w ciemnozielonych lasach w dole, przypominała wczesne lato, była odwieczna, ustanowiona dawno temu i kształtowana przez magię.

Fantom przeleciał nad ogromnym Lasem Wielu, przemykając obok unoszących się tam myśli i szeptanych zaklęć, które przybierały energetyczne formy. Zmierzał w stronę cienkiej, błoniastej bariery otaczającej krainę ferów. W momencie, gdy jej dotknął, natychmiast się rozpuścił, na zawsze stając się częścią magicznej struktury.

W dole, pod ochronną błoną, ku niebu wznosiły się gigantyczne, różnobarwne kwiaty – domy ferów. Na jednym z nich zebrała się skrzydlata rodzina.

– Nie ociągaj się, Fion. – Prawdziwa Badb siedziała pośrodku, wysoka i wyprostowana. Czarna spódnica i przepaska na piersiach w połączeniu z jej żółtym ciałem nadawały jej wygląd pszczoły. W rękach trzymała druty, na których dziergała coś z delikatnej tkaniny. – Jeśli będziesz prasować materiał tak powoli, nigdy nie osiągnie odpowiedniego kształtu. No dalej, twoja siostra tylko raz w życiu bierze ślub.

– Jasne – prychnął Fion pod nosem. Był najmniej zadowolony ze wszystkich. Zdierał skórę ze swoich niebieskich rąk, mocując się z materiałem, i coraz bardziej bolały go ramiona. Jego błękitne skrzydła jakby przykładały ze zmęczenia.

– Fione będzie miała wspaniały ślub – stwierdził Harold, ale było jasne, że robił dobrą minę do złej gry. Nocą wiatr sprawił, że pręciki kwiatu, na których matka wieszała uszyte stroje, powyginały się i już od pół godziny Harold próbował je rozplątać. Jego naturalnie czerwone oczy skrzyły się jakoś mocniej, podkreślając odcień jego rudej brody i czupryny.

Murugan odstawał od reszty – jak zwykle. Najwyższy ze wszystkich, z ciemnoniebieskim ciałem pokrytym tatuażami, stał z boku i sprawdzał, czy liczba kryształowych naczyń zgadzała się z liczbą planowanych gości.

– Wszystko już ustalone! – cieszyła się Badb. – Zdaje mi się, że mój ostatni fantom już wrócił. Zaprosiłam dziś Kate i Jonathana.

– Na nich już chyba też pora – odparł Harold. – Chodzi mi o ślub.

– Ludzie nie biorą ślubu tak wcześnie – zauważył chłodno Fion.

– No tak, zapomniałem, że to mistrzowie oczekiwania, aż życie przeleci im koło nosa – odparł Harold skrzekliwym głosem, natychmiast wywołując u Fiona falę gniewu.

– Faktycznie! Ty, jako najmądrzejszy fer na świecie, masz rady dla wszystkich istot. Nawet dla tych, o których nie masz pojęcia.

Kłótnie między Fionem i Haroldem nie były niczym nowym, jednak dziś Badb wołała ich uniknąć jeszcze bardziej niż zwykle.

– Nie kłóćcie się przed ślubem – upomniała łagodnie. – To wprowadza złą atmosferę, a Fione nie powinna w takiej przebywać.

– Gdzie ona właściwie jest? – wtrącił się Murugan.

– W świątyni – odparła Badb. – Mówiła, że chce się oczyścić i przygotować, nim zobaczy suknię. Zaraz po nią pójde. Musimy w końcu zrobić przymiarke.

Świątynia rodziny `yl Maas, kamienny budynek otoczony magią, jak większość ferzych świątyń, wznosiła się u stóp ich kwiatu mieszkalnego. To w świątyniach fery trzymały swoje magiczne narzędzia: sztylety athame, różdżki, kociołki i księgi zaklęć. Gdy przekraczało się próg takiego miejsca, wyczuwało się zmianę w atmosferze, jakby energie, tworzące się w świątyni i rosnące w siłę poprzez lata praktykowania w niej magii, przenosiły ją stopniowo w miejsce oddalone od czasu i przestrzeni. Badb, mimo że przywykła do tego uczucia, nadal lubiła, gdy jej skóra odpowiadała na nie przyjemnym dreszczem. Tak samo było i tym razem, kiedy weszła do świątyni.

Pustej świątyni.

Przyjemny dreszcz zamienił się nagle w ciarki niepokoju.

– Fione? – spytała niepewnie, nie wierząc, że usłyszy odpowiedź. – Fione!

Przy ołtarzu leżało coś, co przypominało rzuconą niedbale płachtę. Badb podeszła bliżej i natychmiast zorientowała się, że to szata Fione. Podniosła ją i obejrzała. Po chwili materiał wypadł z jej ręki, a usta zadrżały. Badb zatkała je dłonią, próbując opanować szloch.

Szata Fione, porzucona samotnie na kamiennej posadzce, nosiła ślady walki.
Była ubroczona krwią.



Rozdział 2

Prośba córki

Na skraju Elphame, w miejscu, gdzie kraina ferów spotykała się z polaną Yrendall i rozciągającym się za nią Lasem Wielu, nie mieszkał prawie nikt. Stała tu tylko jedna chatka, wyglądająca, jakby kiedyś uderzył w nią piorun, który nieco się speszył i, zamiast ją spalić, uznał, że dla niego samego bezpieczniej będzie zasilić jej magię. Dziury w dachu były połatane drewnianymi dachówkami, a z krzywego, sypiącego się komina unosiły się gęste opary. Kurz na oknach zalegał tak długo, że gdyby go poprosić, opowiedziałyby pewnie niejedną ciekawą historię.

Odkąd niemal rok temu likantusy, wilkopodobne namhajdy, zbliżyły się do tego miejsca na tyle, że ich różowe nosy niemal przeniknęły przez ochronną magiczną bańkę, fery i czarownice przychodziły tu jeszcze rzadziej niż kiedyś. Babci Annwynn, która zamieszkiwała chatkę, było to na rękę.

Trudno stwierdzić, czy Babcia Annwynn była samotniczką z wyboru, czy z przymusu. Prawdopodobnie chodziło o jedno i drugie. Annwynn Beedlebee nigdy nie lubiła towarzystwa, ale odkąd tylko pamiętała, wszyscy wciąż czegoś od niej chcieli. *Babciu Annwynn, wygłoś dla nas przepowiednię, Babciu Annwynn, doradź, jakie zioło najlepiej działa na potencję, Babciu Annwynn, sprawdź proszę w swojej szklanej kuli, gdzie moja wiedźma zgubiła swoje stumilowe skarpety.* Chyba właśnie dlatego, że – niechętnie i tylko z poczucia obowiązku – Annwynn wszystkim im pomagała, zaczęli nazywać ją Babcią. Nie zносиła tego, nawet gdy zwracały się tak do niej jej własne wnuki.

Rodzina była dla Babci ciągłym utrapieniem. Jej córka wyszła za największego oferme w Elphame, a ich dzieci nie rokowały najlepiej. By nie musieć patrzeć, jak jej ród chyli się ku upadkowi, Annwynn wołała ich nie odwiedzać. W swoich czterech ścianach czuła się znakomicie. Większość dnia i tak spędzała na planie astralnym lub gdzieś poza ciałem. Czasu, jaki zostawał jej na kwestie materialne, nie wystarczało na porządki, dlatego w domu zalegały sterty zakurzonych naczyń i opakowania po kadzidłach, kupowanych w świecie ludzi.

Babcia dbała o to, by nikt jej nie przeszkadzał. Ostatnio nawet spędziła pół dnia w oknie, czekając, aż przez polanę, jak co roku o tej porze, będzie przechodzić Vegebunda, największa plotkara w całym Jaarze. Ucięła sobie z nią krótką pogawędkę, w której zapewniła, że teren wciąż nie jest bezpieczny i lepiej, by nikt tu się nie zbliżał, a zwłaszcza dzieci, których krzyki mogłyby zwabić głodne namhajdy. Annwynn była przekonana, że tą historyjką zapewni sobie jeszcze więcej spokoju, tym większe było więc jej zdziwienie, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

Zerwała się z krzesła, na którym siedziała, czyszcząc szklaną kulę, i pobiegła otworzyć. Nim jednak to zrobiła, stała przez chwilę przy drzwiach, narzekając na stare kości i problemy z poruszaniem się, po czym pociągnęła za to, co niegdyś było klamką.

I wytrzeszczyła oczy.

Właśnie stało się coś, czego, przy wszystkich swoich jasnowidzących zdolnościach, Babcia Annwynn nie potrafiłaby przewidzieć. W drzwiach stała jej własna córka. Jej oczy, którymi nie potrafiła spojrzeć matce prosto w twarz, były zapłakane.

– Że co?! – zawołała Babcia. Zwykle nie lubiła dawać w ten sposób ponosić się emocjom, ale tym razem okazały się od niej silniejsze.

– Mamo... – odparła Badb. – Musisz... Musisz mi pomóc – wyjąkała, po czym weszła do środka bez zaproszenia. Z rozpaczy nie zwróciła nawet uwagi na panujący w chatce bałagan. Za nią wkroczył Fion, tylko na moment rzucając Babci niepewne spojrzenie, jakby bojąc się, że będzie na niego zła za tę wizytę. W rękach niósł szatę Fione. Wskazawszy na nią, Babcia spytała:

– Co to jest? – Podeszła do stołu, przy którym siedziała już Badb. Przez pierwsze kilka kroków zapomniła nawet o kuśtykaniu. – Co się stało?

– Fione zniknęła – oznajmił Fion. – W świątyni zostało po niej tylko to. – Położył szatę na stole. Badb odwróciła głowę i zaczęła szlochać jeszcze głośniej.

– Zniknęła? W świątyni? – Babcia zachowywała zdrowy sceptycyzm.

– Poszła tam i nie wróciła – odparł Fion, po czym ściszył głos. – A my... obawiamy się najgorszego.

Te słowa z trudem przeszły mu przez gardło. Gdy przypominał sobie o tym, jak często kłócił się z Fione, robiło mu się słabo. Nie chciał myśleć o tym, co mogło się stać, ale musiał zaakceptować każdą możliwość, nawet tę, o której bał się wspominać.

– Pytaliśmy – przemówiła Badb wysokim, pełnym bólu głosem. – Nikt jej nie

widział. Dzieci bawiące się niedaleko świątyni twierdzą, że nikt nie wchodził do środka. Ani nikt nie wychodził. Wiemy, że nie mogły się tam dostać żadne namhajdy, bo przecież świątynia jest chroniona, zresztą jak całe Elphame. Chyba że...

– Chyba że Fione sama wezwała namhajda – dokończył za matkę Fion.

Babcia pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Nie wiem, co robić – powiedziała Badb. – Próbowaliśmy kontaktować się z nią na wiele sposobów, ale nie odpowiedziała.

– To głupi pomysł, by próbować kontaktować się z nią – zauważyła trzeźwo Babcia. – Jeśli faktycznie ją porwano, z pewnością jej usta zostały magicznie zakneblowane.

– No, chyba że Fione uciekła... – zaczął nieśmiało Fion. – Przez ten ślub i w ogóle...

Badb zgromiła go wzrokiem.

– Już o tym rozmawialiśmy. Ślub to nie powód, by uciekać z domu.

– Jak dla kogo – burknęła Babcia. Sama nigdy nie dała się obwiązać sznurami. Nie żeby nikt nie próbował. Po prostu dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że dla kobiet w tej rodzinie śluby zwykle kończyły się życiową porażką.

– Nie wiem, co robić! – zawołała Badb. – Musisz mi pomóc!

Annwynn przybrała na te słowa bojową postawę.

– Muszę?! – prychnęła. – Zapamiętaj sobie, że ja niczego nie muszę. Gdybym nie chciała, to na dobrą sprawę nie musiałabym nawet... umrzeć, dla przykładu!

– A więc nie pomożesz mi, tak?! – Badb gwałtownie wstała. Teraz w jej głosie nie słychać było już żalu, ale złość.

Zamiast odpowiedzieć, Babcia podeszła do swojego łóżka i nakryła się ciemną kołdrą. Swoją czarną twarz, na której zagościła teraz grobowa mina, zwróciła ku sufitowi. Choć Annwynn Beedlebee za nic w świecie nie chciałaby się do tego przyznać, czuła ból. Zbierał się w niej latami, ale wcale go nie odrzucała. Przeciwnie, chowała go jakby specjalnie na taką okazję. Wreszcie powiedziała:

– Moja córka mnie nie odwiedzała... Nie odwiedzała.

W chatce zapanowała cisza. Fion poczuł, że robi mu się słabo.

– Więc mam sobie pójść, tak? – odezwała się wreszcie Badb. Ból w jej głosie dorównywał bólowi Babci, ale ponieważ nic innego jej nie pozostawało, postanowiła unieść się dumą.

– Rób, jak chcesz – odparła Babcia. – Mogę odnaleźć swoją wnuczkę i bez twojej pomocy.

Badb ruszyła w stronę drzwi, ale Fion zablokował jej przejście.

– Obie jesteście głupie i uparte! – warknął. – Fione to zresztą po was odziedziczyła, ale i tak trzeba jej pomóc. Babcia na pewno zna jakieś sposoby.

Annwynn energicznie zrzuciła z siebie kołdrę.

– Oczywiście, że znam! – oświadczyła gromko i podeszła do pieca, w którym ostatnim razem rozpalano chyba na grudniowe Święto Słońca. Nad nim, na haku, zawieszona była czerwona torebka. Babcia dostała ją kiedyś w prezencie

od jakiejś wiedzy. Podobno w świecie ludzi były bardzo popularne, ale Annwynn wierzyła, że w Jaarze nikt nie miał takiej samej. Torebka była zaklęta i można było schować w niej praktycznie wszystko. Do tej pory Fion wiedział o zapasie ziół, różnorodnych sprzętach magicznych, herbatnikach z ludzkiej kawiarni i przenośnym krześle. Teraz jednak, po dłuższej chwili poszukiwań, Babcia wyciągnęła ze środka tylko powykrzywiane wahadło, które zawiesiła sobie na szyi.

– Siadaj – zwróciła się sucho do Badb, wracając do stołu. – Fion, w którejś z szafek jest miska z zielonymi runami. Znajdź ją.

Fion zaczął posłusznie przeszukiwać szafki. Jedne były zagracone, inne zamieszkane przez pająki. Zdziwiło go, że nigdzie nie natrafił na żadne jedzenie, a jedynie wypełnione ziołami fiolki. W końcu, wśród mnóstwa najróżniejszych naczyń, odnalazł odpowiednią miskę i postawił ją na stole.

– Czegoś tu chyba brakuje – zauważyła Babcia.

Fion i Badb posłali sobie zdumione spojrzenia.

– To miska *na wodę*, więc... – dodała Babcia, przewracając oczami.

– Ach! – Fion natychmiast porwał miskę i ruszył z nią na zewnątrz, gdzie Babcia trzymała wiadro, w którym nigdy nie ubywało wody.

Gdy wrócił, Annwynn podała miskę Badb. Ta od razu przystawiła ją sobie do ust.

– Nie tak prędko! – powstrzymała ją Babcia. – Gdybym chciała, żebyś u mnie piła, kazałabym ci przynieść ze sobą herbatę. Do miski masz wlać swoją krew.

Badb pokręciła głową.

– Masz jakąś sterylną igłę?

– Jaką? – Babcia udała, że nie rozumie tego nowoczesnego słowa.

– Nieważne – odparła Badb i zaczęła rozglądać się po parapecie, na którym leżały zeschnięte łodygi ziół i kwiatów. Po chwili trzymała już kolec róży, którym ukłuła się w palec.

– Wystarczy kilka kropli – powiedziała Babcia. – Musimy sprawdzić, czy w krwi z szaty jest jeszcze jakieś życie.

Badb uniosła drżącą dłoń nad miskę. Z jej palca spłynęły powoli trzy krople krwi. Babcia zamieszała wodę, po czym rozlała ją na szatę. Fion uważnie się temu przyglądał.

– Dlaczego użyłaś właśnie tej misy? – zapytał, marszcząc czoło.

– Bo jest najczystsza. Myję ją przynajmniej raz w miesiącu, na pełnię. Zresztą w tym czarze nie liczy się jakaś tam miska. Chodzi o krew. W tym przypadku krew matki i córki. Jeśli pobudzą się nawzajem i krew z szaty zareaguje, przybierając na nowo płynną formę, będzie to znaczyć, że Fione nadal żyje.

Badb i Fion z napięciem wpatrywali się w szatę, wiedząc, że teraz, w każdej chwili, ich nadzieje mogą zostać boleśnie rozwiane. Krew na szacie nie zmieniła konsystencji. Badb przyłożyła dłoń do drżących ust, a jej oczy na nowo zasły łzami.

– Czy to znaczy, że...? – zaczął Fion.

Babcia, nie spuszczać oczu z szaty, odparła:

– Nie. Ta krew nie należy do niej.
– A więc do kogo? – zdumiała się Badb.
– Niby skąd mam wiedzieć?! Nie jestem wszechwiedząca. Czy wiecznie muszę o tym wszystkim przypominać? – zaskrzeczała Babcia. – Fion, podaj mi torbę.

Fion ruszył na skinienie palca Babci. Torba, jak na ilość rzeczy, jakie do niej włożono, była zadziwiająco lekka. Annwynn wyciągnęła z niej kilka starych książek. Przeglądała je przez chwilę, aż w końcu znalazła w jednej pomarszczony pergamin. Rozłożyła go na stole, zajmując większą część blatu. Na pergaminie wyrysowana była mapa tej części Jaaru, w której znajdowało się Elphame, Las Wielu i Tir-na-Nog, a ciągnęła się aż do zamarzniętego morza Gartha.

Babcia zdjęła swoje wahadło i zanurzyła je w wodzie, a potem wytarła je o szatę Fione. Gdy zawiesiła je nad mapą, wahadło nieznacznie drgnęło. Dla postronnego nie byłaby to żadna odpowiedź. Większość uznałaby, że wahadło po prostu nie potrafi jej wskazać. Jednak Annwynn zrozumiała przekaz.

– Tir-na-Nog – powiedziała.
– Uprowadzono ją? – jęknęła Badb.
– Nie wiem. Wiem jedynie, że by ją znaleźć, musicie zmierzać w przeciwną stronę.

Badb uniosła brwi.

– Nic nie rozumiem... – Pokręciła głową.
– Ja niewiele więcej – przyznała Annwynn, po czym zaczęła sunąć po mapie kościstym palcem. Najpierw zjechała do samego jądra Tir-na-Nog. – Tam wszystko się rozgrywa – oznajmiła i zawróciła, zygzakowatym ruchem zmierzając w stronę stolicy Elphame. – Tędy tam dojdziecie.

Badb wpatrywała się w matkę, jakby niepewna, czy jej słowa są czymś w rodzaju przepowiedni, czy raczej kpina. Być może matka chciała zemścić się na niej za lata oddalenia.

– To bez sensu – wycedziła Badb, wstając. – Straciłam tylko czas.
– Siedz – poleciła jej stanowczo Annwynn. – Jeszcze nie ustaliliśmy, co trzeba zrobić. Mamy magię do wykonania. A ty, Fion, leć zaraz do swojej wiedzmy i wszystko jej opowiedz. Znajdź też tego chłopaka... Jak mu tam, Jonnan? W końcu Fione jest jego ferinią.

Zaraz po tym, gdy za Fionem zamknęły się drzwi starej chatki, Annwynn ruszyła za nim i przywołała go ponownie, nim zdążył się przenieść.

– Masz powiedzieć *wszystkim* – oznajmiła, przyjmując nagle bardzo rzeczowy ton. – Wiesz, o co mi chodzi.

Fion pokiwał głową.

– Ma się rozumieć – odparł. – Jak sądzisz, do kogo należy krew z szaty Fione?
– Trudno powiedzieć. Być może dojdziemy do tego z twoją matką. W każdym razie ona jest na tyle uparta, że z pewnością odrzuci to, co powiedziałam. Pójdzie swoją drogą. Twoim zadaniem jest zwołać wszystkich Strażników w jedno miejsce. I macie tam na mnie czekać. Ktoś będzie musiał ruszyć wytyczonym przeze mnie szlakiem.

– Ten szlak... Zobaczyłaś go w wizji?

Babcia przewróciła oczami.

– Mniej więcej.

– I sądzisz, że ta sprawa ma coś wspólnego ze Strażnikami?

– Najwyraźniej wszystko, co ostatnio dzieje się w Jaarze, ma z nimi związek. Ale związki zwykle nie wychodzą, jeśli się w nie dostatecznie nie wplączesz. Trzeba to po prostu sprawdzić.

Fion pokiwał głową i już miał odlecieć, gdy postanowił zadać jeszcze jedno, ostatnie pytanie:

– Sądzisz, że Fione... żyje?

– Taką mam nadzieję – powiedziała Babcia, teraz już całkiem pozbywając się ironicznego tonu, po czym odwróciła się i wróciła do swojej chatki. Fion, nie chcąc już dłużej zwlekać, natychmiast przeniósł się do świata ludzi. Gdy chciał skontaktować się z Kate, musiał po prostu wyobrazić sobie podczas przeniesienia jej twarz lub wypowiedzieć jej imię. Kate nie znosiła jego niezapowiedzianych wizyt, bo Fion często zaskakiwał ją w najmniej oczekiwanych momentach. Tak samo było i tym razem. Gdy pojawił się w domu pani Hallander, Kate i Jonathan wciąż jeszcze leżeli.

– Fion! – wrzasnęła Kate.

– O, świetnie, że jesteście razem – ucieszył się ten. Nieszczególnie przejął się tym, że nakrył ich w łóżku. Obyczajne ferów, do których Kate wciąż nie umiała przywyknąć, były całkiem swobodne.

– Dość już tego nachodzenia – ostrzegła go głosem stłumionym przez kołdrę, którą zasłoniła nawet usta. – Znajdź sposób, żeby uprzedzić mnie o swoich wizytach. Normalni ludzie używają szklanej kuli... To znaczy, normalne fery... To znaczy...

Szklana kula, oprócz tego, że całkiem nieźle nadawała się do wróżenia, stanowiła w magicznym świecie coś na wzór komórki.

– Fione zniknęła – wypalił nagle Fion.

– Jak to zniknęła? – Teraz odezwał się Jonathan. Nim to zrobił, zrzucił z siebie nieco kołdry. Kate z ulgą stwierdziła, że nie było to zbyt wiele i że kołdra nadal zakrywała to, co należało.

– Po prostu jej nie ma. Nie możemy jej znaleźć. Zniknęła w naszej świątyni.

– W świątyni? – zdziwiła się Kate. – A szukałeś w...?

– To o wiele poważniejsze, niż się wydaje – przerwał jej Fion. – Wyjaśnię wam wszystko później. Teraz muszę zebrać pozostałych, a wy się ubierzcie. Za kilka minut po was wrócę.

Zniknął szybko, spodziewając się najwyraźniej, że Kate i Jonathan zaraz zasypią go pytaniami. Pewnie zresztą tak właśnie by zrobili, ale na razie wpatrywali się w siebie z konsternacją.

– Wiedziałam! – Kate wstała. Z jakiegoś powodu zaczęła ubieranie się od założenia skarpetek. – Czułam, że coś będzie nie tak. Kiedy ostatnio rozmawiałaś z Fione?

Jonathan, wyraźnie zaniepokojony, również zwlekł się z łóżka.

– Wczoraj wieczorem – odparł. – Dała mi kolejne powietrzne czary do wyćwiczenia. Wiesz, że ciągle nie kontroluję swojej mocy. Ostatnio roztopiłem rękojeść athame.

W przypadku większości czarownic nauka magii oznaczała próby wykrzesania mocy. Z Jonathanem było inaczej. Jego moc była potężna i zwykle używał jej zbyt wiele. Wprawdzie zaczynał już radzić sobie z nią coraz lepiej, jednak Kate nie była pewna, co się stanie, jeśli Fione zniknęła na dobre. Brak ferini mógłby przysporzyć mu poważnych kłopotów.

Oczywiście coś musiało się wreszcie wydarzyć. Od kilku miesięcy życie Kate było wyjątkowo spokojne. Nie spotkała nikogo, kto chciałby ją zamordować, i całkiem nieźle szło jej z nauką magii. Umiała już sama się przenieść, przesłać energię poprzez athame i skupiać myśli, gdy wokół panował rozgardiasz. Nie mogła jednak spodziewać się, że taki stan rzeczy będzie trwał wiecznie, skoro nosiła w sobie najbardziej pożądaną w magicznym świecie przedmiot: kamień Danu.

Wszystko potoczyło się dość przypadkowo, od jednego zaklęcia. Gdy tylko Kate je rzuciła, otworzyła drzwi, przez które magia zaczęła wdzierać się do jej życia. Zdomowiła się w nim dość szybko, co prowadziło do niekoniecznie przyjemnych konsekwencji, głównie polegających na tym, że już kilka osób próbowało zabić Kate właśnie po to, by wydobyć z niej kamień. Trudno było też zrozumieć, w jaki sposób przedmiot mógł w ogóle zamieszkać w jej ciele. Kate wiedziała tylko, że chodziło o plan astralny i formy duchowe, ale teoria okazała się zbyt skomplikowana, by móc szybko ją zrozumieć. A dla wiedźm liczyła się przede wszystkim praktyka. Kate stała się Strażniczką Kamienia, a to nie zwiastowało spokojnego żywota.

– Dlaczego jeszcze go nie ma? – Jonathan, już ubrany, krążył niecierpliwie po pokoju. W ręku trzymał swoją różdżkę. – Może powinienem sam spróbować przywołać Fione?

– Lepiej nie, póki nie wiemy, co właściwie się stało – stwierdziła Kate. Podeszła do lustra i zaczęła poprawiać włosy. Potem sięgnęła po torebkę i włożyła do niej athame.

Fion wrócił całkiem zdyszany.

– Zwołałem już wszystkich – wysapał. – Będą czekać w bazie.

– Gdzie? – zdumiała się Kate.

– Myślałem, że to wy będziecie wiedzieć – przyznał nie mniej zdziwiony Fion.

Sądząc po minie Jonathana, Kate stwierdziła, że wie on o jakiejś tajemniczej bazie tyle samo, co ona. Jak w takim razie mieli się tam dostać?

Ich rozmyślenia przerwał dzwonek. Kate chciała otworzyć, ale Fion zatrzymał ją syknięciem, gdy tylko dotknęła klamki.

– Nie ma teraz czasu na gości! Musimy się przenieść.

Kate przewróciła oczami. Odkąd znała Fiona, zawsze był zbyt narwany.

– No dobrze, ale jak mamy to zrobić, skoro nie wiemy nawet, gdzie jest ta baza? – spytała.

– Tak jak zwykle. Po prostu pomyślimy o Lilian i pozostałych.

Złapali się za ręce, intensywnie myśląc o tych, z którymi chcieli się zobaczyć. Po kilku sekundach nie było ich już w pokoju. Nie przewidzieli jednak, że na chwilę przed przeniesieniem ktoś może podglądać ich przez uchylone drzwi.

Melinda Gibbons, najlepsza przyjaciółka Kate, niepewnie weszła do jej pokoju. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek zdoła uwierzyć w to, co właśnie zobaczyła. Była jednak pewna, że wzrok jej nie mylił.

[1] Ceremonia ślubna ferów zawiera w sobie obwiązywanie rąk sznurami.



Rozdział 3

Przejście w szafie

Coś było nie tak i Kate zorientowała się o tym zaraz po wylądowaniu. Gdy tylko spróbowała poruszyć ręką, uderzyła kogoś w głowę. Sądząc po głosie, jakim ta osoba zakląła, musiał to być Jonathan. Otwarcie oczu na niewiele się zdało. Wokół było zupełnie ciemno. A więc wylądowali w ścisku i mroku. Kate, której nie po raz pierwszy przytrafiało się coś podobnego, poczuła, jak jej serce gwałtownie przyspiesza.

Zapanował całkowity chaos, gdy Kate, Jonathan i Fion zaczęli przepychać się, pojękując i szukając wyjścia. Raz po raz uderzali łokciami w coś twardego, aż nagle poraziło ich światło. Wyłonił się z niego Joe, młody bibliotekarz, którego poznali w ubiegłe wakacje w Hagsborough, mieście wiedźm.

– Cześć! – Uśmiechnął się do nich, a oni, patrząc na niego ze zdumieniem, nagle runęli na podłogę, próbując wyplątać się z mieszaniny rąk i nóg, jaką się stali.

Jonathan jako pierwszy zdał sobie sprawę, że wypadli właśnie z szafy w pomieszczeniu, które dobrze znał. Teraz jednak wyglądało znacznie lepiej niż w wakacje, gdy miały tu miejsce rzeczy, o jakich wolał zapomnieć. Jedyne okno, wcześniej zakurzone, teraz wpuszczało do środka dość światła, by odpowiednio oświetlić przestrzeń. Do stojących na środku krzeseł dołożono kilka dodatkowych, a biurko ugięło się pod ciężarem grubych ksiąg i magicznych akcesoriów. Z szafy, która pełniła dawniej rolę archiwum, usunięto wszystkie półki. Jej ściany od wewnątrz zostały pokryte symbolami, które zamieniły ją w portal-przenośnię.

– To przecież budynek Rady – powiedziała zdziwiona Kate.

– Nasza nowa baza – oznajmiła dumnie Lilian. Tom i Diana siedzieli obok niej, przyglądając się przybyłym. – To znaczy... Nasza *pierwsza* baza i jedyna, jaką mamy. Chcieliśmy zrobić ci niespodziankę. Będziemy mogli się tu spotykać i omawiać wszelkie istotne sprawy. Nikt o tym nie wie. Nie potrzebowaliśmy nawet zgody Społeczności.

– Trochę tu ogarnąłem – dodał Joe. – Stworzyłem portal. Uznałem, że takie miejsce może się wam przydać. Co sądzisz?

Kate rozglądnęła się dookoła. Pomysł z bazą wydał jej się całkiem dobry, pod warunkiem, że nikt nie każe jej tu sprzątać.

– Świetnie – pochwaliła ich.

W pomieszczeniu był też Hiacinthus, fer Toma. Obok niego, w sporej misce ustawionej pod parapetem, siedziała Sundari, ferini Lilian. Przy oknie stał Darrin. Przez fakt, że jeszcze rok temu mieszkał na słońcu, wydawał się najbardziej nietypowy z nich wszystkich. Teraz miał na sobie białą koszulę i ciemnogrnatowe dżinsy i chociaż wyglądał w nich całkiem dobrze, Kate nie mogła jakoś przyzwyczać się do jego widoku w normalnym ubraniu. Może dlatego, że wciąż pamiętała okoliczności, w jakich spotkała go po raz pierwszy. Był wtedy ubrany w strój, który pasował do niego najlepiej: zbroję Strażnika Słońca.

Tak naprawdę oni wszyscy byli Strażnikami Żywiołów – wszyscy oprócz Joego, którego Lilian postanowiła wtajemniczyć w sprawę, sądząc, że jego pomoc może się im bardzo przydać. Tom był Strażnikiem Powietrza, Lilian – Wody, Diana – Ziemi, a Jonathan – Ognia.

Zgodnie ze starymi podaniami, Strażnicy Żywiołów pojawiali się tylko w czasach, gdy Jaarowi groziło niebezpieczeństwo. Zadaniem Kate, jako Strażniczki kamienia Danu, zwanego również księżycowym lub kamieniem władcy, było zjednoczyć siły wszystkich żywiołów i zapanować nad nimi. Jednak, patrząc na wszystkich pozostałych, Kate była przekonana, że każde z nich – nawet Jonathan, który praktykował magię najkrócej – potrafi czarować lepiej od niej. Nie miała więc pojęcia, jakim cudem ma stać się ich przywódczynią.

– Możemy wszystko tu rozplanować – odezwała się znów Lilian. – Nawet przeprowadzać badania! Świetny pomysł, prawda? Pomyślałam sobie, że baza może stać się naszym magicznym laboratorium i świątynią w jednym. Biurko można przerobić na ołtarz. Nie jest może najśliczniejsze, ale jakiś ładny obrus poprawiłby mu wygląd. W sklepie Selene widziałam ostatnio niezły, taki ze słońcem i pentagramami. Z ołtarzem moglibyśmy odprawiać tu rytuały. Tom mówi, że nie mamy na to wszystko dość miejsca, ale...

Diana chrząknęła, w porę przerywając słowotok Lilian, jeszcze zanim zdążył się na dobre uruchomić.

– Fion miał nam powiedzieć coś ważnego – przypomniała. Gdy mówiła, kręcąc przy tym głową, Kate była przekonana, że doczepiła do włosów kilka nowych sznurków. Zaklinała je i przechowywała w nich swoje czary. Trzeba było mocno

uważać, by jej nie urazić, bo można było wylądować po prawej stronie głowy, w sekcji „wrogowie”. Kate przypuszczała zresztą, że już tam trafiła – odkąd spotkała Dianę po raz pierwszy, wiedziała, że nie zostaną przyjaciółkami, i niewiele zmieniło się w ciągu ostatnich miesięcy, choć chyba zaczynały się już powoli tolerować.

Fion, który dotąd z niecierpliwością czekał, aż pozwolą mu mówić, rozsiadł się na biurku i opowiedział o tym, co się wydarzyło. Dokładnie przytoczył też słowa Babci. Gdy skończył, niepokój w budynku wydawał się wręcz namacalny. Wszyscy mieli zatrwożone miny, ale nikt się nie odezwał.

– Będziesz musiał spróbować ją przywołać. – Fion zwrócił się do Jonathana. – Jeśli to nie podziała, uznamy, że wyczerpaliśmy wszelkie próby kontaktu. Związek fera z jego wiedźmą jest najsilniejszy. Jeśli nic w ten sposób nie wskóramy, trzeba będzie szukać innych środków.

– Mam po prostu ją przywołać? – odparł niepewnie Jonathan. – Tak jak zwykle?

– Zaczynj od tego, ale nie sądzę, by to coś dało. Chodziło mi o inną formę kontaktu. Kontaktu poprzez krew, czyli to, co was połączyło.

Jonathan najpierw zamknął oczy i po prostu spróbował zwrócić się do Fione. Przywołał ją w myślach: smukłą ferinię o jasnym ciele i fioletowych oczach. Wypowiedział jej imię. Nic się nie stało.

– Zakłęcie, o którym wspomniałem – powiedział Fion, który właśnie tego się spodziewał – jest używane w nagłych przypadkach. Macie tu gdzieś kadzielnicę?

Joe natychmiast ruszył do biurka, wyjął z niego małą kadzielnicę, paczkę węgielków i szklaną buteleczkę wypełnioną kadzidłem, po czym podał to wszystko Fionowi. Ten otworzył buteleczkę i powąchał jej zawartość.

– Szałwia – oznajmił Joe. – Jedno z najczęściej wykorzystywanych w magii ziół. Uznałem, że może się nam tu przydać.

– Chyba może być – odparł Fion. – Właściwie częściej używa się jej do odegnania niż do przywoływania, ale nam chodzi o fera, więc powinna się nadać.

Włożył węgielki do kadzielnicy i rozpałił je. Nie musiał używać do tego zapalek. Wystarczyło, że na krótko potrzymał je w dłoni, wzniecając moc ognia.

– Tak jak mówiłem – rzucił, gdy węgielki zaczęły się żarzyć – w zaklęciu będziemy używać krwi Jonathana. Macie coś, czym można przebić mu palec?

Joe sięgnął do szuflady w biurku i wyjął z niej paczkę szpilek.

– Nadadzą się?

Kate zaczęła się zastanawiać, po co właściwie były im tu szpilki. Przyszło jej do głowy, że Diana mogła trzymać w bazie swoje laleczki. Teoretycznie służyły jej do uzdrawiania, ale można było mieć co do tego uzasadnione wątpliwości, jeśli tylko poznało się jej charakter.

Jonathan wyciągnął jedną ze szpilek i bez mrugnięcia okiem wbił ją w palec. Fion wsypał do kadzielnicy trochę szaławii i polecił Jonathanowi skropić węgielki kilkoma kroplami krwi. Gdy chłopak to zrobił, dym zgęstniał, a wokół uniosł się specyficzny zapach. Jonathan powtarzał za Fionem słowa zaklęcia:

*Poprzez krew, co stała się ofiarą,
Przez magię, co sprawiła, żeśmy się zjednoczyli,
Przyzywam cię, gdziekolwiek jesteś,
Byśmy na nowo w swej sile się połączyli.*

Wszyscy wpatrywali się w dym. Na moment, gdy opary zrobiły się wyjątkowo gęste, Fion rozszerzył oczy w nadziei na wizję. Jednak kadzidło szybko się wypaliło, a węgielki zasyczały, jakby łaknąc kolejnej ofiary.

– To silne zaklęcie – oznajmił ze smutkiem Fion, schodząc z biurka. – Matka też próbowała go użyć, ale skoro nawet tobie się nie udało... Trudno, będziemy musieli znaleźć inny sposób, by odnaleźć Fione.

Z każdą chwilą zdawał się załamywać coraz bardziej.

– Zaraz! – zawołała Kate. Musiała zrobić wszystko, by podnieść Fiona na duchu. – Mówiłeś, że krew na szacie nie należała do Fione. Czytałam w „Wielkiej Księdze Magicznych Praktyk i Teorii”... No, nie patrz tak na mnie! – Ofuknęła go. – Przecież wiesz, że ostatnio bardziej skupiam się na nauce magii. Wcześniej nie miałam czasu. Byłam zbyt zajęta walką o życie.

Spojrzała po wszystkich, jakby próbowała znaleźć sojusznika. Od razu przypomniała sobie jednak, że nim jeszcze okazało się, że stanowią jedną drużynę, przynajmniej połowę z nich podejrzewała o próbę morderstwa.

– No... W każdym razie czytałam, że krew to nie tylko nośnik energii, ale że stanowi też magiczny... Jak to się nazywa?

– Odcisk? – podpowiedział Darrin.

– Właśnie, odcisk! Chodzi o to, że można jej użyć, by kogoś odszukać. W takim razie spróbujemy znaleźć osobę albo istotę, do której należy krew z szaty.

– Obawiam się, że to niemożliwe – oznajmił Hiacinthus. – Załóżmy, że krew należała do potencjalnego porywacza. Jeśli spróbujemy zadziałać na niego magicznie, możemy tylko pogorszyć sprawę.

– To może twój ojciec? – Tom zwrócił się do Darrina, który niecierpliwie poruszył się przy parapecie.

– Niby co mój ojciec? – odparł zirytowany.

– Mieszka na słońcu. Mógł coś widzieć.

– Myślisz, że ma czas na podglądanie wszystkiego, co dzieje się na Ziemi i w Jaarze? Chyba żartujesz!

– Z pewnością *niektóre* rzeczy podgląda, więc może przypadkowo zobaczył i Fione – stwierdził kąśliwie Tom. Darrin tylko skrzyżował ręce na piersi i odwrócił się w stronę szyby.

Przez chwilę Kate przyglądała się im obu. Byli parą, ale zazwyczaj wcale się tak nie zachowywali i trudno było odgadnąć, kiedy są skłóceni, a kiedy pogodzeni i szykujący się do kolejnej kłótni.

– Dobrze byłoby wiedzieć, co właściwie mamy robić – powiedziała Lilian i jakby w odpowiedzi na jej prośbę, drzwi szafy otworzyły się, a z wnętrza wygramoliła się Babcia Annwynn.

– Co to za zatęchłe szafisko? – warknęła, patrząc z oburzeniem na mebel,

jakby to on sam był winny temu, że go tu postawiono. Potem odważnym krokiem, niczym królowa tego miejsca, ruszyła w stronę biurka. – O, posprzątałaście trochę – stwierdziła. – Szkoda tego kurzu. Mógłby się przydać w niejednym czarze.

Wyglądało na to, że wszyscy oprócz Kate, Jonathana i Fiona wiedzieli o bazie już wcześniej, przez co Kate zaczęła poważnie się zastanawiać, jak wiele rzeczy szykowano jeszcze za jej plecami. Korciło ją, by o tym wspomnieć, choć w tych okolicznościach wolałaby nie rozpętywać kłótni.

– No, to mamy problem – oświadczyła Babcia. – Ale o tym powiedział wam już chyba Fion.

– Dowiedziałaś się czegoś więcej? – spytał Tom.

– Więcej? Niby czego jeszcze miałam się dowiedzieć? Jestem już za stara, żeby tak szybko załatwiać sprawy. Poza tym moja magia jest teraz całkowicie zablokowana, jeśli chodzi o Fionę.

– Zablokowana? – Diana wyraźnie się zaniepokoiła. Nie pamiętała, by wcześniej cokolwiek potrafiło zatrzymać Babię, gdy naprawdę czegoś chciała.

– Próbowaliśmy przywołać Fionę, ale to na nic – oznajmił Fion.

– Nie powinno nas to dziwić – powiedziała Babcia. – Muszą pieczętować ją naprawdę potężne czary.

– Hm... – Lilian nagle westchnęła. – A może to ona sama...

Wszyscy natychmiast odwrócili się w jej stronę. Musiała włożyć trochę wysiłku w udawanie pewności siebie, gdy wwiercały się w nią ich spojrzenia.

– No, chodzi mi o to, że może tak naprawdę nic się nie stało. Może Fionę chciała po prostu spędzić przed ślubem trochę czasu w samotności. Wicie, odnaleźć siebie. Ludzie czasem tak robią.

Babcia Annwynn spojrzała na nią wzrokiem wyraźnie dającym do zrozumienia, że nie można było powiedzieć większej głupoty.

– Może ludzie tak – prychnęła – ale nie fery. My dobrze wiemy, że żeby znaleźć siebie, wcale nie trzeba nigdzie wychodzić. Niby gdzie miałabyś pójść? Jesteś tu, gdzie jesteś, i tyle. Czego więc szukać?

– Powiedziałam tylko, że...

– Wiem, co powiedziałaś, ale to nie trzyma się kupy. – Babcia chłodno ucięła teorię Lilian.

– Więc na razie nic więcej nie wiemy? – spytał Hiacinthus.

– Coś tam wiemy – odparła Babcia. – Przynajmniej ja wiem. Moja córka jest uparta jak... jak...

– Osioł? – dokończyła niepewnie Sundari. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała od początku narady.

– Nie, nie osioł – powiedziała Babcia. – Bada jest uparta tak samo jak ja mogłabym być w jej wieku, gdybym już wtedy nie była od niej mądrzejsza. Ale mniejsza z tym. Skoro moja niewdzięczna córka, która nie potrafiła nawet osobiście zaprosić mnie na rodzinną uroczystość... – Urwała, gdy zdała sobie sprawę, że zdradza przed nimi zbyt wielki gniew. A przecież wcale nie zależało jej na żadnych zaproszeniach, osobistych lub nie. – Nie, żebyśmy chciała przyjść,

mówię tylko tak pogładowo... – dodała więc szybko, by nikt nie miał co do tego wątpliwości. – Więc skoro ta jędza nie chce zrobić tego, co jej grzecznie każe, wy będziecie musieli. Sama chętnie bym się tym zajęła. Nie lubię powierzać innym ważnych spraw, a jak patrzę na was, to moje obawy tylko narastają... Ale bolą mnie nogi, a żeby załatwić tę sprawę, trzeba będzie trochę się nachodzić.

Darrin pokręcił głową, tłumiąc impuls, by odpowiedzieć Babci w równie bezczelny sposób.

– Co mamy robić? – spytał Jonathan, nie mając ochoty na dłuższe dywagacje. Teraz zależało mu tylko na jak najszybszym odnalezieniu Fione.

– Prosta sprawa. Musicie dostać się do Tir-na-Nog, po drodze zahaczając o Kryształowy Pałac, siedzibę rodziny królewskiej Elphame – wytłumaczyła Babcia na jednym oddechu.

Pełną konsternacji ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przerwała Diana:

– Ale przecież... to w odwrotnym kierunku...

– Więc? – Babcia Annwynn zabrzmiała, jakby faktycznie nie zdawała sobie sprawy z tego, co powiedziała. Darrin odsunął się od parapetu i ze zmarszczonym czołem stanął wprost przed nią. Wreszcie, jako jedyny z nich wszystkich, zdecydował się wyrazić swój sprzeciw. Wydawało się to tym dziwniejsze, dlatego że znał Babcię już bardzo długo, więc musiał zdawać sobie sprawę, że opór na niewiele się zda.

– Chyba sama przyznasz, że to brzmi niedorzecznie – oznajmił. – To tak, jakbyś próbowała twierdzić, że chociaż Fione znajduje się w Tir-na-Nog, to żeby ją odnaleźć, musimy pójść w drugą stronę.

– Nie tak *jakbym* próbowała – odparła Babcia. – Przecież właśnie to wam mówię! Trzeba będzie poinformować królową i króla Elphame o zniknięciu narzeczonej ich syna. Oni mieszkają w Kryształowym Pałacu, więc tylko po dotarciu tam będziecie mogli z nimi porozmawiać. Chyba nie da się tego bardziej logicznie wytłumaczyć.

– Będziemy musieli przejść przez wszystkie Siedem Bram? – spytała Lilian. – To zajmie trochę czasu.

– Siedem Bram? – zaciekał się Jonathan.

– Przejść prowadzących do stolicy Elphame – wytłumaczył Hiacinthus. – Do Kryształowego Pałacu nie można dostać się ot tak. Siedem Bram stanowi coś w rodzaju zabezpieczeń. Ten, kto zdoła przez nie przejść, może liczyć na wizytację u rodziny królewskiej.

– Zaraz – odezwał się Fion. – Niby po co mamy przechodzić przez wszystkie Bramy? Założę się, że w pałacu nie ma zabezpieczeń przed Fioną i resztą naszej rodziny. Mógłbym spróbować przenieść się tam od razu, a potem ruszylibyśmy na poszukiwanie Fione do Tir-na-Nog.

Babcia Annwynn przyglądała mu się w taki sposób, jakby zastanawiała się, czy naprawdę jest jej rodzonym wnukiem. Musiał przejąć za dużo cech swojego ojca.

– Nie – oświadczyła bezkompromisowo. – W tym wszystkim chodzi o wyprawę. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć w jej trakcie. Poza tym w każdym

miejscu przy Siedmiu Bramach mogą znaleźć się ważne poszlaki.

– Nie widzę powodu, dla którego poszlaki dotyczące kogoś, kogo uprowadzono do Tir-na-Nog, miałyby się znaleźć w drodze do stolicy Elphame – oznajmił Darrin.

– Jeśli nadal potrzebujesz powodu, niech będzie nim moja intuicja! – skrzeknęła Babcia, ale Darrin nie spuszczał z tonu.

– Intuicja? Ale czym ona się objawiła? Tajemniczym głosem, wizją w szklanej kuli? – pytał lekceważąco.

Babcia zmierzyła go krytycznym wzrokiem od stóp do głów. Mimo że była od niego trzy razy mniejsza, zdawało się, że i tak górowała nad nim w każdy możliwy sposób.

– Chcesz, żebym wytłumaczyła ci, czym jest intuicja? – spytała, udając zdziwioną. Gdyby teraz zażądał odpowiedzi, nie bardzo wiedziałyby, jak mu jej udzielić. Bo niby czym była jej intuicja? Jak u każdej zdrowej osoby, objawiała się nagłymi olśnieniami, a te pojawiały się jak wszystkie inne myśli, z tą różnicą, że bez ingerencji myślącego.

– Słuchajcie – zwróciła się do wszystkich. – Jeśli chcecie, możecie zawsze przyłączyć się do Badb. Ona na pewno zbierze swoją drużynę i ruszy od razu do Tir-na-Nog, z nadzieją, że sprowadzi Fione z powrotem, zanim wszystko się wyda. Proszę bardzo. Ale możecie też postąpić rozsądnie i posłuchać kogoś... No, nie oszukujmy się, mądrzejszego. Wiem, co macie robić, i w drodze tutaj wszystko sobie obmyślałam.

– W dwie sekundy? – spytała Sundari takim tonem, że nie było wiadomo, czy ironizuje, czy raczej próbuje wyrazić zachwyt. – Bo chyba tyle mniej więcej trwa przeniesienie?

– Dajmy na to – zbyła ją Babcia. – Decyzja należy do was.

Tak naprawdę wszyscy wiedzieli, że sprawa nie podlegała dyskusji. W ten czy inny sposób Babcia Annwynn zmusiłaby ich, by zrobili to, co im każe. Oczy wszystkich spoczęły jednak na Kate. Ta zdążyła się już przyzwyczaić, że skoro była Strażniczką kamienia-władcy, wymagano od niej podejmowania ostatecznych decyzji. Nie rozumiała tylko, dlaczego reszta uważała, że jej decyzje będą lepsze od ich.

– No dobrze – powiedziała. – Posłuchajmy, co ma do powiedzenia Babcia.

Posłała Darrinowi przepaszające spojrzenie, ale on tylko wzruszył ramionami. Babcia fuknęła na niego z wyższością i zatarła ręce.

– W sumie powiedziałam już wszystko, co dotyczyło Fione, ale jest jeszcze jedna ważna rzecz. Myślę, że w tym wszystkim nie chodzi tylko o nią, i za tą sprawą kryje się coś jeszcze. Może chodzi też o was? – Spojrzała na nich uważnie. – Być może jeśli wyruszyście, to... Jak to mówiłaś? – Zwróciła się w stronę Lilian. – Ach, *odnajdziecie siebie*.

Lilian poczerwieniała, niepewna, czy miał to być przytyk, czy może jednak rodzaj komplementu.

– Macie jakąś misję do spełnienia, tak? – spytała Babcia. – To chyba powinniście zacząć coś robić.

– Skąd wiesz, że *to* część misji? – odparł Darrin.

– A skąd ty wiesz, że nie? Przynajmniej zaczniecie coś robić, bo do tej pory tylko siedzieliście na tyłkach! Kto próbował zabić Strażniczkę kamienia-władcy? Czy już to wiecie? Skoro to zorganizowana akcja, powinniście lepiej szukać. O jakiej mocy wspominał tamten szurnięty policjant z lasu? Przebudził ją, tak? Więc gdzie ona jest? I *czym* jest?

Babcia miała rację. Mimo że od kilku miesięcy próbowali znaleźć odpowiedzi, nie posunęli się ani o krok do przodu. Nadal wiedzieli tylko tyle, że wróg mógł czaić się gdziekolwiek i że wciąż rósł w siłę. Robert właśnie tu, w starym budynku angielskiej Rady Czarownic, próbował zabić Kate. Ostrzegł, że nikt nie zdoła powstrzymać siły, którą obudził. Na razie mogli jednak tylko zgadywać, o jaką siłę chodziło.

Słowa Babci nie brzmiały zbyt motywująco. Kate westchnęła ciężko.

– Jak mamy przygotować się do tej podróży? – spytała.

– Nieraz już podróżowałam przez Siedem Bram – oznajmiła Babcia. – Obmyśliłam już plan. Do jutra rana zorganizuję wszystko, co potrzebne.

Lilian już zaczęła szeptać coś do siebie i wiercić się spanikowana, mimo że nikt jeszcze nie poprosił jej o spakowanie się. Na twarzach pozostałych też zagościł niepokój. Chyba uważali, że decyzję podjęto zbyt szybko. Kate nie miała jednak zamiaru zwlekać.

– Gdzie mamy się stawić? – zapytała Babcię.

– Przed moją chatką. Nikt nie będzie nam przeszkadzał. Chyba udało mi się przepłoszyć wszystkich z polany.

– Nawet namhajdy – zadrwił pod nosem Darrin.

– I mogłabym też spłoszyć ciebie razem z twoim tatuśkiem, wiesz? – warknęła Babcia.

Darrin zmrużył nienawistnie oczy, ale nic na to nie odpowiedział.

Zebrań uznano za zakończone, więc wszyscy ustawili się pod szafą, by po kolei teleportować się do domów. Kate stanęła na końcu kolejki. Przed nią były Babcia Annwynn i Diana, które szeptały między sobą.

– Poproś matkę, żeby kupiła mi w laktocie, czy jak tam nazywacie te dziwaczne maszyny, i mieszankę ziół z lawendą, tę w fioletowym woreczku – poprosiła Babcia. – U nas wciąż takich nie robią, chociaż sugerowałam to kilku sprzedawcom. Patrzyli na mnie jak na idiotkę i mówili coś o starych tradycjach.

Potem Babcia ściszyła głos jeszcze bardziej i sięgnęła do swojej czerwonej torebki Versace. Kate odwróciła głowę, by nikt nie wziął jej za podglądaczkę. Kątem oka i tak dostrzegła, jak Babcia podała Dianie zawinięty w rulon pergamin i gestem ręki kazała jej się schylić, by mogła szepnąć jej coś na ucho. Diana zrobiła poważną minę i pokręciła głową.

Kate zaniepokoiło ich zachowanie. Nie sądziła, by posiadanie tajemnic mogło być teraz komukolwiek na rękę. Z drugiej strony być może Babcia podała Dianie tylko jakieś zaklęcie albo pieniądze na tę ziołową mieszankę? Tylko po co robić to z taką dyskrecją? Nie mogła się powstrzymać przed spoglądaniem na pergamin, ale Diana ścisnęła go w ręce tak, że niewiele dało się zobaczyć.

– Twoja ciotka nie będzie chyba zbyt zadowolona. – Babcia odwróciła się do Kate. – Bada na pewno przeciągnie ją na swoją stronę.

Kate wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Przypuszczam, że bardziej będzie martwić ją to, że opuszczę lekcje.

– Bzdury! – prychnęła Babcia. – Niby czego was uczą w tych ludzkich szkołach? Magia jest o wiele bardziej przydatna. Można nią sobie uporządkować życie. Czasem najpierw je rozwała, to prawda, ale ostatecznie zawsze porządkuje. Czy Hillena wie już o kamieniu?

– Na razie nie. Pewnie w końcu jej powiem. Jak długo będzie trwać ta podróż? – Kate wolała zmienić temat. Nadal nie ułożyła sobie w głowie scenariusza rozmowy, którą prędzej czy później będzie musiała przeprowadzić z ciotką. Gdyby wszyscy się dowiedzieli o kamieniu Danu, zapewne wybuchłaby panika.

– Jak długo? – odparła Babcia. – Takie podróże podobno mogą prowadzić do oświecenia, czy jak to się tam nazywa. Magowie z Tlahuzcal... To taka wyspa na Morzu Wschodnim... Mówią, że na to zwykle nie starcza nawet życia. Z moich obliczeń wynika, że przy zwartych pośladkach da się uwinąć w tydzień.



Babcia Annwynn wcale nie musiała być wieszczką, by przewidzieć reakcję ciotki Hilleny. Gdy tylko pani Hallander usłyszała o pomysle Kate, zrobiła skwaszoną minę. Ale, o dziwo, wcale nie protestowała. Przynajmniej nie wprost.

– Tak. – Westchnęła. – Bada wspominała mi o wizjach Annwynn... Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyście wyprawili się do Kryształowego Pałacu. Wprawdzie przejście przez Bramy nie jest dziś tak trudne, jak dawniej, ale i tak bywa niebezpieczne. No i straciecie niepotrzebnie czas. Nie widzę też powodu, dla którego wasza wyprawa miałaby pomóc Fione.

– Nie wierzysz w wizje Babci?

Ciotka wydawała się zakłopotana tym pytaniem.

– Wierzę Annwynn – odpowiedziała powoli. – To znaczy... Zawsze jej wierzyłam. To wspaniała wieszczka, potężna ferini, ale... Cóż, ma już swoje lata, sama rozumiesz. W jej wieku wszystko może się... *mieszać*. Wizje, wspomnienia. Poza tym wydaje mi się, że Annwynn lubi wymuszać na ludziach, by robili to, czego ona chce.

– Sądziłam, że to jej sposób na bycie czarownicą – stwierdziła Kate. Powiedziawszy to, po raz kolejny zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo nie znosiła bezpośredniości i bezczelności Babci Annwynn. Jej zachowanie sprawiało, że czuła się przy niej nieswojo. Musiała jednak przyznać, że jej czary nigdy jeszcze nie zawiodły.

– Nie chcę źle mówić o Annwynn – powiedziała wreszcie ciotka, najwyraźniej

chcąc już zakończyć rozmowę. – Zwłaszcza że jest ferinią Selene i Diany. A ty musisz zdecydować sama. Wycieczka po Elphame na pewno ci nie zaszkodzi. Dowiesz się sporo nowego o świecie ferów. Lepsze to, niż gdybyście mieli wybrać się do niebezpiecznego Tir-na-Nog.

– Tam gdzie wy? – podchwyciła Kate, wyczuwając szansę, by wypytać ciotkę o jej plany. – Mam na myśli ciebie i Badb.

Ciotka przytaknęła.

– Wraz z Selene i Haroldem – dodała. – Badb zaproponowała tę wyprawę, a ja się zgodziłam, choć wierz mi, że nie bez wątpliwości.

– A tata? – spytała Kate. – On z wami nie idzie?

Ostatnio niewiele rozmawiała z rodzicami. Jej matka nie była czarownicą i nigdy nie chciała, by Kate stała się jedną z nich. Był to zresztą jeden z powodów, dla których rozwiodła się z jej ojcem. W końcu trzeba było jednak jej powiedzieć, że Kate sama odkryła Jaar. Matka nie była z tego zadowolona, a im bardziej Kate wchodziła w świat magii, tym mniej miały tematów do rozmowy. Przy walce z demonami i ćwiczeniu zaklęć sprawy takie jak chłopacy czy lekcje schodziły na dalszy plan.

Kate niewiele rozmawiała też z ojcem. Długo próbował ukryć przed nią fakt istnienia magii, a teraz, gdy Kate już go odkryła, nieczęsto poruszali ten temat, zupełnie jakby ojciec nie potrafił jeszcze wyjaśnić, dlaczego przez lata trzymał Jaar pod kluczem. Mimo że w każdej chwili mógł przenieść się do domu ciotki, wolał dzwonić lub, w razie czego, użyć szklanej kuli.

– Jeszcze nie wiem, czy Bradan będzie z nami – odparła ciotka z nieco zmieszaną miną. – Zobaczymy...

Przez ostatnie pół godziny pani Hallander zajmowała się zdrapywaniem przypalonych ciastek z brytfanny. Gdy wreszcie skończyła, odwróciła się w stronę Kate. Jej baczny wzrok od razu natrafił na dwa bardzo podobne do siebie amulety bratanicy. Jeden z nich, w kształcie białej łezki z czarną kropką w środku, dostała od ojca. Drugi, czarny z białą kropką, podarowała jej pani Blackout, prosząc, by Kate zachowała to w tajemnicy. Krótco po tym Jean Blackout zrezygnowała z uprawiania magii.

Teoretycznie ciotka nie wiedziała, skąd Kate miała czarny amulet. Nauczyła się już, że dociekania nigdy nie przynosiły rezultatu. Były jednak rzeczy, które nie mogły umknąć uwadze pani Hallander.

– Popraw swoje naszyjniki – poleciła. – Są całkiem poplątane.

Kate dotknęła swojej szyi. Tak naprawdę już od jakiegoś czasu z amuletami działo się coś dziwnego. Kate nosiła je na osobnych łańcuszkach, ale gdyby pani Hallander przyjrzała się im bliżej, zauważyłaby, że wcale nie są po prostu poplątane. Trudno było to wyjaśnić, ale łańcuszki zaczęły się ze sobą łączyć. Najpierw Kate też myślała, że zwyczajnie się plączą, bo nie ściągała ich nawet na noc. Ale pewnego ranka, gdy starała się rozplątać z nich włosy, zauważyła, że łańcuszki zaszły na siebie i zaczęły stapiać się w jeden. Próbowała rozmawiać o tym z panią Blackout, ale ta reagowała alergicznie na każdą wzmiankę o magii.

– Czarny amulet jest teraz twój i cokolwiek się z nim dzieje, zrozumienie tego należy do ciebie – powiedziała któregoś dnia.

Wreszcie nie tylko łańcuszki, ale i same amulety zetknęły się krawędziami i nie dało się ich już rozdzielić.

– Była tu dziś Mel – oznajmiła ciotka. – Powiedziałam jej, że jesteś w swoim pokoju. Poszła tam, ale wróciła, mówiąc, że cię nie zastała. Wyglądała na nieco zagubioną. Mam nadzieję, że nie zobaczyła niczego niezwykłego. Tyle się dziś działo...

Kate machnęła ręką.

– Na pewno nie. Pewnie chciała się pozalić po zerwaniu z kolejnym chłopakiem i stąd ta mina.



A jednak Mel widziała i wciąż nie mogła dojść do siebie. Snuła się po ulicach, wciąż na nowo odtwarzając sceny, jakie rozegrały się w pokoju Kate. Jak miała to wytłumaczyć? I jak można było wytłumaczyć obecność tamtej małej istoty, jej niebieską skórę, jej skrzydła, sam fakt tego, że istniała?

To było tak, jakby Kate i Jonathan zostali porwani przez obcego. Tyle że wcale nie próbowali walczyć. Chętnie złapali tego stwora za ręce i gdzieś się z nim przenieśli. Może więc wytłumaczenie było inne. Może Kate Hallander, jej najlepsza przyjaciółka, była kimś w rodzaju kosmitki? Albo czarownicy?

Mel zatrzymała się wreszcie na jednej z ulic i oparła plecami o słup. Uniosła wzrok na starą kamienicę. Na parterze znajdował się sklep. Napis na szyldzie głosił:

SELENE

SKLEP OKULTYSTYCZNY

Przypomniała sobie, że już kiedyś tu były, ona i Kate. Rozmawiały o magii, ale Kate zbywała temat. Zresztą Mel sama nie do końca wierzyła w takie rzeczy, w dodatku sceptyczne podejście przyjaciółki...

– No tak – szepnęła, doznając nagłego olśnienia. Kate ją *okłamała*. Ten sklep, pełen magicznych przedmiotów... Nie bez przyczyny chciała tam pójść. Udawiała, że nie ma nic wspólnego z magią, podczas gdy doskonale wiedziała, jak jej użyć! A może było inaczej? Może to tam nauczyła się tych rzeczy?

Chyba znalazła odpowiedź na swoje pytania – kryły się właśnie tam, w sklepie SELENE. Nogi same poprowadziły ją pod jego drzwi. Otworzyła je, a zawieszony nad nimi dzwonek powitał ją pobrząkiwaniem.



Rozdział 4

Decyzja królowej

Thurisaz sunęła dłonią po powierzchni potężnego pnia pradawnego drzewa. Wpatrywała się w jego ciemnogrnatową korę i przystawiała do niej ucho w nadziei, że zdoła usłyszeć cichy głos. Wiedziała, że Drzewo Wzroku mogłoby odpowiedzieć na wszystkie jej pytania. Odpowiedzi krążyły w nim wraz z sokami. Królowa czuła ich przepływ tuż pod opuszkami palców, nie miała jednak dość czasu, by się do niego dostroić, a ci, którzy nie byli w stanie tego uczynić, pozostawali głusi na głos Drzewa.

Mędrzec siedział obok, znów zespolony z gałęziami. Przypominał posąg. Właśnie takim królowa pamiętała go od czasów swojego dzieciństwa. Teraz kazała mu zachować wzmożoną czujność. Dobrze jednak zdawała sobie sprawę, że nie ma nad Mędrcem żadnej władzy. Tym bardziej nie miała władzy nad drzewem. Nie dało się wyciągnąć z niego odpowiedzi, jeśli samo nie chciało ich udzielić.

Jeszcze nigdy królowa nie była tak niepewna jak teraz. Stare przekonania zdawały się upadać, głosy doradców nie wybrzmiewały dość wyraźnie, a nagłe olśnienia w jej własnym umyśle blakły, jeszcze zanim zdążyły przerodzić się w idee. Wiedziała, że do Tir-na-Nog zbliżało się coś, co mogło zatrzeć jego posadami. Inaczej kamień ukryty w konarach drzewa nie rozbłysnąłby. Zagrożenie mogło nadejść w każdej chwili i z każdej strony, ale na razie walka z nim przypominała pojedynek z niewidzialnym przeciwnikiem.

Thurisaz była przekonana, że nadszedł już czas, by powierzyć komuś swoje sekrety. Usłyszała je, gdy odziedziczyła tron, i w końcu miała nadejść

odpowiednia chwila, gdy to ona będzie zobowiązana przekazać je dalej. Taką decyzję mogła podjąć tylko raz w życiu. Potem musiała na zawsze zamilknąć i nie zdradzić nikomu tego, co jej powiedziano. Kiedy jednak powinna wreszcie przekazać starą opowieść? Jeśli miał pojawić się ktoś, kto jej wysłucha, to kim był?

Z oddali dobiegł odgłos kroków i na posadzce pojawił się długi, skrzydlaty cień. Jeden z pałacowych strażników, potężny fer o brązowych skrzydłach, zmierzał w stronę Thurisaz. Serce królowej przyspieszyło. Czyżby już coś się wydarzyło?

– Królowo – przemówił strażnik – w Sali Prawdy zjawił się pan Cuchulain. Oczekuje audiencji.

– Cuchulain? – zdumiała się królowa. Dlaczego przedstawiciel jednego z dwunastu rodów miałby chcieć z nią rozmawiać właśnie teraz? Na dodatek bez uprzedzenia?

– Wygląda na wzburzonego. Nie chce rozmawiać z nikim innym, tylko z tobą.

Thurisaz ruszyła za strażnikiem przez kręte korytarze Domu Przodków. Budowlę – składającą się z licznych tuneli i pomieszczeń rozświetlonych ciałkami jaśniejących awernalii, malutkich skrzydlatych duszków – zaprojektowali pierwsi Tirnanie. Kopułę pałacu stanowił Skalisty Szczyt, wokół którego pięły się kryształowe schody. To właśnie tam konary Drzewa Wzroku wystrzeliwały z budowli i sięgały chmur. Thurisaz znała pałac bardzo dobrze. Na brzuchu miała tatuaż przedstawiający jego plan.

Gdy ruszyła za strażnikiem, awernalie instynktownie przyłgnęły do niej, rozświetlając drogę.

W Sali Prawdy – pustej, nie licząc kamiennego tronu i otaczającej pomieszczenie szerokiej, srebrzystej obręczy, unoszącej się kilka stóp nad ziemią – z sufitu zwisały korzenie rosnących na górze drzew. Sięgały aż do podziemnej sadzawki. To, co odbijało się w jej czarnej wodzie, nigdy nie mogło zostać zniekształcone.

Królowa pozdrowiła Cuchulaina, czarnoskórego starego fera z włosami przystrojonymi w różowe pióra, czekającego przed srebrną obręczą. Ta obracała się powoli, rozjaśniając salę bladym świetlistym pyłem. Poza nią stało również kilku strażników. Obręcz była obłożona zaklęciem, które na każdego, kto przechodził przez nią, mając w sercu kłamstwo, mogło sprowadzić śmierć, dlatego nawet najszczersi spoglądali na nią z lękiem.

Thurisaz zajęła miejsce na tronie i przywołała do siebie Cuchulaina. Ten przeszedł przez srebrzystą obręcz.

– Z czym do mnie przychodzisz? – spytała królowa.

Cuchulain nie pokłonił się przed nią. Nie było to w zwyczaju Tirnan, zwłaszcza tych, którzy pochodzili z dwunastu rodów, zwanych Potężną Dwunastką. Były one nierozdzielnie połączonymi ze sobą klanami, wywodzącymi się od pierwszych Tirnan. Ich więzi były niczym nici pajęczyny tkanej od tysięcy lat. Gdy jedna królowa odchodziła, Rody wybierały spośród siebie kolejną władczynię. Ich podstawowym zadaniem była jednak ochrona Tir-

na-Nog. Cuchulain był przedstawicielem rodu Agla, chroniącego północną granicę, gdzie Cienista Kraina spotykała się z lodowym morzem Gartha. Większość Tirnan wolała nie zapuszczać się w tamte strony, wierząc, że zostały one przeklęte.

– Będę mówić wprost o wszystkim, o czym mi doniesiono i co sam widziałem. Najpierw jednak muszę prosić cię o wybaczenie, że przychodzę z tym dopiero teraz. Sprawa wydaje się poważniejsza, niż na początku sądziliśmy.

Dłonie Thurisaz zacisnęły się na poręczach kamiennego tronu.

– O co chodzi?

Cuchulain westchnął ciężko.

– Od morza powiał chłód.

Te słowa, które z biegiem lat stały się czymś w rodzaju zapowiedzi złowrogich wydarzeń, działały w przypadku Tirnan jak wytrych dla wszelkiego lęku, wywoływały niepokój, któremu mieszkańcy Cienistej Krainy nie zwykli ulegać. Granica z Garthą była jednak znana jako „miejsce strachu”. Jeśli Tirnanie czegokolwiek się obawiali, to właśnie rzeczy, które mogły stamtąd nadejść.

– Wszystko zaczęło się już podczas ostatniej jesieni – ciągnął Cuchulain. – Północne wiatry omal nie przełamały bariery wiecznego lata, która nas otacza. Dęły z taką siłą, jakby coś kazało im uderzać na Tir-na-Nog. Zaniepokoiłiśmy się, bo przecież natura nigdy dotąd nie próbowała działać wbrew prawom naszej magii. Mieszkańcy zaczęli rozmawiać między sobą. Dopiero wtedy okazało się, że jeszcze przed Świętem Żniw widziano zakapturzoną postać, zmierzającą w stronę morza. Wyglądała na człowieka. Świadkowie twierdzą jednak, że nosiła maskę. Nie donieśliśmy o tym od razu, a gdy minęły kolejne miesiące, podczas których nie wydarzyło się nic szczególnego, uznaliśmy, że sprawa nie jest warta naszej uwagi.

Królowa zmarszczyła czoło. Gdyby nie to, że chciała wysłuchać historii do końca, od razu skarciłaby Cuchulaina za zwłokę. Fer kontynuował:

– To był błąd, o czym przekonałiśmy się niemal dwa miesiące temu, tuż przed Świętem Świec. Właśnie wtedy, na dzień przed obchodami, mieszkańcy zaczęli słyszeć głośny tętent kopyt. Czym prędzej dobyliśmy broni, jednak nikt nie został zaatakowany. Okazało się, że do Tir-na-Nog wjechało czterech jeźdźców. Każdy z nich jechał na koniu innej maści i każdy miał na sobie zbroję tej samej barwy co jego koń. Pierwszy rycerz był rdzawy, drugi złoty, trzeci biały niczym kości, a czwarty czarny. Nie mieli ze sobą żadnej broni, ale samo ich spojrzenie przerażało. Rycerze zachęcali Tirnan, by poszli za nimi.

– Zachęcali? – odparła Thurisaz. – W jaki sposób? Co wam powiedzieli?

– To właśnie jest w tym wszystkim najdziwniejsze, królowo. – Cuchulain pokręcił głową. – Rycerze nie używali słów. Najpierw trudno było mi w to uwierzyć, ale przekonałem się o tym, gdy sam na nich natrafiłem.

Cuchulain wbił wzrok w podłogę i zacisnął pięści.

– Wiesz, że nie jestem tchórzem. Gdybym nim był, nie miałbym prawa nazywać siebie członkiem klanu Agla. To, co się wydarzyło, było jednak silniejsze ode mnie. Wracałem z lasu, gdy konie zatrzymały się tuż przede mną.

Coś zmusiło mnie, bym spojrział w twarz jednego z jeźdźców. Nie wiem, jak to się stało. Moje oczy same powędrowały w jego stronę. Nie ujrzałem twarzy rycerza. Wydaje mi się nawet, że wcale jej nie miał, że spod hełmu spoglądała na mnie ciemność. I coś jeszcze. Jakaś stara, tajemnicza siła. Nęciła mnie, zdawała się składać jakąś obietnicę, mówiła o czasach, których nie mogłem pamiętać. Przez chwilę byłem gotów ruszyć za jeźdźcami i nakłaniać innych, by zrobili to samo. Obiecali, że dostanę coś, czego nigdy nie miałem, coś, czego mi odmówiono lub co mi odebrano... To uczucie nie pochłonęło mnie jednak całkowicie. Nie stało się tak dlatego, że w końcu usłyszałem ich głos, głos jeźdźców. Był przerażający. Brzmiał jak wiatr zawodzący na polach po dawno skończonej bitwie, lodowaty świst, wołanie głodnego i umierającego – to wszystko połączone w jedno. To było jak... jak głos samego mroku. Nie mroku nocy, która chroni i odnawia, ale mroku pustki, końca wszystkich rzeczy. Byłem przygotowany na to, że jeźdźcy zabiją mnie, jeśli im odmówię, ale zamiast tego ruszyli przed siebie. Nie wiemy, czy kogokolwiek udało im się skusić.

– Wybacz – odparła Thurisaz – ale twoje słowa wciąż są dla mnie niezrozumiałe. W jaki sposób jeźdźcy mogli ci obiecać, nie używając słów? Nie słyszałeś ich nawet w swojej głowie?

– Nie – odparł Cuchulain. – To nie były słowa. Nie umiem tego wytłumaczyć. Oni przemawiali bardziej do mojej... duszy.

Thurisaz przyglądała mu się uważnie. Mimo że opowieść Cuchulaina wydawała jej się pokrętna, wierzyła mu. Zresztą po przekroczeniu srebrzystego kręgu, progu prawdy, nie byłby w stanie kłamać. Królowa nie wiedziała tylko, co powinna z tym zrobić.

– Bez względu na wszystko – powiedziała – obecność takich istot w Tir-na-Nog, zwłaszcza jeśli pochodzą z niezamieszkanego północy, jest niezwykle istotną sprawą. Dlaczego informujesz mnie o tym dopiero teraz?

Cuchulain się zmieszał.

– Myśleliśmy, że jakoś sobie z tym poradzimy...

– Nie po to powołano Dwanaście Rodów, by działały w pojedynkę! – przypomniała mu surowo Thurisaz. – Musimy bezwzględnie stosować się do zasad, jakie sami wyznaczyliśmy, inaczej nasze życie w tej krainie będzie zagrożone. Przez lata odpieraliśmy najazdy mściwych jednorożców i zawistne fery z Elphame, ale tylko dlatego, że Rody działały jednomyślnie.

Królowa urwała, gdy w jej głowie nagle ukształtowała się nowa myśl, zupełnie jak gdyby Drzewo wreszcie wysłuchało jej próśb i postanowiło odpowiedzieć, co powinna zrobić. Wstała ze swojego tronu i, nie czekając na tłumaczenia z ust Cuchulaina, zdecydowała:

– W najbliższym czasie w Świątyni Straszliwej odbędzie się narada dwunastu rodów. Ty, Cuchulainie, zwołasz wszystkich. Roześlij wiadomość na wschód i zachód, na północ i południe, ku niebiosom i głęboko pod ziemię. Skontaktuj się ze strażnikami z Jaaru i świata ludzi, obrońcami z tego planu i planu astralnego, a także ze strażnikami spoza Tir-na-Nog i tymi z krainy. Niech

przedstawiciele Rodów przybędą na moje wezwanie. Nadszedł czas, gdy będziemy potrzebować wzmożonego działania.

Cuchulain skinął głową i odwrócił się. Zniknął po przekroczeniu srebrzystego kręgu. Thurisaz tymczasem wróciła do Drzewa. Mędrzec wciąż siedział przy nim w tej samej pozycji. Tym razem wydawał się jeszcze bardziej oddalony od świata niż zwykle.

– Słyszałeś? – spytała Thurisaz.

– Dobrze czynisz.

Nie potrzebowała teraz tego zapewnienia. Nic nie było w stanie rozwiać jej wątpliwości, bo choć wiedziała, że musi podzielić się z Rodami wieścią o rozbłysku kamienia, nie miała pojęcia, co robić dalej. Teraz pragnęła tylko spędzić trochę czasu w samotności, z własnymi myślami.

Opuściła salę i po kryształowych schodach wspięła się na sam czubek Skalistego Szczytu. Już od dzieciństwa lubiła tu przychodzić, by siadać i kryć się między konarami. Wtedy nieraz wyobrażała sobie, jak by się czuła, będąc królową. Nie sądziła, że kiedykolwiek przyjdzie jej porównywać te wyobrażenia z rzeczywistością. Do teraz pamiętała ceremonię, gdy opuszczając kokon nowo narodzonej władczyni, stała się kimś innym, samym sercem Tir-na-Nog, które nie biło już tylko dla jej własnego ciała. I już w pierwszej chwili wiedziała, że wszystko, co sobie wcześniej wyobraziła, miało być inne od tego, czego miała doświadczyć. A jednak jej miłość do Cienistej Krainy nigdy nie zmaląła. Był to świat, który Thurisaz musiała chronić.

Teraz jednak kraina spała, nieświadoma nadchodzącego zagrożenia. Jedyne od czasu do czasu nad świątyniami Straszliwej i Poskromiciela, dwoma potężnymi kopcami wznoszącymi się po obu stronach Domu Przodków, przelatywali Tirnanie na swoich ómach. W dole Ognista Rzeka świeciła czerwonym blaskiem. Taki sam blask powoli wpełzał na szare niebo.

Zajęta sprawami Cienistej Krainy, Thurisaz nawet nie zauważyła, jak minęła cała noc. Cuchulain z pewnością wysłał już sygnały do Rodów. Minie trochę czasu, nim wszyscy przygotowują się na naradę. To dobrze. Thurisaz też potrzebowała kilku dni, by zastanowić się, jak powinny przebiegać rozmowy. Podczas nich będzie musiała sprawiać wrażenie o wiele silniejszej, niż się czuła. Nie po to, by zachować twarz jako królowa; raczej dlatego, by członkowie Rodów pamiętali, że nie przestanie być dla nich oparciem, nawet gdyby najsilniejsi z Tirnan mieli kiedykolwiek zawieść.

– Obym wiedziała, jak nas chronić – wyszeptała prośbę do Drzewa Wzroku, wiedząc, że zostanie wysłuchana.

I miała rację. Jej słowa wniknęły w konary i wraz z myślami i snami, wizjami i opowieściami, które przepływały przez drzewo, biegły do odpowiednich adresatów. Drzewo Wzroku mogło stanowić potężny portal komunikacji dla tych, którzy wiedzieli, jak go użyć. Choć fizycznie nie sięgało całego Jaaru, to duchowo przenikało wszystkie jego zakątki, docierając nawet do świata ludzi. Tam, pod postacią przeblysków myśli lub tajemniczych wydarzeń, wędrowało do tych, którzy mogli je zrozumieć.

W ogromnym pomieszczeniu przypominającym bibliotekę, z wysokiego regału nagle spadła książka, otwierając się na jednej ze stron. Mężczyzna siedzący przy starym drewnianym biurku nie zwrócił uwagi na huk. Od wielu godzin studiował magiczne księgi, ale teraz, skubiąc swoją krótką, siwą brodę, właściwie już bezwiednie obejmował wzrokiem kolejne strony. Jedynie nagląc go czas sprawiał, że mężczyzna jeszcze się nie położył. Niemal każdą chwilę dnia i nocy poświęcał na szukanie tego, czego od tak dawna nie mógł osiąść. Jego zakon zrobił wprawdzie wiele, by w końcu się udało, ale jednocześnie nie ruszyli do przodu: kamień Danu wciąż pozostawał poza ich zasięgiem.

Najgorszy cios spotkał ich zeszłego lata, gdy stracili jednego z najważniejszych członków. Śmierć Roberta Chainmana nie okazałaby się taką porażką – być może w pewnym momencie byłaby nawet pożądana – gdyby nie to, że wraz z nią znikła szansa na poznanie jego sekretów. Chainman wykonał misję, którą mu powierzono – przebudził starożytnych strażników Wielkiego Pana, ale nie zdążył opowiedzieć, jak do tego doszło i gdzie oni teraz są. A Wielki Pan wciąż czekał w uśpieniu, aż ktoś zdoła wreszcie przywrócić mu pełnię mocy. Na razie trzeba było za wszelką cenę znaleźć sposób, by do tego doprowadzić. Sposób zdecydowanie inny niż posługiwanie się tamtą dziewczyną.

Kate Hallander stała im na drodze już od niemal roku. Po części była to wina zakonu. Gdyby nie zlekceważyli młodej wiedźmy i zabili ją od razu, nie miałyby szans urosnąć w siłę. Nadal była oczywiście o wiele słabsza od zakonu, ale otaczały ją potężne energie, a kamień zdążył się z nią zespolić, akceptując jej ciało jako swój nowy dom. Walka z nią była na razie skazana na niepowodzenie, przynajmniej do czasu przebudzenia Wielkiego Pana.

Mężczyzna wstał i zaczął masować plecy. Dopiero wtedy dostrzegł leżącą na podłodze książkę. Podniósł ją i przyjrzał się stronom, na których się otworzyła. Treść mówiła coś o eliksirze uśmierzającym ból, ale to nie ona zainteresowała mężczyznę. Książka była nowa, prawdopodobnie nikt z zakonu jeszcze jej nie przeczytał. Dlatego niewyraźne, odręczne notatki u dołu strony były co najmniej interesujące.

Mężczyzna miał pewien problem z odczytaniem zapisków, ale po chwili zrozumiał, że układały się w czyjeś imię i nazwisko. Preczytał je na głos.

– Melinda... Gibbons...



Rozdział 5

Bar Pod Pijanym Bardem

Nad Elphame wstał nowy dzień, a Babcia Annwynn wraz z nim. A właściwie to spóźniła się o jakieś dwie, trzy godziny. Wściekła się, przekonana, że poranek powinien być na nią zaczekać. Patrząc na słońce, stwierdziła, że gdyby miała robić to samo co ono, robiłaby to o wiele lepiej. Nie świeciłaby na przykład nikomu prosto w oczy, powodowana zwykłą złośliwością, i na pewno darowałaby sobie ten skwar.

Mimo obietnicy danej Strażnikom i swoich chęci – bardzo szczerych, ma się rozumieć – nie dopięła planu wyprawy na ostatni guzik. Zapięła ich wiele, jednak o części zapomniała, a niektóre jakoś same się rozpięły. Martwiło ją to tym bardziej, że przecież wysyłała w podróż *ludzi*, a ci w jej mniemaniu nie nadawali się nawet do chodzenia po chodnikach. Teraz nie było już odwrotu, zwłaszcza że drużyna się zebrała i czekała na nią.

Chcąc mieć to wszystko z głowy, chwyciła swoją czerwoną torbę, wyszła z domu i bez słowa zaczęła ich wszystkich liczyć. Uznała, że dla dobra własnych nerwów nie będzie przejmować się ich dziwnymi strojami. Kate i Lilian założyły obcisłe spodnie, buty do kolan i nieprzemakalne kurtki. Czy one naprawdę zapomniały, że przed deszczem można schronić się za pomocą magii? Tom miał kalosze, grubą bluzę i swoje magiczne okulary, które powiększały wszystko, na co spojrział – o ile akurat szukał tej rzeczy. Jonathan wyglądałby w ocenie Babci w miarę normalnie, gdyby nie to, że na głowę wcisnął czapkę z daszkiem, taką noszoną przez ludzi, gdy uganiają się z wielkimi różdżkami za jakąś białą kulą (Annwynn widziała to kiedyś w szarym pudle w domu Selene).

Tom, Kate i Lilian zabrali też ze sobą torby.

Rozsądnie wyglądali tylko Darrin i Diana – bez zbędnych ubrań, tylko w szortach i podkoszulkach.

– Kogoś tu brakuje – zauważyła Babcia.

– No tak – odezwała się Lilian. – Sundari, z oczywistych powodów, nie powinna się przemieszczać.

Babcia pokręciła głową i raz jeszcze spojrzała na wszystkich. Znów poczuła beznadziejny ciężar, jaki spadł na nią w związku z misją. Ale chyba dostanie się do Kryształowego Pałacu, miejsca, które zdążyły odwiedzić już masy ferów i wiem, nie mogło być tak trudne?

– Jak już zostało postanowione – zaczęła Babcia – macie udać się do stolicy Elphame. Wiecie, że prowadzi tam Siedem Bram. Nie chodzi dosłownie o bramy, choć i na takie możecie natrafić. Bramy stanowią jednak miejsca i zdarzenia, które trzeba przejść, by wreszcie stanąć u progu Kryształowego Pałacu. Przy każdej z nich będzie na was czekać portal, coś, co pozwoli wam pójść dalej. Nie wolno wam się teleportować od chwili, gdy zaczniecie wędrówkę. Od razu uprzedzam, że nie wiadomo, czy uda się wam wszystkim przejść drogę w tym samym czasie. Może się zdarzyć, że któreś z was dłużej pozostanie przed jedną z Bram lub nawet całkiem wypadnie z gry.

– I co wtedy? – spytała Kate, mimowolnie chwytając dłoń Jonathana. Wolą, by nic ich nie rozłączało, choć chyba jeszcze bardziej bała się, że mogłaby pozostać w tyle za wszystkimi. Jak by to o niej świadczyło jako przywódczyni?

Babcia spojrzała na nią z ukosa.

– Co by się stało? – odparła. – Nic takiego, poza tym, że najadłabyś się wstydu. No i musiałabyś wrócić do punktu wyjścia. Potem można iść od początku lub zrezygnować. W waszym wypadku lepiej zrezygnować. Jeśli nie powiedzie się raz, nie ma sensu tracić czasu na kolejne próby.

– Wiesz, Kate, to trochę jak gra komputerowa – powiedziała Lilian.

– No! Ale jak tutaj zginiesz, to naprawdę – dodała Diana i Kate przysięgłaby, że na jej usta wypełzną teraz złośliwy uśmiezek.

– Możemy umrzeć? – przeraził się Jonathan.

– A niby co w tym dziwnego? – odparła Babcia. – Zawsze można umrzeć. Na tym polega życie. Nie spodziewam się jednak, że polegacie tak od razu. W końcu całkiem nieźle się przygotowałam.

Musiała nieco skłamać z tym przygotowaniem, żeby dodać im trochę otuchy.

– Zanim przejdę do rzeczy, pokażcie, co macie w tych torbach. Chcę zobaczyć, co można z nich wyrzucić, żeby zrobić miejsce na coś ważniejszego.

Tom i Kate spojrzeli w kierunku Lilian, bo to jej torba była największa. Lilian natomiast nie kwapiła się, by ją otwierać. Na pewno nie miała zamiaru wyrzucać niczego ze środka.

– No dobra! – ugięła się jednak, przeczuwając, że za chwilę Diana i Darrin, którzy już otwierali usta, zasypią ją tyradą swoich narzekań. Przykucnęła i zaczęła wyciągać z torby różne rzeczy, tłumacząc, po co je zabrała: – To maść na poparzenia słoneczne... Tu mam kilka eliksirów... witaminy... apteczkę...

Mam też szklaną kulę i karty tarota... O, a to belka do namiotu. Wzięłam go na wypadek, gdybyśmy mieli nocować w plenerze. Mam też trochę jedzenia i wodę.

Babcia patrzyła na każdy kolejny przedmiot wyciągany przez Lilian. Jej oczy stawały się coraz większe. Zdawało się, że miała teraz bardzo wiele do powiedzenia. Były to jednak tylko pozory, bo gdy już otworzyła usta, nie wydobyło się z nich zbyt wiele słów.

– Jesteś nienormalna – powiedziała tylko. W dodatku całkiem poważnym tonem.

– Po prostu pomyślałam o różnych możliwościach – odparła urażona Lilian.

– Z pewnością nie myślałaś zbyt wiele. Chyba kompletnie nie wiesz, gdzie idziecie.

– Oczywiście, że wiem. Nie jestem głupia.

– Czyżby?

– Posłuchaj mnie, Annwynn – uniosła się Lilian. – Nie musisz prawie mi kazać ani zachowywać się, jakbyś była moją ferinią. A ja nie mam obowiązku cię słuchać.

Babcia Annwynn zapewne miała inne zdanie na temat tego, kto powinien, a kto nie powinien jej słuchać.

– To ja wymyśliłam tę wyprawę – zauważyła.

– Ale nie ty na nią idziesz.

– Szkoda, bo pewnie zrobiłabym to lepiej niż wy, nawet gdybym miała się czołgać.

– Babciu... – Fion przewrócił oczami.

– No co, może się mylę?! – zaskrzeczała Babcia.

Kate nie mogła już tego dłużej słuchać. Zdobyła się na odwagę i powiedziała Babci to, co myślała:

– Mylisz się. Jesteśmy Strażnikami Żywiołów i wcale nie musimy niczego ci udowadniać. Przykro mi, jeśli ci się nie podobamy, ale chyba nie znajdziesz nikogo innego, kto chciałby realizować twój plan. Dlatego zamiast tracić czas, powiedz nam lepiej, co mamy robić. I... – Kate zawahała się, czy mówić dalej, uznała jednak, że jeśli ma ponaglić Babcie, musi wjechać jej na ambicję. Dodała więc nonszalancko: – Poza tym Badb wyruszyła w poszukiwaniu Fione już wczoraj. Może nas prześcignąć, a wtedy twój plan nie wypali.

Tak właśnie było. Badb, Selene, ciotka Hillena i Harold, nie chcąc tracić ani chwili, zaczęli wędrówkę do Tir-na-Nog już poprzedniego wieczora. Nie mogli się tam przenieść, więc musieli przemierzyć sporą część Lasu Wielu, by dotrzeć do Cienistej Krainy – Kate podsłuchiwała, jak właśnie ten sposób nazywali Tir-na-Nog w swoich rozmowach.

Babcia przez chwilę mierzyła Kate wzrokiem. Ta dobrze wiedziała, że dopięta swego, informując ją o wyprawie Badb.

– No dobra – powiedziała Annwynn. – To przejdźmy do rzeczy.

Sięgnęła do swojej torby. Na początek wydobyła z niej kilka świetlików, specjalnych świecących amuletów, służących do rozświetlania drogi w ciemności.

– Są zaklęte – oznajmiła. – Sprawiliam, że zawsze będą prowadzić was do Kryształowego Pałacu. Oczywiście nie odwałą za was całej roboty, ale wskażą drogę pomiędzy kolejnymi Bramami.

Kate przyjrzała się swojemu amuletowi. Przypominał kompas, ale posiadał tylko jedną strzałkę, która wskazywała teraz południowy zachód. Oprócz tego Babcia wręczyła im wielką mapę Elphame. Kryształowy Pałac znajdował się dokładnie pośrodku. Ilustracja przedstawiała ogromną, przezroczystą budowlę.

Na koniec Babcia wyciągnęła z torby niewielki złocisty przedmiot, wyglądający trochę jak bateria umywalkowa z wielkim zielonym przyciskiem, wokół którego ktoś owinął miedziane druciki. Te z kolei przypominały czółki jakiegoś owada. Wyginały się we wszystkich kierunkach, a każdy z nich był zwieńczony niewielką kulką. Tom zachwycił się na sam widok przedmiotu.

– Energoskop! – zawołał z błyskiem w oczach. – Własnej roboty?

Babcia pokręciła głową. Jedyne Kate zapytała, czym właściwie jest energoskop.

– To urządzenie służące do badania atmosfery w poszukiwaniu magii – wytłumaczył Tom. – Ustawia się go w jakimś miejscu, a pręciki wskazują na poziomy energii. Tam, gdzie skieruje się najdłuższy z nich, tam aktywność magiczna jest największa.

– Będą wam służyć do poszukiwania Bram – uzupełniła Babcia. – Ponieważ Bramy są zwykle najsilniej obłożone zaklęciami, energoskop za każdym razem będzie wam wskazywał kierunek, w jakim należy podążać, by do nich trafić. Tak na wszelki wypadek, gdybyście nie odnaleźli ich sami. – Westchnęła, zastanawiając się, czy jest coś, o czym mogła zapomnieć. – No tak! – dodała, sięgając ponownie do torby. Tym razem wyjęła z niej opakowanie pełne czegoś zielonego. – To zioło dla ciebie – oznajmiła, wręczając je Jonathanowi.

– Zioło dla mnie? – spytał niepewnym głosem Jonathan.

– Na twoje dolegliwości – odparła Babcia. – Te cukrowe. Fion mi o nich wspominał.

– Ach, chodzi o cukrzycę! – zawołała Kate, zadowolona, że Babcia nie próbowała wepchnąć im do rąk żadnych szkodliwych substancji. – Można ją wyleczyć?

– Nie – odpowiedziała szybko Lilian, która z nich wszystkich najlepiej znała się na ziołach i leczeniu. Poprosiła Jonathana, by podał jej opakowanie. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym wzięła na przechowanie do swojej torebki. – To *Concordia viridis*. Pomaga zachować równowagę w organizmie.

– Dobra – odezwała się znów Babcia – to by było na tyle. W razie czego kontaktujcie się ze mną przez szklaną kulę. Byle nie za często. Pierwszą Bramę stanowi Bar pod Pijanym Bardem. Fion już raz tam był. – Annwynn posłała wnukowi spojrzenie, od którego ten natychmiast się zaczerwienił.

– To już wszystko? – spytała Diana. – Mamy ruszać?

– Pieszko? – dodał Tom.

– Oczywiście, że nie – odparła Babcia. – Polecicie na motylach.

Wreszcie jakaś dobra wiadomość – pomyślała Kate. Ilekroć odwiedzała Jaar,

prosiła Fiona, by zabierał ją na przejażdżki ogromnym motylem. Sądziła, że nigdy się jej nie znudzą.

Babcia, Hiacinthus i Fion włożyli palce do ust i zagwizdali. Po chwili na niebie pojawiły się trzy ciemne kropki, które stawały się coraz większe, aż w końcu dało się dostrzec trzy motyle, wielkie niczym słońce. Wszystkie zostały osiodłane kolorowymi poduszkami. Lejce wyglądały jak srebrne łańcuszki.

– Wszystko już chyba wiecie – uznała Babcia. – A teraz się spieszcie. Tylko spokojnie!

– Nie będziesz życzyć nam powodzenia? – zasępił się Fion.

– A niby po co wam powodzenie? – ofuknęła go Babcia. – Przecież w razie czego możecie użyć magii.

Fion i Kate wspięli się na motyla Fiona. Nie mieścili się na nim w trójkę z Jonathanem, więc ten musiał zająć, wraz z Dianą i Lilian, motyla Babci. Tom, Darrin i Hiacinthus dosiedli trzeciego owada. Po lekkim pociągnięciu za lejce – Fion i Hiacinthus wydawali polecenia swoim motylom, a tym należącym do Babci sterowała Diana – motyle wystartowały.

Wkrótce Elphame stało się mieszaniną kolorowych plam kwiatów, budynków, jasnych pól i ciemnych zarośli. Lecieli wysoko, jednak nie przekroczyli magicznej zasłony. Wokół nich unosiły się też inne motyle i fery. Od czasu do czasu mijały ich wielkie pszczoły, które tutaj nazywano Plemieniem Matek.

– Właściwie dlaczego ten bar jest pierwszą Bramą? – spytała Kate.

– Sam nie wiem. Byłem tam tylko raz i... niewiele pamiętam z tamtego dnia. – Ostatnie zdanie Fion wypowiedział szybko, znów się czerwieniąc. Kate uznała, że lepiej nie pytać, skąd u niego ten zanik pamięci.

Wbrew jej przypuszczeniom, wcale nie lecieli długo. Po mniej więcej pół godzinie zaczęli obniżać lot, aż wreszcie wylądowali w szczerym polu. W zasięgu wzroku znajdowała się jedynie rozpadająca się szopa.

– No i gdzie ten bar? – zapytał Jonathan, zeskakując na ziemię.

– Stoimy przed nim – oznajmił Hiacinthus.

Jonathan i Kate spojrzeli na szopę i rozchylili usta.

– To jest bar? – odparli jednocześnie.

Szopa była zabita deskami, z których kilka było już wyłamanych, zaś szyby w oknach – te, których nikt jeszcze nie zdążył rozbić – zalepiały brud. Nad drzwiami wyposażonymi w ani trochę niepasującą do nich mosiężną klamkę zawieszony był szyld. Z prawej strony wypadały z niego gwoździe, więc nieco się przechylał. Napis na nim, po angielsku oraz w pełnym kolistych i poskręcanych znaków piśmie ferów, głosił:

BAR POD PIJANYM BARDEM

I faktycznie był tu jakiś pijany bard, a ściślej mówiąc: stojąca przy drzwiach kamienna rzeźba, przedstawiająca siedzącego mężczyznę z wielką czapką i długą brodą. Głowę opierał na rękach, a u jego stóp leżała harfa.

Fion ruszył w kierunku drzwi. Kate, dość niepewnie, poszła za nim. Wewnątrz

bar był powiększony czarami. Oprócz parteru, wypełnionego okrągłymi stolikami, krzesłami i unoszącym się kurzem, były tu też schody prowadzące na górę. W powietrzu niósł się kwaśny zapach piwa. Kufle stały niemal na każdym ze stolików, nawet tych, przy których nikt już nie siedział.

Nim przeszli dalej, chudy, zielonkawy fer z seledynowymi włosami zatrzymał ich przy wejściu.

– Byliście zarejestrowani? – Siedział przy niewielkim biurku, na którym spoczywał kufel piwa oraz masywna szklana kula z dymem w środku. Najwyraźniej ktoś bez przerwy próbował nawiązać kontakt. Fer trzymał dłoń z piórem nad wielką księgą, wypełniając jakieś rubryczki.

– Zarejestrowani? – odparł Fion. – Nie, odwiedzamy tylko bar. Nie szukamy noclegu.

– Jeszcze czego! – szepnęła przerażona Lilian. Rozglądała się z niesmakiem dokoła i mocniej ścisnęła swoją torbę. Tylko jej perfumy chroniły ich przed znacznie bardziej interesującymi zapachami speluny.

– Zasady się zmieniły – oświadczył zielonkawy fer. – Teraz wszyscy muszą się rejestrować. Ale wystarczy, że podacie nazwisko jednego z was.

– Fion `yl Maas.

– Jak to zapisać? – Fer zatrzymał pióro w połowie drogi do kartki.

– Ze strzałką nad znakiem ylan – zaczął tłumaczyć Fion. – Strzałką w prawo. To znaczy moje prawo. W sensie...

– Dobra, dobra! – zdenerwował się fer. – W końcu to żadna różnica.

– Jak to *żadna różnica*? – odparł z oburzeniem Fion, po czym dumnie dodał: – To bardzo stary znak. Jest już prawie niespotykany.

Zielonkawy fer najwyraźniej nie był pod wrażeniem.

– Jak niespotykany, to po co go zapisywać? – Westchnął, po czym przepuścił ich dalej. Fion wyglądał na dotkniętego.

– Proponuję, żebyśmy najpierw usiedli i coś zamówili – powiedział Hiacinthus.

– Nie byłoby dobrze od razu szukać Bramy. Bar jest na pewno pod ścisłą obserwacją, więc jeśli będziemy za bardzo się spieszyć, wyda się to podejrzane.

– W porządku – odparł Tom. – I tak miałem ochotę czegoś się napić.

Fion i Hiacinthus podeszli do baru, za którym stał wielki fer. Kate jeszcze nigdy nie widziała takiego przedstawiciela tego gatunku. Ten był wysoki i przy kości. Jego skóra miała fioletowy odcień świeżych, nabiegłych krwi siniaków i w żaden sposób nie kojarzyła się z barwami motyli. Część głowy miał wygoloną, a pozostawione włosy układały się w jakiś wzór. Gdy barman wyczuł, że Kate się w niego wpatruje, odwzajemnił spojrzenie.

– Dziwny fer. – Wzdrygnęła się.

– To nie fer, tylko ogr nizinny – wyjaśnił Tom. – Nie zauważyłaś, że nie ma skrzydeł?

– Och, rzeczywiście. – Wcześniej nie zwróciła na to uwagi. Zbyt była zajęta twarzą barmana. – Myślałam, że w Elphame mieszkają tylko fery.

– Ogry najmują się tu czasem do pracy. W zasadzie nie są niebezpieczne, choć bywają gburowate.

– Nie powinnaś sądzić po pozorach – dodała poważnym tonem Lilian. – On na pewno jest całkiem miły.

Fion wrócił z kilkoma kuflami piwa na tacy. Już sam ostry, kwaśny zapach odrzucał Kate.

– Chyba nie powinniśmy pić – zauważyła. – Mamy zada... misję.

Pozostali nie tylko nie podzielali jej wątpliwości, ale najwyraźniej nawet ich nie rozumieli. Lilian zaczęła pić pierwsza, szybko i łapczywie. Odstawiła kufel dopiero, gdy był już pusty.

– W tym piwie prawie wcale nie ma alkoholu! No i jest całkiem pożywne, szczególnie jeśli nie jadło się śniadania.

Kate przyszykowała sobie przed podróżą kanapki, o których wcześniej, w obecności Babci Annwynn, wolała nie wspominać. Zresztą teraz nie była już głodna, a ponieważ piwo wciąż jej nie przekonywało, wzięła od Lilian butelkę z wodą, sięgając równocześnie po szklaną kulę.

– Skoro już tu jesteśmy – powiedziała, rozglądając się uprzednio dokoła, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje – to możemy załatwić jeszcze jedną sprawę. Właściwie nawet dwie.

– A mianowicie? – spytał Darrin, najwyraźniej niewtajemniczony.

Lilian uśmiechnęła się.

– Wiecie... To, że Sundari nie była w stanie nam towarzyszyć, nie oznacza, że nie może przydać się w inny sposób, prawda? No więc postanowiłam, że skoro jest rusałką wodną i mieszka w Lesie Wielu, to mogłaby trochę dla nas... poszpiegować.

– A co ma do tego fakt, że jest rusałką? – odparł Jonathan.

– Rusałki to największe plotkary w całym Jaarze – wytłumaczył Hiacinthus, przewracając oczami.

– Są po prostu dobrze poinformowane – oburzyła się Lilian.

Hiacinthus postanowił się poprawić.

– Chodzi mi tylko o to, że dużo czasu spędzają w powietrzu i w wodzie, a tam, wiadomo, wszystko się niesie. Rusałki docierają w różne miejsca. Tylko to miałem na myśli.

Lilian położyła ręce na szklanej kuli i zamknęła oczy. Przestrzeń za szkłem wypełnił dym, z którego po chwili wyłoniła się twarz Sundari. Za nią widać było rzekę i kawałek brzegu.

– Czy dobrze nas słyszała? – wyszeptała Lilian, pochylając się nad kulą.

Sundari odwróciła się.

– Tak – odparła, również ścisząc głos.

– Masz jakieś wieści o BB? – spytała Lilian. Gdy pozostali spojrzeli na nią z zaciekawieniem, szybko wyjaśniła: – *Brygada Badb*. Sundari ma ich śledzić. Musiałyśmy nadać im jakiś pseudonim.

Sundari pokręciła głową.

– Jeszcze ich tu nie było – oznajmiła. – Jestem w pogotowiu, choć kto wie, czy nie wybrali innej ścieżki.

– Tak czy inaczej będą musieli iść przez las – powiedziała Diana. – Do Tir-na-

Nog nie można się teleportować, zwłaszcza jeśli jest się ferem z Elphame. To był dobry pomysł, by ich śledzić. Będziemy wiedzieć, czy wpadli na jakiś trop.

– No właśnie! – podchwyciła Lilian. – Co do tropów...

Szybko podziękowała Sundari, której twarz znów znikła za dymem, i skontaktowała się z Joem. Gdy pojawił się w szklanej kuli, miał na sobie magiczne okulary, podobne do tych, które nosił Tom.

– Jak twoje badania? – spytała Lilian.

– Nie odkryłem niczego nowego.

Kate patrzyła na twarze pozostałych, przenosząc wzrok ze szklanej kuli na towarzyszy. Jedynie miny Jonathana i Fiona wyraźnie zdradzały, że, podobnie jak ona, nie mieli pojęcia, czego dotyczy rozmowa. Nie trwała jednak długo, bo Joe chciał wrócić do swoich badań, czegokolwiek dotyczyły.

Po chwili Tom i Lilian zaczęły wyjaśniać, kończąc po sobie zdania jak zwykle w momentach, gdy działali w najwyższej magicznej synchronizacji.

– To, że wybraliśmy stary budynek Rady na naszą bazę, nie było przypadkiem. Chodziło nam głównie o to, co stało się tam w lecie. Magia Roberta zostawiła po sobie wiele śladów, magicznych odcisków...

– Których mogliśmy oczywiście użyć, by wytropić jej pochodzenie. Sama w sobie należała do niego, ale przecież mieliśmy pewność, że działał w grupie. Czasami, gdy wiemy mocno się ze sobą zżyją, ślady ich magii mogą mieć pewne cechy wspólne...

– Poprzez to podobieństwo czasami da się dotrzeć do ludzi powiązanych z konkretną czarownicą lub czarownikiem. Zaczęliśmy szukać tych powiązań z Robertem...

– Powiązań i ścieżek. Czyli czegoś w stylu pochodzenia danej siły, ale również kierunku, w jakim powędrowała, gdy się rozproszyła. Bo zdarza się, że pozostawiona po kimś magia kumuluje się i szuka nowego właściciela, najlepiej kogoś powiązanego.

– A więc stąd wzięła się wiara, że po zabiciu wiemy można przejąć jej moc? – podchwycił Jonathan. – Właśnie dlatego moja matka zabiła moją tatę i próbowała zabić mnie? – Gdy teraz o tym mówił, nie wydawał się wyjątkowo poruszony. Wyglądał raczej na zadowolonego.

– Tak, ale przejęcie mocy jest wyjątkowo trudne. Morderstwo niewiele daje – odparła Lilian.

Tom gestem dał jej do zrozumienia, by zamilkła.

Kate dyskretnie rzuciła okiem na pobliskie stoliki. Szansa, że ktoś mógł ich usłyszeć, była raczej znikoma. W barze niósł się harmider rozmów i prawie nikt nie siedział sam, nie licząc jednego dziwnie wyglądającego fera. Miał na sobie workowaty kapok i niebieskie kalosze. Głowę położył na stole. Zdawało się, że spał, więc prawdopodobnie nawet nie wiedział, co działo się wokół.

– Podsumowując – zaczął znów Tom – próbowaliśmy sprawdzić, co mogło się stać z magią Roberta. Wiemy, że nie powędrowała do jego ferini, Ybir. Przesłuchano ją i okazało się, że nawet nie podejrzewała, czym zajmował się jej podopieczny.

– Nie podoba mi się to – powiedziała ostro Kate.
– Nam też nie – odparła Lilian. – Wolelibyśmy, żeby...
– Mówię o tym – przerwała jej Kate – że nie poinformowaliście mnie wcześniej o bazie ani o swoich badaniach.

Lilian wydała się zakłopotana.

– No... my... Sama rozumiesz, Kate. Woleliśmy najpierw faktycznie coś osiągnąć, a dopiero potem z tobą o tym rozmawiać. Jaki byłby sens zawracać ci głowę, jeśli nie mielibyśmy dosłownie nic?

Diana prychnęła i ponieważ zdawało się, że będzie robić to dotąd, aż wreszcie ktoś zapyta ją, o co chodzi, Kate spojrzała na nią wyczekująco.

– Dla naszego bezpieczeństwa nie powinnaś wiedzieć o wszystkim – oznajmiła Diana.

– Nie rozumiem... – odparła Kate.

Lilian i Tom popatrzyli po sobie zaniepokojeni. Oboje lekko poczerwienieli. Najwyraźniej woleli, by Diana zamilkła, ale ona postanowiła kontynuować:

– Nie jest tajemnicą, że jesteś z nas wszystkich najmniej doświadczona. No, może z wyjątkiem Jonathana, ale jego moc jest tak silna, że w razie czego sama go obroni. Ale twoja... Cóż, *nie* jest taka sama. To ty stanowisz główny cel dla naszych wrogów, a ponieważ nie możemy zdawać się na sam kamień, uważamy, że lepiej, byś za dużo nie wiedziała na wypadek, gdybyś została pojmana. Wszystko by od ciebie wyciągnęli, doszliby do nas, a to zagroziłoby całemu Jaarowi – mówiła to bez najmniejszego zawahania. – Nie zrozum mnie źle... Jesteś *ważna*, ale nasza misja jest o wiele ważniejsza. Jeśli poniesiesz klęskę, będziemy walczyć dalej.

Kate, słysząc te słowa, utkwiała zszokowane spojrzenie w Dianie. Usta miała na wpół rozchylone, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Nie ulegało wątpliwości, że Diana mówiła szczerze, a pozostali najwyraźniej się z nią zgadzali, chociaż nie chcieli tego przyznać.

Niezręczną ciszę przerwało szuranie krzesła. Kate, jakby zbudzona z nieprzyjemnego snu, spojrzała na Darrina, który wstał i rozciągnął się.

– Jeśli mamy wykonać *misję* Annwynn, pora iść – zarządził.

Nikt nie chciał kontynuować rozmowy. Wszyscy unikali wzroku Kate. Nawet Jonathan i Fion odwracali głowy, najwyraźniej nie wiedząc, w jaki sposób mogliby ją pocieszyć.

– Musimy podejść do barmana i zapytać o drogę – oznajmił Tom. – Być może... – Zaczął rozglądać się po towarzyszach w poszukiwaniu ochotnika.

– Ja pójdę – powiedziała Kate. Gruda, którą nagle poczuła w gardle, utrudniała jej mówienie, ale chciała choć na chwilę znaleźć się z dala od pozostałych. Nie czekając na ich odpowiedź, ruszyła w kierunku baru, niepewna, co właściwie ma powiedzieć. Ogr przyglądał się jej podejrzliwie, jakby spodziewał się, że Kate zaraz wbije mu w szyję athame. Gdy wreszcie przed nim stanęła, wydał z siebie głuchy pomruk.

– Uhm... Słyszałam, że macie tu gdzieś... przejście przez jedną z Bram do Kryształowego Pałacu – zaczęła niepewnie. – Czy mogę porozmawiać z...

właścicielem baru?

Barman przez chwilę ją ignorował, zajmując się wycieraniem wielkiego kufla. Potem pociągnął nosem i znów mruknął.

– Ja jestem właścicielem – odparł płynnym angielskim. To chyba jeszcze bardziej zdumiało Kate niż jego wygląd. – A co do Bramy, to owszem, posiadamy ją. Ty i twoi towarzysze będziecie musieli podążać za mną na zaplecze.

Kate wpatrywała się w ogra, równie zdumiona jego instrukcją, co sposobem wystawiania się.

– I to tyle? Nie musimy robić niczego więcej?

Ogr wzruszył ramionami.

– A co jeszcze chciałabyś zrobić? Przechodzić testy? Zobaczyłem cię i poczułem, wystarczy. To tylko pierwsza Brama. Jeśli z jakiegoś powodu nie zechcą was w Kryształowym Pałacu, na pewno zgubicie drogę. A jeśli macie niegodziwe zamiary, to i życie. Przed wami jeszcze sześć Bram. Zatem jeśli naprawdę macie zamiar podążać dalej...

Kate nieznacznie się uśmiechnęła, udając, że słowa ogra nie zrobiły na niej wrażenia. Po części było tak dlatego, że zaczynała gotować się w niej wściekłość na to, co powiedziała Diana. Skoro uważali ją za tak nieudolną i słabą, udowodni im, że się mylą. A jeśli już o śmierci mowa... Na pewno nie miała zamiaru jeszcze umierać.

– Chcemy przejść – powiedziała ze śmiertelną powagą.

Ogr skinął na nią ręką, a ona takim samym gestem przywołała do siebie pozostałych. Po chwili szli gęsiego za barmanem przez zatęchły, słabo oświetlony korytarz. Zatrzymali się przed wielkimi, rozsuwanymi drzwiami. Pokrywały je napisy wyryte dla zabawy przez gości i wycinki z magicznych gazet, spod których ledwo dało się dostrzec litery składające się w „WC” – zupełnie jak w świecie ludzi.

– Możecie przejść – oznajmił ogra, po czym oddalił się bez słowa.

– Toaleta... – prychnęła Kate. – Mam nadzieję, że to nie jakiś żart.

Zaciskała zęby, wciąż myśląc o rozmowie, którą przed chwilą odbyli. *Słaba, dobre sobie!*

Wściekłość wyładowała na kłance, którą pociągnęła tak gwałtownie, że omal jej nie wyrwała. Potem przyszła kolejna fala zdumienia.

Bo za drzwiami wcale nie zobaczyli toalety. Właściwie nie było tam żadnego pomieszczenia, lecz kolejne drzwi, wcale nie mniej zwyczajne od tych pierwszych. Z tą różnicą, że były zaryglowane.

– Niedorzeczne. – Jonathan westchnął.

– Dlaczego? – odparł Hiacinthus. – To mi wygląda na portal stały. Po prostu trzeba je otworzyć.

Rygiel był nieco przyrdzewiały, więc Kate mocowała się z nim przez chwilę. Potem poczuła, jak przyspiesza jej puls, a głowę nawiedziły myśli dotyczące tego, co spotka za przejściem. Ale przecież miała się nie bać. Odgoniła je więc, pchnęła drzwi i wszyscy przeszli przez pierwszą z Bram.



Rozdział 6

Strażniczki rubieży

Wylądowali na pokrytym wysoką trawą polu. Słońce prażyło niemiłosiernie, a w pobliżu nie było widać nawet jakiegokolwiek drzewa czy krzewu.

Kate się odwróciła – drzwi zniknęły. Gorączkowo zaczęła się zastanawiać, czy barman ich nie oszukał. A może tylko żartował?

– Powiedziałbym, że łatwo było się tu dostać, ale... – zaczął Fion. – Sami widzicie. – Bezradnie rozłożył ręce.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – Lilian posłała w stronę Toma pełne nadziei spojrzenie. W końcu niemal zawsze znał odpowiedź na każde pytanie. Tym razem jednak tylko wzruszył ramionami, nie mniej zakłopotany niż siostra.

– Pozostaje tylko iść przed siebie – stwierdził Hiacinthus. – Oby to pole było częścią naszej podróży.

Kate wolała nie mówić tego na głos, ale sądziła, że jeśli to rzeczywiście miała być część ich podróży, to równie dobrze mogli wracać do domu. Wszystkie drogi, jakie mogliby teraz obrać, wydawały się takie same – dookoła widzieli tylko morze trawy.

– Myślicie, że barman sprowadził nas tu celowo? – spytał Jonathan.

– Może – odparła Diana. – Na razie liczy się tylko to, gdzie właściwie mamy pójść.

Hiacinthus i Fion wzbili się w górę, by zbadać okolicę. Jednak nie przynieśli dobrych wiadomości.

– Nie ma tu właściwie nic oprócz trawy – oznajmił Fion. – Możemy tylko iść przed siebie, najwyżej skontaktujemy się z Babcią.

– Przed siebie? – prychnęła Diana, po czym zaczęła się rozglądać dookoła. – Które *przed siebie* masz na myśli?

– To logiczne – zauważył Darrin. – Powinniśmy pójść w tym kierunku, w którym prowadziły nas drzwi.

Diana mruknęła coś pod nosem, nie mogąc znaleźć lepszego rozwiązania.

– A może powinniśmy się rozdzielić? – zaproponowała Lilian. – Każde pójdzie w innym kierunku, a jak któreś natrafi na portal, jakoś da pozostałym znać.

Kate natychmiast zaprotestowała:

– Nie, powinniśmy trzymać się razem. Pójdziemy w kierunku, który wskazał Darrin – powiedziała, chwyciła swoją torbę i ruszyła przed siebie. Nie chciała dawać im dość czasu na dyskusję.

Wciąż wracały do niej słowa Diany. Właściwie, jakby na to nie patrzeć, miała rację. Kate była słabą wiedźmą, a w dodatku, jako taliesinka, nie potrafiła w widoczny sposób zmanifestować swojej energii magicznej. W głębi duszy pragnęła chyba, by ktoś powiedział jej, że może być równie potężna co wzniecający ogień Jonathan albo czytający w myślach Tom. Diana sprawiła jednak, że jej pragnienia rozbiły się o twardy grunt rzeczywistości.

Może nie widzieli w niej liderki, podobnie jak ona sama. Najwyżej kamień zmieni decyzję. Tak, byłoby to przygnębiające i oznaczałoby, że od początku nie nadawała się na Strażniczkę, ale rozumiałyby, gdyby do tego doszło. No i może odzyskałyby normalne życie, a reszta mogłaby bez problemu kontynuować swoją misję.

– Kate? – Usłyszała za sobą czyjś głos. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Fion wciąż szedł kilka kroków za nią, podczas gdy reszta pozostawała w tyle. – Musimy porozmawiać.

– O czym? – mruknęła.

– Sama wiesz... – Fion był zakłopotany. – Jak się czujesz?

– Lepiej nie mówić.

Dlaczego nie chciał dać jej spokoju właśnie teraz?

– To, co powiedziała Diana – ciągnął Fion – to... Rozumiesz Kate, ona...

– Powiedziała to, co uważa za słuszne. I zdradziła myśli was wszystkich.

Teraz Fion przystanął na moment, wyraźnie zdumiony. Kate nie zwołała kroku, więc musiał szybko ruszyć dalej.

– Wiele razy mówiłem ci, że kamień nie mógł się pomylić – mówił. – Poza tym rozwijasz się prawidłowo jako czarownica.

– Jestem za słaba, żeby nosić w sobie kamień – stwierdziła Kate.

– Gdybyś była za słaba, nie byłoby cię tutaj. Nie rozumiesz, o co im chodziło, Kate. Oni po prostu chcą cię... chronić. To ich misja. Zależy im na tobie. Próbują...

– Zależy im na misji, a nie na mnie! – przerwała mu Kate, odwracając się i piorunując Fiona wzrokiem. – I wcale nie mam o to do nich pretensji. Najwyraźniej muszę przekonać ich, że jestem lepszą czarownicą niż w rzeczywistości. Zresztą, nie mam ochoty o tym rozmawiać. Sam widzisz, jak mało wiem o tym, co się dzieje. Zbyt wielu rzeczy nie rozumiem. Kiedy widzę

portale stałe w toaletach, udaję, że to dla mnie normalne. Kiedy natrafiam na dziwaczne istoty w Jaarze, robię minę, jakbym je dobrze znała, a gdy Darrin mówi o swoim ojcu, który mieszka na słońcu, staram się sprawiać wrażenie, że wiem, o co chodzi.

– Mieszkającym na słońcu? A co w tym dziwnego?

– Właśnie o tym mówię! – zawołała, sprawiając, że głosy w tyle ucichły.

Fion odczekał chwilę, aż reszta znów zacznie rozmawiać, a potem odparł:

– Byłaś w świecie księżycowym, więc powinnaś wiedzieć, że takie rzeczy są możliwe.

Kate machnęła ręką.

– Ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać – oznajmił Fion. – Pomyślałem sobie o twojej różdżce.

– O nie... – Kate westchnęła. Nie znosiła, gdy Fion jej o tym przypominał. Posiadała już wszystkie potrzebne do magii przedmioty, tylko jakoś wciąż nie mogła natrafić na odpowiednią dla siebie różdżkę. Sporo nad tym pracowała, głównie za namową ciotki i Fiona, bo sama uznała, że jakoś sobie poradzi. W końcu zamiast różdżki mogła używać athame. I nieważne, ile świec zapalała i jak bardzo ćwiczyła kontrolę płomieni, wciąż miała wrażenie, że ogień – żywioł przypisywany różdżkom – jest jej piętą Achillesową.

– Mamy teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Poza tym... widzisz tu jakieś drzewa?

– Odwiedzimy przecież całą masę miejsc! Na pewno coś się znajdzie.

– Może. – Kate przewróciła oczami.

– No a jeśli chodzi o inne rzeczy... – dodał Fion. – Wiesz, przepowiednię Babci i takie tam...

Kate, gdy nie miała na głowie żadnych innych magicznych spraw, często wracała myślami do momentu, gdy Babcia Annwynn podyktowała jej przepowiednię, taką samą, jaką wcześniej wygłosiła przed Fionem. Potem wypowiedziała ją jeszcze tylko raz: dotknąwszy Jawisa.

Teraz wszyscy już wiedzieli, że tamta przepowiednia miała ich prowadzić, ale rozszyfrowanie jej znaczenia wciąż pozostawało poza ich możliwościami. Jej słowa znów zaczęły odtwarzać się w głowie Kate:

*Trzech wrogów na niebie odkryje noc
I na siły podwójnej jedno zawołanie
Pośrodku serca wielu światów
Trzech Proroków na ziemi powstanie.
I wtedy mroczna przebudzi się moc.*

*Pierwszy prowadzić będzie do wrót,
Drugi pięć potęg połączy w parę,
Z otchłani początku przyzwie je,
A trzeci najwyższą złoży ofiarę.
Lecz jeden cel tylko będzie ich wiódł.*

*A wraz z Jej oddechem powróci ten,
Którego pradawna słodka pieśń chwali.
Ten, co odzyskał skradziony skarb,
Przyjaciel, co nigdy się nie oddalił,
Który jest jawą, a zwali go snem.*

– Nie wiem. – Westchnęła. – Chyba musi się wydarzyć więcej, żebyśmy mogli zrozumieć przepowiednię. Na razie wolałabym skupić się na...

Nagle coś niebieskiego przeleciało jej koło ucha. Odruchowo machnęła ręką, nie zwracając na to najmniejszej uwagi, dopóki nie usłyszała dobiegających z tyłu krzyków.

– Fylgie! – przeraził się Fion.

W powietrzu unosiła się chmara niebieskich stworzonek. Były skrzydlate jak fery, ale znacznie od nich mniejsze. Na głowach miały kapelusze, które upodabniały je do grzybów. Istoty piszczały donośnie i wymachiwały wściekle rączkami, w których trzymały jakieś przedmioty. Uderzały nimi gdzie popadnie – Jonathan zasłaniał się rękoma, a Lilian krzyczała, próbując wyplątać sobie kilka stworzeń z włosów.

– Fiolki! – zawołał Tom. – Są w mojej torbie!

Darrin, waląc pięściami powietrze i nokautując przy tym kilku napastników, chwycił torbę Toma i szybko wyciągnął z niej kilka niewielkich fiolek. Niebieskie istoty zaczęły piszczeć coraz głośniej, a niektóre uciekać. Jonathan zdołał sięgnąć po swoje athame.

– To nic nie da! – krzyknęła Diana. – Rób to, co ja. – Trzymając w rękach jedną z fiolek, skierowała ją wysoko w górę. Zdawała się nie przejmować tym, że stworzonka dobrała się do sznurków w jej włosach.

Lilian również przestała zajmować się swoimi włosami. Sięgnęła po dwie fiołki i jedną z nich wręczyła Kate, która przyglądała się temu, co robili pozostali.

Gdy wszystkie fiołki znalazły się w górze, Darrin zaczął głośno wypowiadać jakieś zaklęcie. Nagle część niebieskich istot zaczęła wsiąkać w fiołki. Pozostałe, widząc to, rozpierchły się. Nie wszystkim udało się uciec na tyle szybko, by zaklęcie nie uwięziło ich w szkle.

Fion otarł pot z czoła. Był jednak bardzo zadowolony.

– Całe szczęście, że tyle ich złapaliśmy – powiedział.

– Co to było? – zapytał wciąż zdezorientowany Jonathan.

– Fylgie – odparł Hiacinthus. – Ściślej mówiąc, dzikie fylgie. Cała chmara może być groźna, ale jeśli zdołasz je pochwytać, mogą stać się kimś w rodzaju chowańca albo żywego talizmanu przynoszącego szczęście. Być może przydadzą się nam w podróży.

– Teraz będą związane magią fiolek – dodał Fion, wręczając Kate kilka z nich, by schowała je w swojej torbie. – Szkło jest zaklęte.

Fiołki wyglądały dość zwyczajnie, ale gdy bliżej się im przyjrzeć, na przezroczystym szkle widoczne były wygrawerowane znaki. Uwięzione wewnątrz

istoty z pewnością były dzikie. Teraz nie miały już stałych kształtów, ale zamieniły się w świetliste kule i z impetem uderzały w fiołki, próbując się uwolnić

Kate podniosła fiołkę ku niebu, by lepiej przyjrzeć się znakom. Dopiero wtedy dostrzegła, że na horyzoncie majaczą trzy wysokie, żółte postacie. Zbliżały się niebezpiecznie szybko.

– Strażniczki – powiedział Darrin. – Najwyraźniej zwabiły je odgłosy fylgii.

– Jakie strażniczki? – spytała Kate.

– Strażniczki rubieży – odparł Fion. – Chronią granic Elphame od zachodu. Czyli wiemy już, gdzie jesteśmy.

Gdy postacie zbliżyły się, Kate zdała sobie sprawę, że to nie ich ciała były żółte. Prawdziwe barwy ich skór były różne, jak u większości ferów. Strażniczki miały jednak na sobie skóry dzikich kotów. Łapy przewieszały się przez ich ramiona, a głowy zdobiły paszcze lwa i lamparta. Mimo że Kate spodziewała się, że strażniczki będą feriniami, jedna z nich wydawała się nad wyraz męska. Wszystkie dzierżyły tarcze i włócznie.

– Kim jesteście? – spytała jedna ze strażniczek, wyciągając w ich kierunku broń. Rzuciła im podejrzliwe spojrzenia, a Kate była pewna, że nie zawahałaby się przebić ich włócznią, gdyby odpowiedź się jej nie spodobała.

– Szukamy Bramy wiodącej do Kryształowego Pałacu, ale właśnie zaatakowały nas fylgie – odparła zdenerwowana Diana.

Strażniczka spojrzała na leżące na ziemi fiołki.

– Przyszyła nas Annwynn Beedlebee – dodał Tom.

Usłyszawszy imię Babci, strażniczki zawahały się. Ta, która groziła im dotąd włócznią, cofnęła broń, jednak wciąż miała groźną minę. Przez chwilę rozmawiała z pozostałymi w języku ferów, po czym znów skierowała wzrok na przybyszów.

– Nie pozwolimy wam ot tak przejść dalej – zapowiedziała. – Będziecie musieli odpowiedzieć na pytanie, które wam zadamy.

Spojrzenia wszystkich powędrowały w stronę Toma, który nagle wydał się bardzo niepewny.

– No... dobrze, czemu nie? – odpowiedział powoli.

Strażniczka, która do nich przemawiała, zamknęła na chwilę oczy, a oni zaczęli zastanawiać się, jakie pytanie ma zamiar im zadać. Zdziwili się, gdy nagle zaczęła recytować:

*Wiecznie porusza się na ośmiu nogach
Południe ma ogniste, jego północ lodowa
Nieostrzy ma kształt, choć to w jego jest moc
Z czaszki zedrzeć skórę, a dzień oddać nocy*

Kate zamrugała. A więc chodziło o zagadkę? Spodziewała się, że strażniczki zapytają o cel ich wyprawy albo każą podać tożsamość. Nie była jednak przygotowana na zagadkę. Jej słowa brzmiały zresztą dość złowieszczo i od razu

kojarzyły się ze śmiercią. Ale to byłoby zbyt oczywiste.

– Czy każde z nas musi odpowiedzieć z osobna? – spytała.

– Nie, jeśli wiecie was jeden cel.

Wprawdzie Kate nie mogła odpowiedzieć za wszystkich, ale nie sądziła, by któreś z nich miało jakieś niecne zamiary. Z drugiej strony nadal miała problem z całkowitym zaufaniem, szczególnie Dianie. Nie była też pewna Darrina.

– Przecież idę z wami – oznajmił, odczytując pytające spojrzenie, jakim go obdarzyła. – Mamy ten sam cel.

– Czyli możemy się naradzić – powiedział Fion, gdy zbili się w ciasnym kręgu.

– Na ośmiu nogach... – zaczęła Lilian. – To może być jakieś zwierzę. Na pewno jest sporo groźnych zwierząt o ośmiu nogach. Może jakiś pająk?

– Musiałby być ogromny, skoro jego *północ* jest zimna, a *południe* gorące – zauważył Tom.

– To może stanowić jakąś metaforę – stwierdził Darrin. – Zresztą, na pewno jest metaforą.

– Ma nieostry kształt – zastanawiała się Diana. – Więc to majaki, coś nierzeczywistego?

– Albo narzędzie, skoro można nim zabić – dodał Jonathan.

Hiacinthus szeptał pod nosem słowa, które zapamiętał z zagadki.

– Moim zdaniem – zaczął, podnosząc głowę – może chodzić o jakąś figurę.

– Figurę o nieostrych kształtach – uzupełnił Fion.

Strażniczki patrzyły na nich cierpliwie. Przypominały teraz posągi, a z ich twarzy nie dało się wyczytać żadnej podpowiedzi

– Narzędzie i figura? – spytała Lilian. – To może pentakl?

Tom pokręcił głową.

– Ale nim nie można nikogo zabić – odparł.

– Zabić? Ale skąd wiecie, że to w ogóle o to chodzi? – odezwał się znów Jonathan.

Kate próbowała zwizualizować sobie wszystko, o czym mówili. Rozwiązanie nasunęło się jakby samo.

– Koło – stwierdziła.

– Koło z ośmioma nogami? – odparła Lilian. – Ale... No tak, to jest to! – Oczywiście nagle jej rozbłysły.

Wszyscy spojrzeli na nią w oczekiwaniu. Sądząc po minie Toma, on także wpadł na ten sam pomysł.

– Koło Roku – powiedzieli jednocześnie.

– Jasne! – zawołał Hiacinthus. – Przecież to symbol ośmiu sabatów, świąt czarownic. Święto Beltane, początek lata, kojarzone jest z południem i ciepłem, a to, które występuje sześć miesięcy po nim, to Samhain, zimne i wiązane z północą. Kształt jest nieostry, bo to koło, a zdiera skórę z czaszek i oddaje dzień nocy dlatego, że symbolizuje upływ czasu.

– Wszyscy się zgadzacie? – spytała Kate. Jej samej ta odpowiedź wydała się niemal objawieniem.

Reszta przytaknęła głowami.

– Nasza odpowiedź to Koło Roku. – Kate zwróciła się w stronę strażniczek. Te przez chwilę milczały z kamiennymi twarzami, a wreszcie stojąca pośrodku powiedziała:

– Tak, to właściwa odpowiedź. Właśnie przeszliście przez drugą Bramę...

Kate uniosła brwi. A więc chodziło tylko o to? By rozwiązać zagadkę? Ale w takim razie dlaczego nigdzie się nie przenieśli?

– Co mamy robić dalej? – zapytała Diana.

– Musicie czekać tu, aż pojawi się kolejna Brama.

– Czekać? – zdziwiła się Lilian. – Przecież...

Ale w tej chwili strażniczki już ich nie słuchały. Gdy rozległ się odgłos przypominający trąbienie, natychmiast odwróciły się i ruszyły w kierunku, z którego dochodził.

– Strażniczki – prychnął Jonathan. – Jedna z nich na pewno była facetem.

– Więc? – odparł szczerze zdumiony Fion.

– No... to dziwne, że nazywają się strażniczkami, no nie?

– Nie – odparła Diana. – Fery rozróżniają płcie, ale w ich kulturze wiążą się one także z pełnioną funkcją. Strażniczki są powszechnie związane z żeńską ochronną siłą, więc nazywa się tak wszystkie istoty, które pełnią tę funkcję.

– Poza tym, skoro wy możecie nazywać wszystkich ludzi, którzy kierują tymi dziwnymi mechanicznymi kołmi, kierowcami, to my możemy nazywać nasze strażniczki tak, jak nam się podoba.

Jonathan wzruszył ramionami.

– Nie mówię, że nie. Tylko pytałem.

– Zastanówcie się raczej, co mamy teraz robić – warknęła Diana. – Nie mam ochoty spędzić tu kolejnych kilku godzin i wypatrywać jakichś drzwi, które mogą pojawić się gdziekolwiek. O ile to w ogóle będą drzwi!

Po raz kolejny cała drużyna oczekiwała odpowiedzi od Kate. Ona nie sądziła jednak, że zdoła teraz na cokolwiek wpaść.

– Tym razem decydujcie sami – powiedziała.



Rozdział 7

Spotkanie na bagnach

– Au! Uważaj trochę! – Tom spojrział krzywo na Dianę. – Prawie wbiłaś mi ten stelaż w stopę.

W końcu zdecydowali – po wnikliwej dyskusji uznali, że najlepiej będzie rozłożyć namioty. Nim tak postanowili, każde miało inny pomysł na to, co należy zrobić. Jonathan i Diana, nie chcąc bezczynnie stać w miejscu, woleli rozglądać się za Bramą. Fion i Hiacinthus, najlepiej znający Jaar, stwierdzili, że należy zaufać strażniczkom. Lilian nalegała, żeby najpierw coś zjeść, a potem zapytać o radę szklanej kuli. Darrin wciąż narzekał, że chciałby wracać do domu, a Tom za każdym razem pytał go, który dom ma na myśli. Kate, jako jedyna pozbawiona konkretnego pomysłu, siedziała na trawie z brodą opartą o kolana. Gdy zrobiło się już zbyt późno na debaty, nawet Darrin przystał na rozłożenie namiotu.

Tyle że nie było to takie proste. Lilian i Tom podzielili się częściami namiotu, pakując swoje torby, i najpierw musieli je w nich odszukać. Tom nie miał z tym większego problemu, ale nim Lilian dokopała się do stelażu, zalegającego pod warstwą innych rzeczy, minęło trochę czasu. Dopiero gdy Tom zagroził, że dopóki nie postawią namiotu, nie będą jeść, pozostałe części znalazły się zadziwiająco szybko.

Gdy namiot był już gotowy, ustalenie tego, kto będzie spał obok kogo, także okazało się niełatwe. Kate i Jonathan od razu zdecydowali, że chcą być obok siebie, ale z pozostałymi były kłopoty. Lilian chciała położyć Darrina i Toma razem, ale nie minęło pięć minut, gdy zdążyli się znów pokłócić, tym razem

o pogodę.

– Twój ojciec na pewno mógłby zaradzić coś na ten upał – twierdził Tom, mimo że, jak podkreślała Lilian, dobrze wiedział, że to nieprawda.

Diana nie chciała spać obok Lilian, twierdząc, że przeszkadza jej zapach słodkich perfum i że nie ma zamiaru wysłuchiwać całonocnych rozmów przez szklaną kulę, zaś sama Lilian stwierdziła, że czuje się jak piąte koło u wozu i omal się nie rozpląkała, uznawszy, że wszyscy woleliby się jej pozbyć.

Wszystko to sprawiło, że Kate zatęskniła za czasami, gdy była tylko z Fionem. Wprawdzie zupełnie nie знаła się wtedy na magii i bez przerwy próbowano ją zabić, ale przynajmniej nie miała na głowie gromady kłótliwych wiedźm i czarowników.

Fion także nie uczestniczył w dyskusji. Siedział teraz z kolanami dociśniętymi do piersi i wpatrywał się w niebo, jakby próbował ocenić odległość dzielącą ich od słońca.

– Co tam? – spytała Kate, siadając obok. Była na siebie zła za wcześniejszy wybuch. W końcu to nie była wina Fiona, że reszta miała przed nią tajemnice. On też o nich nie wiedział. No i chyba naprawdę wierzył, że wcale nie była taką kiepską czarownicą.

Fion był teraz wyjątkowo markotny.

– Nic szczególnego – odparł. – Siedzę i zastanawiam się.

– Nad czym?

– Sama wiesz... – Westchnął przeciągle. – Chodzi o wszystko, co się dzieje i...

– Fion poruszył się niespokojnie. Nie spuszczał wzroku z błękitnego nieba, mimo że musiał mrużyć oczy, by nie raziło go słońce. – Sądzisz, że Fione... że ona... nie żyje?

Kate nie znalazła żadnych słów, by odpowiedzieć Fionowi. Być może powinna go teraz jakoś pocieszyć, ale czy na pewno byłby to dobry pomysł? W końcu mogło być właśnie tak, jak mówił. A nawet jeśli Fione żyła, to najpewniej znajdowała się w ogromnym niebezpieczeństwie i w każdej chwili coś mogło się wydarzyć.

– To zabawne – ciągnął Fion – bo przez całe życie się nie znosiliśmy. Nie przesadzam. Nieraz myślałem, że byłoby o wiele lepiej, gdyby zniknęła, ale teraz wszystko się zmieniło. Jest *inaczej*, gdy jej nie ma, czuję, jakbym stracił część siebie.

Zza pleców dobiegł ich głos Lilian, która radośnie oświadczyła:

– Zaraz będziemy jeść!

Kate zerwała się na równe nogi. Ze wstydem odkryła, że ulżyło jej, że nie musi kontynuować tej trudnej rozmowy.

– Wreszcie jakaś pocieszająca wiadomość – powiedziała i poklepała Fiona po ramieniu, aby podążył za nią.

Namiot był wystarczająco duży, by zmieścić co najmniej dwie kolejne tak liczne grupy. Po wejściu do środka Kate przeżyła coś, co księżki o czarach nazywały magicznym szokiem. Sądziła, że od dawna nie powinna już go odczuwać, bo zwykle przytrafiał się tylko początkującym wiedźmom, ale trudno

było go nie przeżyć, widząc wnętrze namiotu. Był w pełni wyposażony – stała tu szafka z naczyniami, kran, Kuchenka, a w kącie znajdowała się nawet niewielka lodówka. Na środku postawiony był niski, okrągły stół. Brakowało tylko krzeseł, zastąpionych przez miękkie, kolorowe poduszki. Wszyscy, oprócz gotujących Toma i Lilian, zdążyli już zająć miejsca.

Kate usiadła na poduszce obok Jonathana. Za głową Darrina dostrzegła drzwi z napisem TOALETA.

– Jak... – zaczęła, rozglądając się dookoła.

– Zwykły czar-łokum. – Fion uprzedził jej pytanie. – Jeśli sprzęty są w pakiecie, pojawiają się zaraz po rozłożeniu namiotu.

– Kupiliśmy go kilka lat temu, ale do tej pory prawie wcale nie używaliśmy – oznajmił Tom, rozkładając talerze na stole. Lilian podążyła za nim, niosąc garnek z czerwonym sosem i ryżem.

– Pachnie dziwnie... ostro – powiedział Fion, wąchając jedzenie.

– To kurczak tikka masala – odparła Lilian. – Dodałam tylko odrobinę chili.

Kate nałożyła sobie solidną porcję. Jeszcze kilka miesięcy temu czułaby wyrzuty sumienia, biorąc tak dużo, ale teraz o wiele mniej przejmowała się swoją linią.

Dla Fiona i Hiacintusa danie było najwyraźniej za ostre – każdy kęs popijali sporą ilością wody.

– Będziemy musieli się podzielić na dwuosobowe grupy i strzec namiotu przez całą noc – zauważył Darrin. – Poza tym trzeba uważnie się rozglądać, aż wreszcie pojawi się trzecia Brama.

– Najważniejsze, żeby nie odnaleźli nas wrogowie – stwierdził Fion, po czym znów się zakrztusił. – No wiecie, chodząc tak po całym Elphame, wystawiamy się na różne rzeczy.

– Myślisz, że mogliby nas teraz zaatakować? – spytała Kate.

Fion wypił resztę wody jednym haustem i odparł:

– Myślę, że mogą zaatakować nas w każdej chwili.

To stwierdzenie sprawiło, że coś przewróciło się w żołądku Kate, natychmiast pozbawiając ją uczucia głodu. Perspektywa walki skutecznie odebrała jej resztki dobrego humoru, którego ostatnio i tak nie miała zbyt wiele. Znienacka uderzyły ją też znów słowa Diany.

Była słabą wiedźmą – jak miała poradzić sobie z nadchodzącym zagrożeniem?



Sundari podeszła do swojego zadania z najwyższym oddaniem. Żałowała, że nie mogła przysłużyć się Strażnikom w żaden inny sposób. Z uwagi na swoje – jak to nazwała Lilian – *uwarunkowania genetyczne*, była przywiązana do terenów bagnistych i mokradeł. Woda zapewniała jednak szereg możliwości, pozwalała

na pewien *przepływ informacji*. Nie plotek, jak twierdziliby niektórzy. A wodne rusałki, podobnie jak inne świadome istoty zamieszkujące rzeki, strumienie i bagna Lasu Wielu, ochoczo wymieniały się tymi informacjami.

Wody Lasu Wielu były ze sobą połączone, chociaż nie fizycznie. Dawniej stanowiły jedną wielką rzekę i wciąż pamiętały o tych czasach.

Pierwszy odcinek drogi Brygady Badb Sundari mogła śledzić osobiście. Spodziewała się spotkać ich w godzinach popołudniowych. Nie myliła się. Gdy słońce przebyło nieco ponad połowę swojej dziennej wędrówki, usłyszała znajome głosy. Z ogromnym liściem na głowie, służącym jej za kamuflaż, obserwowała Brygadę ze swojego bagna.

Badb szła na przód z wielkim tobołkiem na plecach. Za nią podążał Harold, ewidentnie skwaszony. Selene i Hillena wędrowały na końcu.

– Żeby chociaż dało się tu teleportować – narzekał Harold. – Tracimy tylko czas.

– Bądź cicho – warknęła Badb. – Twoje uwagi nie mają żadnego sensu, skoro i tak nic nie możemy poradzić.

Harold poczerwieniał, ale nie odpowiedział. Mimo to Hillena spróbowała podjąć temat:

– Chyba rzeczywiście powinniśmy byli pomyśleć o jakimś transporcie. Idziemy już od ponad godziny, a do Tir-na-Nog jest bardzo daleko. Po drodze grozi nam wiele niebezpieczeństw.

– O jakim transporcie mówisz? – spytała chłodno Badb. – Latające motyle nie zapuszczają się do lasu, a gdybyśmy mieli lecieć ponad nim, z łatwością można by nas zauważyć. Jeśli masz na myśli konie, to robią zbyt wiele hałasu. Poza tym musimy rozglądać się w poszukiwaniu śladów.

Selene ciężko westchnęła.

– Szkoda, że nie mam już Steviego. Samochód wprawdzie działa, ale duch... to znaczy Anthony już sobie poszedł. Mogłabym zabrać auto ze sobą.

– Czyś ty zwariowała?! – oburzyła się Hillena. – Chcesz przemycać auto do Jaaru?!

– Przecież tylko sobie gdybam! Zresztą, nie zrobiłabym tego. Być może uda nam się znaleźć tu różne rzeczy, jeśli będziemy iść pieszo.

Hillena spojrzała podejrzliwie na przyjaciółkę, czego ta nawet nie zauważyła, bo uważnie rozglądała się po krzakach. Sprawiała wrażenie, jakby poszukiwała w nich czegoś konkretnego.

– Różne rzeczy? – spytała Hillena. – Niby co masz na myśli?

– No... nie wiem. – Selene nie odrywała wzroku od ziemi. – Jesteśmy w Lesie Wielu. Na pewno możemy znaleźć tu sporo ciekawostek. Może jakieś rośliny do twoich badań?

Zdawało się, że Hillena dobrze wiedziała, czego poszukuje Selene.

– Myślałam, że już o tym rozmawiałyśmy! – warknęła. Selene udała, że nie słyszy, jednak Badb pociągnęła temat:

– Chodzi o ten kamień? Ten, który należał do twojej rodziny, przy którym odprawialiśmy w młodości rytuały?

– Tak, właśnie o to jej chodzi – wtrąciła się Hillena. – A przecież jej tłumaczyłam, że kamień *sam* wybiera sobie właściciela. I że jeśli już ktoś może coś o nim wiedzieć, to tylko Eos.

Sundari niemal całkiem zapomniała o trzymaniu głowy w pionie tak, by nie upuścić liściastego kapelusza. Wiedziała, o jakim kamieniu była mowa. Nie miała jednak pojęcia o żadnych rytuałach i była przekonana, że Lilian i pozostali przyjmą tę wieść z nie mniejszym zdumieniem.

– Dajcie mi wreszcie spokój – zdenerwowała się Selene. – Sama wiem, czego szukam. Co z Fione? – zwróciła się do Badb. – Nadal jej nie wyczuwasz?

Badb, jak wszystkie fery, posiadała zdolność do kontaktowania się z członkami swojej rodziny na odległość. Wprawdzie było niemal pewne, że nie uda jej się nawiązać kontaktu z Fione wprost, wciąż jednak pozostawała nadzieja, że zdoła wyczuć chociaż ślady jej obecności.

– Nie. – Badb pokręciła głową. – Dokładnie tak samo było z Fionem, gdy uciekł z domu. Jego energia była przyblokowana. Jeśli porywacze ciągnęli Fione tą drogą, to dobrze zatarli ślady.

– Jak nie znajdziemy jej w tej ciemnej dziurze – odezwał się znów Harold, zapewne mając na myśli Tir-na-Nog – to pogadam sobie ze starą wariatką.

Badb nie zareagowała, mimo że mówił o jej matce.

– Swoją drogą – podchwyciła Hillena – zastanawiam się nad tym, jak Annwynn przedstawiła sprawę. Jak to mówiła?... Że aby znaleźć Fione, trzeba iść w kierunku przeciwnym do tego, w którym ją uprowadzono. Wcześniej uważałam to za niedorzeczne, ale może faktycznie w jej słowach kryje się jakiś sens...

– Przypuszczam, że to po prostu jej kolejne dziwactwo – odparła Badb. – Nie mogę jednak zaprzeczyć, że sporo mi pomogła, wskazując miejsce pobytu Fione. O ile oczywiście ma rację. Przypuszczam, że to Fion namówił Kate i pozostałych, by posłuchali tamtej przepowiedni. Nie wiedziałam, że utrzymuje kontakt ze swoją babką. Nie chciał się do tego przyznać, ale jestem przekonana, że odwiedzał ją już od dawna. Jest pod jej silnym wpływem.

– I są siebie warci! – warknął Harold.

Badb nie zwróciła na niego żadnej uwagi i ciągnęła:

– Cóż, to nie tak, że zabranialiśmy mu kontaktu z nią, choć sądziłam, że po tych wszystkich konfliktach... – Machnęła ręką. – Ech, nieważne.

– Nie pamiętam już nawet, o co wam dokładnie poszło. – Selene próbowała udawać zainteresowaną rozmową, choć nieszczególnie jej to wychodziło, bo wzrok wciąż miała utkwiony we wszystkim, tylko nie w swoich rozmówcach.

Harold od razu zaczął się użalać, co było jedną z jego ulubionych rozrywek.

– *Pani Beedlebee* – wycedził. – Pamiętała czasy, gdy pszczoły rozmawiały z ferami. Nie była zbyt zachwycona, że jej córka wychodzi za takiego fera jak ja. Pokłóciły się nawet podczas ślubu.

Badb westchnęła.

– Chodziło też o inne rzeczy – odparła. – Spotkaliśmy się z matką jeszcze raz, krótko po urodzeniu bliźniąt, ale wtedy też zakończyło się awanturą.

I naprawdę, skończmy już o tym rozmawiać. Najlepiej bądźcie przez jakiś czas cicho. Chcę się skupić i jeszcze raz spróbować nawiązać kontakt z Fione.

Dalszą drogę przez bagna przeszli w milczeniu, nie dostarczając Sundari żadnych informacji, jakie mogłaby przekazać reszcie.

Kolejne wiadomości dostała już od rusałek z Kwiecistego Zagajnika. Sundari wcześniej nagieła nieco fakty, informując wszystkich, że kręcące się tu wiedźmy i fery to ważni postaciami królewskiego rodu. Dzięki temu rusałki bardziej zainteresowały się sprawą. Potrafiły latać i były niewielkie, więc mogły dłużej przyglądać się Brygadzie Badb. Nie przyniosły jednak żadnych ciekawych wieści. Dwie z nich, przekrzykując się wzajemnie, doniosły głównie o tym, że drużyna wreszcie postanowiła odpocząć.

– A jedna z wiedźm wyciągnęła z dużej sakiewki, zrobionej ze skóry jakiegoś gruntowego zwierza, może niedźwiedzia...

– Nie, przecież sakwa nie miała sierści! To nie mógł być niedźwiedź!

– Stul gębę! Tamta wiedźma wyciągnęła z torby wielki, przenośny dom!

– To się nazywa namiot.

– Rozstawiła go na środku drogi, nie przejmując się tym, że mógłby tędy przejeżdżać ktoś ważny.

Na pytanie o to, co udało im się podsłuchać, rusałki odpowiedziały, że słyszały coś o zaginionej dziewczynie, prawdopodobnie księżniczce o długich złotych włosach i w miękkiej sukni.

– Porwał ją jakiś troll.

– Co jest dziwne, bo przecież w lesie od dawna nie ma żadnych trolli, prawda?

Przerażone rusałki spojrzały na Sundari, a ta zaczęła zastanawiać się, czy na pewno śledziły odpowiednią grupę. Wszystko wskazywało jednak, że właśnie tak było, ale dość mocno ubarwiły swoje opowieści.

– Nie, nie słyszałam o żadnych trollach – odparła Sundari. – Ale gdybyście jeszcze coś usłyszały, dajcie mi znać.

Prawdopodobnie prośenie ich o pomoc nie było najlepszym pomysłem, ale Sundari nie miała na razie żadnego innego. Jeszcze do wieczora czekała, aż pojawią się ponownie, ale nikt już nie przyszedł.

Niebo zaczęło szarzeć, a bagna spowijała gęsta mgła. Sundari, skrywszy się za czarami ochronnymi, zanurkowała i ułożyła się na miękkim, piaszczystym dnie. Nie spała jednak najlepiej. Zwykle kojący szum wody tego wieczora zdawał się nieść ze sobą niespotykane dotąd odgłosy. Szelest trawy brzmiał obco i niebezpiecznie, przez co miała wrażenie, że słyszy upiorne zawroscenie. W końcu, wiedzioną niewytłumaczalnym niepokojem, wyłoniła się na powierzchnię i zaczęła rozglądać.

Noc była zupełnie ciemna, ale w wodzie odbijały się światła świetlików unoszących się nad bagnami. Odgłosom pogrążonego w półśnie leśnego życia towarzyszyło coś jeszcze: coraz wyraźniejsze kroki.

Sundari nadstawiła uszu. Zrozumiała, że znalazła się w samym sercu czegoś interesującego, gdy zza drzew wyłoniły się zakapturzone postacie. Od północy zmierzały dwie istoty, z południa – jedna.

Nieznajomi ruszyli w swoją stronę. Najpewniej byli ferami, bo pod ich płaszcami kryły się wybrzuszenia, wskazujące na ukryte skrzydła. Gdy stanęły na tyle blisko siebie, by móc powitać się szeptem, jedna z postaci przybyłych z północy wyciągnęła przed siebie sakwę.

– Tylko to możemy ci dać – oznajmiła, wręczając ją przybyłemu z południa, najwyższemu z całej trójki. – Nic więcej nie mamy.

– Nie udało wam się zdobyć kwiatu? – spytał fer z południa.

Sundari była niemal pewna, że zna ten głos.

– Od początku mówiliśmy, że o tej porze jest na to za wcześnie. Nie zapuścimy się do Puszczy Krzyków. I tobie też to odradzamy.

Fer z południa milczał przez dłuższą chwilę.

– Kwiat życia jest mi bardzo potrzebny. Tam mogą znajdować się choćby jakieś fragmenty jego płatków...

– Czy potrzebujesz czegoś natychmiast? – spytała jedna z postaci z północy. – Nasz eliksir powinien wystarczyć na jakiś czas.

Wysoki fer się zawahał.

– Ale nie daje mi pewności...

– Nic więcej nie możemy zrobić – powiedział jeden z przybyłych z północy i wraz z towarzyszem odwrócił się, by odejść. Fer z południa ścisnął sakwę i odprowadzał pobratymców wzrokiem. Potem spojrzał w kierunku miejsca, które mieszkańcy bagien nazywali *zakazanym dla oczu*.

Mokradła, zamieszkiwane przez Sundari, były bezpieczne właśnie dlatego, że wiele istot bało się tu przychodzić. Ich strach wzbudzał stary i wielki pień, zwalony oraz wydrążony. Jego wnętrze przypominało tunel, który prowadził do jednego z najniebezpieczniejszych miejsc w całym Jaarze – Puszczy Krzyków. Portal był jednostronny, nie można było wrócić z jego pomocą.

Nikt nie chciał znaleźć się nawet przypadkiem w pobliżu pnia, jednak wysoki fer najwyraźniej miał zamiar przez niego przejść.

Niepewnym krokiem zbliżał się w stronę pnia. Szedł powoli, jakby wciąż analizując w myślach swoją decyzję. Wreszcie jednak stanął przed samym portalem i zrobił to, co nakazywały reguły przeniesienia w tym miejscu: zdjął z siebie szaty. Zgromadzone wokół świetliki rzuciły blask na jego ciało, tak że Sundari zdołała go rozpoznać.

Omam nie jęknęła z przerażenia. Teraz już nic nie mogło jej zaskoczyć.



Rozdział 8

Co widziała Sundari

Gdy w końcu zapadł zmrok, powietrze wypełnił przyjemny chłód. Kate i Jonathan jako pierwsi objęli wartę.

– Ciekaw jestem – powiedział Jonathan, rozkładając na trawie koc zabrany z namiotu – gdzie właściwie jesteśmy. Od początku podróży często sprawdzałem kompas. Najpierw kierował nas na południe, ale teraz pokazuje wschód. To dziwne. Dlaczego zmienia kierunek, zupełnie jakbyśmy wcale nie szli prosto do celu?

– Może Kryształowy Pałac się przemieszcza? – stwierdziła Kate. Sama nie przyglądała się kompasowi.

– Jak może się przemieszczać, skoro podobno znajduje się w sercu Elphame?

– Jesteśmy w Jaarze – odparła Kate, przekonana, że magia stanowi czasami odpowiedź na wszelkie wątpliwości. – Tutaj serce i środek mogą oznaczać różne rzeczy.

– Nie wydaje mi się. Sądzę, że to raczej my kręcimy się w kółko.

– Albo ten kompas to bubel. Znając Babcie, wcale by mnie to nie zdziwiło. Być może dała nam te amulety tak po prostu, żeby było nam raźniej w podróży.

Jonathan nie był przekonany, prawdopodobnie dlatego, że sam zbyt krótko znał Babcie. Przysunął się do Kate i objął ją ramieniem.

– Zastanawiam się, jak bardzo niebezpieczna może okazać się ta wyprawa – powiedział. – Bo na razie nic wielkiego się nie stało. Bramy do Kryształowego Pałacu powinny być chyba lepiej chronione.

Wtedy, jakby na jego własne życzenie, coś zaszumiało w liściach. Nie brzmiało

to jak szelest trawy, raczej jak syczenie.

– Co to? – Jonathan się przestraszył.

Kate spojrzała w kierunku, z którego dochodził odgłos. Zdawało jej się, że przez moment widziała tam zarys jakiejś postaci. Jednak gdy zamrugła oczami, już jej nie było.

– Wydaje mi się... – zaczęła, jednak szybko urwała. – Nie, to nic takiego – dodała, nie chcąc niepokoić Jonathana. – Pewnie jakiś owad. Wracając do Bram... Czytałam w jakiejś książce, że przejście przez Bramy nie może być zbyt trudne. Fery wybierają się do Kryształowego Pałacu w różnych sprawach, a dużo przeszkód znacznie by im to utrudniło. Wydaje mi się, że w tym wszystkim chodzi raczej o rodzaj jakiejś inwigilacji. Rozumiesz, przy Bramach sprawdza się, kto i po co chce przez nie przejść.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego Babcia kazała nam tu iść. Gdyby Fione rzeczywiście ruszyła w kierunku pałacu, to musiałyby przejść przez wszystkie Bramy. Ktoś na pewno by ją zauważył.

– Niekoniecznie. Jako narzeczona księcia Elphame, z pewnością mogłaby teleportować się do pałacu. Ale Babcia powiedziała, że nie musi chodzić tu tylko o Fione. Mówiła przecież, że może chodzić także o nas.

– I ty jej wierzysz? – odparł Jonathan bez przekonania.

To pytanie sprawiło Kate pewien problem. Nie dało się nie przyznać, że Annwynn świetnie radziła sobie z czarami, ale nadal pozostawała butna i wredna.

– Uhm... Tak, wierzę jej. To znaczy, nie pomyśl, że ją polubiłam, czy coś w tym stylu – wytłumaczyła szybko Kate. – Ja po prostu ufam jej mądrości i doświadczeniu. To właśnie Babcia nauczyła mnie, że w kręgu i w magicznej grupie przede wszystkim liczy się zaufanie. Nie musimy się lubić, ale powinniśmy wierzyć w szczerą intencję.

Jonathan nagle zerwał się na równe nogi.

– Właśnie sobie przypomniałem! – krzyknął. – Musimy zbadać poziom magicznej energii. Przecież Babcia o to prosiła. Skoczę po energoskop. – Ruszył w stronę namiotu, skąd po chwili dobiegły odgłosy przetrzepywania toreb.

Kate rozglądnęła się dookoła, czując głęboki niepokój. Nie przyznała się do tego Jonathanowi, ale zdawało jej się, że ktoś ich podsłuchiwał. Teraz, gdy została sama, to uczucie jeszcze się pogłębiło, zupełnie jak gdyby w ciemności zalśniła dodatkowa para śledzących ją oczu. W pierwszej chwili całkiem ją to obezwładniło. Odwróciła się w kierunku namiotu, a wtedy uczucie zniknęło, a trawa zaszleściła głośniej.

– Mam. – Jonathan wrócił z energoskopem. – Nie wiem, jakim cudem Lilian zdołała przykryć go połową swoich rzeczy.

Kate wstała i przez chwilę wpatrywała się w Jonathana, gotowa, by o wszystkim mu opowiedzieć. Chłopak, zajęty ustawianiem energoskopu, nawet tego nie zauważył. Gdy wreszcie odwrócił się w jej stronę, zrezygnowała z chęci informowania go o dziwnej obecności. Bo niby co miała mu powiedzieć? Że odniosła wrażenie, że ktoś się jej przyglądał? Tylko zaniepokoiłaby swoimi

podejrzeniami Jonathana i całą resztę.

– Dobrze – powiedziała. – Jesteś pewien, że właściwie go ustawiłeś?

– Tak mi się zdaje.

Wbity w ziemię energoskop połyskiwał w świetle księżyca. Jonathan nacisnął zielony przycisk i pręciki zaczęły powoli drgać. Po chwili wirowały już i krążyły, coraz szybciej i szybciej. Kate dotknęła obudowy – była bardzo gorąca

– To niesamowite – powiedziała. – Poziom energii jest tu ogromny.

Nagle wszystkie pręciki wskazały jeden kierunek. Jonathan i Kate powędrowali za nimi wzrokiem i oboje zaniemówili. Kilka stóp od namiotu pojawiły się kontury ogromnej budowli. Zdawało się, że pochłaniała energię z księżyca, bo przybierała coraz wyraźniejszy kształt emanujący srebrnym światłem. Wreszcie jej mury zmaterializowały się do końca i teraz tuż obok namiotu stało coś na wzór zamku, z potężną wieżą wznoszącą się wysoko ku nocnemu niebu.

Dojście do siebie zabrało Jonathanowi i Kate kilka chwil. Spojrzeli po sobie w osłupieniu, a potem oboje rzucili się do namiotu i zaczęli wszystkich budzić.

– Wstawajcie, szybko!

Fion przewrócił się na posłaniu i przetarł oczy, a Hiacinthus natychmiast chwycił za swoje athame. Rozespany Tom sprawiał wrażenie, jakby nie był pewien, czy lepiej będzie zwlec się z pościeli, czy najpierw sięgnąć po jakąś książkę, a Lilian wybiegła z łazienki w szlafroku. Jedyne Darrin i Diana wyglądali na wystarczająco przytomnych, by sensownie zareagować.

– Co się dzieje? Co zobaczyliście? – Diana pochwyciła Jonathana za ramiona.

– Na zewnątrz pojawił się jakiś budynek!

– Energoskop wskazał wyjątkowo wysoki poziom magii! – dodała Kate.

– Trzeba to zaraz sprawdzić.

– No już, dalej! – Lilian, mimo że sama zajęta przebieraniem się, ponaglała Toma, Fiona i Hiacintusa, żeby przyspieszyli. – Musimy zwinąć namiot.

Gdy wszyscy byli już na zewnątrz, Lilian została ze zwijaniem namiotu sama. Nie wymagało to jednak dużo pracy. Wystarczyło, że dotknęła końcem athame stelażu. Materiał wreszcie opadł na trawę, tak jakby wcześniej nie było pod nim zupełnie nic. Później Lilian szturchnęła Toma, który jednym machnięciem ręki sprawił, że części namiotu wpadły z powrotem do ich toreb.

Nad zamkową wieżą unosiła się tajemnicza mgła, która przenikała przez mury, zupełnie jakby konstrukcja była jedynie wytworem ich wyobraźni. Ale musiała rzeczywiście tu stać. W końcu wszyscy wyraźnie widzieli twarde, solidne kamienie, z których zbudowano ściany.

– No, to chyba jesteście przed trzecią Bramą – stwierdziła Diana.

– Albo pułapką – zauważył Jonathan, czemu Kate energicznie przytaknęła.

– Strażniczki powiedziały, że Brama ukaże się sama – przypomniał im Fion. – Chyba właśnie to miały na myśli.

– Nie dowiemy się, jeśli nie wejdziemy – powiedziała Lilian. – A nawet jeśli to jakaś pułapka, to w ósemkę spokojnie sobie poradzimy.

Pierwszy krok wykonali razem, a potem naprzód wychyliła się Kate,

uznawszy, że to dobra okazja, by udawać odważną. U drzwi zamku zawieszona była kołatka, ukazująca twarz istoty podobnej do kobiety, ale z wyjątkowo długim i cienkim językiem. Jednak to nie ona przykuwała uwagę – o wiele ciekawszy wydawał się umieszczony nad drzwiami napis:

Wejdz do mnie i znajdź, czego szukasz.

Zabierz to, czego potrzebujesz.

– Ciekawe, dlaczego napis jest akurat po angielsku? – zastanawiał się Tom.
– Jakby to było istotne – prychnęła Lilian.
– Ja widzę go w języku ferów – odparł powoli Fion. Hiacinthus przytaknął.
– W takim razie zamek na pewno ma w sobie coś z iluzji – uznała Diana. – Przypuszczam, że każdemu ukazuje napis w jego własnym języku. Może nawet o innej treści.

– Pewnie tak – zgodził się Tom. – Bramy mogą okazać się inne, zależnie od podróżnika. Chciałbym wiedzieć, co ma nam przekazać napis.

– Wejdzmy do środka i się przekonajmy – zaproponowała Kate i zastukała kołatką. Zamiast dźwięku uderzenia usłyszeli cichą, spokojną muzykę. Wrota zaskrzypiały i po chwili zaczęły się otwierać.

Kate, wchodząc do środka, zastanawiała się, czy spotka istotę, której obecność wyczuwała. Zamek był jednak opustoszały – właśnie znajdowali się na wewnętrznym dziedzińcu. W otaczających go gładkich murach znajdowało się kilka przejść. Każde z nich zasłonięte zostało płachtą przybrudzonego płótna. Z sufitu zwisało mnóstwo długich łańcuchów, do których przypięto świece. Pośrodku stała szafa z lustrem. W zamku były tylko dwa wielkie okna, jedno wychodzące na północ, drugie na południe. Poza tym nie było tu już nic więcej.

Ciszę w budynku po chwili przełamały odgłosy kroków na kamiennej posadzce. Wszyscy zaczęli przechadzać się z wyciągniętymi przed siebie athame.

– Szukajcie jakichś znaków – powiedział Darrin. – To może być coś bardzo małego.

– Moim zdaniem musimy po prostu przejść przez jedną z zasłon – stwierdziła Diana. – Któreś z drzwi muszą okazać się przejściem do kolejnej Bramy.

– Ale ile ich jest? – spytała Kate i szybko policzyła zasłonięte płótnem przejścia. – Siedem... Wygląda na to, że ktoś bardzo chce, żebyśmy się rozdzielili...

Uważnie przyjrzeni się ścianom i podłodze, ale nie znaleźli żadnych wskazówek co do tego, gdzie się kierować. Na razie nie wybrali żadnego z przejść. Nie zbadali jeszcze tylko lustrzanej szafy.

– Albo znajdziemy w niej przejście, albo wracamy – uznała Lilian.

– Nie ma mowy! – zaprotestowała Diana. – Po co bawić się znów w rozkładanie namiotu? Skoro już tu jesteśmy, spędźmy w zamku noc. Może wtedy coś się wydarzy.

– Właśnie tego się obawiam... – przyznała Lilian. – Mam złe przeczucia.

Nim jednak zdecydowali, co zrobić, zamek podjął decyzję za nich. Wrota zaczęły się zamykać, a Lilian spojrzała na Dianę tak, jakby było to jej winą.

Tymczasem Kate zbliżyła się do szafy. Wydawała się całkiem zwyczajna. Może jednak to ona była portalem?

– Poczekaj! – Lilian powstrzymała ją przed otwarciem drzwi. – Nim ją sprawdzimy, trzeba przygotować się na wszelkie możliwości.

– Jasne! – Diana przewróciła oczami. – I będziemy teraz przez wieczność rozważać kolejne scenariusze. Chyba zwariowałaś!

Zniecierpliwiony Darrin westchnął, podszedł do szafy i po prostu pociągnął za drzwi. W środku zalegał kurz, który wzbił się w powietrze. Wraz z nim z szafy, tuż pod stopy Darrina, wypadła niewielka kartka. Darrin podniósł ją i przyjrzał się jej uważnie.

– Co to jest? – spytał Tom. Wziął kartkę od Darrina i założył swoje magiczne okulary. – Dziwne...

Kartka zaczęła wędrować z rąk do rąk, aż wreszcie dotarła do Kate, która, podobnie jak pozostali, niewiele rozumiała z jej zawartości. Na papierze znajdował się jedynie rysunek przypominający spiralę lub muszlę ślimaka. Otaczały go trójkątne symbole żywiołów, którymi fery oznaczały kierunki: symbol powietrza dla wschodu, ognia dla południa, wody dla zachodu i ziemi dla północy.

– To ścieżka – stwierdził Jonathan. – Najwyraźniej musimy iść w ten sposób, by dotrzeć do kolejnej Bramy.

– Uważasz, że mamy przebyć ją tu? – odparł Hiacinthus. – Ale jak? Obrazek w ogóle nie przypomina zamku.

– Może powinniśmy wykonać odpowiednie ruchy? – zastanawiała się Lilian. – Jak w tańczonych zaklęciach.

Reszta przyjęła jej propozycję z chłodną rezerwą. Nikt nie miał ochoty okrążyć posadzki w sposób ukazany na rysunku. Niezrażona Lilian ustawiła się pod jedną ze ścian i, uważnie przypatrując się wzorom, zaczęła wykonywać kolejne ruchy, dochodząc w ten sposób do szafy. Zamknęła ją i otworzyła raz jeszcze, jednak nic się nie wydarzyło.

Diana, nie przejmując się ustanowioną przez Lilian ścieżką, zrobiła kilka susów w kierunku szafy i zabrała kartkę. Potem oddaliła się z nią w kąt i sama zaczęła studiować rysunek.

– Hej! Jesteście tam?! – Z torby Lilian dobiegły czyjeś słowa. Stojący obok Jonathan odsunął się niepewnie, szybko jednak on i pozostali rozpoznali w wydobywającym się z torby głosie Sundari.

Lilian wyciągnęła szklaną kulę. Ukryta za szkłem Sundari wyglądała na przerażoną.

– Co jest? – spytała Lilian, a wszyscy, oprócz wciąż stojącej w kącie Diany, zgromadzili się wokół kuli.

– Mam wiadomości, ale... Niewiele z nich rozumiem. Nie wierzę w to, co zobaczyłam.

Napięcie sprawiło, że nikt nie odpowiedział, więc od razu mogła przejść do rzeczy.

– Śledziłam BB, ale to nie o nich chodzi... To znaczy o to też, ale bardziej nie,

bo jednak... – Westchnęła. – Dobra, słuchajcie, to się stało dosłownie przed kilkoma chwilami na mokradłach.

Wlepili zaciekawione spojrzenia w kulę, popychając się nawzajem, by każdy miał dość miejsca.

– Położyłam się wcześniej, ale zbudziły mnie jakieś odgłosy – mówiła dalej roztrzęsiona Sundari. – Zobaczyłam dwie postacie zmierzające z północy i jedną z południa. Miały kaptury, ale coś mi mówiło, że to fery, bo wiecie, jednak łatwo je rozpoznać i w ogóle. No, to te z północy dały coś ferowi z południa, jakiś eliksir, i ostrzegły go, by nie szedł do Puszczy Krzyków.

– Gdzie? – spytał Jonathan.

– To bardzo niebezpieczne miejsce – odparł szybko Fion. – Można się tam dostać przez Las Wielu, ale nie polecam tego robić. Nie rozumiem tylko, jak to się ma do naszej sprawy.

Oczy Sundari zrobiły się jeszcze większe niż zwykle.

– Ma – odparła, energicznie kręcąc głową. – Bo ta postać... Ta, która przyszła z południa... To był Murugan.

Wszyscy wstrzymali oddech, ale najbardziej zszokowany był oczywiście Fion. Wytrzeszczył oczy, jakby wiadomość z kuli go poraziła. Kate doskonale go rozumiała – nic nie miało już sensu.

– To... To zupełnie niedorzeczne – odparł Fion, najwyraźniej poczuwając się do obowiązku, by odpowiedzieć. – Nie rozumiem.

– To jeszcze nie wszystko – dodała Sundari. – Tamte dwie zakapturzone postacie były podejrzan. Nie widziałam ich dobrze, ale ich akcent... No cóż, jestem pewna, że to byli Tirnanie.

Teraz Fion zupełnie pobladł. Sprawa była więcej niż podejrzana.

Kate zaczęła gorączkowo myśleć. *Zniknięcie Fione, tajemnicze kontakty Murugana z Tirnanami. To wręcz oczywiste, ale może zbyt oczywiste. Przecież Murugan nie mógł maczać palców w porwaniu Fione!*

– Posłuchajcie – powiedziała, nim ktokolwiek zdążył się odezwać. – Cokolwiek sobie myślicie, nie wyciągajcie pochopnych wniosków, bo... bo... Bo po prostu w to nie wierzę.

Brakowało jej innych argumentów. Choć nie znała Murugana dość dobrze, żywiła do niego pewną sympatię. Gdyby nie on, od dawna by już nie żyła.

– Mówię tylko, co widziałam – oznajmiła Sundari. – On szukał czegoś, co może kogoś ożywić albo wydłużyć życie. Tak to zrozumiałam.

Kate poczuła, że robi jej się niedobrze. O ożywianiu mówił jej już wcześniej Robert. Ta praktyka kojarzyła jej się tylko z mroczną magią.

– I zniknął w przejściu, tak? – zapytał Tom, na co Sundari pokręciła głową.

– Nie wiemy, dlaczego wybrał się do Puszczy Krzyków – zauważył trzeźwo Darrin. – A Kate ma rację, mówiąc, by nie wydawać od razu wyroku.

– Powiedz jeszcze co z BB – odezwała się Lilian i wszyscy oprócz Fiona, siedzącego z niewyraźną, przygnębiającą miną, na nowo zamienili się w słuch.

– W większości nie mówili o ważnych sprawach. Nie są pewni, czy Annwynn miała rację, ale zmierzają w stronę Tir-na-Nog pieszo. Selene nadal szuka

kamienia.

Tym razem to Kate zmarkotniała. Nim kamień Danu trafił do niej, znajdował się długo w ezoterycznym sklepie Selene, która najwyraźniej nadal nie mogła przeboleć jego utraty. To rodziło obawy, że gdy prawda wyjdzie na jaw, może zechcieć go odzyskać.

– Poza tym – dodała Sundari – Badb powiedziała, że gdy byli młodszy, odprawiali wokół kamienia jakieś czary.

Pozostali spojrzeli na Kate, jakby sądzili, że pokrewieństwo z panią Hallander automatycznie daje jej wiedzę na temat całej rodzinnej przeszłości.

– Nic mi nie wiadomo o żadnych czarach – zapewniła ich. Sama chętnie by się dowiedziała, o co chodzi.

– Śledź ich nadal – powiedziała Lilian do Sundari, która odparła:

– Teraz podążają za nimi moje znajome, ale... Cóż, ich wersja wydarzeń jest nieco... podkoloryzowana.

– Tak czy inaczej każda informacja może okazać się przydatna – stwierdził Tom.

Sundari pokiwała głową i ziewnęła. Jej zmęczenie sprawiło, że szybko pożegnała się i zniknęła. Tymczasem w zamku rozgorzała dyskusja:

– Jak sądzicie, dlaczego Murugan miałby iść do Puszczy Krzyków? – zastanawiała się Lilian.

– Dobre pytanie – odparł Tom. – Fion, być może...

Ale Fion nie słuchał. Nadal z zatrwożoną miną wpatrywał się w posadzkę.

– Zostawmy go – powiedziała Kate. – Musi sobie to pewnie przemyśleć.

– Co do pytań, mam jeszcze jedno – odezwał się Hiacinthus. – Gdzie zniknęła Diana?

Wszyscy zaczęli się rozglądać. Nikt nie spostrzegł nieobecności Diany, co było zastanawiające. Zwykle dorzucała swoje trzy grosze do każdej istotnej dyskusji, więc jej milczenie powinno było ich zaalarmować

– Pamiętam, że stała tam – zaczęła Kate, wskazując ścianę. – Przy jednym z... przejść.

Sama dopiero po chwili uświadomiła sobie, co powiedziała. Skoro Diany nie było już w zamku, musiała chyba wybrać którąś z siedmiu dróg prowadzących na zewnątrz.

– Nie wierzę! – wściekła się Lilian. – Poszła sobie bez nas?!

– Może rozszyfrowała obrazek i znalazła drogę? – zasugerował Jonathan.

– Tym gorzej, jeśli nas o tym nie poinformowała! – zawołał Tom.

Kate przypuszczała jednak, że istniała kolejna opcja: taka, która podobała jej się najmniej, nawet przy całej niechęci, jaką żywiła do Diany.

– Być może w przejściu było coś, co zdołało ją uprowadzić? – spytała.

Natychmiast gdy podzieliła się tą obawą z pozostałymi, zaczęli nawoływać Dianę. Żadne nie odważyło się jednak przejść przez zasłony.

– Nawet jeśli zniknęła, prawdopodobnie nic jej nie jest – stwierdziła Lilian. – Być może wróciła po prostu do punktu wyjścia. Trudno. Ale my nie możemy przejść przez zasłony na chybił trafił. Nie wiadomo, co mogłoby się wtedy

wydarzyć.

– A może ona wcale nie przeszła przez jedno z przejść? – powiedział Hiacinthus. – Może...

Powędrował wzrokiem w stronę szafy, a reszta podążyła za nim. Nagle lustrzane szkło wydało się Kate bardzo podejrzane.



Diana przecierała oczy ze zdumienia. Właśnie stała w jednym z najpiękniejszych, najbardziej kolorowych ogrodów, jakie kiedykolwiek widziała. Soczyscie zielona, równo przycięta trawa pachniała wiosną, a kwiaty tworzyły symetryczne wzory. Liczne żywopłoty pokryte były pnączami, a niektóre z roślin powoli się poruszały.

Ale jak tu właściwie trafiła? Wszystko stało się tak szybko, że niewiele z tego pamiętała, a jeszcze mniej rozumiała. Przeglądała się rysunkowi labiryntu i raz po raz czytała słowa zapisane dla niej na kartce przez Babcię Annwynn. A potem nagle znalazła się tutaj. Nie była jednak w stanie sobie przypomnieć, co wydarzyło się pomiędzy. Chyba stała przy jednej z zasłon. Nie zwracała na nią większej uwagi. Możliwe, że zasłona poruszyła się. Czy to możliwe, że ukazała się za nią jakaś dłoń? Dłoń, którą ją tu wciągnęła?

– No tak. – Diana uśmiechnęła się pod nosem. – Najwyraźniej jak zwykle sama poradziłam sobie z łamigłówką.

I wcale nie przejmowała się tym, że niczego przecież nie rozwiązała. Widocznie starczyło po prostu dłużej potrzymać rysunek. Może stanowił coś w rodzaju portalu stałego. To wydawałoby się nawet logiczne. I wcale nietrudne do zrozumienia.

Przeszedłszy kilka kroków przez cudowny ogród, poczuła nęcącą woń kwiatów. Wydawała jej się magiczna, zupełnie inna od zapachów ogrodów, jakie znała do tej pory. Ten musiał być prawdziwie zaklęty.

W oddali stał niewielki dom. Diana ruszyła w jego kierunku, przekonana, że to tam znajdzie przejście przez kolejną Bramę.

– I jeśli dobrze pójdzie – dodała do siebie – jako pierwsza przejdę przez nie wszystkie.



Rozdział 9

Fer w lustrze

Poszukiwania Diany wydawały się pozbawione sensu. Lilian, jakby próbując usprawiedliwić to, że niczego nie robili, wciąż przypominała, że misja jest ważniejsza od każdego z nich. Tym samym wywoływała nieprzyjemny ucisk w żołądku Kate, która wciąż miała w pamięci słowa Diany.

Wszyscy uznali, że jeśli do rana nic się nie wydarzy, opuszczą zamek.

– Choć pewnie on zniknie sam – zauważył Fion, który powoli wracał do normalności. – I może właśnie o to chodzi. Musimy tu przeczekać, a gdy się obudzimy, będziemy już w innym miejscu.

Żadne z nich nie potrafiło zrozumieć zachowania Murugana. Lilian i Jonathan prześcigali się w domysłach co do powodu jego wyprawy do Puszczy Krzyków. Kate nie śledziła ich dyskusji. Zamiast tego zastanawiała się nad Dianą. Jak to się stało, że zniknęła? I w dodatku zabrała ze sobą kartkę z rysunkiem labiryntu. To zresztą nie była jedyna kartka, jaką miała Diana. Wciąż pozostawała jeszcze kwestia tamtej, którą otrzymała od Babci Annwynn. Im dłużej myślała o niej Kate, tym bardziej ciekawiło ją, co na niej właściwie było.

W samotnym lustrze odbijały się migoczące płomienie świec. Kate wstała i podeszła do szafy. Przez chwilę przyglądała się swojej twarzy w odbiciu szklanej tafli. Jej amulety znów wplątały się we włosy. Zaczęła je rozplątywać i skupiwszy na nich niemal całą uwagę, dostrzegła w lustrze poruszającą się sylwetkę. Spojrzała za siebie. Reszta wciąż rozmawiała, wszyscy leżeli na posadzce, trzymając głowy na kocach. Jednak osoba, do której należała sylwetka, stała...

Nie, tam wcale nikogo nie było – pomyślała Kate. Brak snu i nieczęste posiłki musiały źle na nią wpływać.

Zajęła się dalszym rozplątywaniem amuletów, celowo unikając spojrzeń na lustro. Ten lęk wydawał się śmieszny, niedorzeczny... Choć z drugiej strony, po tym, co przeżyła ostatniego lata...

W końcu rozplątała amulety i mimowolnie spojrzała na swoje odbicie.

I wtedy go zobaczyła.

Fera.

A może wcale nie był ferem? Miał długie złociste włosy, a jego seledynowe ciało pokrywały tatuaże, ale był wysoki jak człowiek. Brakowało mu wprawdzie skrzydeł i – co Kate przyjęła z jeszcze większym zaskoczeniem – miał na sobie żółte spodnie na szelkach oraz niebieskie kalosze. Już je gdzieś widziała...

Zaczęła zastanawiać się, czy nie ma omamów, bo reszta jakoś nie dostrzegła zielonego fera. Gdy się obróciła, nie zauważyła nikogo. A jednak – gdy znów spojrzała w lustro, wciąż tam stał, w dodatku usilnie się w nią wpatrywał, marszcząc przy tym czoło.

Zaczęła zbliżać dłoń w stronę lustra. Wtedy fer uniósł obie ręce i zaczął energicznie nimi machać. Domyśliła się, że chciał powstrzymać ją przed dotykaniem szklanej tafli. Cofnęła się, a wtedy on odetchnął z ulgą. Potem rozejrzał się wokół i odszedł, znikając za ramą. Kate szybko się przesunęła i spojrzała w lustro pod kątem. Jedynie przez krótką chwilę widziała jeszcze plecy odchodzącego fera. Na jego łopatkach rozciągały się dwie szramy.

– Co ty robisz, Kate? – spytał ją Fion, podejrzliwie na nią patrząc.

– Tam coś było. To znaczy... Tam *ktoś* był!

– Co? – Lilian poruszyła się niespokojnie. Inni też wstali.

– Widziałam fera. W lustrze! – zawołała i opisała im dokładnie, co się wydarzyło.

– To dość dziwaczne – przyznał Darrin.

– Chyba nie powiesz mi, że to niemożliwe, by zakląć lustro, prawda? – odparła Kate.

– Nie. To oczywiście możliwe... Ale jego strój... Fery zwykle nie noszą ludzkich ubrań.

– Mówię, co widziałam – oznajmiła chłodno Kate. – Nie wydawało mi się. To i tak mniej niedorzeczne niż połowa rzeczy, jakie istnieją w Jaarze.

– Nie mówimy, że ci nie wierzymy – zapewnił Tom. – Tylko... To dość zastanawiające.

– Podobnie jak to, że nie miał skrzydeł – stwierdziła Kate.

– To może wcale nie był ferem? – odparł Jonathan. – To w ogóle możliwe, żeby fer nie miał skrzydeł?

– Jak najbardziej możliwe – powiedział Hiacinthus. – Ale rzadko spotykane. Niektóre fery po prostu się takie rodzą.

– Albo dzieci mieszane ferów i ludzi, ferianie – dodała Lilian, a gdy Kate posłała jej zdumione spojrzenie, uzupełniła: – Co w tym dziwnego? Przecież jesteśmy prawie tacy sami.

Kate pokręciła głową. Ich teorie do niej nie przemawiały.

– Nie, nie. On wyglądał prawie całkiem jak fer, ale w miejscach skrzydeł miał szramy. Jakby blizny po... po cięciach?

Fion i Hiacinthus wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Co jest? – spytała Kate. Coraz bardziej martwiły ją wszystkie te niedomówienia i fakt, że wciąż miała wrażenie, że nikt nie traktuje jej słów poważnie.

– Kate, z twoich słów wynika, że on mógł być Tirnanem... – odparł Fion.

– No tak! – Kate wcale się nie zdziwiła. – Babcia od początku mówiła, że to Tirnanie porwali Fione. Znaleźliśmy winnego. Albo jednego z nich. Musimy jakoś go złapać, nie wiem, rozbić to lustro albo... – wymieniała gorączkowo.

– Nie, nie, nie – przerwał jej Fion. – Nie rozumiesz. Jeśli on był Tirnanem, to na pewno nie wolno mu przebywać w Tir-na-Nog.

Kate uniosła brwi.

– Faktycznie, nie rozumiem – przyznała.

Dalszego tłumaczenia podjął się Hiacinthus. Z jakiegoś powodu – może z uwagi na jego spokojniejszy ton lub przez to, że nie był jej ferem – Kate była bardziej skłonna posłuchać jego niż Fiona.

– Tirnanie mają pewien... zwyczaj. Dość barbarzyński. Otóż gdy ktoś z nich zostanie oskarżony o zdradę, zabija się go lub skazuje na wygnanie, w zależności od pełnionej funkcji i przynależności do stanu. A nim wydalają zdrajcę z Tir-na-Nog, wyrrywają mu skrzydła...

Kate zaniemówiła, czując, że przechodzą ją ciarki. Wołała nie wyobrażać sobie, jak musiało wyglądać wykonanie podobnej kary. W jej głowie pojawiła się za to nowa teoria, dotycząca przepowiedni Babci Annwynn.

– Czyli wygląda na to, że właśnie zrozumieliśmy, o co chodziło Babci. To, że Fione znajduje się w Tir-na-Nog, stanowi przenośnię. Została *porwana* przez Tirnanina, ale on uprowadził ją w głąb Elphame. Dlatego mieliśmy tu przybyć, by ją uwolnić.

Lilian nie wyglądała na przekonaną. Zresztą żadne z nich nie wyglądało, jednak to jej mina wyrażała największe wątpliwości.

– No nie wiem, Kate. Dlaczego zakładasz, że to on porwał Fione?

– Po prostu takie rozwiązanie przyszło mi do głowy. Poza tym jestem pewna, że śledził nas od początku. Kojarzyłam jego buty z...

Zaczęła się zastanawiać, wracając myślami do ostatnich dni. Nagle wróciło do niej wspomnienie.

– No jasne! – zawołała. – Widziałam je u Pijanego Barda! Obok naszego stolika siedziała jakaś postać w kapoku. Miała na nogach dokładnie takie same buty!

– W porządku – odparła Lilian. – Tylko że jeśli to ten fer jest porywaczem, to po co miałyby ukazywać ci się w lustrze? Jak dla mnie to raczej wolałyby nas unikać. Może w rzeczywistości chciał nam coś przekazać?

– Gdyby tego chciał, nie uciekłyby – zauważyła Kate.

– Spokojnie – odezwał się Fion. – Na razie i tak nie mamy pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

– Zaraz się dowiemy – wypalił Darrin, szybko podchodząc do lustra.

– Nie! – zawołała Kate. – On ostrzegł mnie, żeby...

Ale było już za późno. Darrin położył dłoń na tafli lustra. Kate zamarła w oczekiwaniu na to, co się stanie. Jednak lustro nie wciągnęło Darrina, a po drugiej stronie nikt się nie pojawił.

– Mówiłam wam, że fer zdawał się sugerować, żebym nie dotykała lustra – powiedziała Kate, sądząc, że mimo wszystko można już odetchnąć z ulgą. Starczyło jednak, że wypowiedziała te słowa, a w mig pojęła, o co chodziło ferowi.

Nagle usłyszeli szept, do którego stopniowo dochodziły kolejne. Ciche słowa opanowały przestrzeń, dochodząc ze wszystkich stron, powtarzalne jak echo i syczące w złości. Budynek zatrzęsł się, jak gdyby uderzyła w niego kula armatnia. Z sufitu posypał się pył i wosk ze świec. Po chwili wszystkie ściany drżały i zdawało się, że zamek pochwycił olbrzym, który zaczął nim potrząsać, próbując oderwać go od ziemi.

– Co się dzieje?! – krzyknęła Lilian. Wszyscy skupili się pod jedną ze ścian i instynktownie złapali za ręce.

Wzrok Kate powędrował znów w kierunku lustra, od którego wszystko się zaczęło. Zobaczyła, jak po drugiej stronie pojawiła się dłoń. Płynęła w powietrzu, otoczona ciemną mgłą. Zbliżyła się do tafli lustra i spoczęła na niej, stykając się z odbiciem dłoni Darrina. Zaraz potem w lustrze pojawiło się więcej rąk, małych i żółtawych, które przepychały się ze sobą, a każda próbowała dotknąć szkła. Zdawały się je szturmować, jakby lustro stanowiło dla nich więzienie.

Pojawieniu się dłoni towarzyszyła zmiana w szepczących dotąd głosach. Teraz nie były już powolne i ciche, ale zaczęły przyspieszać i stawać się coraz głośniejsze, aż w końcu przerodziły się w przeraźliwe wrzaski. Głosy nie wołały niczego konkretnego, brzmiały raczej jak okrzyki bojowe. Trudno było je znieść. Narastały tak szybko, że Kate musiała puścić dłonie Lilian i Jonathana, by zatkać sobie uszy. Nie była w stanie odwrócić głowy od lustra. Żałowała tego, bo między dłońmi przecisnęła się czyjaś niewielka głowa. W wyłupiastych oczach widać było szaleństwo, a przydługie, czarne i tłuste włosy oblepiały wodorosty, zaś sine wargi rozchyliły się, ukazując ostre zęby.

Wreszcie budynek poderwał się i zaczął wirować. Krajobraz za oknem zmieniał się w zatrważającym tempie – gwiazdy pojawiały się i znikwały, czasem przysłaniała je zupełna czerni, później skłębiona mgła. Wreszcie okna otworzyły się, wpuszczając do środka lodowaty wiatr.

Wszystko to ustało, gdy zamek opadł z łoskotem na ziemię. Wstrząs sprawił, że wszyscy upadli z krzykiem. Potem zapanowała całkowita cisza. Przerywało ją tylko głośne bicie serc, które w połączeniu tworzyły rodzaj kakofonicznej muzyki.

Głowa widoczna za lustrem zaczęła wreszcie przeciskać się przez jego ramy. Za nią podążyły liczne ręce, które najpierw macały szafę, jakby próbowały zbadać teren. Opuszczały lustro, ciągnąc za sobą wiotkie, nagie tułowia. Ich

twarze były identyczne jak ta, którą przed chwilą widziała Kate.

– O cholera – przekleństwo Jonathana zostało stłumione przez wrzask, który na nowo zaczął wydobywać się z ust obrzydliwych istot.

Wrota zamku nagle się otworzyły, a wszyscy zaczęli uciekać. Kate nie zauważyła nawet momentu, w którym wstała. Jej ręce machinalnie sięgnęły po leżącą na podłodze torbę na pół sekundy przed tym, gdy nogi skierowały ją wprost w stronę wyjścia. Przez chwilę czuła pod stopami twardą posadzkę, a ułamek sekundy później miękką ziemię.

Istoty ścigały ich, a przynajmniej robiły to ich głosy, bo gdy Kate obejrzała się przez ramię, nie dostrzegła żółtawych ciał. Jednak krzyki narastały i wydawały się coraz bliższe. W każdej chwili mogły ją dopaść i zabić lub zmienić w jedną z uwięzionych w lustrze istot.

Gorączkowo myślała o pozostałych. A jednak nie umiała zmusić się do zatrzymania. Kątem oka widziała, że Fion leciał gdzieś niedaleko, a Jonathan był może metr dalej. Słyszała też wrzaski Lilian. Przynajmniej ta trójka wciąż była bezpieczna.

Teren zaczął robić się wyboisty i mokry. Nagle Kate odkryła, że wbiegła w płytki strumień usiany kamieniami. Krzyki istot stawały się mniej wyraźne, jak gdyby woda stanowiła dla nich rodzaj przeszkody. Kate odwróciła się raz jeszcze. Tom i Darrin wskakiwali na kamienie jako ostatni.

Chyba wszyscy są bezpieczni – pomyślała i gdy tylko te słowa pojawiły się w jej głowie, potknęła się o jeden z kamieni i z krzykiem wpadła wprost do wody.

Wtedy zrozumiała, że płytkość rzeki była tylko iluzją. Nie uderzyła o dno. Co dziwniejsze, nawet się nie zmoczyła. Zamiast tego wpadła w magiczny portal i zaczęła spadać, pogrążona w całkowitym mroku.



Rozdział 10

Mile widziani goście

Noc wymieniła się z jasnym dniem. Kate leżała na plecach, a nad nią, na czystym niebie, górowało nad wyraz jaskrawe słońce. Była zupełnie zdezorientowana i nie mogła złapać tchu. Nawet nie zdołała odpocząć po ucieczce, bo już po kilku sekundach pojawiło się coś nowego.

Ujrzała cień – potężny, przypominający długą szyję zwieńczoną rozwartą paszczą. Gdyby nie zrobiła natychmiastowego uniku, najpewniej już by nie żyła, bo po chwili w miejsce, w którym leżała, uderzyła korona ogromnego kwiatu.

Kate zerwała się na równe nogi, z przerażeniem patrząc na to, co działo się tuż obok. Kwiat, wielki niczym domy ferów, poruszał się w powietrzu jak rozjuszony zwierzę. Wyginał łodygę i rozchyłał płatki, ukazując rzędy bardzo ostrych zębów. Po chwili za jej plecami rozległy się krzyki. Jonathan i reszta zmaterializowali się, a kwiat natychmiast skupił na nich swoją uwagę. Na szczęście ich liczba zupełnie go zdezorientowała. Szukał ofiar, nie mogąc zdecydować się, gdzie uderzyć. W jego stronę wciąż zmierzały strumienie energii wystrzelwane z athame, ale zdołał unikać trafień.

– Florence! – wrzasnął ktoś nagle. – Florence, spokój!

Zza wysokiego żywopłotu, pokrytego kwiatami chyba we wszystkich istniejących kolorach, wyłoniła się niska, starsza kobieta. Była ubrana dość dziwnie, a zważywszy na pogodę – na pewno za ciepło. Miała na sobie niebieską podomkę, ozdobioną wzorem splątanych roślin, a na niej bordowy sweter, w który powtykała ogromną liczbę broszek. Spod podomki wystawały

brązowe rajtuzy, również wzorzyste. Kobieta miała też nietypową fryzurę: jej włosy były ułożone w coś, co przypominało ul. Przez rękę przełożyła spory koszyk, wypełniony po brzegi jakimiś czarnymi nasionami albo rodzynekami.

Kwiat, który jeszcze przed chwilą chciał pożreć przybyłych, zmałał nagle tak, że sięgał kobiecie do pasa. Zbliżył się do jej nóg i zaczął się łąsić.

– No już, zaraz cię nakarmię – powiedziała nieznajoma i wysypała zawartość koszyka na ziemię. Kate z obrzydzeniem zdała sobie sprawę, że w środku nie było żadnych rodzynek, ale mnóstwo martwych, rozplaszczonych much.

Lilian jęknęła, odwracając twarz, a Kate spojrzała na pozostałych. Byli prawie wszyscy. Prawie, bo wciąż brakowało Diany.

– Wybaczcie Florence'owi – powiedziała kobieta.

– Nie chciał zrobić wam krzywdy. Był tylko głodny. Wczoraj wieczorem zapomniałam go nakarmić. Sądziłam, że sam coś upoluje. Gdy jest głodny, robi się... trochę nerwowy. Mam nadzieję, że nie przysporzył wam większych problemów.

– Uhm... Nie, skądże – odparł Jonathan, a wszyscy zgodnie potrząsnęli głowami.

– Jestem Kleftis – przedstawiła się kobieta. – Mam nadzieję, że podoba się wam w moim ogrodzie?

Teraz, gdy nie musieli już walczyć z krwiożerczą rośliną, mogli wreszcie lepiej się rozejrzeć. Kate miała wrażenie, że otacza ich chaos barw. Wszędzie rosły najróżniejsze kwiaty, krzewy i drzewa. Wokół niektórych z nich latały rozmaite owady, w tym dziwne pszczoły. Były wielkości małego palca, a ich żądła miały kształt ostrych stożków i kręciły się jak wiertła, wydając przy tym zresztą podobny dźwięk. Niektóre kwiaty i rośliny poruszały się miarowo, jak gdyby słyszały muzykę, do której próbowały wymyślić ruchy. Najdziwniejsza była jednak mnogość płatków i ogrodzeń.

– Ogród jest piękny – przyznała Lilian i trudno było się z nią nie zgodzić. Gdyby tylko nie Florence...

Kate spojrzała w stronę kwiatu. Właśnie skończył jeść swoje muchy i głośno beknął.

Kleftis rozpromieniła się na komplement Lilian i gorączkowo zaczęła zapraszać wszystkich na herbatę:

– Upiekłam wczoraj ciasteczka na pełnię, ze strzelającym cynamonem – zachęcała.

– Z okazji pełni? – odparł Tom. – A więc jest pani wiedźmą?

Kleftis przyglądała mu się przez chwilę tak, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Tak – oznajmiła wreszcie. – Właśnie tak, jestem wiedźmą. Ale przeprowadziłam się tutaj, bo w waszym... To znaczy w świecie ludzi! Tak, w świecie ludzi... Tam wciąż przeszkadzały mi spaliny. Wszędzie mnóstwo spalin! Na ubraniach, w ogródkach, na filiżankach...

Tom zmarszczył czoło. Łatwo było zrozumieć jego konsternację. W Jaarze przebywać mogły tylko wiedźmy, ludzie obłąkani albo dzieci, zwłaszcza w czasie

snu. Kleftis mogła być oczywiście czarownicą, ale z jej zachowania i wyglądu można było wywnioskować, że raczej nie jest do końca... *zwyczajna*.

– No dalej – nalegała kobieta. – Napijcie się i zjedzcie. Musicie posilić się przed dalszą podróżą.

– Skąd pani wie, że gdziekolwiek zmierzamy? – odparł Hiacinthus.

– Mój drogi, wszyscy gdzieś zmierzają. Poza tym macie ze sobą torby. Każdy, kto ma torbę, na pewno dokądś się wybiera.

Kate, co prawda z pewnymi obawami, zgodziła się na chwilę odpoczynku. Z pewnością wszyscy byli głodni, a nawet gdyby założyć, że z Kleftis było coś nie tak, mieli nad nią przewagę liczebną. Pod warunkiem, że nie trzymała w ogródku rodziny Florence'a.

– Cudownie! – uradowała się wiedźma. – W takim razie ze mną! – krzyknęła i poprowadziła ich między kolorowymi płótkami w głąb ogrodu. Drzewiczki w niektórych z ogrodzeń były tak małe, że stanowiły co najwyżej element dekoracji. Kleftis otwierała je jednak, zamiast przeskakiwać, jak gdyby chcąc zachować pewną kurtuazję.

– Musimy być wyjątkowo czujni – szepnął Tom do ucha Kate.

– Wiem – odparła półgębkiem. – Zjemy tylko te ciastka.

– Właśnie o tym mówię! – syknął.

– Och, a co to za roślina? – spytała Lilian, wskazując na niebieski kwiat, którego płatki układały się w kształt flakonika, z którego co i rusz wypadały wielkie, żółte pestki. Jedna z nich trafiła nawet w oko Fiona, który natychmiast zaczął wrzeszczeć, że stracił wzrok.

– Nic ci nie będzie, chłopcze – ofuknęła go Kleftis. – Ona tylko tak się bawi. To wypluwajka uporczywa. Raczej chwast, a nie kwiat, ale nie wyrwałam jej. Jest całkiem ładna.

Wreszcie stanęli przed domem Kleftis, choć może lepiej byłoby nazwać go chatką. Na tle reszty ogrodu wydawał się nieproporcjonalnie mały, był za to równie pogodny. Barwa ścian przypominała wypieczony piernik, a parapety w oknach wyglądały jakby przystrojono je lukrem. Dach był błękitny i ozdobiony malunkami chmur, a z komina wydobywał się słodki, korzenny dym. Wokół domku wił się bluszcz. Podobnie jak część pozostałych roślin, on także się poruszał.

Gdy wchodzili do środka, Darrin, Tom i Jonathan musieli pochylić głowy. W niewielkiej kuchni stał biały stół i krzesła. Pomieszczenie wydawało się przepełnione – na półkach zalegała masa imbryków, talerzyków i filiżanek. Z szafki nad piecem Kleftis wyjęła słoik z herbatą i przez kilka chwil, stukając palcem o zaciśnięte usta, zastanawiała się, którą zastawę stołową wybrać. Wreszcie zdecydowała się na najbardziej kolorową, w której każda filiżanka posiadała kilka własnych, unikalnych barw.

W całym pomieszczeniu Kate najbardziej zaciekała jedna ze ścian. Sterczały z niej gwoździe, a na każdym z nich zawieszony był szklany breloczek. One również mieniły się różnymi barwami, jednak te wydawały się żywe, zupełnie jakby zaklęto w nich światło. Obok stała wielka, złocista harfa.

– Siadajcie – powiedziała Kleftis, wskazując na krzesła. Stół był zbyt mały nawet dla Fiona i Hiacinthusa, a co dopiero dla Kate i reszty. Musieli się mocno nagimnastykować.

Kleftis krzątała się po kuchni, wyciągając z szafek kolejne rzeczy. Wkrótce położyła na stole kilka naczyń. W jednym były kostki białego cukru, w innym cukier trzcinowy, potem miód, śmietanka i różne kolorowe proszki. Kate obiecała sobie, że na wszelki wypadek nie tknie tych ostatnich. Następnie na stole wylądowała patera wypełniona okrągłymi ciastkami. Na końcu Kleftis położyła imbryk z herbatą i filiżanki.

– Częstujcie się – zachęciła, sama zajmując miejsce przy stole.

Jako pierwszy po ciastko sięgnął Fion. Reszta nieco się ociągała, ale widząc, że Fion nie zamienił się w mysz ani nie padł martwy, też sięgnęli po ciastka. Jedynie Hiacinthus się wstrzymał.

– O mój Boże! – zawołała Lilian, patrząc na swoje nadgryzione ciastko. – To jest... obłędnie pyszne! Idealne, świetne!

Kleftis się uśmiechnęła.

– A wy? – zapytała pozostałych. – Nie chcecie się poczęstować?

Kate spojrzała na trzymane przez siebie ciastko. Jeden kęs chyba mimo wszystko jej nie zaszkodzi...

Odgryzła kawałek.

Słodki, maślany smak uderzył nie tylko w jej podniebienie, ale jakby całe ciało, wywołując przyjemne drżenie. Lilian miała rację. Czegoś tak dobrego Kate nie jadła jeszcze nigdy w życiu, a przecież jedzenie w Jaarze i tak było lepsze niż to ze świata ludzi. Ciastko smakowało jednak, jakby przelano w nie całą najlepszą energię Jaaru.

Coś musi być z nim nie tak – pomyślała. Nigdy jej się nie zdarzyło, by jedzenie wywołało w niej podobne odczucia. Jednak nim to podejrzenie zdołało zagnieździć się w jej głowie, a dłonie sięgały już po kolejne ciastko. Po kilku chwilach nie wiedziała już, ile ich zjadła, a najdziwniejsze było to, że z każdym kolejnym jej ciało stawało się coraz lżejsze.

– Co z wami? – Do jej uszu dobiegł głos Toma. On również skosztował ciastek i herbaty, ale szybko je odstawił. Darrin także nie jadł, siedząc po prostu z założonymi rękami i patrząc podejrzliwie na stół.

Kate poczuła się zawstydzona. Nie mogła jednak nic poradzić na to, co się z nią działo. Zupełnie, jakby ją zaczarowano...

No właśnie!

Do jej głowy zaczęła dobijać się kolejna myśl. Kawałek ciastka stanął jej w gardle. Rzuciła ostrzegawcze spojrzenia Lilian i Jonathanowi, którzy wciąż pochłaniali kolejne słodczyce. Natychmiast je odstawili. Ponieważ Fion nie był w stanie zareagować na to samo ostrzeżenie, Hiacinthus kopnął go w kostkę.

– Au! – zawołał Fion, jakby zbudzony z letargu. – Kto...

Kate uciszyła go jednym miażdżącym spojrzeniem.

– Macie dość? – spytała niewinnie Kleftis.

– Tak – odparł stanowczo Darrin, na co kobieta zabrała ciastka ze stołu

i wyszła z nimi na zewnątrz. Fion odprowadził je tęsknym wzrokiem.

– Co tu się dzieje? – szepnął Jonathan. – Te ciastka były chyba...

– Tak – oznajmił Hiacinthus. – Podejrzewam, że zostały zaklęte.

Lilian zatknęła sobie usta ręką, a Kate chwyciła się za brzuch, spodziewając się, że to tam zacznie działać magia. Nic się jednak nie działo.

Kleftis wróciła do kuchni i gdy tylko usiadła przy stole, zaczęła zachęcać ich do wypicia herbaty. Lilian postanowiła jednak zająć ją rozmową.

– Więc mieszka tu pani od...

– Sześćdziesięciu lat. Jestem tu prawie całkiem sama, nie licząc moich kwiatów i ferini, która czasami mnie odwiedza. Dlatego tak bardzo cieszą mnie wizyty gości. Może napijecie się soku malinowego?

Wszyscy pokręcili głowami.

– Gdzie właściwie jesteście? – spytał Jonathan, ukradkiem zerkając na swój kompas.

– Na wschodnim krańcu Jaaru – oznajmiła Kleftis.

– Zastanawiamy się, bo... – zaczęła Kate, nagle uświadamiając sobie, że nie skonsultowała z pozostałymi tego, co zamierzała teraz zrobić, ale nie miała jak się z nimi porozumieć. Sądziła, że robili to za pomocą myśli, a jej nawet o tym nie wspominali, więc chyba nie musiała mieć wyrzutów sumienia. – Jesteśmy wysłannikami ze świata ludzi do rodziny królewskiej Elphame – skłamała.

No, w pewnym sensie.

– Przeszliśmy już przez część z Siedmiu Bram, ale obecnie poszukujemy kolejnej. Skoro wylądowaliśmy tutaj, być może wie pani, gdzie należy pójść dalej?

Zadawszy to pytanie, szybko powiodła wzrokiem po reszcie, chcąc sprawdzić ich reakcje. Większość była lekko skonsternowana, Lilian wydawała się niepewna, za to Darrin uśmiechnął się nieznacznie, najwyraźniej aprobując takie podejście.

– Brama? – spytała Kleftis. – Ach tak, rzeczywiście, jest tu gdzieś jakaś Brama, ale nie wiem, gdzie dokładnie. Jeśli chcecie, przywołam Wunjo, żeby was zaprowadziła.

Kleftis gwizdnęła dwa razy i po kilku sekundach w domu pojawiła się zdyszana ferini z zaczerwienionymi policzkami. Była niska i tęga, o złocistej skórze i jasnych włosach. Jej skrzydła były pszczele. Miała na sobie fartuszek i wysokie buty, a w rękę trzymała wiadro. Przeniosła wzrok z Kleftis na pozostałych i zapytała:

– Co jest? Właśnie karmiłam tulipany. Bestie żrą coraz więcej ryb. Jak tak dalej pójdzie, duchy z Krzywego Potoku nas przeklną i zaleją ci cały ten zasmarkany ogródek! – Oskarżycielsko wycelowwała w Kleftis palec. – Zobaczysz, tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałam. Wszystkie wiemy są takie same. Nigdy nie słuchają swoich ferów, a później narzekają. Nie będę sprzątać za ciebie twojego...

– Uspokój się! – przystopowała ją Kleftis. – Mam gości. Chcieliby, żebyś zaprowadziła ich do Bramy.

– Do Bramy? – fuknęła ferini. – A bo ja wiem, gdzie ona jest?

Kleftis przewróciła oczami.

– Cała Wunjo! – Westchnęła. – Przecież mówiłam ci, żebyś jej pilnowała.

– A co, niby płacisz mi za to, żebym opiekowała się całym twoim ogródkiem? Nie wiem, gdzie jest Brama. Nie będę ciągle za nią łązić.

Kate zamrugła oczami. Była coraz bardziej przekonana, że nie mówią o tym samym. Wunjo wydawała się równie pokręcona co Kleftis.

– Nie bardzo rozumiem – odezwał się Darrin. – Czy ta Brama *chodzi*?

– Jasne, że chodzi! – Wunjo machnęła ręką. – W tym ogródku wszystko chodzi, nawet doniczki. Czasami wydaje mi się, że w końcu dostanę świra. Życie z wiedźmą-ogrodniczką to nic przyjemnego. Wolałabym, żeby ta jędza była bardziej miastowa. Przez nią cały czas muszę pomykać w gumiakach!

– Dobrze – zniecierpliwiła się Kleftis. – Skoro nie wiesz, co z Bramą, przyprowadź do mnie Felicity.

Wunjo zniknęła, a Kleftis posłała swoim gościom błądy uśmiech i zaczęła tłumaczyć:

– Felicity to moja podopieczna. Szkolę ją, żeby w przyszłości przejęła po mnie to miejsce. Przecież w końcu umrę. Sama jeszcze nie wiem kiedy, ale myślę, że któregoś dnia na pewno.

– Dlaczego Brama się rusza? – spytała Lilian, nieszczerze zainteresowana teraz rozmowami na temat życia i śmierci.

– Nie wiem, ale przyznaję, że jest ruchliwa. Ma własną świadomość. – Kleftis wzruszyła ramionami.

– A więc ona jest rodzajem... – zaczął Fion, jednak nie dokończył, bo właśnie w tej chwili wróciła Wunjo. Fion, podobnie jak pozostali, wytrzeszczył oczy.

Przyprowadzona dziewczyna miała na sobie krótką sukienkę z wyszywanym kołnierzykiem i rękawami, wyglądającą jak szkolny mundur. Na jej nogach lśniły buty do kostek. Czarne, proste włosy, opadały jej równomiernie na ramiona i mimo że teraz nie było już w nich ani jednego sznurka czy łańcuszka, a spojrzenie dziewczyny wydawało się odległe, jakby została odurzona, nie ulegało wątpliwości, że to nie żadna Felicity.

To była Diana.

– O co chodzi, Kleftis? – spytała, nie zwróciwszy na pozostałych najmniejszej uwagi. Dopiero gdy zszokowany Tom zawołał ją po imieniu, odwróciła się w ich stronę. Przez moment zdawało się, że nagle otrzeźwiała, jednak jej oczy szybko znów stały się podkrążone.

– Diana? – spytała. – Ach, tak, ja chyba... was szukałam? Albo sama się zgubiłam? Czekałam tu na was od dawna...

– O czym ty mówisz? – odparła Kate. – Zniknęłaś zaledwie jedną noc temu!

Mina Diany sugerowała, że nic nie pamięta.

– Chwilę! – Darrin, wyraźnie zdenerwowany, wstał, i gdy zwrócił się w stronę Kleftis, ta niemal skuliła się ze strachu. – Dlaczego nazwałaś ją *Felicity*? – wycedził.

Kleftis zaczęła się jąkać:

– Och... No cóż... To takie moje p... przezwisko. Bo z niej taka miła dziewczyna, prawda?

Nagle wstała od stołu i ruszyła w kierunku pieca. Otworzyła go i wyciągnęła ze środka parę drutów i połatany materiał, po czym – sprawiając, że sytuacja stała się już nieznośnie absurdalna – zaczęła szydełkować.

– Niech mnie ktoś uszczyplnie – powiedział Jonathan. – Albo walnie w zęby, bo to chyba nie dzieje się naprawdę...

Diana zapatrzyła się na druty w dłoniach Kleftis. Wreszcie westchnęła i zaczęła tłumaczyć:

– Bo widzicie, ja po prostu uznałam, że mam tego wszystkiego dość. Tego uganiania się za kimś, szukania rzeczy, których nie można znaleźć. Zmęczyło mnie to. A kiedy trafiłam tutaj, poczułam się jakoś tak... inaczej. Magia Kleftis jest odmienna od wszystkiego, czego nauczyliśmy się do tej pory. Jest przyjemna i dobroczynna. Nie sprawia kłopotów, nie trzeba walczyć z demonami. Po jednej nocy uznałam, że chcę zostać uczennicą Kleftis, a moje nowe imię... ŚmieJCie się, jeśli chcecie, ale postanowiłam wszystko zmienić, stać się kimś innym. Dlatego je przybrałam.

Darrin zrobił minę, jakby naprawdę miał zamiar zwymiotować, słysząc nadmiar słodczy w głosie Diany.

Kate prędzej spodziewałaby się podobnych słów po Lilian. Właściwie po którymkolwiek z nich, ale nie po Dianie. Nikt nie zdołałby jej przekonać, że Diana może nagle stać się kimś zupełnie innym. A była wredną, zarozumiałą wiedźmą z przerostem ego. No, niech będzie, że całkiem dobrą wiedźmą. A dobre wiedźmy nie boją się demonów.

Lilian i Tom wstali. Trudno było odgadnąć, co zamierzali, jednak zdawało się, że działają w pełnym porozumieniu. Tom położył dłonie na głowie Diany, a Lilian – na jej piersi. Oboje mieli zamknięte oczy. Kleftis odstawiła druty i przyglądała się bliźniętom, niepewna, co zaraz się wydarzy. Gdy Tom i Lilian się odezwali, ich słowa wydawały się zupełnie niedorzeczne:

– Tak, dobrze cię rozumiemy – przemówił spokojnie Tom. – Twoja gwałtowna natura potrzebuje teraz dużo spokoju.

– Wyczuwam twoje serce – dodała śpiewnie Lilian. – Wyrzywa się. Tutaj znalazłaś to, czego szukałaś.

Otworzyli oczy, w których widać było nagłą pewność. Jednak nikt poza nimi jej nie rozumiał. Kate dałaby wszystko, by ktoś jej w końcu wyjaśnił, o co w tym wszystkim chodzi.

Tom i Lilian odsunęli się. Zachowali pełen spokój, który prysł, gdy w ułamku sekundy, gwałtownym ruchem, który przeraził ich towarzyszy, wysunęli swoje athame, celując w stronę Kleftis. Ta krzyknęła przerażona, a z rąk Wunjo wypadło wiadro z martwymi rybami.

– Jeśli nie wiesz, kim jesteśmy, lepiej, żebyś nie musiała się przekonywać – wycedziła Lilian.

– Natychmiast mów, co jej zrobiłaś?! – dodał wściekły Tom.

Reszta też sięgnęła po swoje athame. Dopiero wtedy Kate uświadomiła sobie,

że do tej pory nikomu nim nie groziła. Jakiej energii miałyby użyć, by w razie czego powstrzymać Kleftis przed ucieczką, ale jej nie uszkodzić? Gdy gorączkowo się nad tym zastanawiała, nagle usłyszała muzykę. Tak ją to zdezorientowało, że zamiast skupiać się na Kleftis, podążyła wzrokiem w kierunku, z którego dolatywały dźwięki.

To Wunjo, niezauważona przez nikogo, podeszła do stojącej przy ścianie harfy i zaczęła wygrywać na niej płynną, delikatną melodię. Gdy Wunjo naprężyła struny, atmosfera robiła się cięższa, a gdy je puszczała – ona także rozluźniała się, a dźwięki zataczały jakby koliste ruchy w powietrzu, przyplływając i odpływając, uderzając do głowy tylko po to, by po chwili koić myśli. Kuchnię wypełniły niewidzialne fale. Kate próbowała z nimi walczyć, ale sprawiało jej to ból. Gdy jednak poddała się muzyce, jej ciało wypełniła przyjemność.

Ręka Kate opadła, a athame wysunęło się z palców. Z powrotem usiadła na krześle, choć mimowolnie. Świat za oknem zaczął nabierać jeszcze jaśniejszych kolorów. Barwy zlewały się w jedno, a przestrzeń powoli zaczęła płynąć. Lekki podmuch wiatru otworzył okno. Na parapecie pojawił się Florence. Znów otworzył paszczę, ale tym razem nie zalsniły w niej ostre zęby, za to ze środka wydobył się słodko pachnący pył. Kwiat wyrzucił go z siebie kilka razy, a nieznośnie ciężki zapach wypełnił całe pomieszczenie. W tym momencie obraz przed oczami Kate całkowicie zatracił swój kształt.

Niewiele zapamiętała z tamtego dnia i z nocy, która po nim nastąpiła. Jedyne zapadanie się jakby w chmurach, przyciszone głosy i brzęk tłuczonego szkła, który na moment zbudził ją ze snu. Obróciła się na swojej chmurze z jednego boku na drugi, a widok kolorowych breloczków poruszających się na wietrze utulił ją i znów przeniósł do świata marzeń. Dlaczego miałyby nie zostać w nim już na zawsze? W końcu nic nie stało na przeszkodzie.



Wizja nagle zniknęła. Joe wiedział, że coś jest nie tak, gdy tylko dostrzegł, jak dwie obce ręce sięgają po szklaną kulę Lilian. Za taflą mignęły mu twarze Fiona i Hiacinthus, śpiących na wielkim, rozłożonym na podłodze kocu, i sylwetka Darrina, który – z głową i rękami na malutkim stole – wyglądał, jakby padł bez przytomności. Następnie wszystko rozprysło się i przez ułamek sekundy dał się słyszeć donośny brzęk, urwany, gdy obraz całkowicie znikł.

Jak najszybciej musiał się z kimś skontaktować. Porzucił swoją pracę nad dalszym badaniem magicznych prądów, której poświęcił ostatnie dwanaście godzin w bazie, i położył ręce na kuli raz jeszcze. Jedyłą osobą, jaka przychodziła mu teraz do głowy, była Babcia Annwynn, i to do niej wysłał prośbę o kontakt.

W szkle ukazała się kuchnia Babci. Joe musiał kilka razy wymówić jej imię,

by wreszcie się obudziła. Zirytowana podeszła do swojej kuli.

– Co jest? Co to za maniery, żeby nawiedzać mnie w środku nocy? Nie pomyślałeś sobie, że mogłam spać albo mieć towarzystwo, he?

– Nasi mają kłopoty – odparł Joe, nie przejmując się jej gderaniem.

Mina Babci stężała.

– No cóż, widać nie zwlekają z partaczeniem swojej misji. Wyruszyli dopiero wczoraj.

Joe z roztargnieniem podrapał się po głowie.

– Tyle że... No, niewiele widziałem. Byli w jakimś domu. Wszystko było tam tak kolorowe, że aż bolały oczy. A oni głęboko spali.

– Spali?

– Tak, Darrin był rozłożony na jakimś stole. Krzesła były bardzo małe, zupełnie jakby w środku mieszkały same fery. I wszystko było ozdobione kwiatami.

Babcia uderzyła pięścią w stół.

– Niech to szlag! – zakląła. – Czyli są u Kleftis.

– U kogo? – Joe zmarszczył czoło.

– Przeszli przez trzy Bramy, zbliżają się do czwartej, ale musieli mieć prawdziwego pecha. Albo któreś okazało się wybitnie głupie, skoro trafili akurat tam. – Babcia wypuściła z siebie wiązaną przekleństw i narzekań. W pewnej chwili Joe miał ochotę zatkać sobie uszy.

– Uspokój się i powiedz mi wreszcie, co to za Kleftis! – przerwał jej. – Jakieś monstrum czy co?

Annwynn machnęła ręką.

– Można tak powiedzieć. Ona jest obcozytem.

Teraz to Joe miał ochotę przeklinać. Jego ręce mimowolnie zacisnęły się na krawędziach biurka.

– Chyba żartujesz – wydusił. – Przecież oni są w...

– Śmiertelnym niebezpieczeństwem, tak – przyznała Babcia. – Mam tylko nadzieję, że Diana i Hiacinthus, jako jedyni rozsądni, jakoś sobie poradzą. Mimo wszystko...

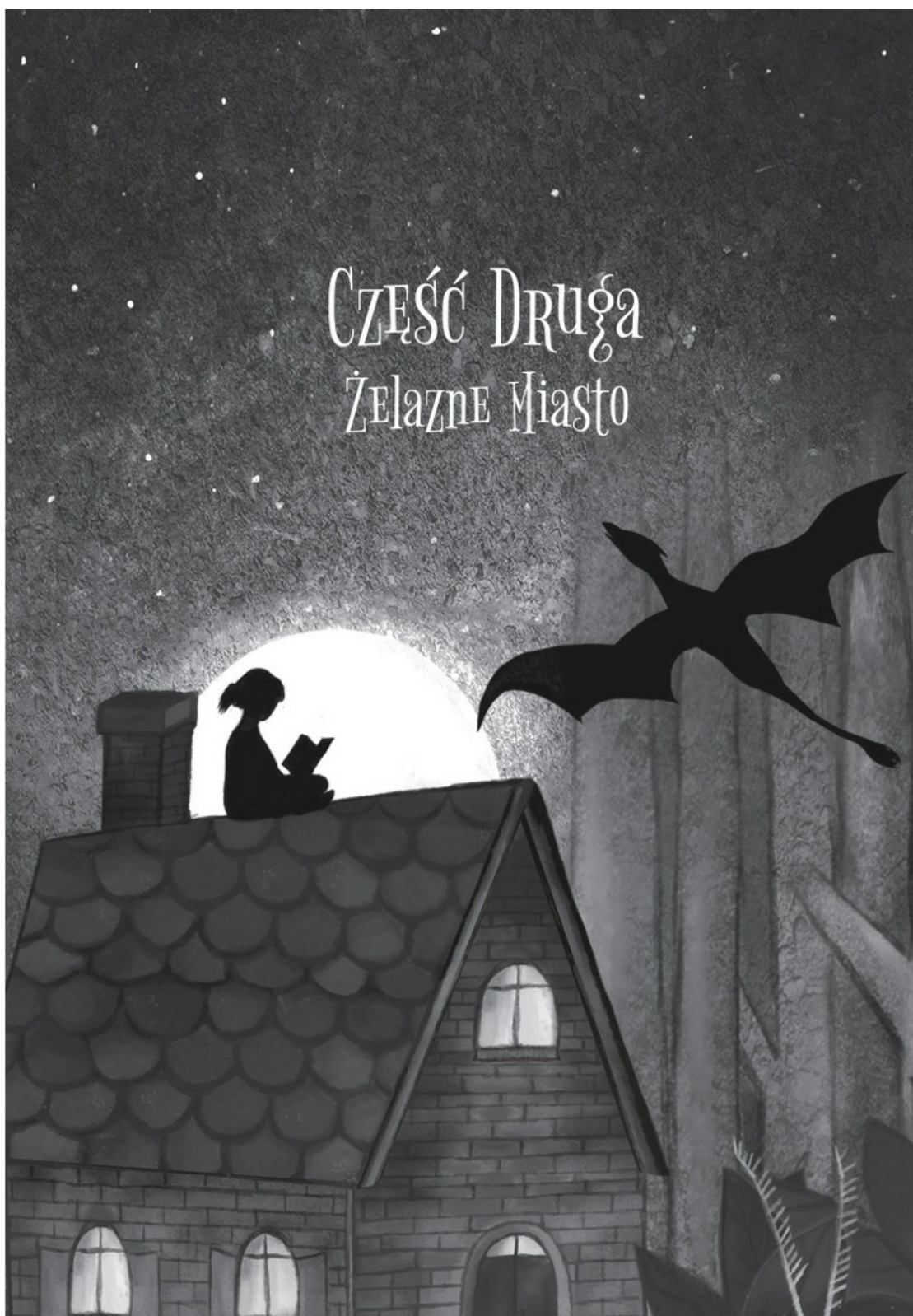
Annwynn wstała i zaczęła się ubierać. Nie zajęło jej to wiele czasu. Na koszulę nocną założyła futro, a na głowę – swoje magiczne nakrycie głowy, tukhę.

– Chcesz tam pójść? – Joe przeraził się jeszcze bardziej. – To bardzo zły pomysł! Jeszcze tego brakuje, żeby i ciebie omamiła. No i na pewno nie poradzisz sobie sama. Zaczekaj, pójdę z tobą, a najpierw zwołam kilka...

– Błagam! – uciszyła go Babcia, przewracając oczami. – Siedź na tyłku i pracuj dalej nad tymi swoimi wynalazkami. Nie potrzebuję, żeby ktoś mi się plątał pod nogami, gdy będę przechodzić przez Bramy. A Kleftis załatwię sama. To nie pierwsza poczwara, z jaką się rozprawię.

Po tych słowach, nie zapominając o swoim zwyczajowym kuśtykaniu, opuściła chatkę. W zasadzie – choć wolałaby się do tego nie przyznawać – zrobiło jej się trochę cieplej na sercu. Bo wszechświat znów sobie przypomniał, że bez niej za daleko nie zajdzie.

CZEŚĆ DRUGA
ŻELAZNE MIASTO



„Obok świata, w którym żyjemy, jest inny świat. Do pewnego miejsca możesz do niego wejść. I możesz z niego bezpiecznie wrócić. Jeżeli będziesz uważny. Ale jak miniesz pewien punkt, już stamtąd nie wyjdiesz. Nie znajdziesz drogi powrotnej. To labirynt”.

Haruki Murakami, *Kafka nad morzem*,
tłum. Anna Zielińska-Elliot



Rozdział 11

Świątynia pierwotnego światła

Mel ścisnęła niewielką kartkę tak gorączkowo, jakby ta stanowiła przepustkę do jej nowego życia. Zapisała na niej adres, znaleziony w jednej z magicznych ksiąg, które ostatnio czytała. Obok niego, w punktach, wypisała instrukcje dotyczące tego, jak dostać się do wskazanego miejsca. Na razie siedziała jeszcze w autobusie, który miał zawieźć ją na podaną na kartce ulicę. Nie wiedziała jednak, dokąd właściwie zmierza, bo nigdy wcześniej nie słyszała o Świątyni Pierwotnego Światła.

Najdziwniejszy był sposób, w jaki adres pojawił się w książce. Nie był w niej wydrukowany ani zapisany. Po prostu litery zaśniły srebrnym tuszem, gdy Mel kartkowała indeks, szukając czarów na zmianę aury. Potraktowała to jako znak. Od czasu, gdy zobaczyła znikającą Kate, nie doświadczyła żadnej magii, choć uważnie przyglądała się ludziom napotkanym w sklepach ezoterycznych i sama próbowała rzucać proste zaklęcia. Gdy jednak adres pojawił się tuż przed jej oczami, uznała, że magia najwyraźniej sama wzywa ją do siebie i po prostu wsiadła do autobusu, choć nie bez obaw.

Czytała instrukcję raz po raz. Wynikało z niej, że świątynia znajduje się pod numerem 12B. By jednak go znaleźć, trzeba było przejść do ciemnej wnęki w budynku 12, a potem wyrysować na ścianie specjalny znak. Musiał być symbolem osobistym, takim, jakie – przynajmniej według ksiązek – magowie i wiedźmy tworzyli tylko dla siebie. Ten konkretny był skomplikowany, ale Mel przećwiczyła go wystarczająco dużo razy, by zapamiętać.

Gdy autobus wreszcie zatrzymał się na odpowiednim przystanku, powróciły

obawy, które niemal powstrzymały ją przed wyjściem z pojazdu. Nie dała jednak za wygraną.

Znalezienie budynku z numerem dwanaście było zaskakująco łatwe. Znajdował się tuż za przystankiem – wielka, szara kamienica. Większość okien była zakurzona i pozbawiona zasłon. Te, w których widać było firany i przywiedłe kwiaty, też nie były zbyt czyste. Mel patrzyła na nie zaniepokojona.

Okrażyła budynek w poszukiwaniu wnęki. Rzeczywiście: była tam, wielka i ciemna.

Zanim weszła dalej, nasłuchiwała kilka sekund, czy wewnątrz nikt się nie czai. Było cicho. Do jej uszu dobiegał jedynie chrzęst resztek butelek pod podszwami.

Zatrzymawszy się przy końcu wnęki, Mel jeszcze raz przeczytała instrukcję i przećwiczyła znak, przyświecając sobie kartkę wyświetlaczem komórki. Potem zamknęła oczy i utrzymując w myślach kontury znaku, wyrysowała go na ścianie, dotykając jej koniuszkami palców.

Otworzyła oczy. Zobaczyła to, czego pragnęła, choć czego nie do końca się spodziewała: znak lśnił błękitnym światłem. Nie otworzył się jednak żaden portal, budynek nie rozstąpił się, a w ścianie nie powstała dziura.

Mel dotknęła światła palcem. W kolejnej chwili zorientowała się, że nie może oderwać dłoni od ściany. Ta zaczęła ją przyciągać i nim zdążyła krzyknąć, jej ciało nagle uderzyło o kamienie. A przynajmniej tak się jej początkowo zdawało. W rzeczywistości wcale nie poczuła uderzenia, ale przeniosła się jakby do wnętrza budynku.

Stała przez chwilę, rozglądając się dookoła, niepewna, czy powinna pójść dalej. Pomieszczenie, do którego się przeniosła, było naprawdę wielkie i chyba stanowiło bibliotekę. Wznosiły się tu drewniane regały, wypełnione tysiącami książek. Trudno było ogarnąć je wszystkie wzrokiem, bo regałów było mnóstwo, a każdy sięgał aż do sufitu.

Na środku pomieszczenia stało zaledwie jedno okrągłe biurko.

Mel powoli wyciągnęła z torebki swoje athame. Kupiła je w sklepie Selene. Było całkiem ładne, cienkie, lśniące, ze srebrną zdobioną rękojeścią, ale Mel nie mogła mieć pewności, czy było równie skuteczne, jak miłe dla oka.

– Schowaj to. – Usłyszała czyjś głos. – Nie będzie ci potrzebne.

Zaczęła nerwowo się rozglądać. Zza jednego z regałów wychyliła się młoda kobieta. Miała na sobie szarą skórkową spódniczkę i czarną bluzkę z krótkimi rękawami. Na jej piersiach spoczywał wielki srebrny amulet. Jej nos zdobiły ciemne okulary, a głowę, z której opadały jasnobrązowe włosy, srebrna opaska.

– Kim jesteś? – spytała Mel, przekonana, że to właśnie ta nieznajoma wysłała jej znak.

– Nazywam się Astrin – odparła kobieta, podchodząc bliżej. Nie wyciągnęła ręki na powitanie. Mel dostrzegła, że jej amulet miał kształt smoka. Z jego tułowia odchodziły cztery głowy, wyginające się na różne strony świata.

– To ty mnie tutaj wezwałaś? – odezwała się znów Mel. Nieśmiałość nie należała do jej cech, jednak obecność kobiety mimo wszystko ją onieśmielała.

Może dlatego, że Astrin wydawała się w jakiś sposób od niej... lepsza? Może ładniejsza? I musiała być silniejsza magicznie – to nie ulegało wątpliwości.

– Nie ja – odparła Astrin. Jej głos był łagodny, ale jednocześnie podszyty lekceważącą nutą.

– A więc kto?

Astrin obejrzała ją uważnie, jak gdyby sama zadawała sobie w myślach to pytanie.

– Pokażę ci – odparła. – Chyba nie mamy wiele czasu, bo on się spieszy. Chodź za mną.

Mel, po chwili wahania, ruszyła za Astrin, podejrzewając, że ta nie będzie na nią czekać.

Kobieta poprowadziła ją do korytarza, z którego ścian wystawały nieociosane kamienie. Wszystkie drzwi były pomalowane na czarno i nieopisane; nie miały nawet numerów. Astrin musiała jednak świetnie znać budynek, bo wcale się nie rozglądała, tylko od razu podeszła do jednych z drzwi, otworzyła je i wprowadziła Mel do pomieszczenia równie wielkiego co biblioteka.

Równie wielkiego, ale jednocześnie zupełnie innego. Tutaj podłogę – w przeciwieństwie do biblioteki – pokrywały szare płytki. Na każdej z nich znajdował się ten sam symbol, który Astrin nosiła na piersiach. Czarne ściany ozdobione były pochodniami – głowami smoków, z których raz po raz buchał ogień. Na środku ustawiony był tron, na którym siedział jakiś mężczyzna. Miał długą szatę, a siwa, spięta broda sięgała mu do piersi. Patrzył spokojnie na Mel.

– Przyszła – rzuciła Astrin, nawet nie starając się ukryć swojego niezadowolenia tym, że to właśnie Mel musiała tu przyprowadzić.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Witaj, Melindo Gibbons. Czekałem na ciebie.

Nim Mel odpowiedziała, rozejrzała się raz jeszcze dookoła.

– Ahm... Więc to pan mnie tu przywołał, tak? Na stronach mojej książki pojawił się adres...

Wyciągnęła z torby niewielki wolumin – „Magiczne znaki i pradawne symbole”. Mężczyzna zszedł z tronu i kilkoma susami, jednocześnie zamiatając podłogę połami swojej szaty, zbliżył się do Mel. Bez słowa wziął książkę do ręki i obejrzał ją ze wszystkich stron, przekartkował, a na koniec nawet powąchał.

– Nie – odparł, oddając książkę Mel. – Muszę szczerze przyznać, że to nie ja cię tu wezwałem. To jednak bardzo zadziwiające, w jaki sposób działa wszechświat, prawda?

– Nie pan? – zdziwiła się Mel. Teraz już nic z tego nie rozumiała.

– Chodź. – Mężczyzna objął ją ramieniem i poprowadził do swojego tronu, a potem, tak po prostu, gestem nakazał jej usiąść. Astrin skwitowała to uniesieniem brwi.

Mel zajęła tron po chwil wahania. Wcale nie był wygodny. Uznała, że wstawiono go tu tylko dla dodania miejscu charakteru.

– Wszystko ci wyjaśnię – obiecał mężczyzna, stając tuż przed nią. – Widzisz, to nie ja bardziej przywołałem ciebie niż ty mnie. Otóż w moich księgach, które

studiuję z uwagą, podobnie jak ty swoje... – Zatrzymał się i spojrzął raz jeszcze na książeczkę, którą Mel wciąż trzymała w rękach. W jego oczach pojawiło się chyba politowanie, co wprawiło Mel w jeszcze większą niepewność. – Tak więc... Studiujemy magię... I, widzisz, w mojej księdze również pojawiła się informacja, która wskazała mi właśnie ciebie, Melinę Gibbons.

– Mnie? – zapytała z niedowierzaniem.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Studiuję magię od dawna, a ty, jak wyczuwam, jesteś w tym nowa. Być może tego nie wiesz, ale stare zasady mówią, że aby móc właściwie uprawiać magię, należy znaleźć nauczyciela. Oczywiście uczyłem dotąd wiele osób, wszystkie okazały się niesamowite. Od wielu lat nie przyjmuję już nikogo, kto nosi choćby najmniejsze znamię... przeciętności. Kiedy więc w mojej księdze pojawiło się twoje imię, od razu zrozumiałem, że musisz być kimś wybitnym. Pomyślałem: „Co za wspaniała osoba zna tak wielkie czary, że potrafi skontaktować się ze mną, gdy mój dom ochrania tak silna magia?”. Nikt *zwyczajny* nie zdołałby pisać w moich księgach na odległość.

– Ale ja tego nie zrobiłam!

– Cóż, teraz już to wiem – odparł mężczyzna, przyglądając się swoim paznokciom. Milczał przez chwilę, a potem westchnął. – Ale to właśnie znaczy, że *musisz* być kimś wielkim, że masz w sobie ogromny potencjał.

– Tak? – Mel nie mogła zdziwić się bardziej. Nikt nigdy nie powiedział jej czegoś podobnego.

Na twarzy Astrin pojawiało się coraz większe zniecierpliwienie.

– Owszem. Sama o tym pomyśl – ciągnął mężczyzna. – Sam wszechświat, dziwny splot losów, polecił mi właśnie ciebie i sprawił, że ty odnalazłaś mnie. Tak jak mówiłem, nie przyjmuję na naukę byle kogo. Zwykle młode wiedźmy muszą mocno się starać, by mnie uprosić, ale teraz... Teraz to ja proszę ciebie, Melindo Gibbons, abyś została moją uczennicą.

Oczy mężczyzny zapłonęły pasją. Położył ręce na podłokietnikach tronu i spojrzął Mel prosto w oczy, nie dając jej szansy ani na ucieczkę, ani na odmowę.

– Ja... – wyjąkała Mel. – Ja... Sama nie wiem. Być może...

– Jeśli los splata ze sobą ludzi niezwykłych, żadne z nich nie powinno mu odmawiać.

Wszystkie jego słowa brzmiały bardzo pięknie, tylko – oczywiście Mel się na tym nie znała, ale tak jej się wydawało – nie należało chyba ot tak wchodzić w relację magiczną z kimś nowo poznanym.

Mężczyzna najwyraźniej rozpoznał jej obawy, bo szybko dodał:

– Obawiam się, że po raz drugi taka okazja ci się nie trafi. Sama się zastanów: jak to się stało, że zainteresowałaś się magią? Czy to tylko ślepy traf? A może coś więcej? Może zawsze czułaś do niej pociąg, ale tłumiałaś go? Może nigdy nie wychodziło ci nic innego, bo magia czekała, byś ją odkryła? Być może... Tak, tego również mogłaś doświadczyć... Być może inni nie traktowali cię tak, jak powinni byli, bo twoja prawdziwa moc nie została ujawniona? A ja... – Odwrócił

się i zaczął wzdychać. – Nie chciałbym, naprawdę, za nic w świecie nie chciałbym stracić szansy na tak niezwykłą uczennicę.

Mel zastanawiała się nad słowami maga. Miał sporo racji: tak właśnie się czuła. Wierzyła, że magia pozwoliłaby jej stać się kimś innym, kimś lepszym. I to prawda, że wszyscy wciąż jej powtarzali, że do niczego się nie nadaje. Chyba faktycznie coś ważnego stanowiło jej powołanie.

Postanowiła jednak logicznie odpowiedzieć na każde z pytań:

– Magia... Zainteresowałam się nią, bo... Prawdę mówiąc, byłam świadkiem, jak stało się coś magicznego. Coś niezwykłego.

– Co to było? – zaciekał się mężczyzna.

Mimo pewnego oporu, Mel wyznała mu, czego była świadkiem w pokoju Kate.

– A ta koleżanka... Jak ona się nazywa?

– Kate Hallander. Może pan o niej słyszał? Pewnie nie ma tak wielu wiedźm, więc wszyscy się znacie...

Mężczyzna machnął ręką.

– Ach tak, słyszałem o niej – odparł. – Nie sądzę jednak, by była kimś szczególnym. Ty możesz stać się o wiele potężniejszą czarownicą, liderką w naszym świecie. Ale... Tak, będzie nam do tego potrzebne coś jeszcze.

Mel utkwiała w nim pytające spojrzenie. Już czuła, że jest gotowa zrobić wszystko, o co tylko by ją poprosił. Skoro mogła stać się lepsza, silniejsza od innych...

– Widzisz, żeby stać się wiedźmą, najlepiej jakoś połączyć się z innymi wiedźmami, mieć coś, co od nich pochodzi – zaczął tłumaczyć mężczyzna. – Chodzi o coś, co należy do wiedźmy, jej włos lub trochę śliny, nawet krew. Po prostu coś, co połączy cię z magiczną energią, która przepływa przez wszystkie czarownice. Ja nie mogę ci tego dać ze względów bezpieczeństwa. Moja moc jest w tej chwili zbyt wielka i mogłaby źle na ciebie wpłynąć. Podobnie jest z Astrin.

Astrin, słysząc to, natychmiast zarzuciła swoje włosy do tyłu, jakby w obawie, że ktoś naprawdę chciałby ich użyć, by podzielić się z Mel mocą.

– Więc muszę znaleźć coś, co należy do innej wiedźmy?

– Dokładnie, najlepiej młodej i nieszczególnie silnej. Takiej jak twoja przyjaciółka. Jeśli jesteś w stanie coś takiego zdobyć, nie wahaj się i rusz po to od razu, a potem wróć tutaj.

Mel pokręciła głową. Nim zsiadła z tronu, miała jeszcze jedno pytanie.

– Ale to... to chyba w żaden sposób nie skrzywdzi Kate, prawda?

– Absolutnie nie! – odrzekł natychmiast mężczyzna.

– Dobrze, w takim razie zdobędę to jak najszybciej – obiecała Mel i ruszyła przed siebie. – A... – Zatrzymała się i odwróciła w stronę mężczyzny. – Jak pan się właściwie nazywa?

– To nie ma żadnego znaczenia – powiedział, uśmiechając się. – Ja wcale się nie liczę. Mam być tylko przekaźnikiem, który nauczy cię magii. Liczysz się tylko ty.

Astrin wyprowadziła ją z sali i poprowadziła z powrotem do biblioteki. Tam wyrysowała dla niej magiczny portal. Nim jednak pozwoliła jej do niego wejść,

wycedziła:

– Na twoim miejscu wcale bym tu nie wracała. Posłuchaj mojej rady i trzymaj się od nas z daleka.

Widząc jej zaciekłe spojrzenie, Mel hardo uniosła głowę. Nie odpowiedziała i weszła w portal, który od razu przeniósł ją do domu. Za nic w świecie nie miała zamiaru skorzystać z rady Astrin. Zamierzała wrócić – tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.



Mel nie chciała zwlekać. Jeszcze tego samego wieczora udała się do domu Kate. Przez chwilę stała pod drzwiami, naciskając dzwonek. Nikt jednak jej nie otworzył. To było dość zastanawiające: jej ciotka nie zniknęła nagle w środku tygodnia, tym bardziej nie robiła tego Kate, która nie miała przecież żadnych znajomych. Ale może to i lepiej, że nikogo nie było. W końcu Mel przyszła tu nie po Kate, ale po coś, co do niej należało.

Na szczęście Mel przyjaźniła się z Kate wystarczająco długo, by znać inne sposoby na dostanie się do domu jej ciotki. Okrążyła więc budynek i weszła drugimi drzwiami, których prawie nikt nie używał. Prowadziły przez kuchnię. Do tej pory Mel użyła ich tylko raz, gdy Kate zapomniała kluczy. Jej ciotka często zostawiała te drzwi otwarte. Tak samo było i tym razem. Być może – o ile pani Hallander też była wiedźmą – dom obłożony był czarami ochronnymi, dlatego mniej przejmowała się kluczami. Czary nie powstrzymały jednak Mel.

Będąc już w salonie, przez chwilę poczuła się jak włamywaczka. Ta myśl wydała jej się ekscytująca. Być może byłoby inaczej, gdyby rzeczywiście chciała coś ukraść, ale przecież to nie było tak. No, przynajmniej nie do końca. Potrzebowała tylko jednej rzeczy, ale takiej, na której Kate wcale nie musiało zależeć.

Znała dom na pamięć, więc od razu ruszyła do pokoju Kate. Szybko przejrzała jej rzeczy i znalazła szczotkę do włosów. Do przygotowanego woreczka włożyła kilka z nich. Patrząc na nie, przypomniała sobie, jak często Kate na nie narzekała. Były cienkie i żadne odżywki nie potrafiły temu zaradzić. Do pewnego stopnia sprawiało to Mel satysfakcję. Kate mogła być od niej mądrzejsza, ale na pewno nie była ładniejsza.

Od razu chciała odejść, ale rzeczy, którymi zagracony był pokój, zatrzymały ją. Wcześniej nieszczególnie się im przyglądała, ale teraz, gdy wiedziała już, że dom może być przesiąknięty magią, zdawało jej się, że w każdym kącie widzi coś ciekawego.

„Nie sądzę jednak, by była kimś szczególnym” – przypomniała sobie słowa maga. To pewnie oznaczało, że w pokoju Kate nie było nic niezwykłego, a przynajmniej na pewno nie było tu rzeczy, których Mel nie będzie mogła sama

już niedługo mieć.

Schowała woreczek do torebki i ruszyła na dół. Nie wróciła już do domu tylko od razu pojechała z powrotem do świątyni. Matka i tak nie zwracała na to uwagi, więc nie powinna jej szukać. Astrin nie była zadowolona, widząc ją z powrotem.

– A więc moja rada... – zaczęła.

– Mam ją w nosie – warknęła butnie Mel i ruszyła w stronę korytarza. Domyślała się, dlaczego Astrin jej nie znosi, mimo że znały się dopiero od kilku godzin. Najwyraźniej sama była uczennicą tamtego mężczyzny i widziała w niej konkurencję. Ale to jedynie upewniało Mel w tym, że musiała być kimś silnym.

Nie doszła do drzwi biblioteki, gdy coś ją zatrzymało. Czuła się zupełnie tak, jakby natrafiła na niewidzialną ścianę.

– Co ty...

– Widzę, że trzeba będzie trochę cię utemperować – odezwała się spokojnie Astrin. – Myślisz, że wolno ci przeszkadzać mistrzowi i wchodzić tu, kiedy zapragniesz?

Mel spojrzała na nią z przerażeniem. Może i miała potencjał, by stać się silniejszą, ale na razie to Astrin górowała nad nią doświadczeniem i w każdej chwili mogła zrobić z nią cokolwiek chciała.

– Ja... on...

– Musisz nauczyć się kilku zasad, jeśli chcesz tu pozostać. Po pierwsze, magia nie jest zabawą, a ty nie posiadasz nagle niestworzonych mocy. Nie pogrywaj więc ze mną i odnoś się do mnie z szacunkiem. Po drugie, *on* będzie od teraz twoim mistrzem i masz nauczyć się pokory. Nikt nie potrzebuje tu rozkapryszonych małolat. Pozwolę ci przejść dalej tylko wtedy, gdy zapewnisz mnie, że zrozumiałaś.

Mel starała się pokazywać odwagę. Wystarczyło jednak skinienie palcem Astrin, by poczuła, jak niewidzialna siła każe jej pochylić głowę w dół, a potem unieść ją w górę.

– Zrozumiałaś? – powtórzyła Astrin.

– Tak – wycedziła nienawistnie Mel.

Astrin poruszyła ręką; niewidzialna ściana znikła, a Mel, która dotąd się o nią opierała, zatoczyła się.

– I po trzecie – dodała Astrin – masz podążać za mną i nie pchać się przed szereg, póki nikt nie każe ci tego zrobić.

Mel, która czuła się teraz, jakby ktoś wrzucił ją w błoto i porządnie w nim obtoczył, szła za Astrin bez słowa, powtarzając w myślach najgorsze przekleństwa i snując plany zemsty. Ukojenie przyniosło jej ponowne spotkanie z mężczyzną, którego miała odtąd zwać mistrzem. Oczekiwał na nią w tym samym pokoju.

– Spisałaś się doskonale – oznajmił, nie kryjąc radości, gdy wręczyła mu woreczek. – Będiesz doskonałą wiedźmą! – Położył woreczek na tronie i powiedział: – Muszę jednak przyznać, że przemyślałem kilka rzeczy. – Te słowa starczyły, by zaniepokoić Mel, jednak mistrz szybko sprostował: – Włosy twojej

przyjaciółki ostatecznie nam się nie przydadzą, przynajmniej na razie. Niepotrzebnie cię fatygowałem. Z drugiej strony możesz potraktować to jako magiczne zadanie. Twoje pierwsze. To, jak dobrze ci poszło, jedynie utwierdza mnie w przekonaniu, że się pomyliłem.

– Pomyliłeś?

– Owszem. Wcale nie musimy łączyć cię z magią poprzez twoją przyjaciółkę. Jej zwyczajna moc mogłaby osłabić twoją, która dopiero ma się narodzić. O wiele lepiej będzie, jeśli od razu połączysz się ze mną. Chodź.

Objął ją ramieniem i przeprowadził przez salę. U jej końca z ciemności wyłonił się długi i wysoki stół. Mel zobaczyła na nim sprzęty magiczne, które widziała już w książkach. Pentakl lśnił, jakby dopiero co go wypolerowano, różdżkę pokrywały kamienie szlachetne, zaś rączka athame, podobnie jak wielki kielich, musiała być wykonana z prawdziwego złota. Oprócz podstawowych narzędzi na ołtarzu znajdował się jeszcze jeden pentakl, na którym wyrysowano symbol czterogłowego smoka. Dookoła sprzętów stały świece w smukłych świecznikach. Mistrz sięgnął po różdżkę i kolejnymi machnięciami – Mel widziała to po raz pierwszy – zaczął zapalać świece.

– Pora, abym wyjaśnił ci, skąd wzięła się nazwa tego miejsca – powiedział. – Ten budynek naprawdę jest świątynią. Magiczna moc sprawia, że kryje się w brudnej kamienicy zamieszkaney przez ludzi, których mijasz na ulicy. Tu najtrudniej nas znaleźć, dlatego właśnie tu ukryliśmy swój skarb. Wierzymy, że magia jest siłą, która ukształtowała świat. Właśnie dlatego nazywamy ją pierwotnym światłem i uznajemy za świętość. Nie spotkasz się z tym poglądem u większości więdźm, które posługują się magią tak, jak gdyby służyła im do wycierania butów. Coraz mniej jest ludzi widzących w magii prawdziwą sztukę. Właśnie dlatego, że jesteśmy tak nieliczni, poszukujemy ludzi niezwykłych. Ty, moim zdaniem, właśnie do nich się zaliczasz.

Mel przenosiła wzrok z ołtarza, który wyglądał wspaniale, gdy świece były już zapalone, na mistrza i z powrotem. Spotkał ją ogromny zaszczyt, wiedziała o tym.

– Chcę połączyć cię z moją mocą – oznajmił mistrz – a nim to zrobię, muszę wyjaśnić ci, jak działa magiczne połączenie. Może się to wydawać nieco przerażające, ale będziemy musieli użyć krwi.

Mel pokiwała głową. Była przygotowana na taką ewentualność. Wyobrażała sobie nieraz, że praktyki magiczne właśnie tego wymagają i nawet poczuła ekscytację, że sama będzie uczestniczyć za moment w takim rytuale.

– Musimy nieco się zranić. – Mistrz wziął swoje athame. – Nie zostanie po tym jednak żaden ślad, więc nie masz się czego bać.

– Zabrałam też swoje athame. – Mel wyciągnęła z torebki sztylet.

– Nie, nie! – Mistrz się roześmiał. – To nie zadziała. Ten sztylet nie jest tym, co athame. Jeszcze nie, bo potem oczywiście go poświęcimy. Ale zacznijmy od najważniejszych rzeczy. Jesteś gotowa?

– Jestem – odparła Mel.

Czekała na to tak długo...

Wszystko stało się szybko, za szybko. Mistrz naciął swoją dłoń, a potem ujął rękę Mel. Jego palce były ciepłe i delikatne. Nim zranił Mel, kilka razy przejechał nimi po jej dłoni, szepcząc coś. Te słowa sprawiły, że gdy przecinał jej skórę zimnym ostrzem athame, nie poczuła bólu. Sama zdziwiła się, widząc, że obficie krwawi.

– A teraz pora na połączenie – oznajmił mistrz i wyciągnął w kierunku Mel swoją rękę. Dłoń Mel bez wahania wyszła jej na spotkanie.



Rozdział 12

Kara ziemi

Kate długo się budziła. Miała wrażenie, że opuszcza głęboki, trwający wiele dni sen i wcale nie chciała tego robić. Od dawna tak dobrze nie wypoczęła. Jej oczy stopniowo przyzwyczajały się do ostrego światła kolejnego, słonecznego dnia, jednak świat wciąż był rozmazany, jakby jeszcze nie zdecydował, jakie chce przybrać kształty.

Usiadła na łóżku i porządnie się rozciągnęła. Głowa bolała ją, ale mimo tego czuła się całkiem dobrze. Dziwnie, owszem, trochę jak pijana, jednak pełna woli życia, zupełnie jak gdyby zamieszkała w niej jakaś niezrozumiała radość.

Rozglądnęła się dookoła. Najwyraźniej Kleftis przeniosła ją do innego pokoju. Na łóżkach obok spali Jonathan i Lilian. Pościel pachniała ziołami, a z sufitu zwisały łapacze snów.

Kate zastanawiała się, ile właściwie dni spędzili w domu Kleftis. Na pewno więcej niż jeden czy dwa. Trudno jej też było sobie przypomnieć, jak tu trafili. Mieli chyba coś ważnego do zrobienia, ale teraz istota tej sprawy przypominała trudny do uchwycenia sen.

Wstała i poszła do kuchni. Przy piecu krzątali się Tom i Hiacinthus, nucąc piosenkę o zaspanych jednoroźcach i przygotowując herbatę. Diana rozkładała na stole talerze z grzankami. Uważała przy tym, by nie stawiać ich zbyt blisko Darrina, który wciąż spał z głową na stole.

– Dzień dobry – powiedziała śpiewnym głosem Kate. Na jej uśmiech odpowiedziała nawet Diana.

Kate wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem coś sobie uświadomiła.

Felicity – pomyślała. Niemal całkiem zapomniała, że od teraz Diana chce być znana pod innym imieniem.

– Jak się masz, *Felicity*? – spytała więc.

Uśmiech, który pojawił się na twarzy Diany, nadał jej niespotykanej dotąd uprzejmości.

– Świetnie – odparła. – A co u ciebie, droga... – Zawahała się. – Przepraszam, ale chyba zapomniałam, jak się nazywasz.

Kate nieco zdziwiło to, że *Felicity* może nie pamiętać jej imienia. Uświadomiła sobie jednak, że sama ma problem z przypomnieniem go sobie. To było trochę tak, jakby jej własne imię próbowało przecisnąć się przez płataninę innych myśli oblegających jej głowę. Jednak czy miało to w ogóle jakiegokolwiek znaczenie?

– Jestem... Jestem Kate.

Do niej samej te słowa dotarły tak, jak gdyby wypowiedział je ktoś inny. Słyszając swoje własne imię, doznała nieprzyjemnego ukłucia w klatce piersiowej. Zmartwiona tym nagłym bólem, usiadła i niewidzącym wzrokiem spojrzała na piętrzące się przed nią jedzenie.

O co chodzi? – zaczęła się zastanawiać. *Skąd wziął się ten ból?*

Zupełnie jakby w jej sercu coś się zagnieździło. Dziwnie to brzmiało, ale zdawało jej się, że rzeczywiście coś tam jest... Coś małego...

Nagle stanął przed nią obraz zielonego kryształu i czyichś seledynowych włosów. Już miała wstać i coś krzyknąć, jednak myśli i słowa spłoszyło przebudzenie się *Darrina*. Zaczął przeciągać się na krześle, wciąż mając zamknięte oczy. Gdy je w końcu otworzył, wyglądał na zdziwionego tym, co zobaczył.

– Co to jest? – spytał, ziewając.

– Śniadanie – odparła Kate. – Weź sobie coś, chyba że wolisz poczekać na resztę.

Darrin przyglądał się podejrzliwie jedzeniu i pociągnął nosem.

– Hmm... Potem – powiedział. – Zresztą... Czy my nie powinniśmy już pójść?

Diana zatrzymała się w połowie drogi do stołu z kolejną porcją grzanek.

– Pójść? – prychnęła. – A niby gdzie i po co mielibyśmy iść? Nie podoba ci się tu?

– Nie żartuj – zniecierpliwiał się *Darrin*. – Przecież mieliśmy szukać *Fione*.

Przebiegł wzrokiem po twarzach pozostałych. Zdawało się, że na moment widać było na nich przebłysk jakiejś myśli.

Fione – Kate była pewna, że to imię coś jej mówiło. Jednak próba przypomnienia sobie szczegółów była jak szukanie igły w stogu siana.

Tom podszedł do *Darrina* i położył mu dłoń na czole.

– Dobrze się czujesz? – spytał. – Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Jak to...? – *Darrin* odtrącił go i zerwał się na równe nogi. Otworzył znów usta, jednak zamknął je z powrotem natychmiast, gdy do ich uszu dobiegły dźwięki wygrywanej na harfie melodii. Nie wiedzieć skąd, *Wunjo* ponownie zjawiła się w kuchni.

Darrin usiadł znów przy stole. Wydawał się oszołomiony muzyką. Machinalnie sięgnął po grzankę i gdy tylko odgryzł kawałek, wyraz jego twarzy się zmienił.

– Rzeczywiście, coś chyba ze mną nie tak. Najwyraźniej miałem złe sny.

Zwabieni dźwiękami harfy, do kuchni wkroczyli Lilian i Jonathan, a zaraz za nimi pojawiła się Kleftis. Miała na sobie elegancką garsonkę i buty na szpilkach, a na fryzurę w kształcie ula założyła kapelusz z czarną siateczką. Entuzjazm, który opanował Kate na jej widok, sprawiał, że chciała wstać i z jakiegoś powodu bić wiedźmie brawo.

– Dzień dobry – zwróciła się do wszystkich gospodyni. – Eunice, czy możesz podać mi filiżankę?

Kleftis musiała przez dłuższy czas wbijać w Kate wzrok, by ta zorientowała się, że to do niej kierowała swoją prośbę.

– Eunice? – powtórzyła.

– Czyżbyś zapomniała? – zdziwiła się Kleftis. – Nie dalej jak wczoraj sama wybrałaś sobie to imię. Mówiłaś, że zależy ci na czymś oryginalnym. Nowe życie wymaga nowych imion. Wczoraj wszyscy zgodnie tak twierdziliście.

Kate zmrużyła oczy, usiłując wydobyć z pamięci wspomnienie. Niewiele pamiętała z ostatnich dni. Przecież była pewna, że je przespała. Kleftis mogła mieć więc rację. I całe szczęście, że tu była, by o wszystkim im przypomnieć.

– Tak, to prawda – przyznała Kate, po czym podała Kleftis filiżankę.

– A ja jestem Ana. – Lilian przysiadła się do nich i z podekscytowaniem zaczęła dzielić się swoimi nowymi wspomnieniami: – To świetne imię dla mnie, bo jest proste i opisuje kogoś, kto ma całkiem inny charakter od Lilian. Kiedyś byłam bardzo skomplikowana, bez przerwy gadałam, wiesz? Teraz wolę być bardziej... zwięzła. Kleftis twierdzi, że dobrze zrobiłyby mi śluby milczenia. – Sięgnęła po grzankę i mówiła dalej, teraz już z pełnymi ustami, rozsypując okruchy po stole. – Może się na to zdecyduję. Jestem już chyba gotowa.

Kleftis i Wunjo, która teraz już od niechcienia trącała struny swojej harfy, spojrzały po sobie, jakby niepewne, skąd Lilian wzięła historię o ślubach milczenia.

Zaczęli jeść śniadanie dopiero gdy – jako ostatni ze wszystkich – obudził się Fion. Najpierw i on przecierał oczy ze zdumienia, ale gdy usiadł przy stole obok pozostałych, powoli przypominał sobie ostatnie dni.

Wszystko było jak należy. Kate sama nie potrafiła uwierzyć, że trafili do ogrodu Kleftis dopiero teraz, a przecież był w Jaarze od dawna, na wyciągnięcie ręki. I pomyśleć, że wszystko to było tak proste: zapomnieć o przeszłości i zacząć zwyczajnie żyć.

Znów poczuła ból w klatce piersiowej. Tym razem jednak się nim nie przejęła.

– Mamy dziś wielką rzecz do zrobienia – oznajmiła Kleftis, gdy skończyli jeść.
– Felicity chciałyby coś ogłosić.

Oczy wszystkich powędrowały w stronę Felicity (Kate zastanawiała się, dlaczego wciąż myśli o niej jako o Dianie). Ta wstała i skromnie poprawiła swoją sukienkę.

– Przybyłam tu jako pierwsza – oznajmiła, podczas gdy Kleftis sięgnęła znów

po swoje druty, a Wunjo podeszła do harfy. – Jak się domyślacie, dom naszej gospodyni kryje w sobie pewną tajemnicę. Czas płynie tu we własny sposób, a przybyli czują się inaczej. Otóż... – Nagle oczy Diany załśniły dawną ostrością. – Ona jest... ona jest...

Wunjo mocniej pociągnęła za harfę; druty w dłoniach Kleftis poruszyły się gwałtowniej. Wywołany tym niemal bolesny dla uszu huk szybko przerodził się znów w piękną melodię. Kate czuła, jak muzyka Wunjo sięga zakamarków jej umysłu, wyciągając z niego te rzeczy, które wcześniej wydawały się faktami, i zastępując je nowymi, lepszymi wspomnieniami. Na swoich drutach Kleftis tknęła ich życia na nowo, z niewidzialnej nici tworzyła nową szatę, pod którą mogli skryć stare, zszargane złymi wspomnieniami ciała.

– Tak – kontynuowała sennie Diana.

Felicity! – Kate walczyła z natrętnym wspomnieniem.

– Poznałam tajemnicę Kleftis. Rozumiem, że ona oferuje nam nowe życie, ale żeby móc je osiąść, trzeba najpierw rzec się starego. Tak więc postanowiłam oddać Kleftis wszystko, co zostało z dawnej mnie. Proszę, żebyś to zabrała i pozwoliła mi stać się nową istotą.

Wyciągnęła ręce w taki sposób, jakby były związane sznurem, którego chciała się pozbyć.

Kleftis odłożyła swoje druty, a powietrze nagle jakby się rozrzedziło.

– Skoro tego sobie życzysz – powiedziała do Diany.

Kate, wraz z pozostałymi, z zaciekawieniem przyglądała się temu, co miało się zaraz stać. W żaden sposób nie umiała się domyśleć, o czym mówiły Kleftis i Diana, podobnie jak nie rozumiała tego, co zaczęły robić.

Diana, wciąż klęcząc, spuściła głowę, a Kleftis położyła dłonie na jej włosach i zamknęła oczy. Po chwili aura Diany zaczęła emanować żółtą, przypominającą piasek energią. Kate wiedziała, że ten kolor ma jakieś znaczenie w przypadku dziewczyny, ale nie mogła sobie już przypomnieć jakie.

Energia stawała się coraz wyraźniejsza. Z głowy Diany przenosiła się na dłonie Kleftis, a potem wnikała w jej ręce. Kleftis trzęsła się, jak gdyby nie była przygotowana na przyjęcie czegoś, co najwyraźniej było bardzo potężne. Ich postacie połączyły się teraz, objęte jedną aurą. Po kilku minutach tego przekazu energia otaczająca ciało Diany zaczęła blaknąć, podczas gdy ta, która uformowała się wokół Kleftis, nabierała koloru.

Kate zrozumiała już, o co chodzi. Felicity przekazywała swoją magiczną moc w ręce Kleftis. *Czy to rozsądne?* – pomyślała. Serce znów ją zabolowało. Chwyciła się za nie, gdy ból zaczął narastać. Coś było nie tak, bardzo nie tak, ale jeszcze nie chciała się tym z nikim dzielić.

Za chwilę – chyba wszyscy już to rozumieli – Felicity miała stać się kimś zwyczajnym, rozpocząć nowe życie bez magii. Siłą rzeczy coś w Kate protestowało. Patrząc na Felicity, przypominała sobie kogoś, kto nigdy w życiu nie zrezygnowałby z magii, jakąś dawniejszą osobę. Czy to możliwe, że w ciele nowej Felicity coś walczyło? *Ktoś walczył?*

Miny pozostałych również wydawały się skonsternowane, zupełnie jakby ktoś

postawił im pytanie, na które próbowali znaleźć odpowiedź w odmętach niepamięci. *Ale jak to?* – zastanawiała się Kate. Czy nie pokazali już, że potrafili radzić sobie w podobnych sytuacjach? Przecież zadano już im trudną zagadkę. Była tego pewna. Nie wiedziała, gdzie i kiedy, ale ona, Tom i... to znaczy, ten chłopak, jak on się teraz nazywa? I... i Felicity... Diana... *Felicity...* i Ana... *Lilian? Kim jest Lilian?*

Ktoś otworzył drzwi. Do ciepłego domku wpadł mroźny wiatr z jakiegoś innego, mrocznego miejsca. Przyniósł ze sobą otrzewniający chłód.

– Nie tak prędko, raszplu! – ryknął ktoś.

Wszyscy odwrócili się teraz jak na komendę. W drzwiach stała ferini ubrana w wielki kozuch i coś dziwnego. *Tukha!* – uświadomiła sobie Kate. To było nakrycie głowy, jakie nosiła Babcia Annwynn.

Ale teraz Babcia była kimś innym, nie tylko sobą taką, jaką – o dziwo – Kate i pozostali wciąż ją pamiętali. Teraz była uosobieniem wściekłości. Gniew sprawił, że wykrzywiła nienawistnie twarz, ciało jakby odmłodziło, gotowe do ataku i walki z niejednym przeciwnikiem, zaś z całej jej aury wydobywała się gwałtowność, która zdawała się napierać na chatkę, burząc zamknięty w niej kolorowy świat.

Kleftis krzyknęła. Natychmiast oderwała rękę od Diany, która, zdezorientowana, zaczęła błędzić wzrokiem po pomieszczeniu.

– Annwynn! – zawołała przerażona Kleftis.

– O tak, moja droga! – Babcia wysunęła w jej kierunku kościsty palec. – Nie wiesz chyba, z kim zadarłaś!

Wunjo zaczęła swą grę. Wystarczyło jednak machnięcie ręką Babci, by zerwać struny w jej harfie. Jedna z nich strzeliła niczym bat.

– Ja... – Kleftis zaczęła cofać się w głąb kuchni i bronić rękami przed Babcia, która powoli ruszyła w jej kierunku. – Ja nie wiedziałam... Nie miałam pojęcia, że ty... No, nie stójcie tak! – zawołała nagle w kierunku siedzących przy stole. Ale żadne z nich się nie ruszyło, byli zbyt zdezorientowani. Wspomnienia z życia, jakie znali dawno temu, mieszały się ze słodkimi czarami kolorowego domu, powoli zaczynającymi tracić na sile.

Babcia Annwynn wciąż kuśtykała w stronę pieca, za którym zdążyła się już schronić Kleftis. Wunjo stanęła między nimi, chcąc bronić swojej wiedzy. Jednak gdy Babcia dotarła już do przerażonej Kleftis, wcale nie skierowała w jej stronę energii. Zamiast tego podeszła do ściany ze szklanymi brelokami i jeden po drugim zaczęła je strącać, rozbijając o podłogę. Kolorowa energia unosiła się z nich i znikła w przestrzeni. Z jednego wyzwoliła się niewielka istota przypominająca fretkę – Scire, która od razu popędziła ku Dianie.

– Nie – krzyknęła Kleftis. – Nie możesz tego zrobić!

– Cóż, właśnie to robię – prychnęła Babcia. – Nie żebym była filantropką, ale chyba warto zwrócić innym to, co im się należy.

Kleftis doskoczyła do ściany i zaczęła zgarniać breloki, próbując upchnąć je w kieszeniach swojej sukni.

– Zawarłam umowę z samym królem Elphame! – zawołała. – Pozwolił mi tu

być. Jest tu dla mnie miejsce.

– Nie, kiedy atakujesz Strażników Żywiołów.

Kleftis otworzyła szeroko usta.

– Ale ja o niczym...

Nim skończyła mówić, rozległ się krzyk. Leżąca na podłodze Diana nagle wstała. Ledwo trzymała się na nogach, ale mimo osłabienia wyciągnęła rękę w stronę Kleftis. Jej twarz wykrzywiła wściekłość równa tej, którą demonstrowała teraz Babcia Annwynn, a na jej ramieniu siedział już Scire.

– To obcożyt! – zawołała Diana. Przerażeni Tom i Lilian przestali oddychać, a Darrin wstał tak gwałtownie, że krzesło upadło na podłogę.

Kate, podobnie zresztą jak Jonathan, nie rozumiała tego słowa. Nie miała pojęcia, czym jest obcożyt. Zrozumiała jednak coś innego. Gdy Babcia zaczęła niszczyć kolorowe breloki, stopniowo wybudzała się ze snu. Prawda nawarstwiała się, odkrywając przed Kate po kolei wszystkie zdarzenia, które doprowadziły ich aż tutaj. Gdy jednak Babcia wypowiedziała słowa „Strażnicy Żywiołów”, niezwykle czar prysł ostatecznie, rozbijając się podobnie jak breloki. Kate miała wrażenie, że ktoś wyrwał ją ze snu. Na nowo stała się sobą, tylko sobą, nie kimś nowym, udawanym. Była tylko Kate Hallander, a wraz z tą myślą przyszło do niej całkowite oprzytomnienie. Nie spędziła tu kilku dni, przybyła wczoraj. Nigdy też nie miała zamiaru tu zostać, mimo że tak łatwo w to uwierzyła.

Ból w jej sercu, spowodowany odzywającym się kamieniem Danu, ustał. Zastąpiło go jednak inne, straszne uczucie, które – choć trwało nie dłużej niż sekundę – sprawiło, że Kate omal nie ugięła się pod ciężarem swojego własnego, odzyskanego ciała. Wszystkie sprawy, które dotąd jej dotyczyły, wróciły, naraz wdarły się w jej głowę, jakby nie potrafiły ustawić się w kolejce.

Wstała i, podobnie jak pozostali, wyciągnęła swoje athame. Wyszła przed resztę, nie do końca wiedząc, po co to robi. Był to instynktowny odruch, być może podyktowany przez moc kamienia, z którą ponownie się połączyła.

– Odejdźcie! – Babcia przeganiała ich w stronę drzwi. Tym razem byli gotowi jej posłuchać, wszyscy oprócz Diany. Osłabiona, pozbawiona znacznej części swojej mocy, rozbudziła w sobie nową gwałtowność i niczym atakujące zwierzę rzuciła się na Kleftis. Zaciśnęła palce na jej grubej szyi.

– Oddawaj! – syknęła. Żółta energia pojawiła się na nowo i objęła je obie. Tym razem jednak to Kleftis była tą, która ją przekazywała. Właściwie wyglądało to bardziej tak, jakby Diana wydzierała z powrotem swoją własność.

Wreszcie połączenie między nimi znikło. Na moment nim to się stało, breloki schowane w kieszeniach Kleftis pękły, o czym świadczyło unoszące się z sukni światło. Wunjo, która dotąd próbowała bronić swojej wiedźmy, zaczęła nagle rozglądać się dookoła, jakby próbując sobie przypomnieć, gdzie jest. Potem, spojrzawszy na Kleftis, nagle odskoczyła. I to samo zrobili pozostali, bo z wiedźmą zaczęło dziać się coś niezwykłego.

– W stronę drzwi! – krzyknęła Babcia. Wszyscy, łącznie z Wunjo, rzeczywiście się cofnęli, ale nikt nie wyszedł. Nadal przyglądali się Kleftis. Ta uniosła się

o kilka stóp w górę, jej ciało wydłużyło się, z pleców wystrzeliły skrzydła, rozrywając suknię. Z palców rąk i nóg, z których spadły buty, wyrosły długie pazury. Skóra wiedzmy przybrała siny kolor, czaszka wygięła się. Istota, w którą przeistoczyła się Kleftis, zdjęła kapelusz i włosy, które okazały się po prostu peruką. Teraz z jej głowy wyrastało zaledwie kilka długich, rdzawych kłaków. W jej ustach zalsniły ostre zęby.

– Faktycznie – odezwał się Tom, starając się zamaskować przerażenie w swoim głosie – to obcożyt.

– Nie wiem, co to jest – odparł Jonathan – ale chętnie to zabiję.

Sięgnął po swoją różdżkę, jednak Babcia Annwynn go powstrzymała.

– Jeśli ją teraz zniszczysz, wszystko wokół zniknie, my też – ostrzegła.

Potwór otworzył paszczę, z której wydobył się tylko dziwny dźwięk, przypominający coś z pogranicza syku i warczenia.

Wunjo otworzyła drzwi chatki i wybiegła. Reszta ruszyła za nią. Babcia wychodziła jako ostatnia, rzucając obcożyтови ostrzegawcze spojrzenia. Zdawało się jednak, że wraz z utratą ludzkiej, choć tylko przybranej, osobowości potwór stracił zdolność trzeźwego myślenia i zachowawczość. Rozczapierzył szpony, szykując się do ataku.

– Ach! – krzyknęła Lilian. Florence znów się powiększył i próbował ją ugryźć. Uderzyła w niego energią ze swojego athame. Ogromna głowa krwiożerczego kwiatu teraz przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby falowała na wietrze, ale szybko znów zaczęła węszyć. Florence otwierał i zamykał swoje płatki, jednak poza chatką jego usypiający pył nie działał.

Obcożyt rzucił się na Darrina, szybkim ruchem rozdzierając jego ramię. Darrin krzyknął z bólu i odwdzieczył się potworowi silnym kopniakiem. Gdy obcożyt zawył, wszystkie rośliny, nie tylko Florence, stały się nagle bardzo żywotne. Drzewa zaszumiały, trawy wydłużyły się i skierowały w stronę walczących, a ostre liście czerwonych krzewów wbiły się w powietrze i zaczęły atakować wszystkich oprócz obcożyta. Fion odsunął się w ostatniej chwili, nim uderzyły w miejsce, w którym stał, wbijając się w ziemię niczym odłamki szkła.

Dom Kleftis również zaczął się poruszać. Ściany przypominały teraz skórę, zaś z komina wydobywały się opary, resztki kolorowych energii, które wzbijały się w powietrze i zmierzały w różnych kierunkach. Najwyraźniej podążały do swoich właścicieli, których wcześniej okradła Kleftis.

Nagle wszystkie okna domku otworzyły się i potężna fala żółtobrazowego światła przelała się przez futryny, nieomal rozrywając ściany. Energia uformowała się w długi strumień i uderzyła w Dianę.

– Nie! – krzyknęła Lilian.

Kate patrzyła przerażona, jak Diana się zatacza. Była niemal pewna, że tak silne uderzenie było w stanie zabić.

Jednak Diana nie upadła. Wręcz przeciwnie. Szybko odzyskała równowagę i wyprostowana, z nogami twardo wbitymi w ziemię, wyglądała, jakby nagle zyskała zupełnie nową siłę. Odwróciła się w stronę obcożyta, ale nie patrzyła wprost na niego. Zmrużyła oczy i kucnęła, kładąc obie ręce na ziemi.

Wszystko ucichło, nawet mordercze rośliny przestały atakować. Cały ogród opanowało dziwne oczekiwanie.

Z całą pewnością Diana robiła teraz coś, czego nikt nie rozumiał. A jednak wydawała się całkowicie przekonana co do swoich zamiarów. Kate wymieniła zaniepokojone spojrzenia z Fionem i Lilian. Nawet Babcia Annwynn wydawała się zdezorientowana.

Po chwili ziemia pod ich stopami zatrzęsa się, jakby nagle coś zaczęło w niej pęcznieć. Kate upadła. Ze zdziwieniem zauważyła, jak z ziemi zaczęły niezwykle szybko wyrastać łodyżki, które powiększały się w zastraszającym tempie. Wszędzie dookoła z gleby wystrzeliwały długie pnącza i korzenie drzew, które rozkopywały ogród Kleftis. Wiły się gwałtownie w powietrzu jak macki podziemnego potwora. Otoczyły chatkę i wbijały się w jej dach, jedne po drugich.

Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie Diana sprawiła, że ogród zbuntował się przeciwko Kleftis. Pnącza oplotły chatkę, ściskając jej ściany do momentu, aż wreszcie całkiem się zawaliła. Obcożyt latał nad nią, wymachując skrzydłami, jakby mogło to cokolwiek pomóc. Wreszcie wrzasnął rozpaczliwie, zdając sobie sprawę, że to już koniec. Jego również dosięgły roślinne macki. Skrępowały go i wciągnęły pod ziemię.

Chaos wokół trwał jeszcze przez chwilę. Florence i reszta roślin z ogrodu Kleftis zostali wykopani z korzeniami i rozrzućeni wśród zgliszczy chatki. Wreszcie pnącza, jakie przybyły na rozkaz Diany, schowały się pod ziemię, a ona sama wstała, wyraźnie oszołomiona swoją nową mocą.

Dopiero wtedy Kate zdała sobie sprawę, że wszystko wokół się zmieniło. Nie chodziło tylko o to, że ogród przypominał pobojuwisko. Miała wrażenie, że przenieśli się do innego miejsca. Niebo zasnuła gęsta mgła, która kładła się też na ziemi. Powietrze stało się znacznie chłodniejsze.

– Pora wreszcie stąd iść – oznajmiła Babcia Annwynn. – To miejsce zaraz zniknie.

Ruszyła w kierunku wyjścia. Jako jedyna wiedziała, gdzie ono się znajduje. Teraz wszystkie małe płoty były powyrywane. Do ogrodu prowadziła spora metalowa brama. Jej drzwi wykrzywiły się i Darrin musiał pchnąć je kilka razy z całej siły, by dały się otworzyć. Opuścili ogród, gdy całkowicie pochłonęła go mgła, która przypominała teraz ogromną chmurę. Rozwiąła ją kolejny podmuch wiatru, a gdy to się stało, niebo odzyskało poprzedni kolor, ale wokół rozciągała się tylko pusta równina.

Kate wpatrywała się w przestrzeń, mrugając oczami. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie się stało.

– Pięknie – warknęła Babcia. – Prawie was wykończyła.

Wydawało się, że najbardziej miała to za złe Dianie, ale ta szczególnie się tym teraz przejmowała. Wpatrywała się w swoje dłonie, jak gdyby próbowała znaleźć w nich wyjaśnienie tego, czego przed chwilą dokonała.

– Co to jest obcożyt? – spytał Jonathan.

– To rodzaj namhajda – odparł Tom. – Zwykle są dość słabe, ale łatwo

manipulują innymi i przejmują ich moc. Mogą stać się bardzo potężne, choć przyjmując formę innych stworzeń, stają się też często płochliwe i nieco zdezorientowane. To niesamowite, jak bardzo daliśmy się jej podejść.

– Oczywiście, że niesamowite – zauważyła Babcia. – Jesteście Strażnikami Żywiołów, do jasnej cholery! Daliście się omotać jakiejś sekciarze. Ciekawe, co wam obiecała, hę? Jakimi sztuczkami was omamiła?

– Obiecała nam nowe życie – powiedziała tęsknie Lilian, która trzymała rękę nad raną Darrina, magicznie ją zasklepiając. – Że staniemy się kimś innym. I lepiej poznamy siebie...

Najwyraźniej Babcia nie wyczuła w tym żadnego romantyzmu.

– Nowe życie?! – prychnęła. – Masz takie życie, jakie masz, i zapamiętaj sobie, że nie będziesz miała innego. I zawsze będziesz tylko sobą. Co najwyżej możesz się czegoś nowego o sobie nauczyć, ale to nigdy nie jest przyjemne. Magia boli, a jak nie boli, to znaczy, że jest miętka. – Obrzuciła ich wszystkich zirytowanym spojrzeniem. – No tak, ale gdybym to ja była wami i musiała się wiecznie męczyć sama ze sobą, też by mnie kusiło stać się kimś innym... Dość tych głupkowatych mądrości! Jesteśmy w szczerym polu i trzeba znaleźć Bramę.

– Kleftis powiedziała, że Brama się rusza – zaczęła nieśmiało Kate – więc...

Gdyby spojrzenie Babci mogło zabijać, Kate leżałaby już co najmniej ciężko ranna. Annwynn nie musiała nic mówić, by Kate usłyszała wiele słów, na przykład: „Przewodniczka grupy, Strażniczka kamienia-władcy, nie potrafiła obronić reszty?! Co za wstyd!”.

– Chyba mi nie powiecie, że po tym wszystkim, co widzieliście, nadal macie zamiar wierzyć w cokolwiek, co mówiła ta wywłoka? – warknęła Annwynn, po czym podeszła do wciąż stojącej na uboczu Diany. – Masz. – Wręczyła jej sznury i wisioriki, które ta wcześniej doczepiała do włosów. – Leżały przy piecu. Nigdy ich nie lubiłam, ale szkoda stracić porcję niezłej magii.

Diana wzięła je bez słowa, nawet nie podziękowawszy – zdaniem Kate było to bardzo w jej stylu, więc chyba wszystko naprawdę wracało do normy.

– Nie wiem, jak tego dokonałam – powiedziała Diana, mimo że nikt jeszcze jej o to nie zapytał. – Kiedy ta wielka energia we mnie weszła, po prostu wiedziałam, co robić. W głowie pojawiła mi się myśl, żebym dotknęła ziemi. Potem to wszystko... zaczęło pulsować, rosnać. Byłam ziemią, stopiłam się z nią. Ona poczuła mój gniew.

Babcia wzruszyła ramionami.

– Nic w tym dziwnego – stwierdziła. – Na tym polega wasza moc. To normalne, że będzie rosnać. Jesteście Strażnikami Żywiołów. Właśnie dlatego pomagam wam już po raz ostatni. Zaczniście się wreszcie zachowywać jak przystało. A teraz za mną!



Rozdział 13

Nowa moc Lilian

– No i jak? – niepokoił się Joe. W szklanej kuli odbijała się twarz Babci, która kierowała na niego spojrzenie swoich wielkich, ciemnych oczu.

– A jak myślisz? – spytała. – Jasne, że ich uratowałam, ale mało brakowało, a byłiby jak te roślinki w ogrodzie Kleftis. Cóż, jej ogród też już należy do przeszłości. Diana przeorała go jak się patrzy.

Annwynn przesunęła się nieznacznie, by Joe mógł zobaczyć resztę. Za plecami Babci ukazała się Lilian, która pomachała do niego, uśmiechając się.

– Teraz – kontynuowała Annwynn, ponownie zasłaniając pozostałych – muszę pokazać im drogę do kolejnej Bramy. Tylko najpierw trzeba znaleźć środek transportu. Jak sądzę, pewnie gdzieś teraz śpi.

– Śpi? – odparł zdumiony Joe. – To znaczy, że...?

– Odsuń się, Annwynn! – przerwała im Lilian. – Ja też chcę go zobaczyć.

– Jak chcesz go zobaczyć, to trzeba było nie dawać sobie rozbić szklanej kuli – warknęła Babcia. Lilian zignorowała ją i sięgnęła po kulę. Gdy Joe zobaczył jej twarz, stwierdził, że spotkanie z obcozytem wcale jej nie zaszkodziło. Lilian wyglądała równie dobrze jak zwykle. W jej głosie obecny był jednak smutek.

– To potworne. Straciliśmy wszystkie nasze torby, tyle cennych rzeczy, moje ubrania, książki Toma, namiot...

Babcia głośno prychnęła. Tym razem Lilian dała się wyprowadzić z równowagi.

– Bądź cicho, Annwynn! – zawołała. – Nie wiesz, ile funtów nas to wszystko kosztowało. Zresztą nie wiesz nawet, co to są funty!

Mogło się wydawać, że po tych słowach Babcia powinna zamilknąć, jednak szybko znalazła na nie odpowiedź:

– Nie muszę znać tych durnych definicji, żeby wiedzieć...

– Jeśli ich nie znasz, to się nie odzywaj – przerwała jej Lilian, po czym znów spojrzała w kulę i, jakby chcąc mieć całkowitą pewność, że nikt jej już nie przeszkodzi, zaczęła mówić głośniej: – Przypuszczam, że nie odzyskamy już tych rzeczy. Wszystko pochłonęła mgła, kiedy zniknął ogród Kleftis. Na szczęście mieliśmy przy sobie swoje athame, a Annwynn uratowała włosy Diany... No, nieważne. Mów lepiej, co u ciebie.

– W porządku – odparł Joe. – Przyszło mi do głowy, żeby zrobić coś w stylu magicznego miernika. Długo nad tym pracowałem, ale jest już gotowy. Jeśli uda mi się go właściwie użyć, będę w stanie śledzić Badb.

– Wspaniale! – ucieszyła się Lilian. – Jeśli będziesz wiedział cokolwiek więcej, od razu daj nam znać. Teraz powinniśmy już chyba ruszać. – Spojrzała za siebie. – Czekają na mnie. Ale skontaktuję się z tobą od razu, jak tylko dorwę się do szklanej kuli.

Joe posłał jej ostatni uśmiech i przerwał połączenie. Dopiero teraz, rozsiadając się wygodnie w krześle, poczuł, że zaczyna swobodniej oddychać. Strażnicy byli bezpieczni, więc mógł wrócić do swoich zadań. Chciał jakoś im pomóc, chociaż nikt nawet go o to nie prosił. Jednak od chwili, gdy Lilian powiedziała mu o ich tajemnicy, czuł, że bierze udział w czymś niezwykłym. No i mógł przy okazji zająć się tym, co najbardziej go interesowało: wynalazkami.

Śruby, trybiki, wskaźniki – cała ta skomplikowana maszyna nie wyglądała zbyt magicznie, ale to właśnie takie czary Joe lubił najbardziej. Czarownice nazywały ją techno-magią i zwykle od niej stroniły, wykorzystując starsze i bardziej *naturalne* praktyki. Niektóre nawet wykpiwały techno-magię, ale musiała być czymś poważnym, skoro wykładano ją nawet na magicznych uniwersytetach w Jaarze. Ta dziedzina zainteresowań Joego zawsze była nie w smak jego matce. Jako znane medium, Laeticia Jenkins polegała głównie na swojej intuicji, a od wszelkiej techniki wkraczającej w czary trzymała się z dala. A jednak Joe wciąż wierzył, że prędzej czy później nadejdzie dzień, w którym jego matka zgodzi się, że magiczne wynalazki czasem się przydają.

Na pewno przydatny mógł okazać się ten, nad którym właśnie pracował. Miernik energii był dość prostym mechanizmem, jednak jego skalibrowanie wcale nie było takie łatwe. Najpierw za pomocą czaru spajającego materię trzeba było połączyć starą maszynę do pisania z jeszcze starszym rejestratorem papierowym. Dzięki temu Joe otrzymał sporą konstrukcję, do której mógł wkładać całe rolki papieru. Następnie do klawiszów maszyny przymocował druciki, do których dopiął odłamki kryształu górskiego. Ich rolą miało być oczyszczanie pola energetycznego wokół miernika, tak by jego pracy nie zakłócały żadne niepożądane wpływy. Miernik, odpowiednio ukierunkowany, powinien wskazywać poziom energii w wybranym miejscu.

Oczywiście urządzenie mogło mieć różne zastosowania, jednak teraz Joe postanowił sprawdzić jego działanie, wkładając do środka mapę Lasu Wielu

z doczepioną do niego karteczką, na której posiadał próbkę pisma Selene. Dostarczyła mu ją Diana, choć sama jeszcze nie wiedziała po co. Zresztą i Joe nie był wtedy pewien, czy jego wynalazek zadziała. Z sercem jak na dłoni wystukał na klawiaturze polecenie. Maszyna stukała o mapę, nie pozostawiając na niej żadnych śladów.

Zbadaj pole energetyczne wokół Selene.

Joe zastanawiał się, czy w ogóle coś się stanie.

– Niech zadziała – szepnął, by na wszelki wypadek wspomóc się czymś w stylu bardziej konwencjonalnego zaklęcia.

Pręciki z kryształami poruszyły się i wyprostowały, a z wnętrza miernika rozległ się szum. Mapa zaczęła powoli się przesuwac, a rysik z rejestratora znaczył na niej magiczny wykres, podczas gdy wskaźniki wykonywały koliste ruchy nad maszyną. Joe omal nie popadł w euforię, widząc, że jego wynalazek działa, musiał jednak zachować trzeźwość, by śledzić ruchy rysika. W wykresie energetycznym nie było widać większych odchyłeń. Ukazywał drogę Badb i jej drużyny przez Las Wielu. Mijał rzeki i bagna, zmierzając na północ, w stronę Tir-na-Nog, gdzie kreska stawała się nieco wyraźniejsza. Potem linia zatrzymała się w połowie drogi do Cienistej Krainy.

Wskaźniki wyprostowały się ponownie, szukając kolejnego sygnału. Gdy tylko to zrobiły, rysik znów dotknął mapy. Tym razem jednak znaczył na niej szerokie łuki, wskazujące na spore podwyższenie energii. Sunął po mapie coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie przebił papier i zaczął go rozszarpywać.

Zdumiony Joe natychmiast wyłączył miernik i delikatnie wyjął z niego zniszczoną mapę. W miejscu, do którego niedługo mieli dotrzeć Badb i pozostali, z pergaminu zostały tylko strzępy. Coś potężnego, co wytwarzało niespotykaną wręcz ilość magicznej energii, zmierzało w stronę Tir-na-Nog przed nimi albo też wkrótce miało stanąć im na drodze.

Co to może być? – zastanawiał się. Magiczny czotg, armia wiedźm? A może po prostu Badb lub Selene?

– Nie, to niemożliwe – odpowiedział sobie na ostatnie pytanie. Nawet najsilniejsza wiedźma nie mogła emanować tak potężną aurą. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, nawet całkiem spore, że jego miernik miał jakiś defekt. Jeśli jednak nie, wtedy pozostawało jedno: mieć nadzieję, że siła, której energię odebrał jego wynalazek, będzie przyjazna. W przeciwnym wypadku wolałby nigdy nie musieć się z nią mierzyć.



Zachowanie Selene stawało się coraz bardziej niepokojące. Pani Hallander obserwowała ją od dłuższego czasu i poważnie się martwiła. Jeszcze do niedawna miała nadzieję, że po niemal roku od utraty rodzinnego kamienia,

który w rzeczywistości należał do Eos, Selene zrozumie wreszcie, że nigdy nie była jego właścicielką. Było jednak coraz gorzej.

– Powinnaś coś zjeść – odezwał się Harold, który przyglądał się Badb równie troskliwie, co pani Hallander Selene. – Nie możesz być osłabiona, kiedy wreszcie tam dotrzemy.

Badb machnęła na to ręką. Wcale nie była osłabiona. Wręcz przeciwnie: wydawała się coraz silniejsza i coraz bardziej zdeterminowana.

– Nie jestem głodna – powiedziała. – Poza tym uważam, że nie powinniśmy spędzać tu nocy. Niedługo może zacząć robić się niebezpiecznie.

Teraz siedzieli w namiocie otoczonym zakłęciami ochronnymi. Pani Hallander i jej brat, Bradan, kupili go dawno temu raczej z myślą o kempingach niż poważnych wyprawach. I tak używali go raczej rzadko – Badb nie była chętna do robienia postojów.

– Wyjdę się przewietrzyć – oznajmiła Hillena. – A przy okazji dorzucę kilka czarów na namiot.

Nikt jej nie odpowiedział. Selene wciąż siedziała ze wzrokiem skupionym w jednym punkcie, zapewne obmyślając plan dalszych poszukiwań kamienia.

Gdy Hillena opuściła namiot, wieczorna szarzyzna dopiero zaczynała się pogłębiać. Od północy ciągnął zimny wiatr, niosąc ze sobą coś złowrogiego. Tirna-Nog zawsze wydawało się ekspansywne, jakby chciało swoją aurą podbić te części Lasu Wielu, które – zgodnie z dawnymi umowami – należały do innych istot lub pozostawały wspólne. Trzymając swoje athame w dłoniach, pani Hallander zaczęła przesyłać przez nie ochronną energię – jej magia miała niebieski odcień i osnuwała namiot czymś w rodzaju elastycznej płachty. Nie chcąc za bardzo obciążać jego konstrukcji, po kilku minutach przerwała przepływ energii, schowała athame i usiadła w trawie.

Teraz czuła się nieco bezpieczniej, choć była przekonana, że jej czar jedynie zamaskował prawdziwe obawy. Nie należała może do tych wiedźm, które z przesadą traktowały wszelkie przecucia, ale musiała przyznać, że tym razem coś ewidentnie wisiało w powietrzu, coś, co mogło zmienić cały Jaar.

Pocieszające było to, że magiczny świat wciąż wyglądał tak samo pięknie jak zwykle. Mimo możliwych niebezpieczeństw, które mogły zwiastować niedawne pojawienie się Wielkich Rzeczy, natura nie zrezygnowała ze swojej roli i ozdobiła leśną ścieżkę licznymi kwiatami. Jeden z nich, wyjątkowo piękny, zwrócił szczególną uwagę pani Hallander. Widziała go kiedyś, lata temu, na kursie z botaniki Jaaru, ale już nie pamiętała jego nazwy.

Kwiat miał głęboki niebieski odcień, a jego liczne płatki zbijały się ciasno. Twardą, grubą łodyżkę pokrywały białe włoski. *Kwiat otwiera się, gdy potrzebuje słońca* – pani Hallander przypomniała sobie słowa wiedźmy prowadzącej wykład. *Lubi wilgotne, zacienione tereny.*

Nadal jednak nie była w stanie przypomnieć sobie jego nazwy. Nie myślała o niczym innym do czasu, aż ujrzała na trawie spory cień. Nie wyglądał zwyczajnie. Przypominał raczej brudną kałużę, która pojawiła się znienacka i zaczęła rozlewać, podtapiając cały teren. Nagle zrobiło się też bardzo zimno.

Pani Hallander zadygotała. Nie spuszczała wzroku z cienia, który posuwał się stopniowo w stronę namiotu. Gdy sięgnął niebieskiego kwiatu, jego płatki uschły i opadły w mgnieniu oka, zaś łodyga zaczęła gnić.

Hillena zerwała się na równe nogi i zaczęła tworzyć ochronny krąg. Gdy znów spojrzała w stronę tego, co pozostało z niebieskiego kwiatu, cienia już tam nie było. Zamiast niego, na tle wysokich drzew, stało czworo jeźdźców. Zasiadali na koniach różnych maści: jeden był rdzawy, drugi czarny, trzeci złoty, zaś ten na przedzie – biały. Każdy z jeźdźców miał na sobie zbroję odpowiadającą kolorem swojemu wierzchowcowi. Stali nieruchomo, milczący.

Pani Hallander była przerażona. Skąd się tu wzięli? Czego od niej chcieli? I kim w ogóle byli?

Powoli spojrzała w twarz białego jeźdźcy i natychmiast coś ją poraziło. Nie chodziło o samą postać, bo nawet nie była w stanie dostrzec jej twarzy, zupełnie jakby pod metalową zbroją nikogo tak naprawdę nie było. Jednak z ciałem pani Hallander zaczęło dziać się coś dziwnego. Jej serce przyspieszyło, a w głowie pojawiły się myśli i obrazy, jakich nie mogłaby się spodziewać.

Dyplom, wyróżnienie, potężne laboratorium, twarz mężczyzny, o którym zapomniała już dawno temu. Powinna była zapomnieć! Nie znosiła go, choć przy tym nie był jej całkiem obojętny. Jej matka, brat, stare emocje, zaniechane plany i marzenia – wszystko to szturmowało jej głowę wraz z głosem, który wyraźnie słyszała obok siebie, jakby pochodził z nieistniejących ust jeźdźcy.

– Wszystko to będzie twoje – mówił. – Dam ci to. Chodź za mną.

Ręce pani Hallander same wzniosły się w górę, jak gdyby w błagalnym geście, przygotowane, by pochwycić dar obiecany przez białego jeźdźcy. Ale...

– Nie – odezwał się w jej głowie inny głos. Ten należał do niej samej. – Nie, nie! – zaczęła szeptać. Nie chciała wszystkich tych rzeczy, nie były jej potrzebne. A on nie mógł ofiarować jej ich w taki sposób, by nie doprowadzić ostatecznie do rozpacz.

Wciąż trzymała w jednej dłoni athame, a drugą dotknęła jego zimnego ostrza. To podziałało otrzeźwiająco. Zebrała w sobie całą swą moc, by przeciwstawić się hipnotycznej sile jeźdźcy.

– Nie! – zawołała, choć przypuszczała, że jeśli dojdzie do pojedynku, nie będzie miała z nim żadnych szans. Ale jeździec nie chciał z nią walczyć. Nie drgnął nawet, a jego koń odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego przybył. Pozostali podążyli za nim.

– Dobrze się czujesz, Hilleno? – Harold wyszedł z namiotu, najwyraźniej zwabiony jej krzykiem. Pani Hallander spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem.

– On... tam... oni...

Nie będąc w stanie nic z siebie wykrztusić, wskazała w stronę jeźdźców. Ich już jednak nie było. Zniknęli, zabierając ze sobą cień i chłód. Jedyнным śladem ich obecności był martwy kwiat, którego łodyga chyliła się ku ziemi. Stał się ofiarą jeźdźców. Pani Hallander dobrze wiedziała, że brakowało bardzo niewiele, a ona byłaby kolejna.



Babcia Annwynn kroczyła przed siebie pełna satysfakcji. Na razie nie wyjaśniła im, dokąd zmierzają. Najpierw sama musiała się w tym upewnić, czego zresztą byłaby już całkiem bliska, gdyby nie wszystkie te chaszczce i powoli zapadający już zmrok. Postanowiła jednak zawierzyć własnym nogom i po prostu szła tam, gdzie ją prowadziły – zwykle można było na nich polegać.

Nie chciała mówić tego głośno, ale nie był to pierwszy raz, gdy uratowała świat. Uznała jednak, że pozostali nie mają prawa być równie zadowoleni, więc co i rusz rzucała w ich stronę oskarżycielskie spojrzenia. Szybko doszła do tego, kto był sprawcą całego zamieszania. Diana bardzo ją rozczarowała. Jednak ona sama wydawała się teraz nieobecna. Szła przed siebie ze wzrokiem utkwionym w butach, wcale nie ze wstydu, ale najprawdopodobniej kontemplując swoją nową moc. Wciąż miała na sobie sukienkę, w którą przebrała ją Kleftis.

Wszyscy byli pod wrażeniem tego, co wydarzyło się w ogrodzie. Wyglądało na to, że teraz Diana o wiele mocniej związała się z żywiołem ziemi. Kate zastanawiała się, czy podobne zmiany czekają ich wszystkich. Wprawdzie Eos powiedziała im, że moc Strażników będzie rosnąć, ale nie wyjaśniła, jak dokładnie ma przebiegać cały proces. Czy pojawiała się nagle? A może wszyscy powinni czekać na równie dramatyczne okoliczności, w jakich ujawniła się siła Diany? Jeśli tak, to Kate nie miała wątpliwości, że będzie ich wystarczająco wiele.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że tak łatwo daliśmy się podejść obcożyтови – westchnął Darrin.

– Może to kwestia głupoty? – odpowiedziała uczynnie Babcia. Została jednak zignorowana.

– Cóż – odparł Tom – jedyne, co można powiedzieć, to że właśnie tak działają obcożyty. Kto mógłby przypuszczać, że grozi nam coś ze strony sympatycznej staruszki? – Tym razem to Babcia zignorowała fakt, że kilkoro z nich spojrzęło w jej kierunku. – Poza tym mieliśmy przewagę liczebną.

– Ktoś tu oczywiście zawinił – powiedziała Babcia.

Diana dostrzegła wreszcie spojrzenia rzucone w jej kierunku i zareagowała. Oczywiście, jak zwykle, agresją.

– Mówiłam już, że to stało się *niechcąco!* – zawołała. – Przyglądałam się kartce, którą znaleźliśmy w zamku i dotknęłam jednej z tamtych zasłon. Trafiłam do ogrodu Kleftis, a ona zaatakowała mnie jakimś pyłkiem i nafaszerowała swoimi ciastkami. To wszystko.

– Kartce? – podchwyciła Babcia. – Jakiej kartce?

Fion szybko wyjaśnił jej, co wydarzyło się w zamku po tym, jak otworzyli szafę.

- Spiralny labirynt – mruknęła Annwynn. – Ciekawe, ciekawe...
- Nad drzwiami zamku było napisane, że powinniśmy coś z niego zabrać – dodał Fion. – Coś, czego potrzebujemy. Chyba właśnie chodziło o tamtą kartkę, ale może i o coś więcej?
- Ha, na pewno o coś więcej – odparła Babcia. – Jakby to o mnie chodziło, to przede wszystkim wyniosłabym stamtąd mądrość, że macie już nigdy więcej się nie rozdzielać. Gdyby do tego nie doszło, przejście przez tę Bramę byłoby o wiele prostsze. No ale cóż, przy okazji pomogliście wielu czarownicom i czarownikom.
- Czyżby? – spytał Darrin. – W jaki sposób?
- Pamiętacie tamte świecące dziwactwa, zawieszane na ścianie Kleftis? Właśnie w nich przetrzymywała skradzioną magię. Istoty, które zaatakowały was w zamku, były zwykłymi fantomami, odciskami magii tych, którzy zostali jej pozbawieni przez Kleftis. Magia oddzielona od swojego właściciela często szuka drogi powrotnej. Fantomy wyczuły, że możecie im pomóc, dlatego ścigały was aż do chwili, gdy wpadliście do rzeki. Ona stanowiła oczywiście portal stały. Prawdę mówiąc, gdy jedno z was trafiło do ogrodu Kleftis, wszystkich musiało czekać to samo. Od czasu, gdy przeszliście przez pierwszą z Bram, wiąże was zaklęcie, wzmocnione tym, że powiedzieliście strażniczkom, że łączy was wspólny cel. Zaklęcie sprawia, że nie możecie się rozłączyć, o ile któreś z was nie wypadnie z gry. A to może stać się tylko wtedy, gdy pozostaniecie w tyle lub zrezygnujecie z podróży. Albo umrzecie, oczywiście.
- Zaraz! – powiedział Tom. – Skąd wiesz, co odpowiedzieliśmy strażniczkom? A jeśli od początku miałaś świadomość, że je spotkamy, dlaczego nas nie uprzedziłaś? – W jego głosie wyraźnie pobrzmiwały pretensje.
- A co?! – prychnęła Babcia. – Pewnie chciałbyś dostać przewodnik po Bramach?
- Tom nie musiał odpowiadać, bo wszyscy wiedzieli, że tak właśnie było. Wcale się tego jednak nie wstydził. Wręcz przeciwnie.
- Tak byłoby szybciej i bezpieczniej – stwierdził.
- Jasne! – skrzywiła się Babcia. – Podróż przez Siedem Bram już od dawna jest tylko formalnością. Ułatwianie jej jest po prostu śmieszne. Poza tym nie wolno ciągle polegać na innych, a jeśli chcecie znać moje zdanie, to uważam, że idealnie jest *zawsze* polegać *tylko* na sobie. No, chyba że idzie się w drużynie. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Bo niby kto miał odpowiedzieć na pytanie strażniczek? Ja? Co to by była za szczerłość? Chyba sami powinniście wiedzieć, jaki łączy was cel. A gdybyście znali po kolei każdy krok swojej podróży, to byłaby to zwykła wycieczka światopoznawcza, czy jak to się nazywa.
- Słowa Babci zaniepokoiły Kate. Gdy po pewnym czasie rozbili się na mniejsze grupki i każdy rozmawiał z kimś innym, miała szansę, by podzielić się swoimi obawami z Jonathanem.
- To trochę dziwne – szepnęła. – Babcia wydaje się wiedzieć o wszystkim, co się nam przytrafiło.
- No, w końcu sama musiała przejść przez Bramy, żeby do nas dotrzeć...
- Ale skąd wiedziała, o co zapytały nas strażniczki? Nie odpowiedziała na

pytanie Toma.

– Bo pewnie strażniczki pytają o to samo wszystkich. Nie robisz się zbyt podejrzliwa?

Właściwie Kate mogłaby przyznać, że owszem, stała się trochę podejrzliwa, ale nie uważała tego za błąd.

– Tak czy inaczej, nie powinna przecież znać naszej odpowiedzi, prawda? – ciągnęła. – Poza tym, może się mylę, ale powinno jej zależeć na szybkim odnalezieniu Fione tak samo jak nam wszystkim. W takim razie dlaczego nie ułatwiła nam drogi, skoro mogła to zrobić?

Jonathan westchnął.

– Nie wiem, Kate – odpowiedział. – Widocznie w tym wszystkim kryje się coś większego.

Rozmowę przerwało im poruszenie, które wybuchło z przodu. Lilian, która kroczyła dotąd tuż za Babcią, stanęła nagle z lekko rozłożonymi rękami. Wszyscy zgromadzili się wokół niej, pewni, że działo się coś nietypowego. Miała zacisnięte powieki i ciężko dyszała. W pewnej chwili zatoczyła się do tyłu i tylko szybka reakcja Toma, który pochwyił jej ramiona, uchroniła ją przed upadkiem.

– Co się dzieje? – przeraziła się Diana. Teraz nawet ona zupełnie otrzeźwiała.

– Hej, słyszysz nas? – Darrin klepał Lilian po policzku, jednak ona nie reagowała. Po chwili sama odzyskała równowagę i otworzyła oczy. Nie było w nich widać niczego, co wskazywałoby na odurzenie, choć wyglądała na nieco zszokowaną.

– Jasny szlag – powiedziała, siadając na ziemi. – Właśnie miałam wizję.

– Wizję? – zdziwił się Tom. – Przecież...

– Nigdy ich nie miałam, tak – dokończyła za niego Lilian. – Jeśli chciałam poznać przyszłość, używałam tarota albo szklanej kuli, ale teraz... To było zupełnie inne, nagłe i bardzo, *bardzo* wyraźne.

– Co dokładnie widziałaś? – spytała Babcia.

Lilian zrobiła głęboki wdech, a potem zaczęła opowiadać:

– Byłam na ścieżce wyłożonej żółtymi płytami. Wszyscy tam byliśmy, choć wydaje mi się, że mogło brakować Diany i Kate. Ale z nami siedł ktoś jeszcze. Widziałam go wyraźnie. To był fer.

– Jak wyglądał? – zaciekał się Fion.

– No... był całkiem niezły – przyznała Lilian.

– Robisz to specjalnie, tak?! – warknęła Diana, najwyraźniej już ostatecznie wracając do siebie.

– Uspokój się – ofuknęła ją Lilian. – Właśnie przechodzę do rzeczy.

Opisała im fera z wizji. Zgodnie z tym, co mówiła, miał złociste włosy, zieloną skórę i brakowało mu skrzydeł.

– A więc jednak! – zawołała Kate, przypominając sobie o tym, co zobaczyła w zamkowym lustrze. – Miałam rację, śledzi nas jakiś fer! To na pewno ten sam, o którym wam mówiłam. Co miał na sobie?

Lilian pokiwała głową.

– Dokładnie to, o czym wspominałaś. Ogrodniczki i niebieskie buty.

– Fer w ogrodniczkach! – prychnęła Babcia. – Dobrze sobie! Chyba już całkiem porzuciłaś się wam w głowach.

Być może Kate faktycznie była przewrażliwiona, ale mogłaby przysiąc, że tym razem Babcia nie próbowała zwyczajnie zbyć ich słów – jak miała to w zwyczaju – ale też coś ją zdenerwowało.

– Czy w wizji stało się coś jeszcze? Wiesz, kim był ten fer? – dopytywał Hiacinthus.

– Niestety nie.

Ta odpowiedź wywołała pewien zawód.

– Cóż, niewiele nam po twoich wizjach, skoro nie możemy z nich skorzystać – powiedziała Diana, na co Lilian natychmiast zerwała się z ziemi.

– Lepsza taka moc niż twoja, której można użyć dopiero, gdy grozi nam coś naprawdę poważnego i to w dodatku wtedy, gdy sama nas w to wpakujesz! – wycedziła – Z pomocą wizji na pewno uda mi się uchronić nas przed niebezpieczeństwem i jestem pewna, że jak już zobaczę tamtą ścieżkę, będę wiedziała, co robić!

– Ścieżkę na razie mamy przed sobą – otrzeźwiła ich Babcia. – I wcale nie jest usłana żółtymi płytami. Byłabym wdzięczna, gdybyście się ruszyli.

– Dokąd właściwie zmierzamy? – spytał Darrin.

– Do Iarandinnu, oczywiście. Tam czeka kolejna Brama.

Ruszyła znów przed siebie, trochę zbyt szybko jak na kogoś, kto od lat próbował wmówić wszystkim, że ma problemy z nogami. Kate przez chwilę wiodła za nią wzrokiem, zastanawiając się, skąd te wybuchy złości. Czyżby Babcia faktycznie coś przed nimi ukrywała?

– Teraz całkowicie ci wierzę – oświadczyła Lilian, nachylając się do ucha Kate.

– Dzięki. – Kate się uśmiechnęła, choć żałowała, że musiała czekać na to wyznanie aż do czasu, gdy Lilian sama zobaczyła fera. – Zobaczymy, co to wszystko mogło oznaczać... Na razie zastanawia mnie co innego. Powiedziałaś, że w swojej wizji nie widziałas mnie ani Dianę. Jak myślisz, dlaczego?

– Trudno powiedzieć. W wizji patrzyłam na wszystko swoimi oczami, sama byłam na ścieżce. Równie dobrze mogłyście być za moimi plecami.

– Ja razem z Dianą? – Kate parsknęła śmiechem, uprzednio upewniając się, że Diana jest wystarczająco daleko, by nie słyszeć. – Nie bardzo mi się to podoba...

– Diana – prychnęła Lilian. – Razem z Babcią uważają się za wiedźmy lepsze od innych.

– Sugerujesz, żeby im nie ufać?

– Nie, tego nie powiedziałam. Wiem, że Diana jest bardzo oddana naszej sprawie, ale kto wie, czy nie knuje czegoś z Babcią? Może mają własne plany. Musimy pilnować, żeby nie przyszło jej do głowy znów robić czegoś na własną rękę.

Słowa Lilian dały Kate do myślenia. Natychmiast przypomniała sobie o kartce, którą Diana dostała od Babci przed ich wyprawą. Jeszcze nikomu

o niej nie powiedziała. Z całą pewnością Diana uważała, że ktoś inny – najpewniej ona sama – lepiej nadawałby się na Strażniczkę kamienia Danu od Kate. Jak więc mogły sobie ufać, zgodnie z zasadą działania w magicznej grupie?

W porównaniu z pokrętnymi ścieżkami myśli, jakie tworzyły się teraz w jej głowie, droga przez Siedem Bram wydawała się Kate czymś banalnie prostym.

Szli jeszcze przez pewien czas, aż wreszcie droga urwała się przed niewielkim wzniesieniem. Zdawało się, że pokrywało je coś na wzór łusek. Mimo że słońce już zaszło i okolica była szara, wzniesienie odznaczało się od reszty otoczenia kolorem. Było bordowe, a z bliska niektóre jego fragmenty wyglądały niczym zastygła lawa – ciągnęły się, tworząc symetryczne, półokrągłe wzory.

– Wygląda na to, że dotarliśmy – oznajmiła Babcia.

– A więc to jest przejście do Iarandinnu? – spytał Darrin i kilkoma szybkimi ruchami wspiął się na wzniesienie. Wtedy u jego podnóża coś zalsniło.

Kate zaniemówiła. Coś musiało się jej przywidzieć. Nie było chyba możliwe, by we wzniesieniu otworzyło się... oko?

Nagle wzniesienie zatrzęsło się, a z jego wnętrza dobył się groźny pomruk. Wtedy Darrin, który omal się nie poślizgnął, był zmuszony zbiec. Gdy nagle w powietrze wzbiła się wielka łapa, wszyscy pojęli, czym wzniesienie było tak naprawdę, ale tylko Lilian powiedziała to głośno:

– Przecież to... smok!

Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała zemdleć, a reszta zastygła w osłupieniu. Babcia Annwynn nie wyglądała jednak na zrażoną. Z całą pewnością była to rzecz, o której wiedziała już wcześniej.

– No – powiedziała. – Jak widzicie, Kleftis nie we wszystkim was okłamała. Brama rzeczywiście jest trochę ruchliwa. A do Iarandinnu będziecie musieli polecieć.



Rozdział 14

Babcia numer dwa

– Chyba żartujesz – jęknął Fion.

– A tak wyglądam? – odparła Babcia. – Nie jestem w nastroju do żartowania. Nie robiłam tego od dobrych trzydziestu lat.

Jeśli w tym wszystkim było cokolwiek pocieszającego, to tylko fakt, że – mimo ich początkowych obaw – smok wcale się nie przebudził. Jedyne podrapał się po grzbiecie, po czym zamknął oko i spał dalej.

Kate dobrze wiedziała, że właśnie nadszedł moment, w którym ich wyprawa mogła się nagle zakończyć. Nie posiadała wprawdzie ogromnej wiedzy na temat smoków, przeczytała o nich tylko kilka akapitów z książki o istotach zamieszkujących Jaar, ale nawet te szczątkowe informacje nie napawały optymizmem. Smoki były bardzo stare i rzadkie. Stanowiły jedne z pierwszych istot, które pojawiły się w Jaarze i dysponowały potężną mocą magiczną – taką, której w walce nie byłyby w stanie dorównać nawet doświadczone czarownice. W dodatku moc smoków była nieokiełznana, a one same – kierując się przecież instynktem, a nie rozumem – niekoniecznie były w stanie ją kontrolować.

– Dalej, trzeba będzie go dosiąść – zarządziła Babcia. – Nie ma czasu do stracenia.

– On mógłby przecież zgnieść nas wszystkich jedną łapą! – zaprotestowała Lilian. – Albo zamienić w proch dmuchnięciem.

Babcia uniosła brwi w prawie wcale nieudawanym zdumieniu.

– Taka dziecinka? Przecież jest jeszcze malutki. Jedyne problem, jaki widzę, jest taki, że smoczysko wydaje się trochę leniwe. Będzie trzeba go rozruszać.

Tom uważnie przyjrzał się bestii.

– Cóż, Babcia ma rację. To issilwan północny, sądząc po łuskach. Ten gatunek powstał w późnym okresie zielonego wieku, pierwszej ery Jaaru. Issilwany to jedne z najmniejszych smoków. Nie są też zbyt agresywne. To znaczy... Oczywiście mogą zabić cię w mgnieniu oka, ale nie, jeśli ich nie sprowokujesz... Zazwyczaj...

– A niby czym jest włożenie na smoka i próbowanie go dosiąść?! – spytała zaczepnie Lilian.

– Tak czy inaczej ktoś musi go przekonać, żeby zabrał was do Iarandinnu – upierała się Babcia. – Proponuję, by zrobiła to Strażniczka kamienia-władcy.

Natychmiast rozległy się protesty. Najgłośniejszy swój sprzeciw wyrazili Jonathan i Fion, którzy zwyczajnie bali się o Kate. Lilian i Darrin uznali, że nie poradziłyby sobie w walce. Pozostali, choć nic nie mówili, również nie wyglądali na przekonanych do tego pomysłu. Jedynie sama zainteresowana w ogóle nie zareagowała. Poczowała tylko, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

– Ja pójdę – zaoferował się Jonathan. – Smoki są ogniste, a ja przecież jestem Strażnikiem Ognia. Może jakoś uda mi się nad nim zapanować.

– Nie, to bez sensu – stwierdził Fion. – Smoka nie obchodzi to, kim jesteś. Ani ty, ani Kate nie powinniście się do niego zbliżać. Nie możesz ich narażać, Babciu.

Takiej stanowczości w stosunku do Babci Annwynn trudno było spodziewać się po Fionie.

– Naraziłeś swoją wiedźmę już w momencie, gdy przyzwałeś ją do Jaaru – zauważyła Babcia. – To co, ma w końcu uprawiać magię czy nie? Ja też wolałabym, żeby nikomu nie stała się krzywda. Mówię tylko, że to właśnie ona – wskazała na Kate – powinna pójść.

– To absolutnie idiotyczny pomysł – oburzył się Darrin. – To, że jest Strażniczką kamienia Danu wcale nie oznacza, że można wysłać ją na pierwszy ogień. Wręcz przeciwnie. Uważam, że najlepiej będzie, jeśli to ja zmierzę się ze smokiem. Mam największe doświadczenie w zmaganiu się z różnymi istotami.

Tom poruszył się niespokojnie, ale milczał.

– Zgadzam się z Darrinem – dodała Lilian. – Nie możemy narażać Kate. Jest dla nas zbyt cenna.

Wydawała się bardzo zdeterminowana, by nie dopuścić Kate do smoka, ale czy chodziło jej tylko o to, by nie narażać *jej*? A może chodziło po prostu o kamień? Bo gdyby Kate coś się stało, gdyby smok ją... *zabił*, wtedy cała ich misja ległaby w gruzach.

– *Zmierzyć się ze smokiem!* – Babcia wzniosła oczy ku niebu. – Zupełnie jakby to małeństwo miało być potworem. Chodź, dziewczyno, pogadamy o tym na osobności.

Pociągnęła wciąż zdenerwowaną Kate za rękaw i odprowadziła ją na bok. Od chwili gdy Babcia wspomniała, że ktoś będzie musiał dosiąść smoka jako pierwszy, Kate wiedziała, że padnie właśnie na nią. Przez tę myśl z trudem powłóczyła nogami.

– Posłuchaj mnie, Kate. – Babcia rzadko zwracała się do niej po imieniu, ale gdy już to robiła, było wiadome, że ma do powiedzenia coś ważnego. Lub po prostu chce ją przekonać do czegoś, do czego skłonienie byłoby trudne, gdyby używała swojego zwyczajowego „Ej, ty!”. – Wiesz chyba, dlaczego to właśnie ty powinnaś tam pójść? Nie chodzi o żaden obowiązek, powinność czy bzdury tego typu. A już na pewno nie chodzi o walkę ze smokiem. Chodzi o to.

Dźgnęła ją palcem w pierś. Kate pokręciła głową. To też było absolutnie oczywiste. Wszystkim i *we* wszystkim chodziło zawsze o ten kamień.

– Dobrze wiesz – ciągnęła Babcia – że to niezwykle potężny przedmiot, być może najpotężniejszy, jaki istnieje. Nie wiem, jak to jest mieć go w sobie. I dobrze, bo to pewnie doprowadziłoby mnie do szaleństwa. Umiem sobie jednak wyobrazić, jakie to może być uczucie... Ale to nieistotne. Liczy się to, że kamień Danu powstał przed wszystkimi rzeczami, jakie istnieją, przed samym Jaarem. A więc istniał też na długo, *naprawdę* długo przed tym smokiem. Chyba rozumiesz, o czym mówię?

– Wydaje mi się, że rozumiem – przytaknęła Kate. W słowach Babci nie było może jednoznacznej odpowiedzi, ale nietrudno było się domyślić, co sugerowała. Problem polegał jednak na tym, że Kate nie miała pojęcia, co zrobić. Dotychczas, gdy potrzebowała pomocy kamienia, po prostu się na niego zdawała, pozwalając mu działać. Być może mogłaby spróbować zrobić to i tym razem.

– Niech będzie – powiedziała. – Chyba i tak nie mam wyboru.

Babcia się skrzywiła.

– Teoretycznie masz. Mówią, że zawsze jest wybór, ale tu bym go sobie jednak nie dawała.

Wróciły do pozostałych, którzy czujnie obserwowali nadal śpiącego smoka.

– Odsuńcie się – zarządziła Kate. – Spróbuję z nim... *porozmawiać*.

– Kate, chyba nie chcesz... – zaczęła Lilian.

– Chcę – ucięła Kate. – Powiedziałam: odsuńcie się.

O dziwo, posłuchali jej już za drugim razem. Zaczęła chyba zyskiwać autorytet. Trochę jednak żałowała, że nikt już nie protestował, bo być może gdyby jeszcze trochę się z nimi posprzeczała, któreś znalazłoby dobry argument, by odwieść ją od zrobienia tego, co zamierzała. Oczywiście gdyby tylko wiedziała, co takiego zamierzała...

Wiedziała tylko, że musi podejść do smoka i jakoś przekonać go, by jej posłuchał. Miała już więc jakiś cel, gorzej było z jego realizacją. Babcia nie powiedziała jej przecież, jak należy obchodzić się ze smokami. Należała do tych wiedźm, które mówią, co robić, ale nie tłumaczą jak.

Udawaj odważną – powtarzała sobie Kate w myślach, pamiętając o decyzji, jaką podjęła, jeszcze zanim przekroczyli pierwszą Bramę.

Nie czując się ani odrobinę bardziej przekonana i mając w głowie pustkę, Kate zaczęła zbliżać się do smoka. Już teraz wydawał jej się niezwykle niebezpieczny, a przecież nawet się jeszcze nie obudził. Im bliżej podchodziła, tym cieplej jej było. Pociła się i marzyła jedynie o szybkiej i najlepiej skutecznej ucieczce.

Ale może ciepło wcale nie pochodziło z jej własnego ciała? Może wcale nie wynikało ze stresu, ale wiązało się z aurą smoka?

No tak – oprzytomniała nagle. *O to chodzi!* W końcu właśnie to robią empati, gdy chcą kogoś zrozumieć lub nim manipulować. Dotykają jego *aury*, wczuwają się w nią. Tylko czy było możliwe, by w ten sam sposób podejść smoka?

Kate wysunęła przed siebie ręce. Nigdy dotąd nie próbowała wyczuć pola energetycznego żywych istot. Ćwiczyła dotykanie aury na kamieniach szlachetnych i magicznych przedmiotach i wychodziło jej to z lepszym lub gorszym skutkiem, jednak robienie tego samego z czymś, co posiadało własną świadomość, należało do trudniejszych zadań. Mimo to, być może dzięki rozmiarom smoka, szybko udało jej się nawiązać kontakt z jego polem energetycznym. Zdziwiło ją to dotychczas nieznanie, ale bardzo ciekawe doznanie. Energia otaczająca ciało stworzenia wydawała się zbita i ciężka, przypominała trochę pancierz. Stawiała opór, gdy Kate przebijała przez nią palce.

Resztę drogi dzielącej ją od smoka – a było to już tylko kilka kroków – pokonała z zamkniętymi oczami. W ten sposób łatwiej było jej wczuć się w doznania płynące z aury. Nie spostrzegła momentu, w którym pod palcami przestała już wyczuwać niewidzialne pole energii, a zamiast tego dotknęła chropowatych łusek. Zdała sobie z tego sprawę dopiero, gdy na powrót otworzyła oczy. Wtedy zrozumiała też, że nie ma już odwrotu.

Nagle smok się przebudził. Uniósł wysoko głowę, która była wielka niczym dom ciotki Hilleny, a z jego nozdrzy wydobyły się kłęby dymu. Żółte oczy zalśniły niczym dwa małe księżyce. Smok nie wyglądał na rozgniewanego. Wydawał się raczej zdumiony, jakby nie od razu rozpoznał, co zbudziło go ze snu. Dopiero po chwili rozglądania się wokół dostrzegł Kate, która – jak sądziła – miała teraz już tylko kilka sekund, by zdecydować, co dalej. Choć w jej głowie znów pojawiła się myśl o ucieczce, podsycana narastającą paniką, mimo wszystko stała twardo, dając swojemu ciału do zrozumienia, że właśnie nadszedł czas na bycie odważną.

Przenosiła spojrzenie z jednego żółtego ślepią na drugie – czarne źrenice zwężyły się, dokładnie ją lustrując. Czym właściwie była dla tego wielkiego gada? Nieszkodliwym zwierzątkiem? Kolacją?

Wiedziała tylko tyle, że nie wolno jej przerwać kontaktu z jego aurą. Póki udawało się jej go utrzymać i poskromić własny strach, mogła patrzeć na smoka tak, jakby była mu równa. Pozostawało jej tylko jakoś się z nim porozumieć. Od początku było dla niej oczywiste, że nie robi tego w ten sam sposób, w jaki rozmawiała z jednorożcami. Nie mogła przesłać smokowi swoich myśli; nie rozumiałby jej.

Liczy się to, że kamień Danu powstał przed wszystkimi rzeczami, jakie istnieją.

Dobrze, a więc Babci musiało chodzić o to, że kamień sprawował jakąś formę władzy nad istotami zamieszkującymi Jaar. Kate zwróciła się więc do niego. Już dawno rozumiała, że nie reagował na żadne rozkazy, jednak odpowiadał na coś

w rodzaju próśb. Przywołała więc w myślach jego obraz, wciąż skupiając wzrok na smoku. Widziała siebie taką jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkała Eos – w białej sukni, ze srebrnym księżycowym diademem na czole. Nie była wtedy Kate Hallander – była Strażniczką kamienia-władcy, księżycowego kamienia Danu.

Gdyby mogła rozmawiać ze smokiem, powiedziałaaby: „Spójrz, kim jestem. Kamień przodkini magicznych istot zamieszkuje moje ciało. To on prosi cię o przysługę, nie ja!”. Teraz musiała tylko wyrazić te same słowa uczuciami. To jednak działało się samo. Czuła, jak przepływa przez nią stara, pierwotna siła. Stanowiąc jej przekąźnik, Kate sama wydawała się sobie o wiele potężniejsza. Właśnie ten przekaz wysłała smokowi, który – po jeszcze kilku chwilach wpatrywania się w nią – opuścił głowę i rozłożył skrzydła. Można było chyba uznać to za zgodę.

– No to... – powiedziała do pozostałych głosem tak cienkim, jakby cała jej odwaga właśnie się wyczerpała i oczekiwała teraz na ponowne naładowanie. – Myślę, że możemy wsiadać.



– Jeźdźcy? – dziwiła się Badb. – Nie bardzo rozumiem. Wy tłumacz to jeszcze raz.

Ale pani Hallander nie wiedziała już, jak to wytłumaczyć. Do tej pory, w całym jej ponadczterdziestoletnim życiu, rzadko zdarzało się, by nie umiała znaleźć odpowiednich słów. Przez to wszystko zaczynała się coraz bardziej denerwować, a przecież i to nieczęsto się jej przytrafiało.

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć. To były istoty... Sama nie wiem jakie. Wyglądały może dość zwyczajnie, ale ich aura zupełnie mnie przygnębiła. Na moment przestałam być sobą.

– Jesteś pewna, że te... istoty nie były ludźmi? – Nawet Selene włączyła się w rozmowę. – Ani ferami?

– Nie. To znaczy... Owszem, ich zbroje były dopasowane kształtem do ludzkiego ciała, ale gdy spojrzałam w oczy jednego z nich, miałam wrażenie, że pod hełmem była pustka!

– A konie? – spytał Harold. – Wyglądały zwyczajnie?

– Chyba... chyba tak, choć...

Mimo że minęło niewiele czasu, pani Hallander nie pamiętała już wszystkiego dokładnie. Nie zwróciła większej uwagi na konie. Pamiętała tylko, że każdy z nich był dobrany maścią do koloru zbroi swojego jeźdźcy.

– Możliwe, że były większe niż normalne wierzchowce. I chyba chudsze, ale mogę się mylić...

– Białe, rdzawe, czarne i złote – wyliczyła Badb. – Nie wiem, o co mogło

chodzić, ale może to zwykłe fantomy? Może Tirnanie wiedzą, że się tu zbliżamy, a może zawsze wysyłają fantomy w te okolice, tak na wszelki wypadek?

– Rozpoznałabym fantomy! – oburzyła się pani Hallander.

– To na pewno coś o wiele poważniejszego od fantomów – stwierdził Harold. – Ale Badb może mieć rację. Tirnanie mogli dowiedzieć się o naszej wyprawie i wysłać kogoś, by nam przeszkodził.

– Gdyby tak było, jeźdźcy by nas zaatakowali – zauważyła Selene. – Jednak ze słów Hilleny wynika, że odeszli, gdy tylko odtrąciła ich... Jak to nazwałaś? Wezwanie?

Pani Hallander pokiwała głową.

– Tak, to było coś w stylu wezwania... Cóż, równie dobrze jeźdźcy mogli odejść, bo obłożyliśmy namiot czarami ochronnymi. Nie mogę jednak być tego całkiem pewna. Nigdy dotąd nie spotkałam podobnych istot.

– Chyba wolałbym się nie przekonywać, czym są – oznajmił Harold.

– A ja chcę wiedzieć! – zawołała Selene. – Lepiej mieć świadomość tego, z czym ma się do czynienia.

Choć pani Hallander zwykle zgadzała się z takim podejściem, tym razem cicho opowiedziała się po stronie Harolda. Gdyby mogła wybierać, wolałaby już nigdy więcej nie spotkać jeźdźców. Bała się jednak, że przez samo dzisiejsze wydarzenie została przez nich w jakiś sposób *naznaczona*. Bała się, że wróca.

– Zwińmy lepiej namiot i ruszajmy dalej – powiedziała Badb. – Robi się coraz niebezpieczniej.



Unosili się o wiele wyżej, niż byłoby to możliwe na motylach czy miotłach. Elphame w dole zamieniło się w mrowie szarych punkcików, które wkrótce zniknęły za mrokiem nocy i płaszczem ciężkich, skłębionych chmur. Podróżowanie na smoku było zupełnie niepodobne do latania na motylach i nie chodziło o samą wysokość. Masywne skrzydła gada biły powietrze, przez co jeźdźcy musieli ciągle walczyć o zachowanie równowagi. Wszyscy mocno trzymali się rogowatych wypustek wyrastających ze smoczej szyi. Nie mieli żadnych zabezpieczeń ani uprząży, a sam smok zdawał się wcale nie pamiętać o tym, że ma kogoś na grzbiecie. Gwałtownie omijał ciemne chmury i ryczał od czasu do czasu, chyba bardziej dla własnej rozrywki niż by kogoś przestraszyć. Oczywiście nie dało się nim sterować. Zmierzał do Iarandinnu drogą, jaką uznał za najwygodniejszą. Przynajmniej dla siebie.

Przez większą część lotu nie byli w stanie swobodnie rozmawiać. Dopiero gdy smok obniżył lot, tak że z ciemności w dole wyłoniły się szczyty gór, zrobiło się trochę cieplej i spokojniej. Wszyscy byli przekonani, że na długo zapamiętają tę podróż. Babci już z nimi nie było – nim dosiedli smoka, teleportowała się do

swojej chatki, ostrzegając, że „więcej nie ma zamiaru ratować nikomu tyłka”. Mimo że czuli się bez niej mniej bezpiecznie, mogli za to podjąć więcej własnych tematów. Dyskusję zaczął Fion, siedzący najbliżej Kate:

– Pytałem Babcie o Murugana. Byłem ciekaw, czy domyśla się, po co mógł udać się do Puszczy Krzyków.

– No i co powiedziała? – spytała Kate. Sama niemal zapomniała o Muruganie i jego wizycie w tamtym miejscu.

– Że nie wie – odparł Fion. – I że to jego sprawa, bo jest dorosły i odpowiedzialny. A mnie przypomniało się coś jeszcze. To jedna rzecz, że Murugan kontaktował się z Tirnanami, ale... Pamiętasz, jak zaatakował nas tamten jednorożec... Jak mu było... Moran?

Kate pokiwała głową. Trudno byłoby to zapomnieć. Ledwo uszli z życiem, i to właśnie dzięki Muruganowi.

– No więc – ciągnął Fion – zgodnie z zasadami, w Lesie Wielu nie można się teleportować, tak dla bezpieczeństwa, a jednak Murugan zdołał się przenieść. Może zna jakąś tajemną magię albo w ogóle trzyma z wrogami Elphame?

– Cóż, Babcia już ci powiedziała, co o tym sądzi – odparła Kate. Nie chciała nawet rozważać możliwości, że Murugan, który już dwa razy uratował jej życie, mógł okazać się niegodny zaufania.

– Wiesz – powiedział Fion – Babcia należy do tego gatunku wiedźm, które twierdzą, że jeśli magia nie jest niebezpieczna, to nie jest dobra. Przypuszczam, że prędzej pochwaliby Murugana, zamiast się z nim o to kłócić. Tak czy inaczej wydawała się trochę poirytowana.

Kate upierałaby się, że Babcia jest raczej wredna niż poirytowana, jednak w obecności Fiona lepiej było zostawiać podobne uwagi dla siebie.

– Ostatnio często wydaje się zdenerwowana – stwierdziła tylko. – Pewnie to przez sytuację z Fione.

Mówiąc to, jednocześnie pomyślała, że założyłaby się o własne athame, że Babcia coś ukrywa.

– Zbliżamy się do miasta! – zawołał Hiacinthus, a reszta spojrzała w dół. Płoneły tam rozliczne ogniki, które przypominały trochę światła ludzkich miast oglądanych z góry. Gdy jednak smok dostatecznie obniżył lot, zdali sobie sprawę, że w rzeczywistości ogniki stanowiły spore paleniska. Panował wokół nich harmider, ktoś krzyczał, kilka innych osób podsycalo ogień, kierując w jego stronę ostrza athame. Gdy nagle z dołu buchnął ogień, drużyna zdała sobie sprawę, że smok, na którym przybyli, wcale nie był jedynym, jaki się tu znajdował. Były tu jeszcze trzy inne, większe od niego, które przypominały teraz ciemne masy rozłożone na ziemi.

Krzyczące i biegające postacie były ferami. Jeden z nich wyrzucił z siebie kilka słów w swoim języku i natychmiast w stronę lecących poszybowały błyszczące, zielone kule. Rozjaśniły na krótko niebo, by po chwili rozbić się o smocze łuski. Kate krzyknęła. Była pewna, że zostali zaatakowani.

– To nie atak – zapewnił ją Hiacinthus. – Przybyliśmy na smocze lądowisko. Fery w dole rzucają w smoka czary uspokajające, żeby mógł bez szwanku

wylądować.

– Smocze lądowisko! – ucieszył się Tom. – Niesamowite! Dotąd tylko o nich czytałem!

Było dokładnie tak, jak powiedział Hiacinthus. Mimo że początkowo smok ryczał i próbował robić uniki, po kilku uderzeniach zielonej energii zrobił się nadzwyczaj spokojny i sam wystawiał się na magiczne kule, zupełnie jakby sprawiało mu to przyjemność. Gdy w końcu wylądował – nie bez turbulencji – rozłożył łapy i głowę do dalszego snu. Ledwo drużyna zsiadła z jego grzbietu, jeden z ferów zaczął ich poganiać.

– Prędko! – zawołał po angielsku. – Idźcie do miasta tym szlakiem! – Wskazał na wąską ścieżkę, po której obu stronach płonęły wysokie pochodnie. – Dziś jest tu bardzo niebezpiecznie. Jeden ze smoków za nic w świecie nie chce dać się spacyfikować.

Masywny smok, którego ciało wydawało się zbudowane z kamieni, machał ogonem, próbując opędzić się od ferów ciskających w niego kolejnymi dawkami uspokajającej energii.

Fer nie musiał powtarzać swoich słów. Drużyna natychmiast puściła się rozświetloną pochodniami ścieżką.

– Kto w ogóle wymyślił coś takiego jak *lądowiska* smoków?! – wydyszała Kate.

– Czarownice latają czasami na smokach – odparł Tom – ale trudno nad nimi zapanować. Iarandinn jest silnie związany z ogniem, więc lądowisko jest czymś w rodzaju wizytówki miasta.

Ogniste poddmuchy wydobywające się z paszczy smoka, którego mieli teraz daleko za sobą, stawały się coraz rzadsze i słabsze, aż wreszcie sytuacja całkiem się uspokoiła. Fion, który biegł na przedzie, zatrzymał się jako pierwszy u końca ścieżki. Stał tu wielki, kamienny łuk z napisem IARANDINN.

– No to dotarliśmy – powiedział Darrin.

Przeszli pod łukiem i znaleźli się na kolejnej ścieżce, tym razem otoczonej przez drzewka jarzębiny. Między ich gałęziami unosiły się błękitne światełka. Kate wzięła je najpierw za magiczne ozdoby, ale gdy uświadomiła sobie, czym naprawdę były, chciała od razu sięgnąć po fiołki.

– Fylgie. – Wzdrygnęła się.

– Tych nie musisz się obawiać – zapewnił ją Fion. – Po ich minach widać, że są oswojone.

Rzeczywiście, fylgie oblegające jarzęby były zupełnie inne od tych, z którymi walczyli na pustkowiu. Ich kapelusze były przyklepane, a one same, z oczami zwróconymi ku niebu i pełnymi błogości twarzami, obracały się powoli wokół własnej osi i tylko nieznacznie machały skrzydełkami.

– Nasze też będą tak wyglądać, gdy już nadasz im magiczną intencję i wypuścisz – powiedział Fion.

– Jak właściwie wygląda osvajanie fylgii? – spytała Kate. – Wystarczy, że wypuszczę je i powiem, co mają robić?

– Mniej więcej. Trzeba jeszcze trochę je zachęcić, używając energii. Zwykle fylgie nie mają specjalnych intencji, zapewniają tylko szczęście. Te tutaj mają

pewnie za zadanie pilnować granicy, by nie przedostało się przez nią nic niepomysłnego. Same nic ci nie zrobią, ale gdybyś przybyła do Iarandinnu z wrogim nastawieniem, mogłyby po drodze spotkać cię nieprzyjemne wypadki.

– I tak właśnie to działa? Nie potrzebują żadnego pokarmu? Poza tym to brzmi trochę jak zniewolenie.

– Nie rozumiesz, Kate. Fylgie stanowią ten rodzaj istot magicznych, które żywią się tylko energią. Pobierają ją od tych, którzy je hodują. To raczej rodzaj symbiozy. Fylgie nie mają własnych umysłów, myślą zbiorowo, a na wolności kierują się instynktem.

– Hej! – Obejrżeli się, słysząc głos Jonathana. Gdy wpatrywali się w fylgie, reszta zdążyła już znacznie ich wyprzedzić. – Idziecie?

– Tak, tak – odparł Fion. Gdy wraz z Kate dołączył do pozostałych, toczyły się między nimi już dyskusje o Iarandinnie.

– Dacie wiarę, że jeszcze nigdy tu nie byłem? – powiedział Tom. – To jedno z najważniejszych miast Elphame, a ja widziałem je tylko na rycinach. Wiecie, że właśnie Iarandinn obala jeden z największych stereotypów dotyczących ferów?

– Jaki stereotyp? – zaniepokoił się Jonathan.

– No, ten związany z żelazem. Stare mity i bajki mówią, że fery nie lubią żelaza, a przecież Iarandinn jest zamieszkały głównie przez kowali. Mówi się nawet, że jest Żelaznym Miastem.

– Fery miałyby nie lubić żelaza? Nigdy o tym nie słyszałam – oznajmiła Kate.

– A ja tak – powiedział Jonathan. – I to jeszcze zanim dowiedziałem się o istnieniu magii. To było w jakiejś historyjce, którą czytała mi... – Zamilkł na chwilę z na wpół otwartymi ustami. Dawno nie wypowiadał tego słowa i nie lubił go. – Matka – dokończył jednak i szybko wyciągnął kompas, szukając pretekstu do zmiany tematu.

Tym razem strzałka się nie ruszała, była utkwiona w jednym punkcie.

– Wskazuje południe – oznajmił Jonathan. – Ciągłe kieruje nas w inną stronę. Wygląda to tak, jakbyśmy chodzili w kółko. Zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego ze strukturą Jaaru.

– A jaka jest struktura Jaaru? – zapytała Kate, która nie dotarła jeszcze w swoich studiach nad Jaarem do magicznej geografii. – Myślałam, że jest okrągły jak Ziemia.

– Jaar nie ma stałego kształtu – odparł Fion. – Może się rozciągać i zmieniać. W końcu rządzi nim *magia*. Czytałaś o tym, prawda?

– Nie musisz się mądrzyć – warknęła Kate. – Niedługo pouczenie mnie będzie wychodzić ci lepiej niż ciotce Hillenie.

Kilka minut później wyszli na bardziej otwarty teren. W oddali Kate zobaczyła niewielkie, zadbane i różnokolorowe domy. Wokół większości z nich unosiły się fylgie, co musiało oznaczać, że w Iarandinnie stanowiły coś w rodzaju psów czy kotów. Im dalej szli, tym gęściej zabudowany był teren.

– Ciekawa jestem, gdzie właściwie mamy iść – odezwała się Lilian. – Babcia niczego na ten temat nie wyjaśniła.

– Poza tym jest już całkiem ciemno – dodał Jonathan. – Jeśli ostatnia Brama znajduje się tutaj, to powinniśmy ją znaleźć jak najszybciej. Myślicie, że pytanie o drogę przechodniów byłoby rozsądne?

– Nie sądzę – odparła Diana. Scire na jej szyi wydawał się nieco oszołomiony widokiem fylgii. Wodził za nimi wzrokiem, jakby niepewny, czy próby polowania okazałyby się warte zachodu. – Nie wyglądają na skłonnych, żeby ot tak komuś pomóc.

Fery, które mijali po drodze, faktycznie nie wyglądały na zbyt ciekawe przybyszów. Wydawały się całkiem inne niż te, które zamieszkiwały tereny graniczące z Lasem Wielu. Większość miała surowe miny, była umięśniona, a ich szyje i ramiona zdobiły metalowe ozdoby. Poza nimi było tu też wielu ludzi, którzy najprawdopodobniej odwiedzili Iarandinn w celach turystycznych. Wskazywali na różne budynki, rozmawiali w różnych językach, a ktoś nawet robił zdjęcia. Skądś dolatywał również zapach smażonego mięsa, co przypomniało Kate, że nic nie jedli od śniadania u Kleftis. Nie była jednak pewna, czy skusiłaby się na coś, co wydzielало ten zapach.

Wśród przechodniów dostrzegli zmierzającą w ich stronę niską ferinię. W świetle rozlicznych pochodni dobrze widzieli jej jasnopomarańczową, uśmiechniętą twarz, odmienną od twarzy pozostałych ferów. Miała na sobie błękitną szatę, a jej białe skrzydła były usłane czarnymi plamkami. W rude włosy powtykała papiloty.

– Jesteście od Annwynn, prawda? – spytała wesoło, gdy przed nią stanęli. – Wspominała, że się pojawicie. Od kilku godzin szukam was po całym mieście. Już trzy razy odwiedziłam dziś targ! Dacie wiarę, że chcieli sprzedać mi abstynencję nietrwałą zamiast dezyrencji? Zupełnie jakbym nie umiała rozpoznać podstawowych ziół! No dalej, chodźcie za mną!

Spojrzeli po sobie. W natłoku słów kobiety żadne nie miało okazji, by przemówić, zdawało się jednak, że wszyscy myśleli o tym samym. Po doświadczeniach z Kleftis nie byli skłonni wierzyć sympatycznym staruszkom.

– Nie wiemy nawet, kim pani jest... – zaczęła Kate.

– Och, ale ja dobrze wiem, kim wy jesteście! – zawołała ferini, jakby to miało wystarczyć. – Ale zaraz... Który z was to Fion? – Również tym razem, nie czekając na odpowiedź, zorientowała się sama: – Ach, no tak! Powinnam przecież pamiętać. Widziałam cię ostatnio w żłobku... A może miałeś wtedy już pięć lat? Ale przecież nie zmienił ci się kolor skóry! Twój ojciec nie odzywa się do mnie, nie pisze... – Po tych słowach podeszła do zdezorientowanego Fiona i wyściskała go.

– To my się znamy? – wyjąkał.

– No pewnie, że tak! Przynajmniej ja znam ciebie. Nazywam się Oracja `yl Maas i jestem twoją babcią.



Rozdział 15

Iarandinn

Fion rozdziawił usta. Właściwie wszyscy to zrobili, choć on był najbardziej zdumiony.

– O czym to ja mówiłam? – ciągnęła Oracja, nie przejmując się niezręczną ciszą. – Ach tak, dalej! Nie mamy czasu. Podobno mojej wnuczce coś grozi. Fiona została porwana, czy tak?

– Fione – poprawił Darrin.

– Zaraz zaprowadzę was do mojego zięcia. Jest tu kimś w rodzaju grubej szyszki! No, wiecie, o czym mówię. Być może dzięki niemu szybciej przejdziecie przez ostatnią Bramę.

Oracja odwróciła się i ruszyła, nie oglądając się za siebie, co zmusiło resztę do podążenia za nią. Wciąż coś mówiła, nie pozwalając nikomu dojść do słowa nawet wtedy, gdy zadawała pytania. Miała im do przekazania mnóstwo informacji. Najpierw mówiła o szwaczce, która nie potrafiła uszyć jej odpowiedniej sukni, bo „w Iarandinnie nikt, ale to absolutnie nikt nie potrafi szyć”, potem przyznała, że próbowała zamówić sobie do Jaaru telefon komórkowy, bo „w szklanej kuli wszystko trzeszczy, a ich ceny tutaj są kosmiczne”. Bez przerwy wracała też do tematu ziół z targu, zarzekając się, że co jak co, ale zapach dezyrencji rozpozna wszędzie.

Minęli wiele budynków, słuchając opowieści Oracji, gdy wreszcie stanęli przed niewielkim domem. Wyglądał raczej chłodno. Surowe, kamienne ściany pokrywał mech, za oknami płonęło światło, a nad drewnianymi drzwiami wisiał lampion, wokół którego krążyły fylgie.

– Mam nadzieję, że mój zięć jest w domu – oznajmiła Oracja i nim zapukała w drzwi, podeszła do okna. Przez chwilę wpatrywała się w szybę. – Jest. Oby nam otworzył, bo znów robi coś w swojej kuźni. Mówiłam mu, żeby nie trzymał jej w domu, bo to może być niezdrowe.

Zastukała mocno w szybę.

– Żeby wiedzieli, kto przyszedł – oznajmiła dumnie, co musiało oznaczać, że najwyraźniej lubiła swoją rolę nestorki rodu. Zdawało się jednak, że inni nie lubili jej w tej roli, bo nad wyraz ociągano się z otwarciem drzwi. Kate była pewna, że gdyby to ją odwiedziła Oracja, również dobrze zastanowiłaby się, czy istnieje jakakolwiek szansa, by udać nieobecną. Najwyraźniej jednak mieszkańcy domu uznali, że nie mają takiej szansy, bo po chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich wysoka, umięśniona ferini. Włosy miała rude jak Oracja, ale jej ciało, podobnie jak oczy, było fiołkowego koloru. Posłała przybyszom nieco spłoszone spojrzenie, niewspółgrające z jej postawną sylwetką.

– Mama... – odezwała się zakłopotana.

– Oczywiście, że ja! – zawołała Oracja, wchodząc do środka. Reszta stała wciąż przed otwartymi drzwiami. Nawet Diana wydawała się teraz zbyt nieśmiała, by wejść do domu bez zaproszenia. – Przecież mówiłam ci, że dziś wpadnę. Dzwoniłam ze szklanej kuli.

– A ja odpowiedziałam, że raczej wolelibyśmy uniknąć wizyt...

– No widzisz?! Ciągłe powtarzam, że moja szklana kula trzeszczy. Akurat nie dosłyszałam tego, co mówiłaś. A wy co tak stoicie? – zwróciła się do pozostałych. – Właźcie do domu, na zewnątrz jest zimno!

Fioletowa ferini uśmiechnęła się nieznacznie i otworzyła szerzej drzwi. Gdy przez nie przechodzili, nie czuli się jednak jak mile widziani goście.

Kuźnia była dobrym określeniem na miejsce, w jakim się teraz znaleźli. Właściwie wyglądałoby ono całkiem zwyczajnie, jak kuchnia połączona z jadalnią, gdyby nie to, że na środku stało wysokie kamienne palenisko, przy którym fer o jasnej skórze i niewielkich motyli skrzydłach uderzał młotem w sierp. Wokół skakały iskry, które opadały na podłogę i tak pokrytą już mnóstwem wypalonych plam. Co jakiś czas fer odgarniał z czoła czarne, kręcone włosy. Przy stole siedziała trójka niemal identycznych ferzych dzieci, dwoje chłopców i dziewczynka.

– Mamy gości – oświadczyła fioletowa ferini. Dopiero wtedy fer odłożył młot i sierp.

– Oracja, jak miło – powiedział, wyraźnie siląc się na miły ton. Podeszedł do teściowej i uściskał ją, a potem w ten sam sposób powitał pozostałych. – Jestem Calcus. Co was tu sprowadza?

Żona Calcusa, widząc jego zachowanie, najwyraźniej uświadomiła sobie, że sama zapomniała o przedstawieniu się. Zrobiła to bez żadnej zbędnej serdeczności, po prostu podając swoje imię – Skadi.

– To twoja ciotka – rzuciła Oracja w stronę Fiona. – No, przyrodnia, jak to mówią w świecie ludzi. Bo twój ojciec jest z czwartego małżeństwa, a ona chyba

z piątego... Jakoś tak.

Fion i Skadi posłali sobie wymuszone uśmiechy.

– To zastanawiające, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy... – powiedział Fion.

– Bo Harold szczególnie mnie lubi – odparła Oracja, nie pozwalając córce dojść do głosu jako pierwszej. – Uważa, że to ja porzuciłam jego ojca, a było odwrotnie. Wyruszył w morską podróż na zachód, więc uznałam to za formę separacji. A przecież mówiłam mu, że nie warto się tam wybierać, bo za Zachodnim Morzem nie ma już żadnych ciekawych rzeczy.

– Zaraz... – odezwała się Skadi. – Mówiłaś, że to *mój* ojciec wyruszył w morze!

– Czyżby? – zdziwiła się Oracja. – Możliwe... To świadczy tylko o tym, że z mężczyznami nigdy nic nie wiadomo. Pojawiają się i znikają... Cóż, to nieistotne. Mamy ważniejsze rzeczy do omówienia. Nasi przyjaciele chcą przedostać się do Bramy.

Calcus pokiwał głową.

– Rozumiem – odparł. – Ale najpierw przydałby się wam pewnie odpoczynek?

– Po to ich tu przyprowadziłam – powiedziała Oracja. – Poza tym mamy jeszcze inne sprawy do omówienia.

Dzieci spojrzały na Skadi, jakby już pewne, że zaraz zostaną im wydane jakieś polecenia. Nie myliły się.

– Sin, An i Tyr, do łóżek, już późno – powiedziała krótko Skadi. Wtedy Oracja postanowiła przejść do rzeczy, rozsiadając się uprzednio w wielkim fotelu pod ścianą.

Skadi postawiła na stole dwie wielkie pieczenie i zachęciła przybyszów, by zaczęli jeść. Kate, pomimo głodu, zjadła niewiele. Mięso było twarde i wysuszone, a w dodatku niewiadomego pochodzenia. Do niego Skadi podała im czerwone wino, cierpkie i mocne.

Calcus zaproponował, że zrobi przegląd ich athame. Kate i Jonathan słyszeli o czymś takim po raz pierwszy, ale widząc, że pozostali chętnie przystali na tę propozycję, również oddali swoje sztylety. Calcus, nim ich dotknął, założył na ręce białe rękawiczki, tłumacząc, że tym sposobem jego własna energia nie zmiesza się z aurą ich athame.

– Po przeglądzie będą jak nowe – zapewnił. – Wiele osób nie dokonuje rutynowego sprawdzania. To błąd. Wprawdzie athame rzadko szwankują, zwłaszcza gdy regularnie się je oczyszcza, ale gdy nie jest się specjalistą, trudniej zauważyć drobne usterki.

Calcus uważnie przyglądał się każdemu sztyletowi, wkładał je po kolei do ognia i przecierał szorstką gąbką. Tymczasem Oracja, ze sporym kielichem wina w ręku, zaczęła opowiadać:

– Jak już mówiłam, muszą dostać się do Kryształowego Pałacu. Im szybciej im się to uda, tym lepiej. Ktoś porwał Fione.

Skadi, słysząc te słowa, zamarła. Po raz pierwszy na jej twarzy dało się dostrzec coś więcej niż tylko zmęczenie.

– Co? – spytała ze ściśniętym gardłem. – Jak to *porwał*?

Calcus odłożył athame, które właśnie trzymał w ręce i z wysoko uniesionymi brwiami wpatrywał się w swoich gości, jakby spodziewał się, że usłyszał mało smaczny dowcip.

– Nie chciałam mówić o tym przez kulę – ciągnęła Oracja. – Sprawa wydaje się dość... poufna. Annwynn poinformowała mnie dziś popołudniu i prosiła, żebym się nimi zajęła.

– Ale co właściwie się stało? – spytała Skadi, a reszta, na zmianę, zaczęła opowiadać jej całą historię. Gdy skończyli, Skadi oznajmiła: – Zastanawia mnie, dlaczego właściwie Annwynn chciała, żebyście przechodzili przez Siedem Bram, jeśli Fione ma być w Tir-na-Nog.

– Wszystkich nas to zastanawia – odparł Darrin. – Ale nikt dotąd nie dał nam satysfakcjonującej odpowiedzi.

– Poza tym nasza podróż przebiega w jakiś dziwny sposób – odezwał się Jonathan i sięgnął po swój kompas. – O, teraz wskazówka jest nastawiona na południowy wschód, ale wciąż się zmienia, jakbyśmy wcale nie szli do przodu, tylko dawno zgubili kierunek i kręcili się w kółko.

– Wszystko jest w porządku – oznajmił Calcus. – Zaraz wam to wytłumaczę.

Położył athame z powrotem na stole, a potem zdjął rękawice, wyjął z szafki kawałek pergaminu i pióro i zaczął coś rysować.

– Mniej więcej tak wygląda droga przez Siedem Bram – powiedział, kładąc kartkę przed nimi.

Kate ucieszyła się. Symbol, który na niej zobaczyła, był tym samym, który wypadł z zamkowej szafy.

– Jest jak labirynt – powiedziała.

– Dokładnie – przyznał Calcus. – Droga przez Siedem Bram jest labiryntem. Wy przeszliście już przez ten punkt, a także ten. – Zaczął wskazywać poszczególne miejsca w spiralnym labiryncie. – Dotarliście też tutaj, na sam północny skraj labiryntu, gdzie przeniósł was zamek, a potem bardziej do środka i na zachód. Idźcie właściwą drogą, choć może się ona różnić od drogi innych osób. Labirynt pozostaje taki sam, ale jednocześnie się zmienia. Każdy podróżny coś do niego wnosi i coś zostawia, czasem rozwiązuje ważne zagadki. Zmierzają jednocześnie w dwa miejsca.

– W dwa miejsca? – spytał Jonathan.

– Przed siebie, w głąb labiryntu, i do siebie – wyjaśnił Calcus. – W głąb swojej własnej istoty. Być może o to właśnie chodziło Annwynn? Trudno powiedzieć. Dowiedziecie się pewnie na końcu, gdy już dotrzecie do Kryształowego Pałacu.

– Ale jak mamy się tam dostać? – odparła Diana. – Jak rozumiem, Brama znajduje się gdzieś w Iarandinnie?

– Dokładnie – powiedział Calcus. – Kryształowy Pałac jest zresztą całkiem niedaleko stąd. Żeby się do niego przenieść, podróżni zwykle muszą przejść jakąś próbę. To zwykle nic trudnego.

Diana nie wyglądała na zadowoloną. Zresztą nikogo nie cieszyła perspektywa dodatkowych zadań.

– Nie mamy czasu na żadne próby – zauważyła. – Nasz cel jest dużo

ważniejszy. Oracja mówiła, że będziesz w stanie przetransportować nas do pałacu szybciej.

Calcus posłał teściowej zdumione spojrzenie.

– Przecież pracujesz w Miejscu Spotkań. – Oracja wzruszyła ramionami. – Na pewno masz jakiejś dojścia. Miejsce Spotkań – zwróciła się do pozostałych – to najważniejszy budynek w całym Iarandinnie. Można tam wszystko załatwić, a przy okazji jest świątynią.

– Nie jestem tam nikim ważnym! – zawołał Calcus. – O przepuszczeniu przez Bramę decyduje specjalna rada.

– Jesteś, jesteś – stwierdziła Oracja. – Kto w tym mieście może być ważniejszy od kowala?

– Mówimy o mieście, w którym *ponad połowa* ferów to kowale.

– Ale nie wszyscy są kowalami w świątyni.

Calcus patrzył na teściową tak, jakby chciał się kłócić, ale wiedząc, że jest z góry skazany na porażkę, westchnął i odparł:

– Tak, jasne, że mogę porozmawiać z kilkoma osobami, ale dopiero jutro. Teraz świątynia jest już zamknięta. A nawet moja rozmowa nie gwarantuje, że nie będą musieli przejść prób.

Kate straciła wszelkie nadzieje na to, że uda im się dotrzeć do pałacu przed świtem. Teraz nie była już pewna, czy dokonają tego choćby w ciągu doby.

– Przykro mi – powiedział Calcus – ale do ranka nie możemy nic zrobić.

– Więc musimy spędzić noc w Iarandinnie? – spytała Kate.

– Na to wygląda. Oczywiście możecie spać u nas – zaproponowała Skadi. – Będzie trochę ciasno. Mam nadzieję, że to nie problem...

– Och, przecież część może przenocować u mnie. Mam dwa łóżka, oba wielkie. Zmieścimy się na jednym nawet w czwórkę. Ktoś chce spać w moim domu?

Wzrok Oracji spoczął na Jonathanie, który przełknął ślinę i spojrzał na pozostałych, jakby błagał o pomoc. Nie miał zamiaru spać w domu Oracji, a już zwłaszcza w jej łóżku. W końcu Diana uznała, że ona i Lilian mogą się poświęcić i wysłuchiwać opowieści ferini przez całą noc. Dołączyli do nich także Hiacinthus i Fion, który chciał zobaczyć dom swojej babci. Tom i Darrin spali na górze, a dla Kate i Jonathana Skadi pościeliła na podłodze w kuchni.

– Coraz bardziej się martwię – szepnęła Kate, gdy już się położyli, a reszta znikła. – Z jednej strony czas ucieka, a z drugiej nas goni.

– To bez sensu, że musimy poruszać się tym labiryntem – odparł Jonathan. – A w dodatku mamy tu *poznawać siebie*. Zawsze mnie dziwiło, jak fery znajdują czas na filozofię bez względu na okoliczności.

Kate nie mogła się powstrzymać, by nie parsknąć śmiechem. Jonathan powtarzał dokładnie to, co sama od zawsze myślała.

– Najważniejsze, żeby Fione wyszła z tego cało – stwierdziła.

– I my – dodał Jonathan. – My też musimy z tego wyjść cało.

– My także – zgodziła się Kate, a potem zrobiła coś, o czym przez ostatnie dwa dni zapomniała i czego, jak się przekonała, bardzo jej brakowało. Pocałowała go, zdziwiona, że tak niewiele wystarczyło, by choć na chwilę zdołała odzyskać

utracony spokój.



Poranek w Iarandinnie był nagły. Ciszę przerwały silne uderzenia młota. Kate miała wrażenie, że rezonują w jej czaszce, jakby młot walił o jej własną głowę. Gdy tylko otworzyła zaspane oczy i przypomniała sobie, gdzie jest, zrozumiała, skąd te wyjątkowo wyraźne dźwięki. Calcus właśnie rozpoczął pracę w kuźni, nie przejmując się wcale tym, że jeszcze przez kilka godzin miała ona stanowić sypialnię dla Kate i Jonathana.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się, widząc, że się obudzili. – Przepraszam za hałasy. Czasem zapominam, że gościom to przeszkadza. Ale i tak miałem was budzić. Niedługo otworzą Miejsce Spotkań.

Tom i Darrin zeszli na dół już całkiem ubrani, a po chwili, jakby na zawołanie, do kuchni wparowały Lilian, Diana i Oracja, ciągnąc za sobą zmęczonych Fiona i Hiacintusa.

– Zanim pójdziecie, powinniście zjeść śniadanie – stwierdził Calcus.

– O nie! – zaprotestowała Lilian. – Nie mamy czasu! Raz, dwa, zbierajcie się. Lada chwila będziemy w Kryształowym Pałacu. I więcej uśmiechu! Mamy przecież rozmawiać z królem i królową Elphame, a na pewno z masą książąt i księżniczek.

Jonathan, który najwyraźniej miał nadzieję na posiłek, jęknął i zaczął się ubierać.

– Nie chcę być pesymistą – oznajmił Tom – ale nie możemy być pewni tego, co zdecyduje rada.

Darrin i Diana smętnie pokiwali głowami, a Lilian przewróciła oczami i westchnęła.

Calcus odłożył swój młot i ruszył do kuchennego pieca. Wyciągnął z niego dwa wielkie, jeszcze parujące bochenki chleba.

– Musicie być przygotowani na wszystko – oznajmił, smarując kolejne pajdy masłem. – Nie mogę wam niczego obiecać. To rada zdecyduje, czy wasza sprawa jest na tyle pilna, by pozwolić wam przejść poza kolejką.

– Po co w ogóle te próby? – spytała Kate. – Przeszliśmy już całkiem sporo. Jeśli wszyscy przybywający do Kryształowego Pałacu muszą przejść tak długą drogę, to spodziewam się, że niewielu w ogóle decyduje się na podróż.

– Iarandinn jest ostatnią Bramą i przywiązuje się tu dużą wagę do tego, kto może przejść dalej. W naszej radzie zasiada wielu wysłanników królewskich. Musicie zrozumieć, że oni nie mogą pozwolić sobie na przepuszczenie do Kryształowego Pałacu kogokolwiek, bo to właśnie na nich spoczywa ostateczna odpowiedzialność za to, kto wchodzi. Nikt nie chciałby rozzłościć rodziny królewskiej. Oczywiście nie dlatego, że miasto mogłyby czekać represje. Gdy

będziecie na miejscu, sami zrozumiecie, jak działa monarchia w Elphame i że obowiązek dbania o nią spoczywa na nas wszystkich. Jednak gdybyśmy niedostatecznie dbali o to, kto spotka się z królem, a zwłaszcza z Królową Matką, miasto straciłoby zaufanie.

Nim wszyscy, nawet sam Calcus, zdążyli się o tym zorientować, na stole wylądowało dobre trzydzieści kanapek. Oracja zaczęła pakować je w czysty pergamin.

– Skoro nie będziemy jeść na miejscu, weźmiecie je na drogę – powiedziała, wciskając kanapki do toreb Lilian, Toma i Kate. – Nigdy nie wiadomo, co was czeka na ostatnim odcinku drogi. Czasami jest najkrótszy i najprostszy do przejścia, a czasami to właśnie tam wszystko się komplikuje.

– Ty też?! – oburzyła się Lilian. – Po naszych nocnych rozmowach o dezyrencji i sztuce uwodzenia myślałam, że jesteś urodzoną optymistką.

– Cóż, to prawda, że noszę, jak wy to nazywacie, różowe szklanki na oczach, ale czasem je ściągam – odparła Oracja. – Zakładam je na nowo dopiero, gdy robi się naprawdę ciemno.

– Skadi się z nami nie pożegna? – spytał Hiacinthus, gdy byli już gotowi do wyjścia.

– Niestety, ciągle śpi – odparł Calcus, otwierając drzwi. – Bardzo przejęła się Fione i musiałem uspokajać ją przez pół nocy. Prosiła, żebym się wami dobrze zaopiekował. Postaram się to zrobić najlepiej jak umiem.

Wyraźnie się denerwował, gdy zmierzali w stronę Miejsca Spotkań. Kate, żeby odrzucić od siebie myśli o tym, co na nich czeka, rozglądała się dookoła po kolorowych budynkach. Fylgie wydawały się jeszcze bardziej otumanione niż poprzedniego wieczora, niektóre spały nawet na progach, jakby upiły się atmosferą poranka. Z tyłu dudnił głos Oracji, która zdawała dokładną relację z życia swoich sąsiadów i, wnioskując z niektórych jej osądów na ich temat, Harold rzeczywiście był synem swojej matki.

– Ci tam, widzisz? – zwracała się do Lilian. – Ci, co mieszkają w tym domu pomalowanym na łososiowy kolor i udają, że ta pleśń to nie grzyb tylko mech ozdobny, przywlekli się tu, jak byłam nastolatką. To podobno potomkowie Sgathanairów i noszą się jak wielcy państwo, ale nigdy nie uświadczyłam u nich żadnych drogocennych kryształów, więc co to za Sgathanairowie? Chyba że wszystko chowali, jakby myśleli, że wszyscy tutaj chcą ich okraść!

– A tam, o – mówiła dalej, wskazując na brunatny domek wyglądający jak wielki grzyb. – Tam mieszkała jakaś wieszczka. No, *podobno* wieszczka. Zajmowała się numerologią i takimi sprawami. Powiedziała mi, że jak dam swojemu dziecku jakieś nowoczesne imię, najlepiej związane z ciekawą funkcją, to osiągnie kiedyś wysoką pozycję. No i właśnie dlatego – zwróciła się do Fiona – twój ojciec tak się nazywa. Ale za wiele to on nie osiągnął, prawda?

Fion milczał zakłopotany, więc Oracja zaczęła znów rozmowę z Lilian:

– Moja droga, podobno w waszym świecie istnieją elektryczne swatki?

– Słucham? – Lilian zamrugnęła zdziwiona, a Kate omal nie parsknęła śmiechem.

– No, Annwynn mówiła mi, że macie takie świecące płyty. Podłącza się je do energii, naciska coś i można oglądać zdjęcia potencjalnych mężów.

Tom chrząknął.

– Chodzi chyba o portale randkowe, ale do nich trzeba mieć...

– Ramtopy! Wiem, mam taki w domu, tylko trzeba go podłączyć.

– Ale do prądu – odparł spokojnie Tom, podczas gdy miny pozostałych przybrały podejrzenie czerwony kolor.

– Przecież prąd to energia – zauważyła Oracja. – Mogę wytworzyć go tyle, ile tylko trzeba.

– Ale sieć... Internet... – Teraz nawet Tom zaczął się gubić. Wreszcie zrezygnował z dalszego tłumaczenia. – To skomplikowana sprawa – uciął, pozwalając Oracji wrócić do innych spraw. Wszystkim trudno było ignorować jej potok słów. Wyraźnie odetchnęli z ulgą, gdy wreszcie stanęli przed Miejscem Spotkań, a Oracja oznajmiła, że nie może im towarzyszyć dalej, gdyż umówiła się z bratem żony jednego ze swoich kuzynów, którego poznała kiedyś podczas Nocy Majowej i który ustawicznie nalegał na spotkanie.

– Nie nazwę tego randką, jak zwykliście mówić, ale i tak chcę się przygotować – oświadczyła śpiewnie. – Powodzenia! Powiem Annwynn, że bezpiecznie odstawiłam was na miejsce!

Po tych słowach wzbiła się w powietrze i szybko odleciała na swoich małych skrzydłach.

Reszta spojrzała na Miejsce Spotkań. Budynek nie był tak wielki, jak spodziewała się Kate. Jego białe ściany zdobiły rzeźbione kwiaty, płaski dach wspierał się na rzędzie kolumn, a na gzymsie umieszczona była figura dwóch rąk. Jedna z nich trzymała dłuto, a druga podnosiła wielki młot. Calcus wyjaśnił, że był to herb miasta. Wokół budynku kręciły się fery i czarownice. Te drugie robiły sobie na jego tle zdjęcia.

– Chodźcie. – Calcus skinął ręką na swoich podopiecznych.

W środku wcale nie wyglądało jak w świątyni. W ścianach widniały okienka, przed którymi ustawiały się długie kolejki. Czekające w nich fery rozmawiały ze sobą, przez co atmosfera była wyjątkowo gwarna. Nad każdym z okienek znajdowała się tabliczka z napisami w kilku językach, które obwieszczały, gdzie załatwiać konkretne sprawy. Napis przy okienku na prawo od wejścia obwieszczał na przykład, że można przy nim dokonać KONTROLI PRZESŁANEGO SPRZĘTU MAGICZNEGO, kolejny odsyłał do URZĘDU ZASKARŻEŃ O NARUSZENIE NIETYKALNOŚCI ENERGETYCZNEJ. Aż przy trzech okienkach można było dokonać REJESTRACJI DZIAŁALNOŚCI RZEMIEŚLNICZEJ i to właśnie do nich ustawiły się najdłuższe kolejki. Gdzieś dalej Kate wypatrzyła WNIOSKI O PRZEJŚCIE PRZEZ BRAMĘ. Z ulgą zauważyła, że akurat tam nikogo nie było. Niestety w okienku nie było też urzędującego fera.

– Jak widzicie, Miejsce Spotkań jest mocno oblegane – powiedział Calcus. – Iarandinn długo chciał pozostać zamknięty, ale nie dało się uniknąć napływu przybyszów, więc musieliśmy się trochę... zbiurokratyzować. Zaczekajcie tu na

mnie. Postaram się załatwić sprawę jak najszybciej.

Podszedł do zaciemnionego okienka i zastukał palcami o ścianę. Po nieznośnie długiej chwili w okienku pojawiła się ferini z haczykowatym nosem. Calcus rozmawiał z nią przez chwilę. Zniknęła, by zaraz potem przynieść plik dokumentów. Calcus podpisywał jeden po drugim, a potem wrócił do reszty

– Zostaniemy teraz przesłuchani – oznajmił.

– Przesłuchani? – Fion wyraźnie się zaniepokoił.

– Rada wysłucha waszej argumentacji i zdecyduje, czy pozwolić wam przejść poza kolejką, czy jednak poddać was próbie jak inne osoby. I tak mamy sporo szczęścia, bo mogą przyjąć nas od razu. Za mną.

Teraz Calcus poprowadził ich w głąb Miejsca Spotkań. Znajdował się tam następny rząd drzwi z kolejnymi napisami. Zatrzymali się w połowie drogi i stanęli przed jednymi z nich. Umieszczona na nich tabliczka głosiła, że stanowią wejście do SALI PRZESŁUCHAŃ.

Calcus zapukał w drzwi, zza których rozległo się krótkie:

– Wejść!

Sala faktycznie wyglądała jak sąd. U jej końca znajdował się długi stół, na którym ciągnął się rząd lśniących athame. Siedziało przy nim kilka ferów z długimi brodami i tylko dwie ferinie. Wszyscy mieli na sobie białe szaty i spore, złote wisiory z herbem Iarandinnu. Za nimi rozwieszono było wielkie, czyste płótno. Przed stołem ustawiono kilka ław.

– Calcus! – zawołał jeden z siedzących ferów. Wyglądał na najstarszego. Jego broda była najdłuższa i całkiem siwa, a spod krzaczastych brwi wyglądały małe, czarne oczy. – Jak się masz? Co cię do nas sprowadza?

– Przeprowadziłem swoich przyjaciół. Chcieliby prosić o przejście przez Bramę do Kryształowego Pałacu poza kolejką.

Fer spojrzał na pozostałych, jakby udając, że dopiero teraz ich zauważył.

– Cóż, dobrze, możemy się tym zająć – odpowiedział, dodając ciszej: – Zwłaszcza że i tak nie mamy nic lepszego do roboty. Ishtar – zwrócił się do jednej z ferin. Ta machnęła ręką i od razu z końca stołu przesunął się w jej stronę pergamin i kałamarz z piórem. Natychmiast zaczęła coś notować.

– Słuchamy. – Fer spojrzał znów na Calcusa. – Jak nazywają się twoi przyjaciele?

Już to pytanie okazało się trudne.

– Uhm... To jest Kate... to Tom... – Calcus bardziej pytał niż oznajmiał. Ale przecież trudno było się spodziewać, że zapamięta imiona ich wszystkich po zaledwie jednej nocy.

– Nie przyjaźnicie się chyba zbyt długo, prawda? – spytał fer, na co kilku jego towarzyszy pokiwało głowami z dezaprobatą. – Niech więc przedstawią się sami. Wolimy jednak, by w ich imieniu wypowiadała się tylko jedna osoba.

Po krótkiej naradzie, podczas której zastanawiali się, czy lepiej wysłać Toma, czy Hiacintusa, postawili na tego drugiego. W końcu sam był ferem, więc teoretycznie rada nie powinna mieć do niego żadnych uprzedzeń. Hiacintus stanął więc przed długim stołem, a reszta zajęła miejsca w ławach. Calcus

usiadł obok Kate, która natychmiast wyczuła, jak bardzo był spięty. Poważnie ją to zaniepokoiło. Wyglądało na to, że ich pojawienie się w jego domu tylko przysporzyło mu kłopotów.

Hiacintus z grubsza przedstawił sprawę. Ferini z pergaminem szybko spisywała każde z jego słów. Gdy skończył mówić, zasiadający w radzie dyskutowali szeptem, a potem starszy fer przemówił:

– Dlaczego od razu nie skontaktowaliście się z Kryształowym Pałacem? Skoro wasza przyjaciółka jest księżącą narzeczoną, z pewnością mogliście to zrobić.

– Podążaliśmy zgodnie z wytycznymi przepowiedni wygłoszonej przez Annwynn Beedlebee – odparł spokojnie Hiacintus.

– Annwynn Beedlebee... – Fer westchnął. – Tak, to rzeczywiście renomowana prorokini. Jej przepowiednia, jak rozumiem, musiała mieć jakiś ukryty sens, którego wolicie nikomu nie zdradzać. Jeśli jednak jej słowa każą wam przejść przez każdą z Siedmiu Bram bez skracania sobie drogi, to przechodzenie teraz bez kolejki byłoby chyba działaniem wbrew temu, co powiedziała pani Beedlebee?

Hiacintus zastanawiał się nad odpowiedzią dłuższą chwilę.

– Annwynn sama zasugerowała, żebyśmy skrócili teraz drogę.

Przez kilka chwil w pomieszczeniu panowała cisza. Potem ferini, która zapisywała wszystko na pergaminie, odłożyła powoli pióro i spojrzała na Hiacintusa. Kate przyglądała się jej od dłuższego czasu. Podczas przesłuchania Ishtar wydawała się trochę nieobecna, jakby jej ręka sama sunęła po kartce, a myśli odpływały w innym kierunku. Gdy się odezwała, zadała pytanie, którego chyba nikt z obecnych nie spodziewał się usłyszeć:

– Ponoć podczas waszej podróży znaleźliście się w ogrodzie Kleftis, który zniknął zaraz po tym, jak go opuściliście – powiedziała. – Czy to prawda?

– No nie... – Calcus westchnął cicho.

Hiacintus pokiwał głową.

– Zgadza się.

– Rozumiem... – odparła Ishtar i dopisała coś na swoim pergaminie, a potem spojrzała na starszego fera. Kate była niemal pewna, że przesyłają sobie w myślach jakąś informację.

– Dobrze – powiedział fer. – Potrzebujemy teraz trochę czasu na naradę, po której poinformujemy was o podjętej decyzji.

Zasiadający w radzie unieśli swoje athame i za ich pomocą wytworzyli sferę, która objęła stół. Nie przepuszczała żadnych dźwięków, jednak widać było, jak członkowie rady rozmawiali i gestykulowali, co polegało głównie na kręceniu głowami. Wydawali się jednomyślni co do swojej decyzji, ale Kate miała poważne obawy, że nie była to decyzja przychylna jej drużynie. Wreszcie zasłona opadła, a starszy fer ogłosił:

– Biorąc pod uwagę fakt, że przedstawione przez was powody, by szybciej przejść przez Bramę, są niewystarczające, a przepowiednia, która was prowadzi, wyraźnie wskazuje, iż nie powinniście skracać sobie drogi, Rada Miasta Iarandinnu uznała, że będziecie musieli zostać poddani próbom.

Rozumiemy jednak, że nagli was sytuacja, dlatego postanowiliśmy, że, by skrócić czas oczekiwania, zostaniecie poddani próbom w parach.

– Cóż za pocieszenie! – prychnęła Diana.

Starszy fer uniósł swoje athame i skierował je w stronę płótna.

– Kolejności wchodzenia i pary zostaną wybrane losowo – oznajmił.

Na płótnie zaczęły krystalizować się jakieś kształty. Najpierw przypominały jedynie iskrzące kule, ale potem zaczęły zamieniać się w twarze. Przez pewien czas obracały się w kręgu, a wreszcie zaczęły ustawiać parami – jedna dwójka po drugiej. Gdy skończyły, Kate doznała nieznośnego skurczu żołądka. Na płótnie, obok jej twarzy, pojawiła się twarz Diany.



Rozdział 16

Wątpliwości

– Nie wierzę! – denerwowała się Lilian. – Jak mogli to zrobić? Przecież nasze argumenty były dobre, mieliśmy ważne powody!

Stali przed niepozornymi drzwiami, na których wisiała tabliczka ze słowami SALA PRÓB. W środku ktoś był, o czym poinformowała ich przechodząca korytarzem ferini.

– Drzwi otworzą się same, gdy przyjdzie wasz czas.

– Myślałem, że pozbycie się Kleftis, powinno zadziałać na naszą korzyść – mruknął Jonathan, gdy ferini odeszła.

– Niekoniecznie – odparł Calcus. – Wprawdzie Kleftis była szkodnikiem, ale nieoficjalnie rada wolała ją utrzymywać, bo dokonywała pewnego... przesiewu. Tym samym ułatwiała pracę w Iarandinnie.

– Mogła zjeść ich wszystkich – uznała Lilian.

Wszyscy byli tak samo poirytowani. Wychodząc z sali, Kate wypuściła z siebie niekontrolowaną wiązkę przekleństw. Ulżyło jej, ale nie na długo. Teraz wpatrywała się w czubki swoich butów. Robiło jej się niedobrze na samą myśl o tym, że będzie musiała wejść do sali razem z Dianą. Ta wcale się nie odzywała. Wzrok miała skupiony na drzwiach. Mrużyła oczy, jakby już przygotowywała się do czekającej ją przeprawy. Nie zwracała nawet uwagi na niecierpliwie przechadzającego się po jej ramionach Scire.

W pewnej chwili za drzwiami rozległ się przerażający krzyk. Wtedy wszyscy zamilkli i spojrzeli po sobie. Widząc strach wypisany na twarzach swoich podopiecznych, Calcus starał się ich uspokoić.

– Nie przejmujcie się – powiedziała. – To pewnie tylko taki straszak.

Mimo spokojnego tonu, Calcus wydawał się zasmucony. Prawdopodobnie najbardziej martwiło go to, że sprawa nie rozwiązała się na ich korzyść. By podnieść go na duchu, Kate i Lilian kilkakrotnie zapewniły, że nie ma w tym jego winy.

– Jak właściwie wyglądają te próby? – spytał Fion, patrząc na Darrina. – Mówiłeś, że podróżowałeś do Kryształowego Pałacu razem z ojcem.

– Zgadza się, ale my nie przechodziliśmy żadnych prób. Chyba sobie nie wyobrażasz, że ktoś ośmieliłby się zmusić do tego Cesarza Słońca. Ojciec pewnie by się obraził i nigdy więcej nie zstąpił na ziemię.

– Och, tak, to można sobie wyobrazić – stwierdził Tom. – Słoneczny Pan jest bardzo... nadęty.

Kłótnia, o dziwo, nie wybuchła.

– Dla każdego próby są trochę inne – oznajmił Calcus. – Dostosowują się do umiejętności i indywidualnych cech. Przed każdym sala może ukazać się w zupełnie inny sposób. Zwykle próby są tylko formalnością. Na pewno nie przyjdzie wam się mierzyć z czymś, czego nie zdołacie pokonać. Inaczej by było, gdybyście zmierzali do stolicy z nieczystymi zamiarami.

– Owszem, ale przecież może się zdarzyć, że nie przejdziemy prób, prawda? – odparł Jonathan. – I co wtedy?

– Nawet wtedy nic nie może się wam stać. Po prostu wróćcie do punktu wyjścia i będziecie mieli prawo poprosić radę o kolejne podejście. Rada ma trzy dni na rozpatrzenie takiego wniosku.

– Trzy dni to dla nas za dużo... – zauważyła Lilian.

– Och, to mało prawdopodobne, żebyście wszyscy mieli polec. Nawet gdybyśmy założyli, że któremuś z was próba się nie powiedzie, reszta będzie mogła pójść dalej. Ale nie bójcie się! Sam, jako pracownik Miejsca Spotkań, musiałem przechodzić przez próby kilkakrotnie i nigdy nie miałem z tym problemów. Za pierwszym razem...

Calcus nie zdążył jednak opowiedzieć im nic więcej, bo właśnie wtedy otworzyły się drzwi Sali Prób. Zrobiły to cicho i samoistnie. Za nimi widać było jedynie ciemność. Wydawała się niemal fizyczna, przypominała bezkształtną istotę, próbującą zalać sobą korytarz. Z wnętrza nie dobiegały żadne odgłosy ani nie uniósł się żaden zapach.

Kate zapatrzyła się w otwarte drzwi, jakby za nimi miało na nią czekać największe życiowe wyzwanie. Ale ta myśl wydała jej się głupia. Najpewniej przykładała do tego wszystkiego o wiele większą wagę niż powinna. Celowo nie patrzyła na innych, bo była pewna, że pobladła i wołała, by nikt tego nie dostrzegł. Poza tym krzepiące uśmiechy były ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała.

– Gotowe? – spytał Calcus.

Diana i Kate pokiwały głowami i weszły do środka. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, wszystko pograżyło się w nieprzeniknionej ciemności. Miało się wrażenie, że zaraz wyłoni się z niej jakiś nowy, obcy świat. Ale mrok nie ustępował.

– I co teraz? – spytała Kate, ściskając swoje athame. Starła się ukryć lęk.

– Czekamy... – Diana westchnęła. U jej stóp nagle pojawiło się jakieś światełko. Kate skierowała w jego stronę athame.

– To tylko Scire – uspokoiła ją Diana. Po chwili chowaniec zaczął wspinać się po jej nodze, przeszedł po plecach i usadowił się obok jej szyi.

Po raz pierwszy Kate zaczęła zastanawiać się, dlaczego sama nie wpadła na pomysł, by znaleźć sobie chowańca. Przynajmniej nie czułaby się teraz tak samotna.

W oddali zobaczyła coś jeszcze: małe, czerwone światło. Unosiło się w powietrzu niczym zabłąkany świetlik. Zatrzymując się od czasu do czasu, jakby w poszukiwaniu drogi, zmierzało w ich stronę. Kate i Diana uważnie się mu przyglądały, wciąż trzymały swoje athame w pogotowiu. Scire wychylał głowę i prychał. Gdy światło było już na tyle blisko, że zaczęło unosić się nad ich głowami, Kate i Diana dostrzegły, że latająca rzecz była w rzeczywistości niewielkim kluczem, otoczonym czerwoną aurą.

– Jest klucz, więc muszą być i drzwi – zauważyła Kate.

– Brawo – odparła Diana. – Teraz tylko mi powiedz, jak *zdobyć* ten klucz.

Unosił się zbyt wysoko, by mogły dosięgnąć go ręką, i ani razu nie obniżył lotu. Za to – zupełnie jakby w odpowiedzi na słowa Diany – w powietrzu zaczął sunąć kolejny przedmiot. Ten był większy, więc od razu dało się dostrzec, że to miotła, również otoczona czerwoną aurą.

Kate poczuła teraz satysfakcję z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że lubiła latać, więc uznała, że o ile kluczyk pozwoli się złapać, próba nie będzie zbyt trudna. Drugi powód do radości był o wiele bardziej osobisty. Kate dobrze wiedziała, dlaczego Diana zamilkła. Po prostu bała się latać i unikała mioteł jak ognia.

– No więc... Po prostu musimy podlecieć – stwierdziła Kate swobodnie, udając, że wcale nie śmieje się w duszy na myśl o tym, że okoliczności znów utarły Dianie nosa.

– W takim razie wsiadaj, skoro uważasz, że tak trzeba.

– A ty?

– To twój pomysł. Ja nie byłabym równie nierozważna. Niby skąd mamy wiedzieć, że miotła nie jest pułapką?

Kate wzruszyła ramionami.

– Przekonajmy się – powiedziała, po czym podeszła do miotły z wyciągniętą ręką. Ale wtedy miotła odfrunęła na kilka cali. Kate spróbowała więc znowu, jednak za każdym razem miotła odsuwała się od niej. Wreszcie, jakby próbując dać im coś do zrozumienia, zaczęła ocierać się o nogi Diany. Wyglądała niemal jak łaszące się zwierzę, czym wywołała zazdrość u Scire, który kilka razy prychnął.

– Wygląda na to, że to zadanie należy do ciebie – zauważyła Kate.

Miotła podfrunęła w okolice łokci Diany, a czerwone światło padło na jej wystraszoną twarz. Kate wiele razy zastanawiała się, czy Diana nie chce, czy po prostu nie potrafi latać. Oczywiście nigdy nie przyszłoby jej do głowy o to

zapytać. Tak *wspaniała* czarownica nie umiałaby posługiwać się miotłą? To byłaby chyba największa skaza na honorze Diany.

Po chwili bezradnego przyglądania się miotle, Diana wreszcie zdecydowała się jej dosiąść, jednak ta z jakiegoś powodu nie chciała jej słuchać. Chybotła się w powietrzu, ale nie odfrunęła nawet na centymetr.

– Nie tak – odezwała się Kate, widząc, jak palce Diany coraz mocniej zaciskają się na trzonku. – Musisz...

– Odczep się! – rzuciła ze złością Diana. – Myślisz, że potrzebuję twoich zakichanych rad? Jestem wiedźmą dziesięć razy dłużej niż ty.

Zamiast się zdenerwować, Kate tylko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się pod nosem. *No to zobaczymy* – pomyślała. Mimo wszystko musiała przyznać, że Dianie nie brakowało pewności siebie. To ona sprawiała, że miotła w ogóle utrzymywała się w powietrzu. Kate dobrze pamiętała swoje pierwsze lekcje latania. Ciągle wtedy spadała, bo nie wierzyła, że zdoła utrzymać się w powietrzu. Diana za to, choć wciąż się trzęsła, nie opadała. Problem polegał jednak na tym, że również nie potrafiła wznieść się wyżej.

Scire musiał być nastawiony do latania równie sceptycznie co ona, bo podejrzliwie przyglądał się witkom. Wreszcie jednak wyszedł zza bluzki Diany i ruszył wzdłuż trzonka miotły. Kate nie zaproponowała już pomocy i tylko przyglądała się próbom Diany, ciekawa, czy sobie poradzi. Właściwie to wcale by nie żałowała, gdyby teraz odpadła, choć rozsądek podpowiadał jej, że lepiej, by wszystkim Strażnikom udało się przejść przez Bramę.

Diana zacisnęła powieki tak mocno, że na jej czole pojawił się rząd poziomych zmarszczek. Zdawało się, że to skupienie jej pomogło, bo po chwili miotła wzbiła się nieco wyżej. Teraz przyszła jednak pora na najtrudniejszy manewr: złapanie klucza, a to wymagało od Diany oderwania jednej z rozdygotanych dłoni od trzonka. Kate postanowiła znów się odezwać. W końcu obie musiały zdobyć ten klucz.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że nie powinnaś tak mocno ścisnąć miotły. To utrudnia lot.

Diana otworzyła oczy.

– Przestań wybijać mnie z rytmu! – krzyknęła. – Poza tym powinnaś raczej zająć się swoją próbą.

– Nie rozumiem...

– Jak sama błyskotliwie zauważyłaś, *ta* próba należy do mnie. Przestań więc tracić czas i zajmij się swoją.

– Ale... – Kate urwała, niepewna, co właściwie powiedzieć. Zdała sobie sprawę, że Diana może mieć rację. Miotła nie chciała, by to Kate jej dosiadła, bo to nie byłoby dla niej żadną próbą. Tylko że nie miała pojęcia, co mogłoby się nią okazać. W roztaczającej się zewsząd ciemności nie dostrzegała niczego poza świecącym kluczem i Dianą.

Znów przeniknął ją chłód, jaki czuła początkowo, jeszcze przed wejściem tutaj. Coś musiało czaić się w ciemności. Przypomniała sobie jednak słowa Calcusa, który przekonywał, że próby nie są wyjątkowo ciężkie. Chyba nie

miała więc czego się bać.

– Ach! – krzyknęła Diana. Spróbowała w końcu złapać klucz, wykonując błyskawiczny ruch ręką, czego Kate nawet nie zauważyła. Klucz jednak nadal unosił się w powietrzu, a teraz nawet przyspieszył i zaczął wirować nad ich głowami.

Dziwne zachowanie klucza podziało na łatwo denerwującą się Dianę jak płachta na byka. Zdawało się, że całkiem zapomniała o swoim strachu, a przynajmniej przysłoniła go jej złość. Nadal z trudem sterowała swoją miotłą, ale z każdą chwilą wychodziło jej to coraz lepiej. Całą uwagę skupiła na kluczu, który wyglądał, jakby chciał się z nią droczyć. Im lepiej radziła sobie Diana, tym szybciej się poruszał. Wreszcie zaczął uciekać dalej, a Diana poszybowała za nim. Po chwili światła klucza i miotły znikły.

Kate, pozostawiona sama sobie, poczuła się nieswojo. Zaczęła rozglądać się dookoła, poszukując jakiegoś nowego światła, swojej własnej próby. Niczego jednak nie widziała, a w dodatku dopadł ją ten kretyński lęk z dzieciństwa: strach przed ciemnością. Mrok tutaj wydawał się gęsty jak smoła. Za plecami Kate czuła – a przynajmniej wydawało jej się, że tak czuje – jakby w powietrzu formowały się ręce, sunące po jej ciele tylko po to, by bardziej ją wystraszyć. Ale czego właściwie się bała? Im dłużej to trwało, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że nie chodzi o mrok, ale raczej o jej wyobrażenia na temat tego, co może się w nim czaić.

Światło – pomyślała i rozpalila na czubku swojego athame wąty płomień.

Zaczęła rozglądać się jeszcze raz. Czyżby samo zmierzenie się z ciemnością miało być próbą? Jeśli tak, to w pewnym sensie już ją przeszła. W końcu zrozumiała coś nowego.

– Nie boję się – powiedziała cicho w stronę bliżej niesprecyzowanego wroga, a po chwili zaczęła powtarzać to coraz głośniej. Nie chciała być zbyt głośna, żeby nie usłyszała jej Diana. Mimo że nie było jej już nie tylko widać, ale także słychać, z pewnością gdzieś tu jeszcze latała. Chyba że zdobyła już klucz i przeszła przez Bramę, nie czekając na Kate. Byłaby do tego zdolna. Może zresztą tak właśnie miała zrobić. Może Kate musiała znaleźć swój własny klucz.

Bez sensu – stwierdziła, sama już nie wiedząc, czy faktycznie tak myślała, czy był to tylko głos wątpliwości. Ale cała droga faktycznie była bez sensu – Darrin od początku miał rację, a Babcia Annwynn prawdopodobnie zbzikowała.

Kate niemal podskoczyła, gdy w jej głowie pojawiła się ostatnia myśl. To przecież niemożliwe, żeby naprawdę tak właśnie myślała o Annwynn. Babcia była wielką wieszczką, doświadczoną czarownicą. Należał się jej szacunek, mimo że sama nie potrafiła okazać go innym.

Tak, wielce doświadczona, zarozumiała idiotka.

Kate bezwiednie zacisnęła palce na rękojeści athame. Walczyła z tymi wątpliwościami, ale im bardziej je odsuwała, tym gorsze przybierały formy. Wreszcie Kate poczuła się, jakby stanęła z nimi do walki, jakby wcale nie wyływały z niej samej.

Cała ta wyprawa to jedna wielka farsa.

Ale musimy pomóc Fione.

Właściwie dlaczego mamy jej pomóc?

W sumie to Kate nieszczęśliwie ją lubiła. Ale ona była ferinią Jonathana...

Jonathan. W kolejnej myśli pojawiła się krztyna pogardy, która niemal doprowadziła Kate do rozpacz. *Co mi po chłopaku, który zajmuje się bardziej magią niż mną i który nawet nie wybiera się ze mną do kina?*

Przecież go kochała. Kochała go, prawda? Tyle że ostatnio... wszystko było jakieś inne. Coraz więcej rzeczy zaczynało ją w nim denerwować, a po kilku miesiącach związku to chyba nie wróżyło najlepiej? Nawet rzadziej się całowali. Tak, poszli do łóżka, ale...

Mel.

Kate miała ochotę zapytać samą siebie, skąd nagle przed oczami stanęła jej Mel. Chyba to zrozumiała. Przecież mało brakło, a Jonathan kochałby się również z nią. Owszem, Kate sama do tego doprowadziła, ale gdyby Jonathan tylko chciał, umiałby z tym walczyć! A on tak po prostu... I to z Mel! Z tą Mel, która miała przed nim całą masę chłopaków. Z taką...

A więc właśnie taki jest Jonathan! Był w stanie wykorzystać każdą okazję, chciał wykorzystać też mnie!

Poczuła, jak w oczach gromadzą się jej łzy. Chciała krzyknąć, ale zamiast tego machnęła tylko ręką, jakby próbując się odgonić od wątpliwości. Z athame wystrzelił ognisty płomień, który po chwili zniknął w ciemności.

Złość wyparowała, a Kate została całkowicie sama, ale już pewniejsza. Wątpliwości znikły, bo nie były prawdą. Kate sama wybrała tę ścieżkę, każdą ze swoich ścieżek. I teraz, jakby dla potwierdzenia tego wyboru, postanowiła podążać nimi dalej.

Ciemność przegnało kolejne, tym razem mocniejsze światło. Nie pochodziło z klucza, ale z drzwi, które pojawiły się znikąd. Były otwarte, klucz nie był już potrzebny.

A więc to o nie chodziło – pomyślała Kate. To wątpliwości były próbą!

Przeszła przez drzwi, wierząc, że nie stanowią kolejnej sztuczki. W jednej chwili znalazła się na niewielkim zielonym wzgórzu. Ujrzała jasne niebo i miasto tak piękne, że wydawało się całkiem nierzeczywiste.

Potężne kwiaty mieszkalne unosiły korony wysoko ku niebu. Największą uwagę przyciągał jednak potężny zamek, wyglądający, jakby ukształtowany go z lodu.

Kryształowy Pałac.

– A więc się udało. – Usłyszała głos Diany, z której obecności wcześniej nie zdawała sobie sprawy. Najwyraźniej nawet na nią ten widok zadziałał kojąco. W jej głosie nie było już słycać wyższości. – Ciężko było, ale jakoś znalazłam ten klucz, a potem pojawiły się drzwi... No i przeszłam. A ty?

– Ja... Ja też musiałam znaleźć swój klucz. I też zobaczyłam drzwi.

Diana wypięła z włosów sygnet, w którym trzymała Scire, i pozwoliła chowańcowi wejść do środka.

– No, idziemy? – spytała, wkładając ozdobę z powrotem, na co Kate pokiwała

głową.

Nim jednak ruszyły, poczuły nagle, jak jakaś niewidzialna siła wygina ich ręce do tyłu i krępuje je. Wszystko to trwało zaledwie ułamek sekundy. Nagle ktoś narzucił na ich głowy grube worki, a ciemność zapadła na nowo.



Rozdział 17

Oszukana wiedźma

– Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego – oznajmił mistrz, posyłając Mel poważne spojrzenie. Jego lśniące oczy skrywały tajemnicę, której poznanie wydawało się wyjątkowo nęcące.

Stali teraz w głównym pomieszczeniu świątyni, tam, gdzie doszło między nimi do połączenia. Mimo że od tamtej chwili minęło zaledwie kilka dni, Mel miała wrażenie, że nauczyła się już naprawdę wiele. Każdego dnia spędzała w Świątyni Pierwotnego Światła wiele godzin, zupełnie nie przejmując się już szkołą. Czuła się coraz pewniej jako wiedźma. Bez większych problemów potrafiła wzbudzać swoją moc, która stawała się coraz wyraźniejsza. Mistrz wytłumaczył, że ma to związek z żywiołami. Energia Mel była pomarańczowa, a w chwilach większego wzburzenia stawała się czerwona niczym krew. Jednak podczas spokojnych, medytacyjnych ćwiczeń przybierała barwę czystego złota.

– To zwiastuje sukces – twierdził mistrz. – Przyjęcie cię na naukę było doskonałą decyzją!

Oczywiście Mel zdawała sobie sprawę, że jej moc jest tak silna głównie dzięki połączeniu z mistrzem, ale przecież nie przejawiałaby się, gdyby już wcześniej nie posiadała odpowiednich zdolności. Mistrz więc po prostu otworzył ją na jej własną potęgę. Gdy tylko zetknęły się ich dłonie, Mel odniosła wrażenie, jakby siła mistrza wdzierала się w nią, całkowicie przejmując kontrolę nad jej ciałem. W pewnym momencie – co teraz wydawało jej się wyjątkowo głupie – sądziła nawet, że umrze.

Wszystko minęło bardzo szybko, zupełnie jakby energia mistrza przemknęła

przez jej ciało, oczyszczając je, może nawet pustosząc, ale zarazem przyniosła ze sobą coś nowego. Nowa siła miała jednak dopiero się rozwinąć, a by mogło do tego dojść, Mel musiała całkowicie zdać się na mistrza. Nie przeszkadzało jej to uzależnienie od niego, bo wiedziała, że gdy już się rozwinie, będzie równie potężna, a może nawet bardziej. Już pierwszego ranka po połączeniu potrafiła siłą woli przenosić przedmioty, a przecież była to dopiero pierwsza, początkowa zdolność.

– Co takiego chcesz mi pokazać? – spytała. Nie była na tyle głupia, by sądzić, że po tych paru dniach doświadczyła już wszystkiego. Ze spojrzenia mistrza wnioskujeła jednak, że chodzi mu o coś głębszego niż po prostu kolejne, silniejsze zaklęcia.

– Świątynia Pierwotnego Światła powstała nie tylko po to, by uczyć magii najlepsze z wiedźm – zaczął tłumaczyć. – Naszym podstawowym celem jest badanie magicznej sztuki, chcemy poznać o niej całą prawdę. Odkryliśmy, że istnieje coś, co można nazwać źródłem magii. Wiemy też, że można je ucieleśnić.

– Ucieleśnić? – powtórzyła Mel. – Chodzi o to, że magia mogłaby... zamieszkać w kimś?

Mistrz przytaknął.

– Albo w czymś – dodał. – Przez wieki zadaniem, jakie stawiał przed sobą nasz zakon, było poszukiwanie tego ucieleśnionego źródła.

Mel miała nadzieję, że mistrz wskaże teraz na nią palcem, mówiąc: „To ty jesteś tym źródłem”.

– Udało się wam? – spytała szybko.

– Wierzymy, że tak. Ucieleśnienie musi jednak zostać ostatecznie przebudzone. Jeśli uda nam się tego dokonać, pomyśl tylko, jak bardzo wzrośnie nasza moc! Co się stanie, gdy na nowo tryśnie źródło magii? Będziemy mogli rozwiązać tak wiele problemów, nie tylko twoich!

W tym momencie mistrz dał jej prztyczka w nos, jak gdyby była dzieckiem. Rzadko jej dotykał, co zwiększało dystans między nimi i wzmacniało jej szacunek. Mel nadal nie znała też jego imienia. A jednak było to zaskakujące, o jak wielu rzeczach mu opowiadała: o ciągłych problemach uczuciowych, o życiu z matką, która nigdy nie potrafiła normalnie z nią porozmawiać, o wszystkich swoich lękach i obawach. Części z tych tematów nie poruszyłaby nawet przy Kate.

– Mówię o problemach całego świata – ciągnął mistrz. – Magii można użyć, aby go uzdrowić. Czarownicy i magowie mogliby wreszcie wyjść z ukrycia. Świat ludzi połączyłby się z Jaarem.

Oczy Mel rozbłysły. Mistrz wiele razy mówił jej o magicznym świecie, ale nadal jej do niego nie zabrał.

– Można połączyć Jaar ze światem ludzi? – Ten pomysł bardzo ją zaskoczył. – Czy mówisz mi o tym dlatego, że mogłabym się do tego przyczynić?

W odległym kącie sali rozległo się czyjeś westchnienie. Mel niemal zupełnie zapomniała o obecności Astrin. Kobieta teraz stała z boku, udając zajęta

lekturą, choć w rzeczywistości na pewno przysłuchiwała się ich rozmowie. Nie kierowała już w stronę Mel żadnych gróźb, ale z całą pewnością wciąż była jej niechętna.

Powinna się cieszyć, że nie powiedziałam o jej groźbach – pomyślała Mel, dodając w głowie jeszcze kilka obelżywych uwag na temat Astrin. Nie znosiła jej, jednak nie miała zamiaru mówić mistrzowi o ich rozmowie. Przynajmniej na razie. Astrin wciąż była silniejszą wiedźmą.

Gdy mistrz usłyszał pytanie Mel, na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– Ach... tak... Oczywiście, że możesz. Każde z nas może przyczynić się do połączenia światów. Ty już nawet to zrobiłaś... po części. – Sięgnął po czarne pudełeczko, leżące na ołtarzu w otoczeniu kilku białych świec, długiego athame i złotej figury brodatego mężczyzny. To w nim umieścił wcześniej włosy Kate, jednak nadal nie wytłumaczył, do czego właściwie chciał ich użyć.

– Będą nam potrzebne? – zdziwiła się Mel. – Mówiłeś, że ona nie jest silną wiedźmą...

Mistrz wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia. Dziś włosy bardzo nam się przydadzą.

Mel znów zaczęła się zastanawiać, czy użycie włosów Kate w rytuale mogłoby mieć na nią prawdziwy wpływ. Nie chciała też jej zaszkodzić. Jasne, Hallander była dla niej wredna, zachowując magię dla samej siebie i nie dzieląc się z nią żadnym ważnym sekretem, ale Mel nie miała zamiaru się na niej mścić.

– Na nas pora – oznajmił mistrz.

– Pora? – zdumiała się Mel.

– Musisz wszystkiego się dowiedzieć. Odwiedzisz ze mną Jaar!

Mel stłumiła okrzyk zachwyty, który prawie wyrwał się z jej ust. Jedną z rzeczy, jakich się nauczyła, było zachowywanie pozorów powściągliwości. Mistrz zabrał z ołtarza swoje athame i wytworzył w powietrzu magiczny portal. Struga energii wyłaniająca się z ostrza była błękitna, a portal wyglądał jak skrawek nieba zawieszony w przestrzeni.

Mel czuła narastającą ekscytację. A więc wreszcie miała zobaczyć inną rzeczywistość, świat magii. Zdawało jej się, że czekała na to od tak wielu lat, a przecież wiedziała o magii zaledwie od kilku dni. Mistrz wyciągnął do niej rękę. Astrin także się zbliżyła.

– Nie – powstrzymał ją. – Tę podróż chcę odbyć jedynie w towarzystwie mojej nowej podopiecznej.

Zaskoczona Astrin cofnęła się. Z wyrazu jej twarzy trudno było odczytać, czy słowa mistrza ją zraniły, czy raczej rozgniewały.

Mel odczuła wyraźną satysfakcję. Nie napawała się jednak długo upokorzeniem Astrin, bo jej myśli na powrót zaczęły krążyć wokół zbliżającej się podróży. Ujęła dłoń mistrza i razem weszli w portal. Niebieska energia otoczyła ich ze wszystkich stron. Gdy się rozproszyła, Mel ujrzała nowy świat.

Powietrze pachniało w świeży, przyjemny sposób, dokładnie tak, jak powinny pachnieć lasy lub czysta, nieskażona ziemia. Nie było tu niczego, co Mel kojarzyłoby się z miastami, żadnych spalin ani dymu. Wzięła kilka głębszych

wdechów, by nasycić się zapachem Jaaru. Nie potrafiła uwierzyć, że naprawdę się tu znalazła.

Ze wszystkich stron otaczały ich wysokie drzewa i bujne rośliny. Większość z nich Mel widziała po raz pierwszy w życiu. Pod stopami miała wydeptaną ścieżkę, usłaną nielicznymi kamieniami. Na jednym z nich dało się dostrzec grubą, czerwoną gąsienicę, która, jakby spłoszona pojawieniem się obcych, prędko ukryła się za kamieniem. Po chwili na ścieżkę wpełził zielony stwór przypominający miotełkę do kurzu. Mel jęknęła cicho i odsunęła się.

– To tylko pajęcznik. – Mistrz się roześmiał. – Nic ci nie zrobi. Jaar pełen jest istot, jakich nigdy dotąd nie spotkałaś. Te tutaj nie są niebezpieczne, istnieją jednak takie miejsca, w które lepiej się nie zapuszczać.

– A fery? Zobaczą je tu?

– Nie, tu ich nie ma. Nie przejmuj się jednak, jeszcze nieraz je spotkasz. To, co chcę ci pokazać, jest o wiele ciekawsze od ferów.

Mel rozglądała się na wszystkie strony, starając się uchwycić jak najwięcej niezwykłości Jaaru. Przeraziły ją czyjeś czerwone oczy, spoglądające na nią z koron drzew, a widok ptaka z długim dziobem i wielkimi szponami – rozśmieszył. Wyglądał, jakby wciąż przysypiał i za każdym razem, gdy opuszczał dziób, opadał głową do dołu, by po chwili z powrotem przyjąć poprzednią pozycję.

Zza drzew wyłoniły się ściany pomarańczowej budowli. To ona – jak oznajmił mistrz – była ich celem. Przypominała nieco kościół lub zamek. W jednej ze ścian znajdowało się wgłębienie odgrodzone pięcioma belkami, które układały się na kształt pentagramu. Na dach składały się liczne, różnorakie wzniesienia – niektóre z nich wyglądały jak szpikulce, inne miały półokrągłe kształty. Budowla wyglądała na niezwykle starą – ściany były pokryte mchem i napisami.

– To Pomarańczowa Świątynia – wyjaśnił mistrz. – Od dawna nikt jej nie używał, więc ją przejęliśmy.

Przed frontowymi drzwiami stały dwie zakapturzone postacie. Sądząc po kroju ich czarnych szat, należały do zakonu mistrza.

Mistrz, nie zwracając na zakapturzonych uwagi, wspiał się po schodach i stanął przed drzwiami. Zdjął z nich ciężki rygiel i pchnął z całej siły.

Wnętrze budowli było niemal całkiem puste, nie licząc tronu i kilku pomalowanych kolumn. W ścianach ciągnęły się rzędy ciemnych przejść.

Przed Mel i mistrzem nagle wyrosła wysoka postać. Miała niebieskawą skórę pokrytą białą sierścią, długie ciemne włosy, a jej ręce i nogi przypominały łapy wilka. Potwór posyłał im wygłodniałe spojrzenie przekrwionych oczu.

– Likantus! – przeraziła się Mel.

– Bez obaw. Nie zrobi ci krzywdy.

Mistrz uniósł rękę, a wtedy likantus odwrócił się i również ruszył w stronę tronu. Przeszedł kilka kroków, po czym skoczył przed siebie. Rozległ się chrzęst przemieszczanych kości, gdy potwór zmienił swoją humanoidalną postać na wilczą. Położył się obok tronu, jakby go pilnując.

– Zaraz zobaczysz ucieleśnienie magii – oznajmił mistrz. Wspięli się po schodach i stanęli tuż przed tym, co zasiadało na tronie. W pierwszej chwili Mel chciała krzyknąć. To, co zobaczyła, przyprawiło ją o mdłości.

Na tronie ułożone były czyjeś zwłoki, wysuszone, ludzkie ciało przyobleczone w fioletową szatę i ozdobione klejnotami. Usta zmarłego były lekko rozchylone i umazane czymś bordowym.

– To jest... źródło magii? – wyjąkała Mel, odsuwając się. Mistrz spojrzał na nią poważnie i pokręcił głową. Wyglądało na to, że dla niego zwłoki stanowiły rodzaj niewypowiedzianej świętości, jednak ona nie umiała powstrzymać się przed kolejnymi wzdrygnięciami za każdym razem, gdy tylko spoglądała na ciało.

– To on – oznajmił mistrz. – Ten, który posiadał całą moc, ojciec wszelkiej magii. Musimy go chronić i opiekować się nim, by ostatecznie doprowadzić do jego całkowitego przebudzenia.

– On żyje? – wyszeptała Mel.

– Oczywiście, że żyje. Jego dusza, choć uspiona, jest zbyt silna, by pozwolić mu umrzeć.

Mel nie tak wyobrażała sobie źródło magii. Sądziła, że będzie to coś pięknego.

– Chcesz go teraz przebudzić? – zapytała z lękiem. Nie była pewna, czy bardziej przerażała ją widok siedzącego, czy możliwość, że ten mógł lada chwila wstać.

– Mam zamiar spróbować – powiedział mistrz. – Przebudzenie Wielkiego Pana jest ostateczną misją naszego zakonu. – Wyciągnął pudełko z włosami Kate, włożył kilka z nich do ust siedzącego i wyciągnął rękę w stronę Mel.

– Chodź. Znów będę potrzebował odrobiny twojej krwi.

Jakby spodziewając się, że Mel tym razem nie będzie tak chętna do współpracy, pociągnął ją za rękę i przyłożył do jej dłoni athame. Nie przejmował się już czarami znieczulającymi – po prostu jednym, szybkim ruchem przeciął jej nadgarstek. Mel krzyknęła i odruchowo próbowała wyrwać się z uścisku, jednak była zupełnie bezsilna. Mistrz przyłożył jej nadgarstek do tych wstrętnych, zeschniętych ust, a one zacisnęły się i zaczęły chleptać jej krew.

Mel płakała i krzyczała, pewna, że zaraz umrze, że trup wysysie całą jej krew.

– Zamknij się! – warknął mistrz, mocniej naciskając na jej nadgarstek.

Coś zaczęło dziać się z ciałem. Wstrząsnął nim potężny dreszcz, przechodzący od palców stóp aż po usta, które jeszcze mocniej wpiły się w Mel. Jej krew przepływała do zastygłych żył, a serce siedzącego, które biło dotąd zaledwie raz na wiele tygodni, zaczęło na nowo odnajdywać swój rytm sprzed tysięcy lat. Mel wiedziała o tym wszystkim, bo stanowiła z nim jedność.

To było jak wyrok. Mel była niemal pewna, że życie siedzącego dla niej będzie oznaczało śmierć. Nie chciała, by do tego doszło. Miała ostatnią szansę, by się uwolnić. Z całej siły szarpnęła ręką, odrywając dłoń od zboczonych krwią ust ożywionego trupa. Ten zacharczał, a jego oczy zaśniły, jakby nagle przebudziła się w nim świadomość. Odżył, wychodząc z przypominającego śmierć snu, i tylko on w pełni rozumiał tajemnicę, jaka się za tym kryła.

Mistrz nie próbował złapać Mel. Całą swoją uwagę skupił na siedzącym, który

był jeszcze zbyt słaby, by się poruszyć. Dziewczyna zaczęła się cofać w stronę portalu. Mistrz padł na kolana i pochylił się przed swoim panem. Ten jednak zdawał się nawet tego nie zauważać, wciąż wbijając mętne spojrzenie w Mel, która mimowolnie zaczęła krzyczeć.

– Wynoś się! – warknął do niej mistrz, a ona natychmiast zaczęła biec w kierunku portalu. Przeniosła się i ciągle pędziła, mijając kolejne pomieszczenia w domu mistrza. Przeklinała własne łyzy, próbując ukryć je przed zdumioną Astrin, która nawet nie próbowała jej zatrzymać.

Znalazła się w swoim pokoju tak szybko, że to, co przed chwilą ją spotkało, wydawało się koszmarem, z jakiego dopiero co się przebudziła. Ale to nie był sen. Ona zrobiła to naprawdę. Pozwoliła mistrzowi, by wykorzystał ją w najpodlejszy sposób i pomogła mu rozbudzić tę ohydną istotę. Mistrz okłamywał ją od samego początku. Nigdy nie uważał jej za wielką czarownicę, zdradził ją. Nigdy nikt nie zrobił jej czegoś podobnego. Wśród wszystkich, którzy uważali ją za nic, nie znalazł się podobny oszust!

Chciała teraz rzucić się na łóżko i umrzeć. W jednej chwili straciła wszystko, w co tak łatwo uwierzyła. Odebrali jej życie, którego jeszcze na dobre nie zaczęła. Ledwo stała na nogach, trzęsąc się i szlochając, ale mimo to podeszła do lustra. Nie sądziła, że jej własna twarz będzie w stanie wyrazić aż tyle nienawiści. Nienawidziła ich wszystkich, całego świata, *obu* światów. Ale przecież...

Przeżyła.

Przeżyła, choć była dziś bliska śmierci bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Przeżyła, a więc może był w tym jakiś sens, może krył się za tym jakiś cel.

Spojrzała we własne oczy tak, jakby składała samej sobie obietnicę.

Mistrz, Astrin, ktokolwiek... Nie musieli widzieć w niej potężnej wiedźmy. Wystarczy, że sama mogła uwierzyć w swoją potęgę. Nie wróci już do poprzedniego życia. Zabrali jej część niej samej, ale ona sięgnie po nią z powrotem, po silniejszą i potężniejszą siebie. Stanie się o wiele większa, niż jej wmawiano.

A gdy do tego dojdzie, zemści się.



Rozdział 18

Kryształowy Pałac

Lilian westchnęła zachwycona. Ona i Tom przeszli próby jako ostatni, ale zamiast rozmawiać z pozostałymi, patrzyli teraz na lśniący w dali Kryształowy Pałac.

– Niezwykły – przyznał Tom, który długo nie mógł wyjść z podziwu dla budowli. Wreszcie otrzeźwiał jednak i powiedział: – Potem się mu poprzyglądamy. Wszyscy są?

– Brakuje Kate i Diany – odparł Fion. Wraz z Jonathanem poddali się próbom jako drudzy, ale gdy wylądowali na wzgórzu, nikogo oprócz nich tu nie było.

– Jak to ich nie ma? – przeraziła się Lilian. – Musiały przecież przejść próby bez szwanku, skoro nie pojawiły się z powrotem przed drzwiami.

– Nie ma się czym przejmować – stwierdził Darrin, wyglądający na wyjątkowo zadowolonego i rozluźnionego. Jemu i Hiacinthusowi przejście zadań zajęło najmniej czasu. – Gdyby dziewczynom coś się stało, wiedzielibyśmy o tym.

– Może po prostu postanowiły na nas nie czekać? – zasugerował Tom. – Fionowi i Jonathanowi też trochę zeszło.

Starał się ubrać to w słowa najlepiej, jak potrafił. W rzeczywistości Jonathan i Fion spędzili w Sali Prób ponad godzinę.

– Nie sądzę – oznajmił Jonathan. – Przecież Kate najbardziej zależało na tym, żebyśmy się nie rozdzielali.

Coraz bardziej się denerwował. Odkąd tylko tu wylądowali, Fion wciąż musiał powstrzymać go przed pójściem i szukaniem Kate. Czekali więc na resztę z nadzieją, że któreś z nich wpadnie na jakiś pomysł, jednak sądząc po ich

minach, Jonathan uznał, że nie przejęli się brakiem Kate tak samo jak on.

– Mam nadzieję, że Dianie nie przyszło znów do głowy coś głupiego... – zmartwiła się Lilian.

– Bez przesady – odparł Tom. – Sprawa Kleftis na pewno czegoś ją nauczyła. Założę się, że dziewczyny już dawno są w pałacu. Ruszajmy!

Droga zmierzała najpierw przez obrosnięte kwiatami pola, nad którymi przelatywały wielkie pszczoły, a potem prowadziła w górę zielonego wzgórza, na którym wznosił się pałac. Wokół wzgórza płynęła osobliwa rzeka, której woda była biała niczym mleko. Kilka ferów nabierało ją do wielkich dzbanów, a w górze unosiły się motyle, ogromne, z całą pewnością królewskie. Ich skrzydła przypominały cętkowaną skórę dzikich kotów.

Wejście do Kryształowego Pałacu było ostatnią z Bram. Cała drużyna miała nadzieję, że nie będą czekać ich już żadne dodatkowe przygody, testy lub niebezpieczeństwa. Idąc przed siebie, opowiadali sobie o tym, co spotkało ich w Sali Prób.

– Moje zadanie nie było szczególnie trudne – stwierdził Darrin. – To było bardziej jak test na zręczność. Stałem na jasnym wzgórzu, trochę podobnym do tego. Nade mną świeciło słońce. Jeden z jego promieni był bardzo długi i sunął ku ziemi jak błyskawica. Gdy jej dotknął, zmienił się w białego ptaka z kluczem zawieszonym u szyi. Trochę musiałem się nabiegać, nim go złapałem.

– U nas nie było żadnego klucza – oznajmiła Lilian – ale próby były dziwne.

– Dokładnie – zawtórował jej Tom. – Ja stałem przed wielkim kotłem, w którym pływał skrawek pergaminu. Zanurzyłem rękę, by go wyciągnąć, ale on opadał coraz głębiej, zupełnie jakby kocioł wcale nie miał dna. W końcu, kiedy już udało mi się wyciągnąć pergamin, okazało się, że jest całkiem pusty. Byłem wściekły, bo spodziewałem się, że znajdę na nim jakąś wskazówkę. Gdy chciałem z powrotem wrzucić go do wody, pojawiły się jednak słowa: *W SWOIM CZASIE*. Tylko tyle, a potem pergamin rozpadł mi się w dłoniach.

– To trochę przypomina sen – stwierdził Hiacinthus. – Myślę, że moglibyśmy spróbować go zinterpretować.

– Posłuchajcie, co przydarzyło się mnie – wtrąciła Lilian. – Miałam na sobie szaty takie jak Mag z tarota, białą tunikę i czerwony płaszcz, ale przede mną zamiast ołtarza stała taśma produkcyjna! – Ton jej głosu sugerował, że to bezczelne wkroczenie techniki w świat magii mocno ją zniesmaczyło. – Przesuwały się po niej metalowe kielichy. Wszystkie były identyczne, a ja brałam każdy do rąk i sprawdzałam, czy nie ma w nich czegoś ważnego. W końcu pojawiła się też różdżka. Wzięłam ją do ręki, machnęłam i wszystko zniknęło. Jak to rozumieć?

– To akurat proste – stwierdził Tom.

– No? – Lilian spojrzała na niego z ciekawością.

– To oznacza, że masz przestać spędzać tyle czasu w sklepach internetowych i zacząć sama tworzyć swoje narzędzia.

– Nedorzeczne! – prychnęła Lilian.

Teraz o próbach zaczął opowiadać Hiacinthus:

– Moje zadanie przypominało raczej wizję. Może to dlatego, że nigdy nie byłem dobry w magii pasywnej, zawsze wolałem działać... A przecież próby polegają często na tym, by użyć tej cechy, która jest w nas najmniej rozwinięta. Też byłem na wzniesieniu, jak Darrin. Widziałem przed sobą ogromny pentakl. Był na nim wyrysowany pentagram, cztery z jego ramion wskazywały na symbole żywiołów, ale nad górnym wierzchołkiem wyrysowano symbol, jaki tworzą amulety Kate, gdy się je połączy. W pewnym momencie ten sam promień słońca, który przed Darrinem uformował ptaka, dotknął samego środka pentagramu, a ten zalsnił i po chwili otoczył go krąg ochronnego ognia. Gdy wizja się skończyła, byłem już tutaj.

– Wiecie? – odezwał się Fion. – Jak tak o tym myślę, to i moja próba wydaje się dość... *wizyjna*. Przechodziłem przez długi most nad urwiskiem. Nie byłem w stanie lecieć, zupełnie jakby ktoś unieruchomił moje skrzydła, więc zacząłem powoli przechodzić na drugą stronę. Gdy tam dotarłem, w trawie znalazłem różdżkę. Zaraz potem pojawiła się Brama.

Już w pierwszej chwili, gdy Fion zobaczył różdżkę, przypomniał sobie o ciągłych kłopotach Kate ze znalezieniem jednej dla siebie. Miał nawet nadzieję, że ta, która wpadła mu w ręce, nada się dla niej, jednak różdżka zniknęła, gdy tylko przekroczył Bramę. Teraz zaczął rozpatrywać to wszystko – swoją próbę i to, co powiedzieli pozostali – w kontekście przepowiedni Babci. Zamyślił się do tego stopnia, że omal nie wpadł na przydrożne drzewo.

Stolica Elphame różniła się od reszty krainy, a na pewno od ludzkich miast. Przede wszystkim tutaj było niezwykle spokojnie. W pobliżu pałacu nie znajdowały się żadne inne budowle, fery też były nieliczne. Te mijane po drodze ubrane były bardzo uroczyście, w kolorowe, bogato zdobione tuniki. Większość z nich miała jasną skórę i kręcone czarne włosy sięgające ramion. Ich podwójne, delikatne kremowe skrzydła świadczyły o królewskim pochodzeniu.

Jednak tym, co najbardziej wyróżniało fery ze stolicy, były ich twarze: błogie miny, lekko przymknięte oczy i puste spojrzenia, zupełnie jakby ich właściciele byli pogrążeni w półśnie. Mieszkańcy stolicy wydawali się lekko otumanieni, a przy tym wyjątkowo szczęśliwi.

Jonathan wyraźnie dziwił się zachowaniu ferów, choć reszta Strażników nie zwracała na nie większej uwagi. Fion i Hiacinthus doskonale je jednak rozumieli. Całe Elphame wypełniał bowiem zapach, który – dzięki mocy *Czucia*, sile magicznego instynktu, jaką posiadały wszystkie fery – docierał do każdego mieszkańca krainy. Sięgał daleko poza jej granice i towarzyszył ferom wszędzie, gdziekolwiek się wybrały, pozwalając im zawsze znaleźć drogę do domu. Nie odczuwały go samymi nozdrzami; przypominał raczej wewnętrzne pragnienie, by przebywać w pobliżu źródła. O ile jednak z dala od stolicy wydawał się subtelny, tutaj odurzał niczym narkotyk. Fionowi i Hiacinthusowi zdawało się, że tajemny zapach opowiadał im historię o początku ich rodu, składał obietnicę ciągłego życia.

– Cóż – odezwał się Jonathan – nie dziwi mnie, że udało wam się przejść próby tak szybko. Wasze wydawały się o wiele łatwiejsze od mojej. Gdy tylko

wszedłem do sali, otoczył mnie ogień. Próbowałem się przed nim bronić, ale na nic. Prawie spanikowałem, bo nie mogłem zapanować nad swoim żywiołem, co dotąd nigdy mi się nie zdarzyło.

– *Oko cyklonu, łagodny, niewzruszony punkt na wzburzonej powierzchni oceanu* – wyrecytował Fion. To były te słowa, których nauczył kiedyś Kate. – Oto klucz do całej magii: zachować spokój nawet wtedy, kiedy wydaje ci się, że wszystko idzie bardzo źle.

Byli już coraz bliżej pałacu. Budowla wznosiła się ku niebu siedmioma spiczastymi wieżami różnej wysokości, które stanowiły coś na wzór korony. Do pałacu prowadziła półokrągła Brama, przypominająca żywą tęczę. Tuż przed nią czekali strażnicy. Mieli na sobie seledynowe tuniki i dzierżyli kostury zwieńczone szmaragdowymi klejnotami.

– Myślicie, że nas przepuszczą? – spytała Lilian.

– Oby tylko nie oczekiwali, że odpowiemy na jakieś zagadki – burknął Darrin.
– Boli mnie już od tego głowa.

Jako pierwszy zaczął wspinać się po schodach; reszta natychmiast ruszyła za nim. Strażnicy zwrócili na nich uwagę dopiero wtedy, gdy przekroczyli ostatni stopień. Wtedy natychmiast skrzyżowali kostury. Ze szmaragdowych klejnotów wydobyły się wstęgi energii, które zaczęły splatać się ze sobą, a potem spoiły w jedno i otoczyły przybyszów.

Żadne z nich nie miało pojęcia, co właściwie się dzieje. Po chwili w powietrzu zaczęły pojawiać się twarze osób, których spotkali po drodze, od barmana, przez strażniczki rubieży, fantomy w zaklętym zamku, Kleftis, smoka, aż po Calcusa. Każda z twarzy wiązała się z inną z Bram, więc wyglądało na to, że w ten sposób strażnicy sprawdzali, czy wędrowcy przeszli przez nie wszystkie. Po chwili bez słowa zabrali z powrotem swoje kostury. Wrota do Kryształowego Pałacu, ostatnia Brama, otwarły się i wędrowcy dotarli w końcu do celu swojej wyprawy, choć – jak sądzili – prawdopodobnie to dopiero miał być początek.

Weszli do niezwykle zatłoczonego holu. Zewsząd dobiegały ich rozradowane głosy ferów, śmiejących się i rozmawiających. Nikt nie zwrócił uwagi na przybyszów. Kilka ferów, które posłały im przelotne spojrzenia, najwyraźniej nie dostrzegły w nich niczego interesującego, bo szybko wróciły do swoich zajęć. Jonathan szukał wzrokiem Kate, jednak w tym tłumie odnalezienie kogokolwiek wydawało się niemożliwe.

Sam hol był ogromny. Na środku stała kamienna fontanna w kształcie uskrzydłonej syreny, której towarzyszyły cztery trytony. Fery podchodziły do fontanny i nalewały z niej napoju do srebrnych kielichów.

Oprócz tego w pomieszczeniu znajdował się szereg owalnych kolumn. Zostały ozdobione wykaligrafowanymi słowami z języka ferów. Towarzyszące im rysunki zdawały się poruszać, jakby moc zawarta w literach była zdolna je ożywić. Wokół kolumn, aż do wysokiego sufitu, pięły się jasnozielone rośliny. Część kolumn otoczona była też lśniącymi schodami, prowadzącymi do ukrytych w górze pomieszczeń. W głębi holu znajdowało się podwyższenie, nad którym miarowo przesuwiał się wachlarz wykonany z tysięcy długich, złotych piór.

Darrin od razu skierował się w tamtą stronę.

– Król Enlil powinien mnie pamiętać – oznajmił.

Do podwyższenia prowadziły wysokie stopnie, również ozdobione rysunkami i napisami. Gdy wędrowcy skierowali się w ich stronę, nikt ich już nie zatrzymywał. Kilka kroków od złoczonego tronu dostrzegli fera w długiej fioletowej szacie, obok którego stał inny, mniejszy – nie ulegało wątpliwości, że to właśnie on był królem.

Zdawało się, że jego szata została wydziergana z samego nocnego nieba. Zdobiły ją malunki gwiazd i księżycy, które połyskiwały, podobnie jak liczne bransolety na dłoniach władcy. Na jego głowie spoczywała korona w kształcie pałacu. Skóra monarchy miała seledynowy odcień, a jego skrzydła, wielkie i purpurowe, poruszały się, gdy rozmawiał ze swoim poddanym.

– Dajcie mi mówić – szepnął Darrin, czym natychmiast zwrócił uwagę króla. Ten przyglądał mu się przez chwilę, jakby pewien, że go zna, tylko nie mogąc sobie przypomnieć skąd.

Darrin uklonił się, przyciskając pięść do serca. Reszta zrobiła to samo.

– Czy to nie syn Słonecznego Cesarza? – spytał radośnie król Enlil, po czym podszedł do Darrina i uściśnął go. Dopiero po krótkiej wymianie uprzejmości i pytań o zdrowie ojca pozwolił przedstawić sobie pozostałych. Objął każdego, co Lilian uznała za niezwykle doświadczenie. W aurze króla było coś potężnego, a zarazem serdecznego. – Co was sprowadza? – spytał Enlil.

Teraz dostrzegli, że jego oczy były równie purpurowe jak skrzydła.

– Z pewnością nie na próżno przechodziliście przez Siedem Bram? I dlaczego w ogóle to zrobiliście? Przecież dobrze wiesz, że jako syn władcy słońca nie musisz tego robić i możesz zabrać ze sobą, kogo tylko zdołasz. No, chyba tylko całe wojsko wywołałoby pewną... konsternację! – Król się roześmiał.

– To długa historia – odparł Darrin – a najważniejsze jest w niej to, że... – Spojrzał na fera towarzyszącego Enlilowi, a ten, nie czekając na polecenie, natychmiast się oddalił. – Najważniejsze jest to, że zniknęła księżęca narzeczona – dokończył.

Krół zmarszczył czoło.

– To moja siostra – podjął Fion. – Nazywa się Fione i miała wyjść za księcia Tammuza podczas święta Beltane. Została porwana.

Enlil wyglądał na tylko nieznacznie poruszonego, co wprawiło wszystkich w zakłopotanie. Zdziwili się szczególnie, gdy król zamknął oczy i wyszeptał coś, a potem machnął na nich ręką.

– Za mną – nakazał.

Ruszył w dół i skręcił w długi, rozjaśniony korytarz. W głębi ścian tańczyły jakieś cienie, wyglądające jak żywe istoty. Odwracały się, najwyraźniej zaciekawione przybyszami. Enlil szedł przed siebie, a gwar z holu tracił na sile.

– Wezwałem Tammuza – oznajmił. – Zaraz powinien się tu zjawić. Wybaczcie, nie znam wszystkich księżęcych narzeczonych. Mamy tu tak wiele dzieci... Sądzę, że Tammuz będzie wiedział więcej. Teraz idziemy do królowej. Niemożliwe, by omawiać podobne sprawy bez jej obecności.

Lilian posłała Tomowi niepewne spojrzenie.

– Co o tym sądzisz? – spytała go w myślach. – Uważasz, że powinniśmy być z nimi całkiem szczerzy, nawet jeśli Kate wolą zachować naszą tożsamość w tajemnicy?

– Nie wiem – odparł Tom. – Cóż, jesteśmy w Kryształowym Pałacu. Rodzina królewska jest niezwykle ważna, ale sam kamień i nasza misja wydają mi się istotniejsze. Nie powinniśmy oszukiwać, ale nie musimy mówić o wszystkim.

– Obawiam się, że przed królową Elphame i tak nic się nie ukryje. Jeśli tylko będzie chciała coś wiedzieć... Ale wtedy to nie będzie już nasz wybór.

Po pewnym czasie dołączył do nich książę Tammuz. Fer o ciemnej skórze i skrzydłach jak u ważki bezszelestnie opadł na ziemię. Pierwszy dostrzegł go Jonathan, który miał wrażenie, że oczy księcia przypominają trochę ślepiec modliszki, z tym że były czerwone. Tammuz wydawał się mniej ludzki niż inne fery. Miał dłuższe od nich palce, a jego ręce sięgały niemal kolan. Wzrostem dorównywał Hiacynthusowi.

Książę odwzajemnił spojrzenie Jonathana, jednak niespecjalnie się nim zainteresował. Tylko przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu i z pewną wyższością, a potem odezwał się wysokim głosem:

– Wzywałeś mnie, ojczy?

Dopiero wtedy cała reszta zdała sobie sprawę z jego obecności. Enlil, nie odwróciwszy się nawet w stronę syna, odparł:

– Owszem. Uprowadzono twoją narzeczoną.

Lilian rzuciła w stronę księcia ukradkowe spojrzenie, chcąc wy badać jego reakcję. Zdziwiła się, bo choć Tammuz wydał się zaniepokojony, wcale nie wyczuwała u niego strachu o Fione. Z jego miny można było raczej wywnioskować, że oburza go fakt, iż ktoś ośmielił się sięgnąć po jego własność. Być może jednak książę został nauczony, by przedkładać sprawę Elphame nad własne... lub też potrafił dobrze chronić swoją aurę.

– Kto miałby ją porwać? – spytał książę.

– Tego musimy się dowiedzieć – oznajmił Enlil. – Z pewnością porywacze wiedzieli, kim miała się stać.

– A więc to sprawa polityczna! – zawołał Tammuz, dopiero wtedy okazując emocje.

– Możliwe – odparł Tom, sprawiając, że książę natychmiast na niego spojrział.

– Podejrzewamy, że Fione została uprowadzona do Tir-na-Nog.

Enlil syknął.

– Ściany tego pałacu trzęsą się z obrzydzenia, słysząc tę wstrętną nazwę – warknął.

– Zastanawiam się, czy... – zaczął Jonathan. Wcześniej, podobnie jak pozostali, starał się wcale nie odzywać, jednak czuł, że nie będzie w stanie dłużej zwlekać ze swoim pytaniem. Teraz było dla niego o wiele ważniejsze niż sprawa Fione i irytował się, że nikt jeszcze go nie zadał, zupełnie jakby wcale im nie zależało. – W drodze towarzyszyły nam jeszcze dwie wiedźmy mniej więcej w naszym wieku, czarnowłosa i blondynka. Byliśmy przekonani, że dotarły do

pałacu przed nami, ale nigdzie ich nie widzieliśmy.

– Dwie wiedźmy? – powtórzył król. – Nikogo przed wami tu nie było, choć nie jestem tego absolutnie pewny. Nie wszyscy odwiedzający pałac od razu natrafiają na mnie. Cóż, miejmy nadzieję, że zaraz wszystkiego się dowiemy. Tylko Królowa Matka może nam pomóc.

Dotarli do glinianych schodów, które zaczęły prowadzić ich w dół. Teraz do korytarza dochodziło już coraz mniej światła, aż wreszcie blask zgasł całkowicie, a cienie znikły. Cisza została zastąpiona przez dziwne bzyczenie, jakby pszczoł. Robiło się też coraz zimniej i wilgotniej, a ciemną przestrzeń rozświetlały jedynie nieliczne, niewielkie świece. Piękno budowli szybko stało się niewyraźnym wspomnieniem, w podziemiach pałac stawał się zupełnie innym, mrocznym miejscem.

– Mam nadzieję, że wasi ferzy przyjaciele jakoś to zniosą. – Enlil się zaśmiał, patrząc z rozbawieniem na Fiona i Hiacintusa. W nikłym blasku umieszczonych w ścianach świec Jonathan dostrzegł, że obaj ślaniali się na nogach, człapiąc po schodach za resztą.

– Co z nimi? – spytał.

Odpowiedź była krótka i udzielił mu jej Tom:

– Zapach królowej.

– Otóż to – podchwycił król. – A oni nie przywykli do bycia tak blisko jego źródła. Widzicie, trudno wytłumaczyć, o co chodzi z zapachem naszego królestwa, jeśli się go nie czuje. Jest nęcący, kojarzy się z domem, a naszym domem jest królowa.

Mimo że ludzie nie wyczuwali woni Elphame, Tom i Lilian byli przekonani, że czują w powietrzu jakiś znajomy, słodki zapach. Długo zastanawiali się, czym był, aż wreszcie uświadomili to sobie w tym samym czasie. Posłali sobie myśli tak gwałtownie, że rozbrzmiały w ich głowach zupełnie jak krzyk.

– *Zielony dar!*

– *Ale dlaczego ktoś miałby używać tu tak silnego zioła odurzającego?* – zastanawiała się Lilian.

– *Sam chciałybym to wiedzieć* – odparł Tom – *i muszę przyznać, że wydaje mi się to dość podejrzane...*

Im głębiej się zapuszczali, tym korytarze spowijały większe ciemności. W końcu zapadł całkowity mrok – Enlil i Tammuz zamachali wtedy skrzydłami, które natychmiast rozbłysły delikatnym światłem.

W końcu stanęli przed potężnymi, okrągłymi drzwiami. Zdobiał je symbol koła o ośmiu szprychach, powykręcanych niczym węże. Jonathan od razu przypomniał sobie o zagadce strażniczek i zaczął zastanawiać się, czy już wtedy powinni byli upatrywać w niej głębszego sensu. Obawiał się, że mogli przeoczyć wiele innych wskazówek.

Król czubkiem palca delikatnie dotknął środka koła. Szprychy, poruszone tym dotykiem, zaczęły falować, a koło kręcić się. Wirowało tak przez kilka chwil, aż wreszcie stanęło i drzwi się otworzyły.

Ze środka od razu wydostała się silna woń ziół, ziemi i wilgoci. Gdy Enlil

wprowadził przybyszów do pomieszczenia, w pierwszej chwili dochodziły do nich jedynie bodźce węchowe i słuchowe. Irytujący dźwięk narastał, jakby wędrowcy dotarli do samego serca roju. Gdy ich oczy przyzwyczyły się do mroku, w końcu dostrzegli, gdzie się znaleźli.

Pomieszczenie było jeszcze większe niż pałacowy hol, jednak zupełnie od niego różne. Tutaj wszystko wydawało się jakby utkane z cienia, kształty poruszały się i wyłaniały z wszystkich zakamarków, ustępując sobie nawzajem, łącząc się i rozdzielając. Miękka, gliniana podłoga pachniała jak wilgotna ziemia po deszczu. Z sufitu zwisały korzenie drzew i roślin, pokryte mazią podobną do żywicy. W powietrzu unosiły się fery o świecących skrzydłach, trzymając w dłoniach spore kokony, owinięte czymś, co wyglądało na pajęczynę. Podlatywały z nimi do wyrw w ciemnych ścianach i składały je w nich. Tom domyślił się, że w żyłach mieszkających tu ferów płynęła stara krew ich gatunku. Sądząc po ich anatomii – długich rękach, przezroczystych skrzydłach i owalnych, dużych czaszkach – proces zmian, który dotyczył wszystkich istot Jaaru, działał na zgromadzone tu fery znacznie wolniej.

Wyjaśniło się też źródło pszczelich odgłosów. Wydobywały się one z ust innych ferów, które siedziały na ziemi, pod korzeniami roślin, i wciąż dosypywały ziół do rozpalonych obok kadzielnic. Kołysały się przy tym w przód i do tyłu z lekko przymkniętymi oczami.

– To jest... hm... – zaczęła Lilian, sądząc, że powinni jakoś skomentować to, co zobaczyli. Nie była jednak pewna, co czuła. Zachwył? Może rodzaj strachu?

Jonathan zakaszał, gdy opary z kadzidła wdarły się w jego nozdrza. Przez chwilę kręciło mu się od nich w głowie.

Tom żałował, że jego magiczne okulary zniknęły w domu Kleftis – kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miał możliwość znaleźć się w samym sercu Elphame i dokładnie je zbadać. Jedynie Darrin wydawał się nieszczególnie zaskoczony widokiem, za to Fion i Hiacinthus trzymali się blisko siebie, starając się nie upaść.

– Chodźcie dalej – powiedział Enlil. – Przedstawię wam królową.

Przeszli pomiędzy kolumnami utworzonymi z posplatanych korzeni. Mimo że odgłosy ferów wciąż były słyszalne, tutaj wydawały się odległe. Obecność królowej Elphame, której wciąż jeszcze nie widzieli, ale którą wyczuwali w magiczny sposób, sprawiała, że na rzeczywistość opadał woal odgradzający doczesność od tajemniczych, wiecznych sił. Teraz nawet Tom zrozumiał, że choćby nigdy nie czytał o królowej ferów – choćby nigdy nawet o niej nie usłyszał – wywołałaby w nim takie same uczucia jak teraz.

Czuli się, jakby z każdym krokiem pozostawiali coś, co ze sobą przynieśli. Swoje wyobrażenia, domysły, nawet ciekawość – wszystko, tak aby ujrzeć królową z czystym umysłem. Pierwszym co zobaczyli, przechodząc obok ostatniej z kolumn, były włosy władczyni. Unosiły się w powietrzu niczym kłęby dymu, a ich kosmyki wiły się jak latające węże. Sama królowa stała oparta o ścianę. Nie miała żadnych ozdób ani korony, jej nagie ciało było grafitowe, a zamknięte powieki wywoływały wrażenie, że spała. Blask bijący z jej skrzydeł

spowijał całą jej sylwetkę. Delikatne i młodzieńcze rysy jej twarzy nie współgrały ze spojrzeniem, jakie posłała przybyszom, gdy – wyczuwszy ich obecność – otworzyła oczy. Było to spojrzenie kogoś wiekowego i mądrego; kogoś, kto nie do końca przebywał w tym miejscu lub też naraz był obecny w każdej części świata.

– Najmilsza – odezwał się Enlil, ukłoniwszy się przed królową – przybyliśmy prosić cię o radę.

Władczyni poruszyła się i ze wzrokiem wbitym przed siebie podeszła do Lilian. Przejechała dłonią po jej policzku, co ta odczuła jako najbardziej niezwykły, elektryzujący dotyk, jakiego kiedykolwiek doświadczyła, zupełnie jakby królowa była ucieleśnieniem magii.

– Jestem Ereshkigal – przemówiła władczyni. – Córka Niebios i Królowa Ziemi.

Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć. Wszystkie, nawet największe problemy wydały im się zbyt błahe, by zwrócić się z nimi do królowej. Mimo to król opowiedział jej o wszystkim, czego dowiedział się od przybyszów. Władczyni wysłuchiwała go i odparła tajemniczo:

– Ścieżki życia rozwijają się przed nami niczym spiralny labirynt. Na muszli ślimaka wieczność prowadzi swą powolną wędrówkę.

Strażnicy spojrzeli po sobie, nie starając się nawet ukryć zawodu niezrozumiałą odpowiedzią. Na Fiona i Hiacynthusa nikt już nie patrzył.

Królowa znów oparła się o ścianę, jej włosy wzbiły się w powietrze i oplotły kosmykami kolumny. Z uniesionymi dłońmi i zamkniętymi oczami, Ereshkigal zaczęła głęboko oddychać, a z jej ust popłynęły kolejne słowa:

– Będąc tam, jest się zarazem i tutaj, bo jedno jest serce krainy ferów. Rozłąka wciąż przeszywa je bólem, ale radość zjednoczenia czeka na swą kolej. To, co zostało podzielone, gdy wielu odłączyło się od wielu, może zostać połączone, gdy jedno splecie się z jednym.

Niepewni, czy to kolejna przepowiednia, czy raczej zagadka wymyślona przez królową, Strażnicy czekali. Woleli o nic nie dopytywać, domyślając się, że i tak nie usłyszą niczego, co rozjaśniłoby ich wątpliwości, przynajmniej nie z ust królowej.

– A nasze przyjaciółki? – Jonathan spojrział na Enlila, który natychmiast zapytał Ereshkigal o Kate i Dianę. Królowa odparła tylko:

– Niedługo znajdą się tam, ale będąc tam, są również tutaj.

Jonathan zacisnął pięści. Kolejna zagadkowa odpowiedź oznaczała, że cała ich podróż do Kryształowego Pałacu była zupełnie bezsensowna.

Władczyni nie powiedziała już nic więcej. Spojrzała tylko na króla i skinęła na niego palcem. Enlil zrzucił z siebie szatę i nago wzbił się w powietrze, po czym – oparłszy się rękami i nogami o ścianę – przyssał swoje usta do ust Ereshkigal i zaczął energicznie machać skrzydłami. Spletli się ze sobą, zapominając o wszystkim innym.

– Dobra, możemy już iść – oświadczył zdenerwowany Darrin. Lilian była zupełnie innego zdania.

– Niby dlaczego? – oburzyła się. Musiała jednak dać za wygraną i pozwolić się

odciągnąć od pary królewskiej, bo wszyscy ruszali już do wyjścia. Jonathan podpiął Fiona, a Tom Hiacintusa.

Książę Tammuz opuścił pomieszczenie wraz z nimi.

– Rodzice będą teraz... zajęci – oznajmił. – Chodźcie za mną. Wskażę wam drogę.

– Drogę? – odparł Darrin.

– Chcecie odnaleźć swoje przyjaciółki, prawda? A mnie zależy na mojej narzeczonej, sam jednak nie mogę ruszyć do Tir-na-Nog. Bo przecież tam właśnie się wybieracie. – Książę nie ruszył ku schodom, ale skręcił w przeciwną stronę. – Przejście, które wam pokażę, jest tajemne – tłumaczył po drodze. – Nikt nie powinien się o nim dowiedzieć, jednak okoliczności zmuszają mnie do nagięcia zasad. Tylko rodziny królewskie Elphame i Tir-na-Nog wiedzą o jego istnieniu, więc nikt nie powinien was niepokoić, gdy będziecie zmierzać w stronę Cienistej Krainy.

– Zaraz – podchwycił Tom – a więc chcesz powiedzieć, że Elphame i Tir-na-Nog utrzymują ze sobą kontakt?

– Nic więcej nie powiem na ten temat – uciął Tammuz. – Starczy wam wiedzieć, że ścieżka istnieje i że jest bezpieczna.

– Ale co robić potem? – dopytywała Lilian. – Jeśli dobrze zrozumiałam słowa królowej, mamy dążyć do połączenia.

Jonathan prychnął.

– A więc zrozumiałaś je? – spytał. – Ja za to mam wrażenie, że straciliśmy czas.

Książę puścił jego słowa mimo uszu. Prowadził ich dalej, aż doszli do kolejnych schodów, pokrytych licznymi pajęczynami.

– Rodzice często mówią zagadkami. Czasem niewiele rozumieją, są oderwani od świata, myślą, że stary wiek jeszcze się nie skończył i że nasze prawa nie ulegają żadnym zmianom. Mam wrażenie, że nie rozumieją polityki i wszystko tłumaczą magią. A przecież nie może dojść do żadnego połączenia naszego królestwa ze zdrajcami z Tir-na-Nog! – Po ostatnich słowach książę splunął z pogardą.

U szczytu schodów czekało na nich wielkie, okrągłe okno, przez które prześwitywały promienie słońca. Strażnikom zdawało się teraz, że przeszli kolejny labirynt i wychodzą na światło dnia po raz pierwszy od długiego, długiego czasu. Fion i Hiacintus powoli zaczęli odzyskiwać przytomność.

Książę otworzył okno i wyprowadził drużynę na długą ścieżkę wyłożoną pomarańczowymi, gdzieniegdzie wytartymi już płytami.

– Nie wolno wam zbaczać z tej ścieżki. Podążając nią, szybko dotrzecie do Cienistej Krainy, a tam postaracie się uwolnić Fione. Jeśli wam się nie uda, faktycznie dojdzie do spotkania krain, ale na pewno nie nazaczy go pojednanie.

CZEŚĆ TRZECIA
TIR-NA-NOG



„Oddaj mi dziecię. Walczyłam z niebywałymi zagrożeniami i niezliczonymi trudnościami, przemierzając tę drogę do zamku nad Miastem Goblinów, by odebrać dziecię, które porwaliście. Wola moja dorównuje waszej, a moje królestwo jest równie wielkie, zatem nie macie nade mną mocy”.

Cytat z filmu *Labirynt* w reż. Jima Hensona



Rozdział 19

Cudzymi oczami

Oprócz tętentu kopyt i stukotu kół Kate nie słyszała już nic więcej. Wiedziała, że zamknięto ją w powozie, ale niczego nie była w stanie zobaczyć. Jej oczy i usta zostały zakryte.

Wszystko wydarzyło się tak nagle, że trudno było powiedzieć, jak doszło do porwania. Kate i Diana stały po prostu na wzgórzu, patrząc na wznoszący się po przeciwnej stronie pałac, a potem zarzucono im coś na głowy i od razu straciły przytomność. Gdy Kate się ocknęła, nie pamiętała już niczego więcej. Początkowo myślała, że to Diana jest winna całemu zajściu – niemal od samego początku ich wyprawy zachowywała się przecież dziwnie i chyba nikogo nie zdziwiłaby jej zdrada. Gdy jednak Kate wyczuła obecność Diany obok siebie, zaczęła po części żałować, że te podejrzenia okazały się nietrafne. Jeśli już miała znaleźć się w tarapatkach, dlaczego to właśnie ona musiała być obok?

Ocena tego, jak długą już jadą, była niemożliwa. Nie tylko dlatego, że Kate obudziła się, będąc już w powozie, ale również dlatego, że teraz, gdy była już przytomna, czas niemiłosiernie się dłużył. Droga była wyboista, więc powóz wciąż podskakiwał, a one wraz z nim.

Diana wciąż pojękiwała. Zdawało się, że gryzła materiał kneblujący jej usta i łkała ze złości. Kate miała nadzieję, że choć jej udało się dostrzec, kto je zaatakował, a jeśli nie, to gdy już zobaczą swoich wrogów – a przecież w końcu do tego dojdzie – będzie wiedziała, jak z nimi walczyć. A może i teraz próbowała wykorzystać jakoś swoją moc? Nie wyglądało jednak na to, by istniała taka możliwość. Więzy były najpewniej zaklęte, co dało się wyczuć po specyficznym,

niemal klaustrofobicznym odczuciu blokady mocy – teraz, gdy Kate zdążyła już rozwinąć się lepiej jako wiedźma, miała problem ze zniesieniem chwil, gdy jej magia z jakiegoś powodu nie działała.

Pozostawał jeszcze kamień... ale w tych okolicznościach trudno było jej się na nim skupić. Poza tym wolała zostawić go jako ostatnią możliwość, szczerze wierząc, że jeszcze nie przyszły jej do głowy wszystkie pozostałe.

Po pewnym czasie droga zrobiła się mniej wyboista, ale bardziej grząska. W nozdrza Kate uderzył błotnisty zapach. Porywacze zwolnili i zaczęli rozmawiać. Do uszu Kate dochodziły teraz ich niewyraźne słowa. Kojarzyła ten język, często już go słyszała, jednak nie w tej, wydawałoby się, jeszcze twardszej odmianie. Tirnański.

Od samego początku można było spodziewać się, że to właśnie fery z Tir-na-Nog stały za porwaniem, ale teraz, gdy Kate miała już co do tego pewność, przyjęła to z pewnego rodzaju ulgą. Wciąż zmierzała do celu, coraz bliżej prawdy o zniknięciu Fione.

Gdy porywacze rozmawiali, Diana przestała wierzczać i jęczeć, jakby próbowała podsłuchiwać. Dzięki temu i Kate słyszała lepiej. Zewsząd otaczały ich odgłosy lasu. Znała je. Zdziwiła się, że jest w stanie rozpoznać dźwięki wydawane przez zwierzęta Lasu Wielu, a pod zawiązanymi oczami pojawiały się ich obrazy. Jednak atmosfera w tej części lasu była inna od tej, którą Kate już знаła. Wydawała się cięższa, w pewien sposób przytłaczająca, jakby należała do bardzo starego i groźnego ducha.

Nagle wszystkie odgłosy ucichły. Zjeżdżali teraz w dół, a ziemisty zapach stawał się coraz bardziej intensywny. Powietrze wypełnił chłód. Skręcili jeszcze kilka razy, aż wreszcie porywacze zatrzymali pojazd i zeskoczyli z niego. Potem stało się to, na co Kate tak długo czekała – i czego dopiero teraz zaczęła naprawdę się bać. Drzwi powozu zostały otwarte.

– Zaraz rozwiążemy wam nogi i pójdziecie za nami – powiedział ktoś łamaną angielszczyzną. – Jeśli któraś z was wykona fałszywy ruch, zostaniecie ugodzone silnymi zaklęciami.

Kate nie do końca się tego spodziewała. Sądziła, że porywacze będą drwić, szydzić, jednak ton osoby, która do nich przemawiała, wydawał się bardzo rzeczowy.

Napastnicy weszli do powozu i po chwili Kate poczuła, jak ktoś rozwiązuje jej nogi. Ręce nadal pozostawały jednak skrępowane, a na oczach wciąż miała przepaskę.

Diana wydawała się teraz spokojna. Wprawdzie sądząc po odgłosach, jakie się rozległy, próbowała pomstować na porywaczy, jednak nie szarpała się. Ktoś pomógł Kate wstać. Poczuła na plecach jego dłonie, gdy zaczął popychać ją przed siebie, wydając przy tym komendy:

– Jeden krok, jeszcze dwa, jeszcze jeden... Stój, teraz będzie stopień w dół, powoli... kolejny... Zatrzymaj się.

Tym sposobem wyprowadził ją z powozu. Stojąc na miękkiej ziemi, czekała, aż porywacze wyprowadzą również Dianę. Ona stawiała kroki bardziej gwałtownie

i zdawało się, że porywacze musieli ją przytrzymać, bo omal nie upadła. Po chwili Kate znów poczuła na plecach dłoń porywacza, który zaczął prowadzić ją dalej.

Droga była długa i kręta. Wyglądało na to, że schodzili coraz głębiej. Porywacze prawie wcale się nie odzywali, nie licząc krótkich poleceń typu „Podnieś wyżej nogę” lub „Zniź głowę”. Ze sobą rozmawiali w języku ferów. W pewnym momencie Tirnanie przystanęli, każąc czekać. Rozległ się metaliczny odgłos, co zapewne oznaczało, że otwarte zostało jakieś przejście.

Gdy na nowo podjęli wędrówkę, droga nie była już tak miękka; teraz najwyraźniej szli po kamiennych płytach. Wciąż otwierały się przed nimi kolejne przejścia, aż w końcu porywacze kazali Kate i Dianie znowu się zatrzymać i obrócić w lewo. Potem rozległ się dźwięk przekręcanego klucza – odbił się tak potężnym echem, że Kate była przekonana, że zarówno klucz, jak i drzwi były nad wyraz masywne.

– Zaraz rozwiążemy wam ręce – odezwał się znów jeden z porywaczy. – Gdy to zrobimy, pójdziecie przed siebie. Przepaski z oczu będzie wolno wam zdjąć dopiero, gdy usłyszycie odgłos zamykania drzwi. Jeśli macie zamiar spróbować jakichś sztuczek, pamiętajcie o naszych zakłęciach...

Nagle sznury oplatające ich ręce opadły. Kate wysunęła nieznacznie stopę, by wybadać grunt. Nim jednak zdążyła go ocenić, porywacze popchnęli ją i Dianę, sprawiając, że runęły na siebie. Potem drzwi zostały zamknięte.

Natychmiast zdjęły z oczu przepaski i podniosły się. Kate na pewno nie spodziewała się takiego widoku. Przez całą drogę miała w głowie ciasną, brudną celę, jednak pomieszczenie, w którym się znalazły, ani trochę nie przypominało więzienia. Wprawdzie metalowe drzwi były dobrze zamknięte i brakowało tu okien, ale sama komnata była przestronna i dobrze rozświetlona licznymi stojącymi lampami. Wydawała się jednak pusta. Poza lampami wypełnionymi magiczną energią, dwoma łózkami zasłanymi pachnącą pościelą i dużym okrągłym stołem nie było tu niczego więcej.

– Gdzie oni nas zamknęli? – spytała Kate, mając nikłą nadzieję, że Diana, jako bardziej doświadczona, rozpozna to miejsce. Ona jednak wydawała się równie zaskoczona zastanym widokiem.

– Bardziej interesuje mnie, *po co* nas tutaj zamknęli – odparła. – Mam pewność tylko co do tego, że jesteśmy w Tir-na-Nog.

– Zrozumiałaś coś ze słów porywaczy?

– Tylko pojedyncze słowa. I wcale nie brzmiały najlepiej. Mówili coś o swojej królowej i jakimś spotkaniu... rodzin? Coś w tym stylu. Kilka razy wspomnieli też o młodej ferini z Elphame, więc musiało chodzić im o Fione.

– Ale co dokładnie powiedzieli?

– Nie wiem. Myślisz, że znam feriański, zwłaszcza w jego tirnańskiej odmianie?! – zachnęła się Diana, jakby sądziła, że Kate próbuje zaatakować ją samym pytaniem.

– Dobra, w porządku! Musimy pomyśleć, jak się stąd uwolnić – odparła Kate. Podeszła do metalowych drzwi i uważnie się im przyjrzała. Były ciężkie

i pozbawione jakiegokolwiek klamki. Otwarcie ich wydawało się niemożliwe, a na magię z pewnością były odporne. Ale czy magia, jaką potrafiły posłużyć się Strażniczki Żywiołów, również by na nie nie podziałała?

– O czym myślisz? – spytała Diana z politowaniem. – Chyba nie sądzisz, że uda się nam je wyważyć, co?

– *Nam* nie, ale może gdybyśmy spróbowały połączyć swoje siły...

Na wypadek gdyby były podsłuchiwane, Kate wolała uniknąć mówienia wprost o kamieniach. Diana od razu domyśliła się jednak, o co chodzi. Trochę od niechcenia przyłożyła dłonie do podłogi i przez dłuższą chwilę wyglądała, jakby zmuszała się do ogromnego wysiłku. Napięła mięśnie, a na jej czole pojawił się pot.

– To na nic – oznajmiła wreszcie, gwałtownie wypuszczając z siebie powietrze. – Alba ta moc tutaj nie działa albo po prostu nie wiem jeszcze, jak dokładnie jej użyć. Nie działa na rozkaz. Poza tym sądzę, że potrzebuje czegoś w stylu... regeneracji. Ujawniła się po dłuższym okresie braku aktywności magicznej, no i była naprawdę wzburzona. Lepiej ty użyj swojej mocy.

– Zrobię to, kiedy będzie trzeba – zapewniła Kate. – Na razie myślę o innych rozwiązaniach.

Diana prychnęła.

– Niby jakich? Nic nam teraz nie pomoże. Jak się jest wiedźmą, to trzeba mieć oczy z tyłu głowy. Teraz myśleniem już nic nie wskóramy. Zastanawiam się tylko, kiedy po nas przyjdą i zabiją.

– Byłoby miło, gdybyś się na chwilę zamknęła! – warknęła Kate.

– Słuchaj no! – krzyknęła Diana. – Nie rób z siebie takiej mądrali! To nie pierwszy raz, kiedy dałaś się złapać w pułapkę!

Kate obrzuciła ją pogardliwym wzrokiem.

– I kto to mówi? Jesteś obwieszona ze wszystkich stron amuletami, masz własnego chowańca, a i tak ciągle pakujesz się w tarapaty.

Na twarzy Diany pojawił się wyraz, którego znaczenie trudno było odgadnąć. Kate nie była pewna, czy zaraz usłyszy ciężką tyradę na swój temat z bonusowymi przekleństwami, czy raczej jej towarzyszka niedoli zamilknie obrażona. Ta druga możliwość, przynajmniej krótkofalowo, była bardziej pożądana. Jednak gdy Diana ponownie otworzyła usta, zdawało się, że nagle zapomniała o całej złości. Ba, nawet pochwaliła Kate, co zdarzyło jej się po raz pierwszy w życiu.

No, *prawie* pochwaliła.

– Chowaniec? – powtórzyła wyraźnie zaskoczona. – To jest myśl!

Sięgnęła po swój sygnet, otworzyła go, a ze środka natychmiast wychylił się pyszczek Scire.

– Możemy go użyć? – zdziwiła się Kate.

– Jasne. To znaczy, *ja* mogę to zrobić, bo wiem jak. Wbrew temu, co sądzi wiele wiedźm, chowańce to nie żywe gadzety. Są częścią starej i przydatnej tradycji.

Kate patrzyła na Scire z powątpiewaniem. Owszem, był całkiem sympatyczny

i potrafił się zjeżyć, gdy Dianie coś groziło. Nie przypominała sobie jednak, by kiedykolwiek faktycznie jej w czymś pomógł. Zwykle po prostu kręcił się w pobliżu.

Diana wyglądała jednak na całkiem przekonaną co do jego mocy. Pozwoliła mu wdrapać się na swoją rękę, a gdy usadowił się na ramieniu, szepnęła mu coś do ucha. Scire nastroszył uszy, zbiegł z ręki Diany i pomknął w stronę drzwi. Przez chwilę węszył w ich pobliżu, a potem zamienił się w czystą energię i przecisnął pod nimi.

– Udało się! – ucieszyła się Diana.

– Co się udało? Jak on nam pomoże?

– Rozejrzy się po okolicy, a ja zobaczę ją jego oczami. To bardzo skomplikowana magia, więc siedź cicho, gdy będę się nią zajmować.

Diana usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, natychmiast brudząc zabłoconymi butami idealnie czystą pościel, po czym zamknęła oczy. Kate wpatrywała się w nią z oczekiwaniem. Chwilę trwało, nim Diana dostroiła się do Scire, a potem zaczęła mówić:

– Jest dość ciemno, to jakby tunel albo podziemny korytarz... Na pewno łatwo się tu zgubić, ma dużo odnóg. *Dalej, Scire...* O, doszedł do rozwidlenia. Skręca w lewo... Biegnie. Ach! Prawie wpadł na ścianę... *Powoli, powoli...* Na ścianie widzę jakieś znaki, należą do starego alfabetu ferów.

Widząc, z jaką łatwością Diana porozumiewa się ze Scire, Kate uznała, że będzie musiała zapytać Fiona, jak pozyskać chowańca.

– Dziwne – mówiła dalej Diana. – Dalej korytarz nie ma żadnych odnóg, jest bardzo długi, ale nie prosty, zupełnie jakby się zawijał. Słyszę jakieś odgłosy, czyjeś kroki. Zbliżają się. To fery, ale... *Nie, Scire, nie podchodź tak blisko. Uciekaj, szybciej!*

Nagle ciałem Diany wstrząsnął dreszcz.

– Niech to szlag, złapali go! – krzyknęła, gwałtownie otwierając oczy.

– Tamte fery?! Widziałaś je?!

– Tylko stopy. Zmierzają do nas trzy postacie. Jedna z nich ma świetlistą skórę, to chyba ferini. Palce jej stóp było ozdobione pierścieniami. Po obu jej stronach idą ciemniejsze fery, może to jacyś strażnicy.

Po kilku pełnych napięcia chwilach usłyszały kroki. Kate usiadła na wolnym łóżku.

– Gdyby tak... – Zaczęła rozglądać się za czymś, czym można by zdzielić przybyszów po głowach. Skoro nie mogła użyć magii, musiały jej wystarczyć bardziej konwencjonalne metody. Ale w pokoju nie było niczego, co nadawałoby się do obrony. No, może tylko lampy...

Do komnaty wkroczyły – zgodnie z tym, co mówiła Diana – dwa fery i jedna ferini. Te pierwsze były muskularnie zbudowane, ich skóra przywodziła na myśl dojrzały owoc granatu, zaś długie włosy miały kolor rdzy. Wyglądało na to, że fery były bliźniakami: mieli identyczne spojrzenia, byli równi wzrostem, a ich rozłożyste skrzydła kojarzyły się ze skrzydłami ciem.

Ferini stojąca pomiędzy nimi wyglądała... Cóż, była zjawiskowa i Kate nie

mogła oprzeć się zachwytowi, gdy na nią spojrzała. Mimo że ferini była mniejsza od swoich towarzyszy, od razu dało się rozpoznać, że to ona tu rządziła. Świadczyło o tym jej spojrzenie, dumne i wyniosłe. Wokół jej oczu ciągnęły się jakby wytatuowane wzory. Ciało ferini lśniło blaskiem, przywodzącym na myśl księżyc w pełni, jej włosy również się skrzyły. Wielkie skrzydła były przezroczyste, podobnie jak suknia. Jako pierwszy przykuwał wzrok okrągły zielony wisior zdobiący jej piersi. W rękę dzierżyła złotą różdżkę w kształcie węża.

– Witajcie, Kate Hallander i Diano Williams – przemówiła ferini, patrząc na więźniarki tak, jakby oglądała ledwo co nabyty mebel. – Czy niczego wam nie potrzeba?

Kate i Diana spojrzały po sobie. To powitanie brzmiało niemal jak potwarz. Czyżby ferini próbowała stroić sobie z nich żarty? Przecież nikt nie zwraca się w ten sposób do więźniów.

– Czy wiecie, gdzie jesteście? – padło kolejne pytanie.

– W Tir-na-Nog – odparła nienawistnie Diana. Rozglądała się za Scire, jednak nigdzie go nie było.

– A wiecie, kim ja jestem?

Diana zmierzyła ferinię wzrokiem.

– Thurisaz – wycodziła.

– Thurisaz, królowa Tir-na-Nog? – Kate nie umiała powstrzymać zdumienia.

– A więc i ty o mnie słyszałaś. – Ferini spojrzała w jej stronę.

– Owszem, słyszałam – odparła Kate, mimo że prawdziwa odpowiedź brzmiałaby nieco mniej elegancko. W rzeczywistości przeczytała kiedyś niewielką wzmiankę o królowej Tir-na-Nog w *Małym przewodniku po miejscach mrocznych i niebezpiecznych*.

– Z pewnością zastanawiacie się, dlaczego was tutaj zaprosiłam – zaczęła znów Thurisaz. – Ja znam cel waszej podróży. On również na was czeka.

– Gdzie ona jest? – warknęła Diana. – Gdzie Fione?!

Diana była chyba jedyną osobą, która nigdy nie umiała uznać swojej przegranej, nawet jeśli tylko chwilowej. Thurisaz oczywiście ją zignorowała.

– W tym pomieszczeniu – ciągnęła – będziecie miały wszelkie wygody, jednak nie wolno wam używać magii. To byłoby zbyt cenne. Nie chcę, żebyście stąd uciekły, zanim poznacie całą prawdę.

– I gdzie jest mój chowaniec?! – krzyknęła Diana. – Scire!

Kate miała ochotę porządnie trzepnąć ją w głowę.

– Rzeczywiście. – Thurisaz uśmiechnęła się, że nagle przypomniała sobie o czymś ważnym. Wyciągnęła rękę w stronę jednego ze swoich strażników, a ten wręczył jej połyskujący medalion.

Diana natychmiast doskoczyła do królowej, ale wtedy strażnicy machnęli swoimi kosturami, wytwarzając wokół Thurisaz niewidzialną barierę. Diana odbiła się od niej i upadła na podłogę. Kate, pomagając jej wstać, szepnęła:

– Atak nic nie da.

– Nie oddam ci twojego chowańca. – Thurisaz spojrzała na Dianę zdziwiona,

jakby nie rozumiała, skąd przyszło jej do głowy, że odzyska Scire. – Przyznaję, że zaskoczyłaś nas, używając go. Wiedzmy, zwłaszcza te, które wiążą się z ferami z Elphame, rzadko posiadają dziś chowańce. Nie mamy tu przed nimi nawet zabezpieczeń, co będzie trzeba zmienić. Wiem jednak, jak bardzo przydatny i chyba również ważny jest dla ciebie... Scire, tak? – Postukała palcem w medalion. – Właśnie dlatego muszę go zatrzymać.

Wściekła Diana wyglądała, jakby znów miała ochotę rzucić się na królową, jednak ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu i usiadła na łóżku, gdzie zaczęła ostentacyjnie bawić się włosami. Najpierw Kate sądziła, że w ten sposób próbuje znów użyć swojej magii, szybko okazało się jednak, że był to po prostu jej sposób na okazanie Thurisaz braku szacunku. Sposób dziecinny i głupi.

– Jak już powiedziałam – podjęła znów królowa – wysłałam wam to specjalne zaproszenie, byście mogły poznać istotę sprawy, z jaką przybywacie. Na razie jest wam znana tylko jedna strona sporu.

– Sporu? – odparła Kate. – Porwaliście księżęcą narzeczoną. To ma być *spór*?

– Porwaliliśmy? Dlaczego tak uważasz?

– To... To przecież oczywiste...

Diana przestała bawić się włosami i zmrużyła oczy.

– Pora, aby pojawił się ktoś, kto wszystko wam wyjaśni – powiedziała Thurisaz.

Po tych słowach do pomieszczenia weszła jeszcze jedna ferini. Miała na sobie czystą białą szatę i mimo że jej ciało, łącznie z twarzą, zdobiły malunki, a we włosy miała wplecione ciemne kwiaty, nie ulegało wątpliwości, kim była.

– Fione! – Kate i Diana zawołały jednocześnie, zrywając się z łózek.

– Zostawimy was teraz, byście mogły porozmawiać. – Thurisaz odwróciła się w stronę Fione i obie skinęły sobie głowami, zupełnie jakby wszystko wcześniej zaplanowały.

– A więc żyjesz – powiedziała Diana, gdy tylko zamknęły się drzwi komnaty. W jej głosie bardziej było słycać podejrzliwość niż ulgę.

– Dlaczego cię tu przetrzymują? Dlaczego cię porwali? Jak do tego wszystkiego doszło? – Kate zadała te pytania zupełnie bez przekonania, bo teraz była już niemal pewna, że od początku szli złym tropem.

– Nie porwali mnie – oznajmiła ostrożnie Fione.

– A więc kto stoi za całym tym zamieszaniem? – spytała oskarżycielsko Diana.

Fione wbijała teraz wzrok w podłogę w taki sposób, jakby chciała na stałe go do niej przytwierdzić i już nigdy nie musieć patrzeć nikomu w oczy. Jej głos zrobił się jeszcze bardziej skruszony, gdy przyznała:

– Ja.



Rozdział 20

Wyznanie Fione

Kate miała wrażenie, że wszystko zawirowało, a gdy elementy układanki, którą tak długo próbowała zrozumieć, ułożyły się w jedną całość, nic do siebie nie pasowało.

- Poczekaj, jeszcze raz – zaczęła. – Ty...
- Muszę wam sporo wyjaśnić – oznajmiła Fione.

Tak, to zdecydowanie wymagało wyjaśnienia. A Kate musiała usiąść, bo czuła się, jakby zaraz miała się przewrócić. Opadła więc na łóżko, a Diana zrobiła to samo. Fione przypatrywała się im przez chwilę, jakby zastanawiając się, czy i ona powinna usiąść. W końcu to zrobiła, ale nadal wolała nie patrzeć im w oczy, więc wbiła wzrok we własne dłonie. Zaczęła dość nietypowo:

- W swoim śnie widziałam węża i ptaka.

Jej słowa jeszcze bardziej wszystko gmatwały. A więc o to chodziło? O jakiś sen?

- Czy wiecie, co oznaczają wąż i ptak? – spytała.

– Tak, ptak to symbol ferów z Elphame – odparła Diana – a wąż symbolizuje Tirnan.

– Tak – odparła cicho Fione, kręcąc głową. – Na początku myślałam, że sen oznaczał coś osobistego, że był odpowiedzią na pytanie, które zadawałam, odpowiedzią, jakiej pragnęłam. Potem zaczęłam jednak myśleć, że to coś więcej, że nie chodzi tu tylko o mnie. Wreszcie zrozumiałam, że miał podwójne znaczenie. Nie myliłam się ani za pierwszym, ani za drugim razem. Ale po kolei.

Diana wyjęła z włosów jeden ze sznurów i zaczęła go wykręcać, najwyraźniej

chcąc w ten sposób stłumić gniew, gdy Fione zaczęła swoją opowieść:

– Kiedy poznałam Tammuza, miałam piętnaście lat. On był nieco starszy. Wizytował Elphame wraz ze swoją rodziną. Wtedy myślałam, że to miłość od pierwszego wejrzenia, choć teraz zdaje mi się, że bardziej mi to wmówiono. Bardzo nalegał, by się ze mną znów zobaczyć, a gdy matka o wszystkim się dowiedziała, była wniebowzięta. *Coś podobnego! Książę Elphame zainteresował się naszą córką!* – Fione skrzywiła się zdegustowana. – Nie byłam głupia. Już od tamtego momentu wiedziałam, że przestało chodzić o mnie, a zaczęło o całą naszą rodzinę. Kto rozsądny odmówiłby księciu Elphame? Wejście w rodzinę królewską oznacza coś wspaniałego, okazję, która z całą pewnością trafia się tylko raz w życiu i tylko nielicznym. To jak znamię. Gdy raz je przyjmiesz, będziesz nosić je do końca życia, a ja dobrze wiedziałam, że bycie królową w Jaarze to bycie niewolnicą.

Te słowa wypowiedziała z bólem i pogardą.

– Nie chodziło jednak o to. Nie miałam przecież wielkiej szansy zostać królową. Tammuz jest dwudziestym pierwszym księciem i prawdopodobnie nigdy nie zdoła objąć tronu. Od samego początku wiedziałam jednak, że coś jest nie tak. Coś między mną a nim. Jego zainteresowanie szybko znikło, a gdy zostaliśmy sobie przyrzeczeni, nasze życie spowszedniało. Zapomnieliśmy nawet o tym związku, rzadko się widywaliśmy. Wszystko zaczęło zmierzać już tylko w jednym kierunku, do ślubu, który miał zadowolić nasze rodziny. Ja za to z każdym dniem byłam coraz bardziej niepewna.

Ścisnęła dłonie. Mimo że jej głos wciąż był spokojny, denerwowała się. Kate dotąd jej takiej nie widziała. Fione, w przeciwieństwie do brata, nigdy nie okazywała swoich uczuć.

– To takie dziwne uczucie, wiecie? Jakby mieć mroczną energię w sercu. Słabą, ale wystarczającą, by kłaść się cieniem na reszcie twojego życia. Uwierała mnie, przerażała, bo... Bo nie do końca ją rozumiałam. A potem stało się coś jeszcze. Poznałam Ailila. To było podczas święta Beltane, prawie rok temu. Wtedy moje dziwne uczucie się nasiliło, a ja wreszcie byłam w stanie je zrozumieć. Nie kochałam Tammuza. Nadal go nie Kocham i nie zdołam pokochać. Pokochałam kogoś innego i od tamtego momentu nie wyobrażałam sobie spędzać życia bez niego. Kryształowy Pałac nie był moim domem, a Tammuz moją bratnią duszą. Jak jednak miałam przyznać się do tego matce i ojcu? Wszystko było już przygotowane. Ślub miał się niedługo odbyć. Nie mogłam powiedzieć im, że się rozmyśliłam. Tammuz tym bardziej nie mógł tego zrobić, choć wiedziałam, że chcieliby. Jedyne, co mi pozostało, to udać się do...

– Babci Annwynn – wtrąciła Kate. Fione spojrzała na nią wreszcie i zamrugała ze zdziwieniem.

– Skąd wiesz? – spytała.

– Wiem – odparła Kate – bo teraz to wszystko staje się jaśniejsze. Już w sierpniu mówiłaś, że dostałaś od Babci przepowiednię. Mówiłaś, że chciałaś zapytać o swój ślub, tylko że przepowiednia, jaką dostałaś, dotyczyła Jonathana.

Diana zmarszczyła czoło. Kate spojrzała na nią kątem oka. Wyglądało na to, że Diana nie miała wcześniej pojęcia o udziale Babci w całej sprawie.

– Tamta przepowiednia dotyczyła Jonathana – oznajmiła Fione. – Dostałam dwie przepowiednie, jedną związaną z Jonathanem, a drugą... No, ze mną.

– Jak brzmiała druga przepowiednia?

– Pamiętam ją do teraz – odparła Fione i wyrecytowała:

*Ptak ze snu i wąż na niebie,
Odrącisz tego, co wybrał ciebie,
I wszelkie bitwy będą skończone,
Gdy światło ciemność pojmie za żonę.*

– To brzmi jak dziecięca rymowanka – zauważyła Diana.

– Prawda? – odparła Fione poważnym tonem. – Najpierw pomyślałam, że Babcia robi sobie ze mnie żarty. Ale wcale tak nie było. Nie mówiłam jej o swoim śnie. No i nie zrozumieliśmy przepowiedni. Nie było zresztą wiele czasu, by ją interpretować, bo Babcia wygłosiła drugą i musiałam szybko ratować Jonathana. Potem sporo myślałam o jej słowach i muszę przyznać, że... są dość nietypowe. Nie chodzi tylko o tę rymowankę. *Ptak ze snu i wąż na niebie* pozornie nijak mają się do tego, co następuje dalej. Brzmiały, jakby ktoś włożył je w wiersz tylko dla rymu. Zresztą, „wąż na niebie”? To część, której nadal nie rozumiem, chociaż wiem, że ma znaczenie dla mnie i dla ferów. Wiem, że chodzi o połączenie przeciwieństw.

Jednak dopiero drugie zdanie jest naprawdę zastanawiające. Widzicie, przepowiednie zwykle nie działają w taki sposób. Nie mówią o tym, kto coś zrobi. Przecież decyzja zawsze należy do ciebie. Mogłam wybrać Tammuza, a wtedy wizja w ogóle by się nie spełniła. Oczywiście wiedziałam, że słowa przepowiedni wskazywały właściwą mi drogę, więc w pewnym sensie i tak nie dało się jej zmienić, bo ja byłam już zdecydowana. Razem z Aililem szukaliśmy sposobu, żeby powstrzymać ślub. Wreszcie wpadliśmy na coś, co wydało nam się najlepszym rozwiązaniem. Bolesnym dla wielu, ale najlepszym. Upozorowaliśmy moje porwanie.

– Szata w świątyni... – zaczęła Kate.

– Umazaliśmy ją krwią namhajda – wyjaśniła Fione. – Ailil przyniósł ją ze sobą. Oczywiście zjawił się w Elphame na moje zawołanie. Nie chciałam, żeby moja rodzina myślała, że uciekłam. To bolałoby ich chyba bardziej niż świadomość, że zostałam uprowadzona. Z drugiej strony chciałam dać im nadzieję, że żyję. Chyba właśnie chodziło o to, żeby mnie szukali. Razem z Babcią uznaliśmy, że trzeba... pomóc przepowiedni.

– A więc Annwynn o wszystkim wiedziała, tak? – wycodziła Diana.

Kate również poczuła, jak burzy się w niej krew. Babcia od początku ich oszukiwała, byle tylko osiągnąć swój cel!

– Tak – przyznała Fione. – Właściwie to większość z tego była jej pomysłem. Obmyśliła plan, jak połączyć mnie z przemianą ważną dla wszystkich ferów.

Wysłała was do Kryształowego Pałacu, bo wiedziała, że jeśli rodzina królewska Elphame o niczym się nie dowie, nasz plan spełźnie na niczym.

– I Murugan – wyszeptła Kate, na co Fione uniosła brwi.

– Murugan? – powtórzyła.

– Nie bez powodu wymknął się pod osłoną nocy, w czarnym płaszczu, żeby nikt go nie rozpoznał. Musiał knuć razem z wami.

Fione wyglądała na zdumioną. Pokręciła powoli głową.

– Nie – odparła, jakby sama niepokoiliła się tym, co słyszy od Kate. – Murugan nam nie pomagał, ale... dlaczego nazywasz to knuciem? Spróbuj nas zrozumieć, Kate. Ja i Babcia... Zaczęłyśmy wierzyć, że w przepowiedni chodzi o coś więcej. Jej słowa obiecywały przecież, że „bitwy będą zakończone”. Na początku myślałam, że to dotyczy po prostu moich rozterek. Teraz sądzę jednak, że mowa o czymś większym.

– Większym... – prychnęła Diana, ale Kate chyba rozumiała, co Fione ma na myśli.

– Może... Może nadszedł wreszcie czas, żeby Elphame i Tir-na-Nog się połączyły? – spytała nieśmiało Fione i Kate nie umiała już stwierdzić, czy patrzy na wizjonerkę, czy na zranioną dziewczynę, za wszelką cenę pragnącą, by świat zaakceptował jej wybór.

– Zdajesz sobie sprawę, o czym mówisz? – odparła. – Te krainy walczą ze sobą od lat.

– Wiem, dobrze o tym wiem, ale... Sądzę, że tak właśnie ma być, że o to w tym wszystkim chodzi. I dlatego pomyślałam sobie, że może wy mogłybyście mi pomóc.

Kate otworzyła szeroko oczy.

– Co masz na myśli?

– Jesteście Strażniczkami... – zaczęła nieśmiało Fione.

Diana zerwała się z łóżka.

– No i co z tego?! – zawołała. – Tym bardziej powinnyśmy chronić starych zasad! Tirnanie są zdrajcami Elphame i nigdy, *nigdy* nie może dojść do żadnego połączenia krain!

Fione zwróciła się do samej Kate.

– Ty jesteś Strażniczką kamienia Danu, kamienia-władcy, który dał życie tak ferom z Elphame, jak i Tirnanom. Jesteś kimś wielkim.

– Mylisz się – odparła Kate. – To znaczy tak, jestem Strażniczką, ale to niewiele zmienia. Jestem nie mniej zagubiona od ciebie. Dostałam ten kamień przez przypadek, zgodziłam się go przyjąć bez przekonania, a teraz ponoszę tego konsekwencje. Wrzucono mnie w nieznaną mi świat. To jak ciągłe przedzieranie się przez mgłę. W dodatku nikt mi nie pomaga. Mam przewodzić grupie, której członkowie są potężniejsi ode mnie, a połowa z nich ciągle się ze sobą kłóci. Każdy ma inny pomysł, a Eos powierzyła nam misję, o której nie wiemy praktycznie nic. Czasami boję się, że będę pierwszą Strażniczką Księżyca, która nie podoła swojemu wyzwaniu.

Diana słuchała słów Kate z uwagą. Przez chwilę zdawało się, że chce coś

odpowiedzieć, ale w końcu tylko prychnęła, jakby bardzo chciała przekonać samą siebie, że słowa, które właśnie padły, nie miały żadnego znaczenia.

Wyrzucenie tego wszystkiego z siebie niewiele zmieniło dla Kate. Dawno przestała już wierzyć, że, powierzając komuś swoje kłopoty, będzie mogła spodziewać się pomocy albo rady. Za to przynajmniej trochę sobie ulżyła. Lepiej było o tym wszystkim powiedzieć niż ciągle roztrząsać te sprawy samotnie.

– Nie wiem, czy jesteś na dobrej ścieżce – przyznała Fione – ale na razie nie ma żadnej innej.

– Są dwie – zauważyła Kate. – Sama rozmowa z tobą sprawia, że czuję się jak zdrajczynie, bo mogę być lojalna albo wobec Elphame, albo Tir-na-Nog. A ty zrobiłaś rzeczy, które mnie przerażają. Nie wiem, czy masz pojęcie, jak bardzo zraniłaś swoją rodzinę?!

– Ale nie zraniłam siebie! – zaprotestowała Fione.

– Właśnie! Ty masz wybór. – Kate poczuła nagle, jak uderzyły ją jej własne słowa. Fione mogła postępować zgodnie ze swoimi pragnieniami, ale ona sama nie miała tego przywileju. – Ja za to nie mam żadnego wyboru.

– A co podpowiada ci intuicja?

Po słowach o intuicji Kate od razu przypomniała sobie Babcię Annwynn.

– Chcesz wiedzieć, co mi mówi? – odparła. – Nie mówi mi *nic*. I chyba przestaję w nią wierzyć, skoro posłużyła wam jako wymówka, by doszło do tego wszystkiego.

Ich dalszą rozmowę przerwał odgłos kroków. Ktoś pchnął drzwi i do środka weszła królowa. Tym razem nie towarzyszyła jej straż, co mogło oznaczać, że Thurisaz albo uwierzyła, że Fione zdołała przekabacić Kate i Dianę na ich stronę, albo uznała, że poradzi sobie sama.

– Czy wszystko już sobie wyjaśniłyście? – Królowa najpierw zwróciła się do Fione, na co ta przytaknęła. Następnie skierowała wzrok w stronę Kate. – Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego Fione postanowiła zamieszkać razem z nami.

– Tak – przyznała chłodno. – Nie sądzę jednak, by to mogło wam pomóc w połą...

Fione wstała gwałtownie, przewracając krzesło.

– Przepraszam – powiedziała szybko. – Jestem zdenerwowana.

Posłała Kate spojrzenie, którym zdawała się prosić ją, by nie kończyła zdania. Ale dlaczego? Czyżby nie powiedziała królowej o wszystkim?

Thurisaz uważnie śledziła ruchy Fione, gdy ta podchodziła do drzwi. Wyglądało na to, że nie zauważyła jej szybkiego spojrzenia w stronę Kate, ale i tak wydawała się pełna podejrzeń. Z pewnością nie ufała jeszcze Fione całkowicie, jednak Kate miała też wrażenie, że niepokoili ją również inne rzeczy. Jej oczy błędziły, jakby niepewne, na czym się zatrzymać. Atmosfera w pomieszczeniu gęstniała.

– Poznanie Ailila było dla Fione niczym błogosławieństwo – przemówiła ponownie Thurisaz. – Tak, spowodowała to miłość. Dzięki niej Fione mogła wrócić tutaj, do Tir-na-Nog, pierwszej stolicy ferów, gdzie bije serce naszej pradawnej mocy. Gdyby fery z Elphame były zdolne do przyznania tego, mógłby

zapanować pokój

– Jesteście bandą zdrajców – rzuciła Diana prosto w twarz królowej. – Właśnie tym i niczym innym. A ty nie masz żadnej mocy, bo jesteś fałszywą królową!

Thurisaz nie dała ponieść się gniewowi, który na moment zalśnił w jej oczach. Zacisnęła pięści, jednak szybko je rozluźniła.

– O mojej mocy przekonasz się w odpowiednim czasie – oznajmiła – na razie jednak nie mam zamiaru dłużej z tobą dyskutować. Kolejne rzeczy, które chcę pokazać, są przeznaczone tylko dla jednej z was.

Wzrok królowej powędrował w stronę Kate.

– Wybacz – powiedziała – ale muszę to zrobić.

Kate cofnęła się i odruchowo sięgnęła po athame, zapominając, że została go pozbawiona. Spodziewała się czegokolwiek, jednak Thurisaz po prostu zdjęła z szyi swój wielki zielony amulet i otworzyła go.

Nagle Kate poczuła, jak całe jej ciało rozpada się na tysiące kawałków, ale nie towarzyszył temu żaden ból. Rozpaczliwie próbowała odnaleźć umysłem, również rozproszonym, swoje ręce, nogi, stopy, nawet myśli, które zdawały się uciekać i krążyć wokół niczym rój spłoszonych pszczoł. Po chwili coś zaczęło ją wsysać, potężna energia, której nie była w stanie się przeciwstawić. Gdy na powrót odzyskała czucie w dłoniach, wyczuła pod palcami szklaną ścianę.

Została uwięziona w amulecie.

– Co mi zrobiłaś?! – krzyknęła, uderzając z całej siły o szkło. Było twarde i tłumilo jej głos. – Fione! Fione! – wołała wbrew rozsądkowi. Wiedziała przecież, że i tak nikt jej nie usłyszy.

Diana znów próbowała rzucić się na królową, jednak siła Thurisaz zamknęła ją w niewidzialnej klatce. Na nic zdały się kopanie i wrzaski, których nie było słychać. Fione, jakby nie chcąc na to wszystko patrzeć, wybiegła z komnaty.

– Nie miałam innego wyboru. – Do Kate dobiegł spokojny głos Thurisaz, a potem na amulet opadła czarna zasłona. Królowa zakryła go kawałkiem materiału, który owinęła wokół piersi.

Kate musiała natychmiast coś wymyślić. Ale co właściwie miała zrobić bez swojego athame? Chyba właśnie nadszedł czas, by zdać się na kamień. Wprawdzie on odpowiadał tylko wtedy, gdy sam tego chciał, ale jeśli ta sytuacja nie była wyjątkowa, to Kate nie miała pojęcia, co jeszcze musiało się stać, by kamień o sobie przypomniął.

Thurisaz gdzieś ruszyła. Kate dokładnie słyszała jej kroki i czuła drgania amuletu. Wyczuwała, kiedy królowa skręca, a kiedy prześlizguje się wąskimi korytarzami. Jej droga wydawała się skomplikowana jak labirynt i po pewnym czasie nie dało się już odtworzyć jej w myślach. Podczas drogi władczyni odezwała się do Kate tylko raz, cicho:

– Chcę pokazać ci rzeczy, o których nie wie nikt poza Tirnanami. Chcę, żebyś zrozumiała. Bądź spokojna i nie próbuj uciekać. I tak ci się to nie uda, a możesz zdradzić innym swoją obecność, czego wolałabym uniknąć. Nawet królowa Tir-na-Nog musi czasem działać w sekrecie.

Minęło dobre dziesięć minut, nim Thurisaz stanęła i znów ktoś się odezwał.

– Przedstawiciele rodów już przybyli – oznajmił męski głos. Kate rozpoznała po nim jednego ze strażników, którzy ją tu przyprowadzili. – Czekają na ofiarę w świątyni Straszliwej.

– Tam właśnie zmierzam – odparła Thurisaz.

– Wszystko jest już przygotowane i czeka na ciebie – odparł inny męski głos.

Kate dokładnie przysłuchiwała się rozmowie. Najbardziej wstrząsnęły nią słowa o ofierze. Co to znaczyło? Czy to właśnie ona miała się nią stać?

Thurisaz i strażnicy ruszyli. Droga znów była kręta, ale, sądząc po narastających odgłosach ptaków, wyszli już na zewnątrz. Dalsza wędrówka już się tak nie dłużyła. W ciszy królowa pokonała jeszcze krótki dystans. Potem ktoś otworzył ciężkie drzwi, po czym do uszu Kate natychmiast dobiegły głosy, jednostajne i niskie, śpiewające bezsłowną pieśń, która sprawiała, że jej ciało przeszyły dreszcze i chłód. Thurisaz wchodziła w głąb pomieszczenia, które, wnioskując z echa, musiało być naprawdę przestronne. Głosy dochodziły teraz z prawa i z lewa i zdawało się, że obmywają ciało Thurisaz niczym oczyszczająca energia.

Królowa przeszła jeszcze kilka kroków, aż wreszcie się zatrzymała. Jednym ruchem wysunęła amulet z powrotem, a wtedy Kate, która dotąd wciąż przyklepała ręce do jego szklanej ściany, odsunęła się, przerażona tym, co zobaczyła.

Przed nią wznosiła się piramida czaszek. Musiały należeć do ferów – setek, jeśli nie tysięcy ferów. Te na samym dole pożółkły już i zaczęły się kruszyć. Im wyżej, tym świeższe wydawały się kości – te na samej górze były śnieżnobiałe. Szczęki niektórych otwierały się szeroko w agonalnych grymasach.

Na lewo od czaszek stała olbrzymia czarna figura. Po nagim torsie dało się rozpoznać, że jest kobieca. Nie miała jednak tylko dwóch piersi, ale całe ich tuziny, mniejszych i większych, pokrywających całą klatkę piersiową aż do brzucha. Z jej pleców wyrastały skrzydła, łudząco podobne do nietoperzych. Włosy figury przypominały buchające płomienie. Zdobiła je korona w kształcie zamku. W prawej ręce kobieta trzymała wielki miecz, a w lewej topór. Jedną nogą spoczywała na innej figurze, wyglądającej jak ciało. Światła pochodni odbijały się w szalonych oczach posągu, nadając im upiornego wyglądu.

U stóp postaci rozciągał się długi ołtarz. Stała na nim wielka misa, a obok naczynia leżały sztylet i miecz, bardziej przypominający wielki tasak. Thurisaz pokłoniła się przed figurą, co sprawiło, że jej amulet zawisł w powietrzu z przerażoną Kate w środku. Po chwili królowa podeszła do ołtarza i wzięła do ręki sztylet.

Kate spodziewała się najgorszego. Sądziła, że teraz Thurisaz wypuści ją z amuletu, a potem zatopi sztylet w jej szyi. Nic takiego się jednak nie stało. Zamiast tego królowa nacięła swoją dłoń i nachyliła ją nad misą. Kilka kropel krwi wpadło do środka. Nie była ona jednak czerwona, lecz srebrzysta, zupełnie jakby stanowiła blask księżycy zamieniony w ciecz.

Thurisaz wstała i usunęła się z drogi, przepuszczając innych. Kate obserwowała, jak fery zbliżają się do ołtarza i wykonują dokładnie ten sam

rytuał, co ich królowa. Było ich dwanaście. Niektóre miały długie włosy, inne nosiły na głowie dziwne przedmioty, skrzydła większości przypominały te ćmy lub pszczoły, ale były też takie, które nie różniły się niczym od motyli ferów z Elphame. Gdy ostatni z nich złożył już ofiarę, przy ołtarzu stanął granatowy fer. Jego głowę zdobiło nakrycie przypominające piramidę, z której zwisały srebrne łańcuszki. Gdy się schylił, by sięgnąć po sztylet, łańcuszki zabrzęczały. Ten fer nie naciął sobie jednak dłoni. Nakreślił w powietrzu jakiś znak, zwrócił się ku figurze i powiedział:

– Bądź pozdrowiona, Caithiu. – Zaczekał, aż reszta powtórzy te słowa, po czym kontynuował: – Matko wszechczasów, siło, która płyniesz w naszych żyłach i obdarzasz nas życiem. Ty, która sprawiasz, że sucha ziemia staje się mokrym łonem, wydającym na świat lasy. Przyjmij naszą krew, wojowniczo i strażniczo, chroń nas. Przekazicielko mądrości, oświeć nas w naszych działaniach i dążeniach. Stań obok nas, pradawna mocy, która nas ukształtowałaś i wprowadziłaś na te tereny.

Kate nie rozumiała, dlaczego mówili po angielsku. Było to tym dziwniejsze, że nie mogli wiedzieć o jej obecności.

Wszyscy pokłonili się przed figurą. Wtedy królowa oznajmiła:

– Dopełniliśmy obowiązku wobec starej siły. Możemy udać się na naradę. – Odwróciła się i ruszyła z powrotem. Pozostali ustawili się w rzędach i czekali. Tym razem nikt już nie śpiewał i ciszę przerwało dopiero poruszenie, jakie wytworzyło się, gdy pozostałe fery ruszyły za królową.

Thurisaz nie zakryła już amuletu, więc Kate wszystko widziała. Po raz pierwszy zorientowała się, gdzie się znajduje, gdy tylko wyszli ze świątyni. Widok był porażający. Na niebie pokrytym czerwonymi smugami, przypominającymi pulsujące żyły, unosiły się wielkie ćmy. Niektóre siadały na szczytach dwóch wielkich budowli, wyglądających jak kopce ze spiczastymi szczytami. Liczne otwory w ścianach jednego z nich kojarzyły się Kate z siedliskiem termitów.

Zeszli w dół kamiennymi schodami i natychmiast ruszyli do jednej z budowli – do stojącego na prawo kopca, wyglądającego na opuszczony. Dopiero gdy byli już całkiem blisko, a Thurisaz odwróciła się w stronę pozostałych ferów, Kate dostrzegła, że budowla, w której byli przed momentem, była identyczna jak ta, do której zmierzali.

– Zaczniemy naradę od razu – oznajmiła Thurisaz. – Świątynię otoczą strażnicy. Nic, o czym będziemy mówić, nie może wyjść poza uszy dwunastu rodów. Sprzeniewierzenie się temu rozkazowi będzie karane... – Tu królowa na chwilę się zatrzymała i spojrzała po wszystkich, jakby próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, czy ma prawo do ostatniego ze słów, jakie zamierzała wypowiedzieć. I choć jeszcze nigdy z niego nie skorzystała, tym razem postanowiła inaczej. – Śmiercią – dokończyła.



Rozdział 21

Stały towarzysz podróży

– Uspokój się, Lilian! – naciskała pani Hallander. – Jeszcze raz opowiedz mi wszystko po kolei.

Właśnie tego można było się spodziewać. Grupa nastolatków włóczących się po Jaarze tylko dlatego, że dała się zwieść chorym ambicjom przemądrzałej ferini, musiała prędzej czy później napotkać jakieś problemy. Od początku było wiadome, że zwrócą się do nich o pomoc i mimo że szklana kula Selene milczała przez ostatnie dni, teraz widać było w niej zakłopotaną twarz Lilian. Z potoku słów, który wylewał się z jej ust, pani Hallander zrozumiała zaledwie kilka: „brama”, „próby”, „porwane” i „nie wiemy”.

– Kate i Diana zostały porwane – powtórzyła Lilian głośniej i wyraźniej.

Po raz kolejny pani Hallander sądziła, że czegoś nie dosłyszała. Taką przynajmniej miała nadzieję. Po drugiej stronie kuli ktoś zawołał: „Odsuń się!” i po chwili za szkłem pojawiła się twarz Toma.

– Zostaliśmy poddani próbom w Iarandinnie, po których mieliśmy dotrzeć do Kryształowego Pałacu. Po wszystkim okazało się, że Diany i Kate już z nami nie ma. Zostały uprowadzone. Przypuszczamy, że ma to związek z porwaniem Fione.

– Nie wierzę! – zdenerwowała się pani Hallander. – Idźcie natychmiast do Annwynn i każcie jej sprowadzić je z powrotem. To ona jest winna całej tej zasmarkanej wyprawie! A potem wracajcie do domu, nim schrzaniecie coś jeszcze!

Na moment po obu stronach zapanowała cisza. Wyglądało na to, że

wszystkich zdumiał wybuch złości pani Hallander. Nie brzmiał w jej ustach zbyt naturalnie. Po chwili, jakby dla zrównoważenia, dał się słyszeć spokojny głos Selene:

– To nie ma sensu, by wracali do Elphame teraz, gdy przekroczyli już ostatnią z Bram. Powinni iść dalej.

– Żartujesz?! – oburzyła się pani Hallander. – A co z Kate? Co z Dianą? Selene tylko machnęła ręką.

– Poradzą sobie. Diana nieraz wpadała już w tarapaty. Jest wiedźmą, więc musi dać sobie radę.

– Nie wierzę, że to mówisz! Przecież to twoja...

– No właśnie. Skoro ja umiałam sobie radzić, to i ona powinna. Dość już o tym. I tak zmierzamy w stronę Tir-na-Nog, więc w razie czego weźmiemy sprawy we własne ręce. Macie nam do powiedzenia coś jeszcze?

– Tak – przyznał Tom. – My również idziemy dalej do Tir-na-Nog, więc możliwe, że spotkamy się po drodze. W każdym razie nie powinniście na nas czekać. Liczy się każda chwila.

– Co?! – zawołała znów pani Hallander. – Chcesz mi powiedzieć, że wybieracie się do Tir-na-Nog?! Nie ma mowy, żebyście...

Obraz w kuli zawirował. Tom, nie chcąc słuchać pretensji pani Hallander, przerwał połączenie i spojrzał na swoich towarzyszy.

– No... – Westchnął. – To najgorsze mamy za sobą.

Byli już w połowie drogi, którą wyznaczył im Tammuz, i jak dotąd nie natrafili na żadne przeszkody. Ciągle jednak odkładali na później rozmowę z drużyną Badb, nie chcąc przyznać się, że ich plan nie do końca się powiódł. Ale przecież w końcu musieli dać im znać. To była jedna z tych chwil, gdy żalowali, że jak dotąd nie wyjawili prawdy na swój temat. Gdyby reszta wiedziała, że są Strażnikami, mogliby samym tym faktem usprawiedliwić niemal każde ze swoich działań.

– Sądzę, że Badb i reszta niewiele nam pomogą – zmartwił się Jonathan. Wydawał się coraz bardziej zdenerwowany. Lilian nie musiała wykorzystywać swojej mocy, by wyczuć, jak mocno zelektryzowana jest jego aura. To mogło okazać się niebezpieczne dla nich wszystkich. Moc Strażnika Ognia zawsze uważano za jedną z najpotężniejszych, a Jonathan, niedoświadczony i w dodatku pozbawiony kontaktu ze swoją ferinią, stanowił zagrożenie nawet dla siebie samego. Utrata Kate mogła doprowadzić do niekontrolowanych wybuchów mocy.

Swoimi obawami Lilian podzieliła się na razie jedynie z Tomem.

– Tak – odpowiedział jej myślą. – *W odpowiednim czasie będziemy musieli go uspokoić.*

– Wolałbym, żebyście nie dyskutowali między sobą potajemnie – odezwał się Darrin. – Nie wiem, czy zdążyliście to zauważyć, ale brak współpracy na niewiele się nam zdaje.

– To wszystko wydaje się coraz bardziej zagmatwane – powiedział Hiacinthus. – Dotychczas sądziłem, że porwanie Fione miało charakter polityczny, że

uprowadzono ją tylko dlatego, że miała zostać żoną Tammuza. A jednak... Pojmanie Kate stawia tę sprawę w całkiem nowym świetle.

– Myślisz, że uprowadzili ją, bo wiedzą, kim naprawdę jest? – spytał Fion.

– To wydaje mi się najlogicznym rozwiązaniem. – Hiacinthus wzruszył ramionami.

– Ale Tirnanie nigdy nie interesowali się kamieniem – zauważył Darrin. – Oczywiście znają jego niezwykłą moc, jak wszyscy w Jaarze, ale zawsze wydawali się odcięci od reszty świata, niemal tak samo jak jednorożce. I to naprawdę nie w ich stylu, by szukać tak potężnego przedmiotu dla samej chęci posiadania go. Są dość... praktyczni.

– I może właśnie kryje się za tym coś praktycznego? – podchwyciła Lilian. – Może szukają sposobu, by zemścić się na Elphame? W końcu obie krainy uważają siebie nawzajem za ziemie zdrajców. Kamień Danu dałby Tirnanom niezwykle możliwości.

Jonathan miał wzrok utkwiony w pomarańczowych płytkach, jakimi wyłożona była ścieżka. Usilnie starał się skupić myśli właśnie na nich, ocenić ich wiek (sądząc po licznych obtarciach i przebarwieniach, były bardzo stare), rozpoznać ukazane na nich stworzenia i zrozumieć sceny, jakie przedstawiały rysunki. Nie mógł jednak przestać myśleć o tym, co mogło przytrafić się Kate. Co z nią zrobili, czy ciągle jeszcze żyła? Ale chyba musiała żyć. Przecież czuliby, gdyby coś jej się stało, ktoś... coś na pewno by im o tym powiedziało. Byli połączeni magicznie.

– Zastanawiam się, jak w samym sercu Elphame mogło dojść do uprowadzenia kogokolwiek przez fery z Tir-na-Nog – odezwał się Fion. – Sądziecie, że Tirnanie mają tu swoich szpiegów?

Pytanie zawisło w powietrzu. Nikt nie próbował nawet udzielać na nie odpowiedzi. Nie tylko dlatego, że nie mogli być jej pewni, ale także dlatego, że wszystko, co przychodziło im do głowy, wydawało się niemożliwe lub zbyt przerażające, by wypowiadać to na głos. Zdrada, tajemniczy wrogowie, oszustwa, a może coś strasznego, co skrywało się w Kryształowym Pałacu, coś, o czym nie mieli pojęcia?

W najgorszej sytuacji była Lilian, bo nie tylko sama się bała, ale w dodatku czuła obawy całej reszty, i choć zwykle umiała odciąć się od swojej empatycznej mocy, tym razem było to niemożliwe. Żałowała, że jej wizje nie okazały się teraz pomocne, że nie mogła wywołać ich na zawołanie.

A mimo to coś czuła. Coś więcej niż samą obecność ich wszystkich. Zdawało jej się, że w tej plątanie uczuć, jakie już znała i jakie kojarzyła ze swoimi towarzyszami, odzywało się coś jeszcze. Nie była jednak pewna, czy był to ktoś obcy, czy może jednak jej własne uczucie, którego nie umiała jeszcze nazwać. Rozpoznawanie istot poprzez emocje często nastęrczało jej podobnych problemów. Na razie jednak to zignorowała.

– Twoje zioło – zwróciła się do Jonathana, wręczając mu fiolkę Babci Annwynn.

Jonathan wziął ją bez słowa i wlał całą zawartość do ust. Wcześniej nawet się

nad tym nie zastanawiał, ale teraz zaczęło ciążyć mu, że stawał się kulą u nogi dla pozostałych. Gdyby nie jego choroba, nie musieliby zawracać sobie głowy ziołami.

Zacisnął pięści, czując, jak burzy się w nim krew. Ogień pod skórą odezwał się, wypełniając mu żyły. Teraz czuł go niemal fizycznie, jakby nagle wzrosła temperatura jego ciała.

– Jeśli musisz, wyładuj ją – powiedziała Lilian.

Jonathan spojrział na nią zdumiony.

– Mówię o twojej energii. Spróbuj coś rozpaścić. Choćby tę gałązkę. – Lilian wskazała na drzewo, z którego zwisała spróchniała, nadłamana gałąź.

– Dobra, spróbuję – odparł i skupił się na drzewie.

Poczuł swoją złość, która rozlewała się po całym ciele niczym gęsta maź. Siłą woli sprawił, że przeniosła się najpierw do jego ramienia, potem powędrowała w stronę łokcia i przegubu dłoni, aż wreszcie osiadła na jego palcach, gdzie uformował z niej ognisty pierścień. Ten jednak nie zahaczył o samą gałąź. Zamiast tego ogień niemal natychmiast objął gruby pień i przeniósł się na sąsiednie krzaki. Wtedy stało się coś, czego się nie spodziewali.

Nagle z płonących krzaków wyskoczyła jakaś postać. Miała na sobie pelerynę, która zdążyła zająć się ogniem. Postać skakała, krzycząc i przeklinając, nim jednak ktokolwiek zdążył do niej podbiec z pomocą, rzuciła się na ziemię i ugasiła płomienie.

Przez chwilę nieznamy oddychał ciężko, z ogromną ulgą, jakby nawet nie zorientował się, że ktoś na niego patrzy.

Lilian jęknęła. To był właśnie ten fer, zielony fer z jej wizji. Miał długie włosy w kolorze siana i brakowało mu skrzydeł. Spod jego lekko nadpalonej i osmolonej workowatej peleryny wystawały żółte spodenki, a niebieskie kalosze pokrywało błoto.

Fer poderwał się nagle do ucieczki, ale Darrin i Hiacinthus byli szybsi. Rzucili się na niego i pochwycili.

– No proszę – powiedział Darrin – więc mamy naszego towarzysza.

– A więc jest dokładnie tak, jak mówiłaś. – Tom spojrział na Lilian tak, jakby przez wszystkie te lata naprawdę jeszcze dziwiło go to, że tak często miewała rację. Wyciągnął swoje athame i przyłożył je ferowi do gardła. – Kim jesteś?

Fer ponownie powiódł po nich wzrokiem, jakby mimo wyraźnej przewagi chciał ocenić swoje szanse, a potem spuścił głowę i przeklął cicho.

– Jestem Silvanus – powiedział.

Lilian miała wrażenie, jakby wraz z wypowiedzeniem przez niego tych słów przysł jakiś czar. Teraz, gdy mogła na własne oczy zobaczyć osobę ze swojej wizji i nawet usłyszeć jej głos, jej nowa moc wydała się niezwykle realna. Gdyby tylko Kate teraz tu z nimi była, i ona mogłaby się przekonać, że nie miała żadnych omamów.

– Musimy go związać i przesłuchać – powiedział Fion, po czym wyciągnął ze swojej sakwy kolorowe sznury. Przesuwał po nich dłońmi, szepcząc zaklęcia, które miały wzmocnić więzy. Gdy czar był gotowy, Darrin i Hiacinthus obwiązali

sznurami dłonie i stopy Silvanusa.

– *Będzie trzeba sprawdzać jego prawdomówność podczas odpowiadania.* – Tom przesłał tę myśl do Lilian, która w odpowiedzi nieznacznie pokiwała głową. Oboje podeszli do Silvanusa. Mogli mieć nad nim przewagę tylko pod warunkiem, że nie zorientowałby się, że potrafią odczytać jego myśli i emocje.

Pytania zadawał Darrin, bo w sprawianiu groźnego wrażenia mógł rywalizować z Dianą, więc można było mieć nadzieję, że język Silvanusa najszybciej rozwiąże się właśnie przed nim. Tom i Lilian starali się tymczasem niepostrzeżenie dostroić do fera.

– Dlaczego nas śledziłeś?

– Jestem przybłądą – odparł Silvanus cienkim, nieco piskliwym głosem. – Chodzę to tu, to tam. Wygnano mnie z Tir-na-Nog i od tego czasu błąkam się po Jaarze. Nie mam jednego domu...

Tom i Lilian spojrzeli po sobie. Silvanus mówił prawdę, ale też nie była to odpowiedź na pytanie Darrina. Ten jednak nie dał zbić się z tropu.

– Śledziłeś nas od początku? Dlaczego?

– Obserwowałem was. Byłem ciekaw, jak sobie radzicie.

– Radzimy? Z czym?

– Z waszą podróżą. Chciałem wiedzieć, kim jesteście i dokąd zmierzacie.

Tym razem kłamał, o czym Tom – nadal używając jedynie myśli – natychmiast doniósł Darrinowi.

– A więc jesteś przybłądą i nie masz domu, co musi oznaczać, że nikt nie będzie cię szukał, prawda? – zapytał Darrin. – Moglibyśmy więc po prostu cię zabić i nikogo by to nie zainteresowało. Nikt by się nawet o tym nie dowiedział.

Brzmiał tak przekonująco, że gdyby pozostali go nie znali, mogliby sądzić, że wcale nie rzucał słów na wiatr.

– Wyjdzie ci na zdrowie, jeśli będziesz odpowiadał na moje pytania – dodał. – Pytam po raz ostatni: dlaczego nas śledziłeś?

Zdawało się, że Silvanus próbował ułożyć w głowie kolejną wymijającą odpowiedź.

– Bo wiem, dokąd zmierzacie.

– Skąd?

– Od... od... Tego nie mogę powiedzieć.

Jonathan parsknął ze złością. Do tej pory trzymał się z boku i wcale nie odzywał, ale teraz jego aura – którą Lilian dobrze widziała – zaczęła iskrzyć.

– Czy to jakaś zabawa?! – zawołał. – Jeśli któreś z was go nie uszkodzi, ja zaraz to zrobię!

– Nie, poczekaj! – ostrzegł go Hiacinthus. – Być może on naprawdę nie jest w stanie nam tego wyjawić. Jeśli ktoś kazał mu nas śledzić, mógł również zasznurować magicznie jego usta, by w razie czego nie wydał tej osoby. To normalna praktyka.

– Czy tak właśnie było? – spytał Darrin, ale Silvanus milczał.

– W takim razie zastanawiam się – dodał Fion – dlaczego ta osoba nie zasznurowała mu ust całkowicie? Przecież zwykle zakłęcie milczenia działa tak,

że usta zaklętego całkowicie zamykają się w razie kontaktu z tym, z kim nie wolno mu rozmawiać. Czasami zaklęta osoba nie może nawet się ruszyć. Ale ty – wskazał na Silvanusa – z nami rozmawiasz...

– Bo on nas okłamuje! – krzyknął Jonathan. – Nie widzicie tego?!

– On nie kłamie! – zawołała nagle Lilian.

– Niby skąd możesz to wiedzieć?

– Bo... Po prostu wiem.

Nie mogła zdradzić Jonathanowi prawdy, bo wtedy cały plan czytania Silvanusa spaliłby na panewce. Żaden inny sposób przekazania tej wiadomości również nie wchodził w grę, bo Jonathan nie potrafił używać Echa. W tej chwili był zresztą tak zdenerwowany, że nie potrafił nawet skojarzyć najprostszych faktów: wiedział przecież o zdolnościach Toma i Lilian.

– Osoba, która poinformowała mnie o waszej misji, nie jest wrogiem – oznajmił spokojnie Silvanus. Bliźnięta, wyrwane na moment ze stanu skupienia, nie były jednak w stanie ocenić prawdziwości tych słów. Zresztą nawet jeśli Silvanus mówił prawdę, tylko komplikowało to sytuację. Gdyby mieli do czynienia z wrogiem, sprawa byłaby o wiele jaśniejsza.

Darrin złapał się za głowę. On również zaczął coraz bardziej się denerwować.

– Czekajcie – powiedział. – Być może uda nam się dojść do tego, kim jest ta osoba, jeśli zadamy odpowiednie pytania.

Silvanus przecząco pokręcił głową.

– Nie wolno mi odpowiadać na żadne pytania dotyczące tej osoby.

– Na pewno istnieje jakiś sposób, by odczynić ten urok, prawda? – Jonathan spojrzał błagalnie na Toma.

– To nie takie proste – odparł Tom. – By odczynić czar, zwykle trzeba użyć tych samych składników, których używał rzucający. W każdym dobrym zaklęciu kryje się jakaś... zagwozdką. Coś, co rozumie tylko twórca uroku.

Lilian wciąż przyglądała się Silvanusowi. Miała wrażenie, że był przełknięty nie tylko dlatego, że go związali. Sam zdawał się nie rozumieć tego wszystkiego. Nie okłamywał ich i na pewno nie chciał zrobić krzywdy. Ale jeśli ktoś wysłał go za nimi, by ich śledził, to kto? I dlaczego?

– Dobra, spróbujmy inaczej. – Jonathan kilkoma susami doskoczył do Silvanusa. Tom i Lilian przygotowali się do reakcji. W końcu fer wciąż był im potrzebny. Jednak Jonathan tylko przy nim przykucnął i zapytał:

– Widziałeś dziewczynę o jasnych włosach? Niezbyt wysoką, z twarzą pokrytą piegami? Towarzyszyła jej druga, ze śniadą skórą, na głowie miała kolorowe sznury i...

– Wiem, o kim mówisz – przerwał mu Silvanus. – Znam wasze przyjaciółki i wiem, co się z nimi stało.

– Więc...?

– Porwali je Tirnanie.

– Zdążyliśmy się domyślić – prychnął Darrin. – Wiesz, dokąd je uprowadzili? I po co?

Silvanus znów przez chwilę nie odpowiadał, więc i w tym wypadku musiały wiązać go czary.

– Znam odpowiedzi na każde z tych pytań – odparł powoli – ale nie o wszystkim wolno mi mówić. Mogę powiedzieć tylko tyle, że nic im nie grozi. W każdym razie nic strasznego, o ile będą współpracować z królową Tir-na-Nog.

Jonathan przyglądał się Silvanusowi tak, jakby miał zamiar go kopnąć. Ostatecznie stłumił jednak swój gniew i znów oddalił się o kilka metrów.

– Co z nim zrobimy? – spytał Hiacinthus. – Puszczamy go wolno czy zabieramy ze sobą?

Darrin spojrział na pozostałych. Teraz, gdy zabrakło wśród nich Strażniczki kamienia-władcy, to on miał przewodzić grupie. Musiał przyznać, że uwolnienie Silvanusa byłoby wygodnym rozwiązaniem. Ciągnięcie go ze sobą do Tir-na-Nog znacznie by ich spowolniło, jednak z drugiej strony fer był na razie jedynym źródłem odpowiedzi na ich pytania.

– Zabieramy go – powiedział więc Darrin.

Na krótki moment w oczach Silvanusa pojawił się niewypowiedziany strach. Lilian dobrze go rozumiała. Jeśli oni sami bali się zapuszczać do Cienistej Krainy, co miał powiedzieć fer, któremu za powrót groziła śmierć?

– Dobrze – powiedział Tom. – W takim razie będziemy pilnować go na zmianę. Tymczasem... – Powiódł wzrokiem w kierunku Jonathana, po czym zwrócił się do Lilian: – Musimy go chyba trochę uspokoić, prawda?

Lilian przytaknęła i oboje podeszli do Jonathana.

– Twoja aura wydaje się nieco... naelektryzowana – zaczęła nieśmiało Lilian. – Może moglibyśmy... No wiesz, pomóc?

Przez chwilę Jonathan miał ochotę poczęstować ją jakąś niewybredną odpowiedzią na temat magii i spokoju, ale to chyba oznaczało, że faktycznie potrzebował pomocy bliźniąt. Wzruszył więc tylko ramionami, usiadł na ziemi i poddał się ich kojącej magii.



Rozdział 22

Wielki Pan

Astrin nie miała pewności, czy właśnie tak sobie to wszystko wyobrażała. Niewątpliwie Zakon Szmaragdowego Klejnotu osiągnął swój niemal odwieczny cel, a ona była tego świadkiem, jednak wciąż miała wrażenie, jakby znalazła się w nieodpowiednim miejscu. Powiodła wzrokiem po pozostałych zebranych – przybyli prawie wszyscy przedstawiciele zakonu, około trzydziestu najbardziej wytrwałych i najwierniejszych członków – żaden nie wydawał się zafascynowany widokiem. Jeśli coś czuli, to raczej nie zachwyt, ale dziwny, niewypowiedziany rodzaj strachu. Nie ulegało wątpliwości, że obcowali ze świętością, jednak przerosła ona wyobrażenia ich wszystkich.

A sam władca? Tak, wreszcie udało się go rozbudzić. Wielki Pan siedział tu przed nimi na zniszczonym tronie, w starej świątyni, ostatnim przybytku chronionym jeszcze magią zakonu, o którym nikt nie widział, i patrzył na nich przenikliwym, choć wciąż osłabionym spojrzeniem. Z ledwością poruszał powiekami, nie wspominając już o dłoniach czy stopach, którymi potrafił jedynie drgnąć od czasu do czasu. Cóż za słabość! A jednak nikt nie ośmieliłby się nawet pomyśleć o skrzywdzeniu go. Wielki Pan był już przebudzony i nawet gdyby wydawał się najśłabszą istotą, jaka istniała w całym wszechświecie, żadna siła nie wpędziłaby go z powrotem do grobu.

A jednak Astrin nie umiała patrzeć na niego inaczej niż z obrzydzeniem.

Wszyscy liczyli na to, że w końcu usłyszą pierwsze słowa pana. W jakim języku je wypowie? Czy będą w stanie je zrozumieć? Jednak na razie władca jedynie charczał, jakby każde jego tchnienie miało być ostatnim. Z wielkim

wysiłkiem kradł powietrze, które próbowało umykać przed jego ustami. Po każdym tchnieniu następowało kolejne, może trochę silniejsze, aż wreszcie przemówił:

– Jestem już stary... – Jego głos wypełnił całą przestrzeń i odbił się echem w zimnych ścianach budowli, sprawiając, że po plecach Astrin przebiegł chłodny dreszcz. – Bardzo stary...

Wypowiedział te kilka słów po angielsku. Potem wydał z siebie przeciągły jęk. W jego głosie niewątpliwie wyczuwało się rodzaj tajemniczej siły, gotowej, by wydawać rozkazy i panować, niecierplivej, jakby wiekowość nie nauczyła jej czekania.

– Panie... – wydusił ktoś z siebie. – Przybywamy, by ci służyć.

– Chcecie mi służyć? – zacharczał znów władca. – To dobrze... Każda istota ma swoją powinność do wykonania. Wszystkich nas wiążą stare prawa. – Z trudem łapał każdy kolejny oddech. – Wy znacie swoją powinność... Ale kim jesteście?

Mistrz wyszedł przed szereg. Z ręką na sercu i pochyloną głową, odparł:

– Jesteśmy Zakonem Szmaragdowego Klejnotu, najwierniejszymi sługami twojego majestatu. Od setek lat próbowaliśmy znaleźć twoje... *ciebie*, by przywrócić dawną świetność królestwa, jakie stworzyłeś. Istniejemy niemal od samego momentu twojego odejścia i poszukujemy klejnotu, który pozwoli ci rządzić ponownie.

– Mówicie o wielkiej obrzydliwości. – Wielki Pan nieznacznie skinął głową. Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć na te słowa.

– Mówimy o... – zaczął mistrz, jednak władca przerwał mu.

– Kamieniu tej... wstrętnej. Tak... Chcę go mieć! – W jego głosie rozbrzmiała na moment nowa siła, jakby wizja kamienia przywracała mu dawną moc.

– Wiemy już, gdzie się znajduje. Wiemy też, kto go posiada. – Mistrz wyraźnie ucieszył się, mogąc przekazać tak ważną nowinę. Wielki Pan nie wydawał się jednak poruszony.

– Długo wam to zajęło, skoro istniejecie od setek lat – odparł, po czym się zakrztusił. Mistrz podbiegł do niego, ale władca ostrym spojrzeniem dał mu do zrozumienia, że nie życzy sobie, by go dotykał. – Ja – ciągnął – znalazłbym go od razu. Ale... Tak, chcę, żebyście opowiedzieli mi o swoich poszukiwaniach.

Mistrz wrócił na swoje miejsce. Teraz nie wiedział, jak zacząć. Wieści, które miał do przekazania, mogły okazać się niezadowolające.

– Wiemy, że Strażnicy Żywiołów zostali przebudzeni. Nie znamy tożsamości ich wszystkich, ale wiemy, kto stał się Strażniczką kamienia D... Danu... – Wiedząc już, że Wielki Pan nie lubi brzmienia tego imienia, mistrz wypowiedział je z pewną dozą ostrożności. – I... Cóż, próbowaliśmy go przejąć.

– W jaki sposób?

– Najpierw poprzez opętanie, tylko... Nie udało się. Maczała w tym palce nimfa Erato. Ta młoda wiedźma, Kate Hallander, zdołała wykraść kamień, ale wtedy on w niej zamieszkał. Od tego czasu działania zostały utrudnione. Jeden z członków zakonu starał się zmusić czarownicę, by oddała kamień. Wreszcie

postanowiliśmy ją zabić, ale wygląda na to, że klejnot chroni ją w niezwykle sposób i teraz nie mamy do niej żadnego dostępu.

Po tych słowach zapadła cisza, przerywana jedynie charczeniem władcy. Wielki Pan wyglądał na zamyślonego. Utkwił czarne oczy w mistrzu i oznajmił:

– Kamień zawsze chroni tego, kto go posiada. Jedyne najbardziej żałośni głupcy mogą sądzić, że jest inaczej! – Gniew w jego głosie sprawił, że kilka osób zadrżało, a mistrz spuścił wzrok.

– My... próbowaliśmy. Myśleliśmy...

– Nie będę śledził waszych myśli – powiedział Wielki Pan – jeśli nie będę tego chciał...

Ostatnie słowa zabrzmiały niczym ostrzeżenie. Teraz wszyscy już wiedzieli, że władca nie jest im wdzięczny za rozbudzenie go, domyślali się, że nie byli mu do tego potrzebni i głupotą było sądenie, że do czegokolwiek się przyczynili. Ich misja wydała się bezsensowna. A jednak, gdyby nie oni... Przecież czegoś jednak dokonali.

– W ciągu wszystkich lat istnienia naszego zakonu odkryliśmy wiele rzeczy dotyczących ciebie i twojego królestwa, panie. Większość tego wszystkiego pozostaje jednak dla nas zagadką. Nie wiemy nawet... Nie znamy twojego imienia.

Usta władcy wykrzywił grymas. Wielki Pan wyglądał, jakby próbował się zaśmiać, jednak wywoływało to zbyt wielki ból.

– Nie zdradzę wam swojego imienia – oznajmił. – Powinniście znać odwieczną zasadę magii. Kto zna imię, ma kontrolę nad tym, który je nosi.

– Panie, wybac...

– Niemniej chcę poznać... twoje imię. – Wielki Pan utkwił w mistrzu ostre spojrzenie, a ten się zawahał. Dotąd skrywał swoje imię nawet przed większością członków zakonu, ale nie mógł skłamać przed władcą.

– Nazywam się Ruben Harrington – oznajmił. – Pochodzę ze starego rodu magów.

– Czy cały ten ród jest mi wierny?

– Niestety nie...

Władca znów zacharczał. Nie pytał o nic więcej, a członkowie zakonu milczeli. Mistrz również nie ważył się zadawać kolejnych pytań. Trwali tak przez dłuższą chwilę, gdy Wielki Pan oddychał, nabierając sił.

– Będę potrzebował więcej krwi – przemówił znowu. – Ludzkiej lub ferzej. Ta dziewczyna, która przyszła, by mnie przebudzić... Jej krew smakowała dobrze.

Astrin poruszyła się niecierpliwie. Wolała uniknąć kolejnych przepraw z Melindą Gibbons. Sądziła, że ta sprawa będzie już zamknięta.

– Nie lubię zostawiać niedokończonych posiłków... – Wielki Pan westchnął. – Zajmiecie się tym później. Tymczasem... – Pociągnął nosem i zwrócił głowę nieco w górę. Towarzyszył temu nieprzyjemny odgłos rozciągania i trzask w kościach. – Czuję ich...

Wśród zebranych zapanowała konsternacja.

– Czy chodzi o Strażników? – zapytał mistrz.

– Tak... O Strażników... O MOICH Strażników. Wciąż gdzieś tu są, gotowi odpowiadać na moje rozkazy!

Mistrz odetchnął z ulgą – wreszcie znalazł coś, czym prawdziwie mógł się pochwalić.

– Przebudziliśmy ich – powiedział. – Zaraz po tym zniknęli, ale... Cóż, spodziewaliśmy się, że gdzieś już działają.

Ostatnie słowa były kłamstwem. W rzeczywistości, odkąd kilka miesięcy temu Robert przebudził czterech sług, ci nie dawali znać o swojej obecności, nie ukazali się im, jakby wcale nie byli zainteresowani tym, kto dał im nowe życie. Może właśnie teraz, gdy Wielki Pan również odzyskał świadomość, w końcu przybędą? Tylko co wtedy stanie się z zakonem? Czy mając u boku swoich dawnych poddanych, Wielki Pan będzie potrzebował kogokolwiek innego?

Władca stracił zainteresowanie mistrzem i skupił wzrok na odległym punkcie sali, wysoko ponad głowami zgromadzonych. Kolejne wypowiedziane przez niego słowa przypominały świst. Astrin nic z nich nie zrozumiała, nie potrafiła nawet rozpoznać języka, w jakim zostały wypowiedziane, czuła jednak, jak porusza się od nich powietrze. Język, jakim posługiwał się teraz Wielki Pan, musiał być tak stary, że zawarta w nim magia była w stanie wpływać na wszystko wokół.

Powietrze stało się przeraźliwie chłodne. Gdzieś w oddali zadał wiatr, a po chwili do sali wpadły mgliste postacie. Sunęły w powietrzu jak długie wstęgi dymu. Szeptały coś i lawirowały wokół tronu, aż wreszcie opadły u jego stóp i uformowały się w konkretne kształty: czterech jeźdźców na wysokich koniach.

Trudno było nie wyczuć lęku, jaki przyniosło ze sobą pojawienie się tych istot. Astrin miała wrażenie, jakby miejsce, z którego pochodziły, dawno temu zostało już wyrwane z czasu i przestrzeni. Były równie wiekowe co Wielki Pan, ale wydawały się zdecydowanie mniej realne od niego. Biła od nich złowroga, potężna energia, która wypełniała całą przestrzeń.

Jeźdźcy nie spojrzeli na członków zakonu. Stali tylko przed swoim starym władcą, a on zaczął do nich przemawiać w prastarym języku. Teraz nabierał coraz większej mocy, przestał wypluwać z siebie słowa, a zamiast tego wypowiadał je z coraz większą swobodą i niemal gracją. Gdy skończył, konie jeźdźców, jeden po drugim, zaczęły podskakiwać w górę, na nowo zamieniając się w mgłę. Z nową siłą, podsyconą samą obecnością przebudzonego władcy, jeźdźcy ruszyli, by wykonać powierzoną im misję.

Pędzili przed siebie, na stare wzgórze, gdzie niegdyś dokonano wielkiego połączenia; pędzili, by odwrócić tamten czar. Pędzili, by przedłużyć noc i powstrzymać dzień, aby kolejne wschodzące słońce zwiastowało nadejście panowania władcy, który powrócił z krainy zapomnienia.



– Czuliście to? – Lilian objęła się ramionami i zadrżała.

– Co? – Tom zaczął się rozglądać. – Miałaś kolejną wizję?

Wciąż podążali ścieżką do Tir-na-Nog. Silvanus, mimo obaw Darrina, ich nie opóźniał – nie stawiał oporu i niewiele się odzywał, najwyraźniej zbyt przerażony perspektywą powrotu do krainy, która go odrzuciła.

– Nie, to nie wizja – odparła Lilian – ale... Sama nie wiem, zrobiło mi się nagle strasznie zimno i miałam wrażenie, że... że coś przeze mnie przeniknęło.

– Ja niczego nie poczułem – oznajmił Darrin tonem mającym uciąć temat.

– To normalne, że robi się chłodniej – zaczął tłumaczyć Fion. – Jesteśmy już bardzo blisko Tir-na-Nog, a tamtejsze fery nie lubią tak ciepłego lata jak my w Elphame. Utrzymują nieco niższą temperaturę.

– Nie, to nie to – upierała się Lilian. – To uczucie było nagłe, a zimno lodowate. Potem znikło.

– Może znów wyczułaś emocje kogoś innego? – spytał Hiacinthus.

– Ale chyba nikt nas znowu nie śledzi? – zmartwił się Jonathan.

Lilian wiedziała, że chłód oznaczał coś innego, nie wiedziała tylko co. Przez kilku sekund po jej plecach przebiegały dreszcze, a głęboko w niej samej odezwał się niewytłumaczalny lęk. Coś się szykowało, coś naprawdę wielkiego. Na próżno jednak było szukać zrozumienia u reszty, skoro żadne z nich nie było wyczułone na takie rzeczy.

Niewiele dalej, niemal przed samymi murami Tir-na-Nog, gdzie kończyła się o wiele dłuższa i bardziej kręta droga do Cienistej Krainy, to samo uczucie rozpoznała nagle Selene. Dotąd rozglądała się wciąż za kamieniem, na którym całkowicie skupiła uwagę, jednak pojawienie się nagłego chłodu natychmiast skierowało jej myśli w inną stronę.

– Co jest? – spytała. – Dlaczego nagle powiało takim chłodem?

– Chłodem? – zdziwił się Harold. – O czym ty mówisz?

– Wyraźnie czułam lodowate zimno, gdzieś jakby... nad nami, tuż nad moją głową.

– Powinnaś wreszcie skupić się na naszym celu – ucięła Badb – a nie chodzić z głową w chmurach. Czy musisz wreszcie powiedzieć ci to wprost? Nie znajdziesz tego kamienia, choćbyś przeszukała cały świat.

Selene stanęła jak wryta.

– Ja wcale... – Chciała zaprzeczyć, jednak... właściwie dlaczego miałyby to robić? Kim takim była dla niej Badb, by musiała się jej tłumaczyć? – To nie twoja sprawa, czego szukam. Ciesz się, że w ogóle postanowiłam cię wesprzeć!

– Musisz być szalona, jeśli uważasz, że potrzebowałam twojej pomocy! – zawołała Badb.

– Jeśli jej nie potrzebowałaś, nie musiałaś o nią prosić!

– I nie zrobiłabym tego, wiedząc, że nie umiesz patrzeć dalej niż na czubek własnego nosa!

– Uspokójcie się – syknęła pani Hallander. – To...

Ale było już za późno. Selene i Badb stały przed sobą, miażdżąc się

spojrzeniami. A potem odwróciły się do siebie plecami i zaczęły zmierzać w przeciwnych kierunkach.

– Co robisz?! – zawołała za Selene Hillena. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że teraz ze wszystkiego rezygnujesz? Teraz, gdy już tu zaszliśmy?! A co z Dianą?!

Selene pomachała jej tylko ręką, a potem po prostu... zniknęła.

– Przeniosła się! – zawołał Harold.

– I co mnie to obchodzi?! – warknęła Badb. – Bardzo dobrze, od początku tylko zawadzała.

– Ale...

Harold prznosił zszokowane spojrzenie ze swojej żony na miejsce, w którym przed chwilą stała Selene. Badb zdawała się wcale nie rozumieć, o co mu chodzi. Teraz, gdy wszystkie jej myśli krążyły wokół porwanej Fione, jakby całkiem zapomniała o niezwykle istotnej rzeczy. Ale pani Hallander dobrze rozumiała szok w oczach Harolda, bo... To była prawda, Selene przeniosła się, ale, zgodnie z wszelkimi zasadami, jakie panowały w Lesie Wielu, nie miała prawa tego zrobić. Po prostu nie było takiej możliwości.

A jednak... naprawdę to zrobiła.



Astrin uważnie studiowała rysy Rubena, gdy pochylał się nad pustym stołem. Przyglądał się drewnianemu blatowi w taki sposób, jak gdyby pod nim kryła się mapa, która odsłaniała się teraz przed jego oczami. Szkoda tylko, że w ten sam sposób jego uczucia nie odsłaniały się przed Astrin. Była wprawdzie empatką i spędzenie kilku lat w obecności Rubena pozwoliło jej nauczyć się nieco o tym, jak stopniowo i nienachalnie czytać jego wnętrze, jednak on doskonale potrafił je maskować. Mimo to pod kamienną maską coś się kryło: przygnębienie, może zawód?

Teraz byli już z dala od tamtego budynku, z powrotem w Świątyni Pierwotnego Światła. Tylko Ruben i Astrin, która postanowiła wreszcie zacząć rozmowę:

– Czy coś...?

– Owszem. – Ręce Rubena zaczęły drżeć. Gdy się odwrócił, na jego twarzy widoczne były różne uczucia, przede wszystkim złość. – Nie rozumiem tego. Tak długo się staraliśmy, tak wiele czasu nam to zajęło, a on... On nie okazał nawet najmniejszej wdzięczności!

Ruben kręcił głową z niedowierzaniem, ale Astrin, choć nie mówiła tego na głos, nie była zaskoczona zachowaniem Wielkiego Pana. Jego nie dotyczyły zwykłe uczucia i właściwie dlaczego miałby być komukolwiek wdzięczny? Tak naprawdę nie potrzebował zakonu. Gdyby nie oni, ktoś inny pomógłby mu się przebudzić, a nawet jeśli nie, to pewnie prędzej czy później sam zdołałby to

zrobić.

- A my tak długo staraliśmy się zdobyć dla niego ten kamień – ciągnął Ruben.
- I po co? Teraz on mówi, że znajdzie go sam!

Astrin zastanawiała się, jaka relacja łączy Wielkiego Pana i kamień Danu, jaka była ich historia. Nie spodziewała się, że stary władca zechce wiele o tym mówić, miała jednak nadzieję, że zdradzi choć część tych starożytnych sekretów. Teraz mieli je na wyciągnięcie ręki, ale on postanowił milczeć na ich temat.

- Nie tak sobie to wyobrażałem! – Ruben westchnął. – Nie taki był mój cel.
- Ani mój... – przyznała Astrin.

Jak wszyscy w zakonie, ona również miała swoje ukryte cele. Nikt nie musiał o nich wiedzieć, nawet Ruben. Zresztą od początku traktowała go jako cel sam w sobie. Chciała być jak najbliżej niego, by jednocześnie mieć pełen dostęp do sekretów zakonu, ale nigdy nie zależało jej na tym konkretnym mężczyźnie.

Osiągnęła ten cel. Stała się prawą ręką Rubena Harringtona i jako jedna z nielicznych, przynajmniej do dziś, znała jego prawdziwe imię. Jej pozycji tylko na chwilę zagroziła tamta Gibbons, ale teraz nie miało to już znaczenia. Mistrz odkrywał przed nią swoje serce i – co ważniejsze – swoje plany, a ona wysłuchiwała go z chłodną trzeźwością.

- Myślę, że przez cały czas popełnialiśmy błąd – oznajmił.
- Błąd?
- Tak. Bo widzisz... Właściwie po co przez tyle wieków zakon poszukiwał tego kamienia dla władcy? Czy nie lepiej byłoby... – Utkwił w Astrin chłodne, niewzruszone spojrzenie – ...pozyskać go dla siebie?

Astrin uniosła brwi. Prędzej czy później Ruben musiał na to wpaść, jednak dlaczego dopiero teraz? Najwyraźniej naprawdę był wierny misji.

- Ty i ja – ciągnął – bez całej reszty tych półgłówek, którzy nigdy na nic się nam nie przydali. Mam pewien plan, tylko najpierw... Cóż, będziemy musieli znaleźć coś, co nam pomoże...

Gdy to powiedział, dał się słyszeć dźwięk spadającej książki. Mistrz, nauczony doświadczeniem, podszedł do niej i zabrał ją ostrożnie z podłogi tak, by nie przewrócić stron, na których się otworzyła. Wrócił z książką do Astrin i przeczytał:

- *Isindel, pradawny podróżnik, powiedział kiedyś: „Gdybym pragnął poznać wszelkie tajemnice Jaaru, udałbym się w podróż do samego serca Tir-na-Nog”.*

Posłał Astrin znaczące spojrzenie, na które ta nie wiedziała, jak odpowiedzieć.

- Nie rozumiem... – oznajmiła powoli.
- To wskazówka! Kolejna wskazówka! Bo ta książka... – Zaczął dokładnie oglądać okładkę.
- Co z nią? – spytała Astrin.
- Sam nie wiem, ale wygląda na to, że ktoś używa jej, by mi pomóc. To właśnie na jej stronach pojawiło się nazwisko Gibbons.
- Doprawdy? Myślałam, że oszukałeś wtedy tę dziewczynę. Ale skoro tak, to kto właściwie ci pomaga?

– Tego jeszcze nie wiem. Musimy jednak to sprawdzić, wybrać się razem do Tir-na-Nog i zbadać, o co chodzi.

– My? – podchwyciła Astrin.

Mistrz uśmiechnął się do niej.

– Chyba chcesz ze mną pójść, prawda?

Astrin nie odpowiedziała od razu. Wyprawa do Tir-na-Nog z całą pewnością będzie niebezpieczna. Ale teraz nie można było już się wycofać.

– Tak – odparła Astrin – wyruszymy razem.



Rozdział 23

Dwanaście rodów

Thurisz zakryła amulet, w którym uwięziła Kate, aksamitną czarną woalką. Nie rzuciła na niego jednak żadnych dodatkowych czarów. Dziewczyna musiała wszystko usłyszeć, a potem zrozumieć – taka była część planu.

Tron, na którym siedziała, stał pośrodku świątyni Przyjaciela. Za nim na złoty posąg boskiej istoty padały światła rozlicznych pochodni w kształcie węży – ogień wydostawał się z ich paszcz i lizał krawędzie posągu. Przyjaciel wyglądał, jak gdyby kąpał się w ich ciepłe. Dwie ciemne ręce uniesione miał w górę – na dłoniach również płonęły ogniska. Między skrzyżowanymi nogami a brzuchem posągu leżała ogromna kula – symbol Tir-na-Nog. Przyjaciel spoglądał na nią lśnącymi, błękitnymi oczami, wykonanymi z ogromnych kawałków lazurytu. Posąg ten zdobił świątynię już od dwóch tysięcy lat.

Przed tronem ustawiony był długi stół – jego blat i krawędzie pokrywały połyskujące symbole ze złota oraz słowa w starym języku ferów, jeszcze z czasów, gdy nie został on podzielony. Napis głosił: *Tu spotykają się ci, którzy bronić winni tej krainy, a ich decyzje, przez mądrość królowej i łaskę Najwyższych, ziścić się muszą.* Przy stole, na krzesłach nie mniejszych niż tron władczyń, zasiadali starzy przedstawiciele dwunastu świętych tirnańskich rodów. Ich miny były spokojne, zdradzające lekkie wyczekiwanie, ale nie strach, pomimo tego, że każdy z zebranych tu ferów wiedział, że zaproszenie na obrady musiało mieć źródło w czymś ważnym.

W tych rzadkich momentach, gdy rody zbierały się w świątyni Przyjaciela,

Thurisaz przypominała sobie o dniu, w którym została władczynią. Był to długi, skomplikowany i bolesny rytuał, a oni wszyscy brali w nim udział. Patrzyli na nią tak samo jak teraz, wzrokiem pełnym szacunku, ale nie poddańczym. Nigdy nie wolno było jej zapomnieć, z czyjego nadania stała się królową.

Dla postronnego obserwatora ten widok mógł wydawać się osobliwy. Oto młoda ferini zasiada jako przywódczyni zebranych wokół niej wiekowych i zapewne przewyższających ją mądrością ferów. Thurisaz pamiętała jednak twarze swoich towarzyszy z czasów, gdy byli o wiele młodszy, w istocie niektórzy z nich, gdy mianowano ją na królową, byli jeszcze dziećmi. Oprócz wyrzeczeń, jakie pociągała za sobą funkcja władczyni Tir-na-Nog, istniały bowiem też pewne dary – wieczna młodość stanowiła jeden z nich. Jednak żaden z darów nie był jej dany na zawsze, a każdy miał służyć dobru krainy. Zadaniem dwunastu rodów było dbanie, aby królowa nigdy nie wykorzystwała tych mocy przeciwko swoim poddanym.

Od wielu dni Thurisaz myślała o tym, w jaki sposób rozpocząć obrady. Nadal nie była pewna właściwego doboru słów. Nadal nie wiedziała praktycznie nic na temat tego, co miało się wydarzyć. Ostatecznie jednak wszyscy przybyli tu, by ją wesprzeć, więc liczyła, że wspólnymi siłami uda im się coś ustalić.

– Podejrzewam, że Tir-na-Nog grozi niebezpieczeństwo – oznajmiła. Nie tak wyobrażała sobie te słowa, jednak same wyszły z jej ust, jakby od dawna już próbowały to zrobić i nie miały zamiaru dłużej czekać na jej pozwolenie.

Przedstawiciele rodów pozostali niewzruszeni, królowa mogła więc kontynuować. Opowiedziała całą historię, prosząc Cuchulaina, by ją uzupełniał. Na samym końcu przekazała najistotniejszą wiadomość: tę o przebudzeniu siódmego Strażnika. Dopiero ona wywołała pewne poruszenie.

– Czy on nie jest jedynie legendą? – odezwał się czyjś cienki, stary głos.

Hagadi – przedstawicielka rodu Agła, obrońców czarnej ziemi z północy. Była najstarsza ze wszystkich, jej oczy wyblakły i stały się niemal całkiem przezroczyste, a motyle skrzydła, niegdyś błękitne, a teraz siwe niczym jej skłębione włosy, były postrzępione. Trzymała się stołu trzęsącymi się dłońmi, zachowując etykietę nakazującą stać podczas przemowy, mimo że nikt tego od niej nie wymagał.

– Historie o siódmym Strażniku słyszałam już w dzieciństwie – oznajmiła – nigdy jednak nie pojawił się w Tir-na-Nog. Lata życia w Cienistej Krainie nauczyły mnie, że zawsze zdawaliśmy się jedynie na siebie, a w obliczu zagrożenia, o jakim mówisz, nie wolno nam czekać.

– Zgadza się.

Teraz powstał wysoki Illapa, wysłannik rodu Hedfan. Od początku istnienia Cienistej Krainy jego przodkowie pilnowali jej wschodnich granic. Illapa miał na sobie czerwony płaszcz, opadający mu na złociste ciało. Jego czarne włosy, długie i gęste, zdobiły klejnoty oprawione w złoto.

– Od dawna badano, kim może być siódmy Strażnik – ciągnął Illapa – ale nigdy nie znaleziono potwierdzenia jego istnienia. Mówi się, że w rzeczywistości to Przyjaciel, ten sam, którego czcimy w tej świątyni.

– Mędrzec twierdzi, że siódmy Strażnik istnieje – oznajmiła spokojnie Thurisaz, słusznie spodziewając się, że to utnie spekulacje w tej kwestii. Nikt nigdy nie podważał słów Mędrca, gdyż wierzono, że przemawia przez niego mądrość samego Drzewa Wzroku, a podważyć tę mądrość oznaczałoby sprzeniewierzyć się całej krainie.

– Czy Mędrzec wspomże nas dziś swą radą? – odezwał się siedzący na końcu stołu drobny fer. Jego ciało przypominało krater wulkanu, poprzecinany strumieniami lawy, zaś sterczące włosy kojarzyły się z twardą słomą, były jednak granatowe. Setlan, przedstawiciel rodziny Thungela pochodzącej z południowych rubieży, nie dbał o etykietę, pozostając na miejscu podczas przemawiania. Był najmłodszy ze wszystkich.

– Nie – odparła Thurisaz.

– Szkoda... – W głosie Setlana pobrzmiwał zawód połączony z pewną podejrzliwością.

– Tak czy inaczej – odezwał się znów Illapa – nie wiemy, kim jest siódmy Strażnik ani gdzie się pojawi, co oznacza, że musimy działać sami. Czy ktoś z was przypuszcza, czym mogą być czterej jeźdźcy, o których wspomniała królowa?

Mniej więcej ze środka stołu rozległo się chrząknięcie. Akteon z rodu Aveta, dbającego o to, by granicom Tir-na-Nog nie zagroził żaden wróg pochodzący ze świata duchów, czekał, aż wszyscy zwrócą na niego uwagę. Akteon był dziwnym starcem – przynajmniej tak nazywała go Thurisaz. Zwykle unosił się w pozycji medytującej, trzymając między uniesionymi dłońmi ognistą kulę. Jego głowę zdobiła okrągła tukha, przypominająca mury obronne.

– Wszyscy znamy przecież historię pradawnego zła – przemówił Akteon, sprawiając, że część siedzących wstrzymała oddech. – Wiemy o czterech potęgach, które miały pojawić się u boku znenawidzonego władcy. Ponoć na ich ślady można natrafić daleko za morzem Gartha, w umarłej krainie.

Thurisaz ścisnęła podłokietniki swojego tronu. Samo wspomnianie o tych sprawach Tirnanie traktowali jako tabu.

– Nie będziemy szukać tam odpowiedzi – powiedziała.

– Nie mówię, by szukać *tam* – odparł niezrażony Akteon. – Twierdzą tylko, że wszystko wydaje się aż nadto logiczne. Jeśli wcześniej widziano w naszych stronach jeźdźca w czarnym płaszczu, zmierzającego na północ, a potem właśnie stamtąd przybyły cztery istoty...

Ktoś ze świstem wciągnął powietrze. Laguz, syn rodu Aderingham z zachodu, nie wyglądał dłużej zabawnie z włosami pełnymi muszelek i okrągłym brzuchem, zdobionych niewprawnie zapisanymi symbolami. Na jego seledynowej twarzy pojawił się strach.

– Ale chyba nie twierdzisz... – zaczął. – To niemożliwe, by ktoś rozbudził starych... Nasi przodkowie dobrze ich zabezpieczyli!

– Stare zło zostało ostatecznie pokonane! – zawołał ktoś inny.

– Co nazywasz złem? – rozległo się pytanie. – Wśród nas znaleźli się tacy, którzy opowiadali się po jego stronie.

– Ale teraz mówimy jednym głosem! – zawołała ferini o aksamitnej bordowej skórze pokrytej zielonymi tatuażami, z długimi rudymi włosami, Mokosh, przedstawicielka rodu Talemh, dbającego o sprawy wewnętrzne Cienistej Krainy.

– Czyżby? – prychnął Setlan.

Thuriszaz musiała uciąć tę dyskusję. W tej chwili potrzebowali jednomyślności, a zaczęli balansować na granicy kłótni i wzajemnych oskarżeń.

– Dość rozmów o starych czasach! Nie wiemy, czym są cztery istoty, które nas nawiedziły. I nie wiemy, czego chcą, ale przybyły tu *teraz*.

– Ale jeśli to one... – podjął znów Setlan, uciszony wzrokiem królowej, której oczy rozbłysły gniewem.

– W jaki sposób zagrażają nam ci jeźdźcy? – odezwała się tęga ferini siedząca obok Setlana. Modron, jak większość członków rodu Aihentaya, chroniącego Tir-na-Nog przed zagrożeniami płynącymi ze świata ludzi, miała skórę barwy dojrzałych liści, którą dodatkowo pokrywały błękitne tatuaże. – Rozumiem, że jeźdźców widziano jakiś czas temu, ale słuch po nich zaginął. Gdzie teraz przebywają?

Obok Modron siedziała Nidaba z rodu Freuddywnn, na której wszyscy teraz skoncentrowali wzrok. Jej rodzina sprawowała pieczę nad interesami Tir-na-Nog w całym Jaarze i o tym świadczył wygląd ferini. Na jej granatowym ciele zawieszane było mnóstwo wisiorków, talizmanów, zdobytych chyba w każdej części Jaaru, a jej włosy błyszczały blaskiem gwiazd.

– Od początku naszej rozmowy starałam się zajrzeć w różne miejsca Jaaru, by wyczuć energię tych, o których wspomniałaś – przemówiła. – Nie czuję ich jednak, co musi oznaczać, że te dziwne istoty, kimkolwiek by nie były, nie pochodzą z naszego świata.

– Ani tym bardziej ze świata ludzi – zapewniła szybka Modron. Nie musiała tego zresztą tłumaczyć, skoro wszyscy dobrze wiedzieli, że magia na Ziemi jest już zbyt słaba, by pozwolić tam przetrwać magicznym istotom.

– Więc może... – odezwała się nieśmiało wysoka ferini. Jej ciało otaczało światło, pochodzące z innego wymiaru. Madhuri, córka rodu Sulis, sprawowała pieczę nad światem astralnym, który przenikał wszystkie inne. Pozostali przedstawiciele dwunastu rodów, łącznie z Thuriszaz, uważali ją za jednego z najpotężniejszych członków rady.

Madhuri skupiła się, a wszyscy wiedzieli, że oznacza to, że spróbuje im coś wyjaśnić. Zwykle jednak jej słowa były trudne do zrozumienia.

– Wiecie, czym są prototypy myślowe, prawda? Astralne pierwowzory, które powstają, zanim idea nabierze cielesności? Opis jeźdźców sugeruje, że mogą oni stanowić coś w tym rodzaju. Zdają się nie mieć ciał, są jak duchy, które przejęły część tej cielesności i próbują poruszać materią. Jeśli tak jest, mogą stanowić prototypy, które wyrwały się ze świata astralnego i podejmują próby, by zaistnieć.

– Skoro już mowa o świecie fizycznym, to i ja wtrącę swoje zdanie – odparł siedzący obok fer o różowym ciele i siwej brodzie, Sukra, przedstawiciel rodziny

Gvener, dbającej o materialne kwestie Tir-na-Nog. Jego skrzydła były piękne i potężne, nakrapiane różnokolorowymi plamami. – Uważam, że wciąż krążymy wokół tematu, nie znajdując żadnych rozwiązań. Faktem jest tylko to, że dzieje się coś niezwykłego, skoro kamień rozbłysnął. Naszym podstawowym celem powinno być teraz znalezienie siódmego Strażnika i badanie zagrożenia.

Na te słowa powstał Skeiron, wysłannik rodziny Lerutsama, których nazywano chodzącymi po chmurach. Ród Lerutsama sprawował pieczę nad powietrzną przestrzenią Tir-na-Nog i to z niego pochodzili najlepsi, bezszelestni zwiadowcy. Skeiron nosił tukhę, wykonaną w całości z piór, która ciągnęła się za jego plecami niczym ogon. Mógł zmieniać kolor skóry, choć zwykle – tak jak i teraz – ta miała barwę nieba, z którego lada moment może runąć deszcz.

Thurisaz wyjątkowo ceniła Skeirona – ze wszystkich rodów Lerutsama zwykle okazywali się najbardziej przydatni i skłonni do współpracy.

– Moi synowie zbadają każdy kąt naszej krainy i sięgną daleko poza jej granice. Sprawdzimy każdego, kto pojawi się w Tir-na-Nog i każdego, kto je opuści, a o wszystkim doniesiemy tobie, królowo.

– Dziękuję – odparła Thurisaz. – Z całą pewnością każda informacja będzie przydatna. Pozostałych proszę, by posłuchali słów Skeirona i z równą pieczołowitością sprawdzali każdy szczegół, każdą przesłankę. Wróg może czaić się w najmniej spodziewanych miejscach, ale to samo można powiedzieć o przyjacielu, dlatego musimy zachować wzmożoną czujność. A teraz...

Wzrok królowej powędrował w stronę ostatniej z zebranych, która jak dotąd nie wypowiedziała ani słowa. Vanth, wysłanniczka rodu Alarai, milczała, a jej oczy zasnuwała mgła. Ferini miała ciemną skórę, przywodzącą na myśl puste i zimne podziemne korytarze, jej palce były wydłużone, podobnie jak ogolona głowa, którą zdobiła srebrna opaska. Jej skrzydła przypominały rozłożyste skrzydła nietoperza, obleczone aksamitną skórą. Potomkowie rodu Alarai mieli własne tajemnice i prawa. Rzadko opuszczali podziemia, które zamieszkiwali, a reszta Tirnan nieco się ich obawiała.

– ...chciałabym posłuchać, co ty masz do powiedzenia, Vanth – dokończyła królowa.

Srebrzyste oczy Vanth powędrowały w jej stronę. Ferini wyglądała, jakby wpadła w trans, gdy oznajmiła:

– Ze wszystkich stron może przyjść śmierć albo zwycięstwo. Dawni wrogowie stać się mogą przyjaciółmi, łącząc ze sobą skłócone światy. Ty już wiesz, co robić. Masz przy sobie wszystko, by zbudować potęgę. Dwie odległe dusze spotkają się w tym królestwie, a tam, gdzie zawrą unię, tryśnie nowe źródło życia dla wszystkich ferów.

Pozostali zaczęli szeptać, próbując wytłumaczyć sobie słowa Vanth, nie rozumiejąc, czy były rodzajem przepowiedni, czy też raczej jej wnioskami z tego, co widziała w podziemiach. Nie od dziś wierzono, że to tam, gdzie sięgały najgłębsze, duchowe korzenie Drzewa Wzroku, kryły się odpowiedzi na wszelkie pytania. Thurisaz jednak, zamiast zastanawiać się nad słowami, które wypowiedziała Vanth, zapamiętała je, by później podzielić się nimi z kimś, kto

będzie umiał lepiej je zrozumieć.

Obrady trwały jeszcze przez pewien czas. Każdy oferował swoje usługi, a także możliwe rozwiązanie problemu, jednak Thurisaz nie słuchała już rad i zapewnień, wciąż powtarzając w głowie słowa Vanth. Wreszcie powstała i oznajmiła:

– Dziękuję wam wszystkim za przybycie. Dotrzymajcie swoich zobowiązań i bądźcie ze mną w ciągłym kontakcie. Tir-na-Nog może być zagrożone, jednak wierzę, że wyjdziemy z zagrożenia zwycięzcy i wzmocnieni. Na koniec – uniosła dłonie, z których zaczęły wydobywać się złocista energia – błogosławię was mocą Matki, Przyjaciela i Straszliwej. Oby towarzyszyła wam we wszelkich poczynaniach i chroniła.

Złocista energia opadała na ciała dwunastu przedstawicieli, zagnieżdżając się w ich sercach. Następnie wszyscy po kolei zaczęli znikać, zostawiając królową samą. Thurisaz przywołała swoich strażników i opuściła świątynię. Idąc ciemnymi korytarzami pałacu, co pewien czas upewniała się, że medalion z zamkniętą w nim Kate wciąż jest na swoim miejscu.

Teraz musiała odbyć jeszcze jedną ważną rozmowę.



Tak jak przypuszczała Thurisaz: ze wszystkiego, co powtórzyła Mędrcomi, najbardziej zainteresowały go słowa Vanth. Lata obcowania z Drzewem sprawiły, że stał się wyczulony na tajemnicze, niejasne przekazy i to w nich upatrywał sensu. Sama królowa niewiele jednak z tego rozumiała.

– Nie wiem nawet, czy to, co powiedziała Vanth, miało być przepowiednią, czy tylko jej własną propozycją – przyznała.

Mędrzec się uśmiechnął.

– Ani jednym, ani drugim – stwierdził. – Słowa Vanth wynikają raczej z jej mądrości i przenikliwości. Najwyraźniej wie, kto znajduje się na twoim dworze.

– Skąd miałaby to wiedzieć? – zaperzyła się królowa. Jednak szybko sama odpowiedziała sobie na to pytanie. – No tak, szpiegdy...

Władczyni nie wypowiedziała tych słów ze szczególnym niepokojem. W Tir-na-Nog wszędzie byli szpiegdy. Każdy ród miał swoich szpiegów, każdy szpiegował każdego, a nawet gdy któregoś odkryto, nikt się nie obrażał. Bycie poinformowanym było w cenie, a szpiegostwo uważano raczej za przejaw pilnowania interesów krainy niż zdradę.

– Myślisz, że mogła poinformować pozostałych o obecności Fione? – spytała Thurisaz. – Mogliby uznać za wyjątkowo niestosowne to, że pozwalam przebywać na dworze ferini z Elphame.

– Nie sądzę, by Vanth komukolwiek powiedziała. Cóż, ona z reguły niewiele mówi, co pozwala jej zachować swoją pozycję. Zresztą pewnie jak nikt inny

rozumie, że w tym wszystkim może kryć się jakiś sens.

– Jeśli tak jest, to ja sama nadal go nie rozumiem. Vanth powiedziała, że mam wszystko, czego mi potrzeba, ale to przecież nieprawda. Nawet jeśli Fione tu jest i mamy Ailila... Cóż, nie widzę, jaki miałyby to mieć na mnie wpływ. Zgodziłam się ją tu przyjąć tylko ze względu na niego.

– I tym samym wypełniłaś część ich przeznaczenia.

Mędrzec utkwił w królowej badawcze spojrzenie. Nie lubiła, gdy to robił. Jeszcze sto lat temu w ten sposób próbował zmusić ją, by sama szukała odpowiedzi na swe pytania.

– Nawet jeśli... – zaczęła powoli Thurisaz. – Przecież ja wcale nie wiem, co mam robić! – zawołała. Rozsadzała ją wściekłość na własną niemoc. Zacisnęła pięści. Czarna woalka nieznacznie zsunęła się z jej szyi. Królowa szybko ją poprawiła. Kate nie mogła zobaczyć tego miejsca, a przede wszystkim Mędrzec nie mógł wiedzieć, że ją tu ze sobą przyprowadziła.

A może już wiedział?

– Jeśli Fione i Ailil mają wypełnić przepowiednię – powiedziała szybko, by nie dać Mędrceowi szansy na wniknięcie w jej umysł – to musimy czekać, aż Drzewo podaruje nam pieczęć.

– Nie musimy czekać – odparł łagodnie Mędrzec i uniósł rękę. W konarach Drzewa Wzroku coś zaszeleściło i błysnęło. Po chwili spomiędzy liści wyłoniło się niewielkie światło, które spoczęło na dłoni Mędrca. Thurisaz zobaczyła dwie złote obrączki, otoczone sferą jasnego światła. Połyskiwały i kręciły się, wykonując taniec, który ani na moment nie ustawał.

– A więc... – zaczęła królowa.

– A więc znów możemy spróbować – Mędrzec przyjrzał się światelku. – Niech obrączki znów staną się symbolem. Symbol nada znaczenie zdarzeniom i tak, zgodnie z prawem magii, utkamy przyszłość dla Tir-na-Nog.

Mędrzec rozłożył rękę, a obrączki wzbiły się w powietrze i wylądowały na dłoni Thurisaz.

– Teraz wiesz już chyba co robić? – spytał Mędrzec.

– Musi dojść do ślubu – powiedziała królowa. – Jeśli Fione i Ailil się połączą... Tutaj... Tir-na-Nog stanie się sercem świata ferów!

– A ty będziesz królową tego świata.

Thurisaz ukryła obrączki i odwróciła się. Mędrzec powstrzymał ją jednak przed odejściem.

– Oni nadchodzą – powiedział. – Jej rodzina. Mogą sprawić kłopoty.

– Tak. – Królowa pokręciła głową. – Spodziewałam się tego. Muszę wymyślić, co z nimi zrobić.

– Czy myślałaś o...

Gdy Mędrzec mówił, Thurisaz na wszelki wypadek rzuciła dodatkowy czar na woalkę, tak by Kate nie usłyszała jego słów. Nie musiała wiedzieć o wszystkim. Mówiąc, Mędrzec nie patrzył jej w oczy, ale studiował wytatuowany na jej brzuchu labirynt, jakby odbywał w nim ścieżkę myślami i dochodził do ukrytych znaczeń. Thurisaz wysłuchiwała go do końca, a potem podążyła

korytarzem do jednej ze swoich komnat, tam, gdzie wiedziała, że nikt nie będzie jej przeszkadzał. Odsłoniła woalkę, zdjęła amulet, w którym uwięziona była Kate, i otworzyła go.



Rozdział 24

Starożytna opowieść

Kate z trudem łąpała równowagę. Jej ciało z powrotem rozpierzchło się na miliony kawałków, które musiały znów się połączyć. Wróciła przy tym do poprzedniego rozmiaru, ale było jej niedobrze i przez kilka chwil jej mózg próbował przyzwyczaić się do tego, gdzie znajdują się ręce, a gdzie głowa. Gdy tylko odzyskała władzę nad samą sobą, wlepiła w królową spojrzenie, w którym zdumienie mieszało się z szokiem.

– Pewnie się zastanawiasz, po co to wszystko? – spytała Thurisaz. – Dlaczego cię uwięziłam i zabrałam na nasze spotkanie?

Kate pokręciła głową.

– Owszem, zastanawiam się – przyznała. – Nie wiem, dlaczego mnie nie zabiłaś. Miałaś tyle okazji, a teraz...

– Nie chciałam cię zabić. Chciałam tylko, żebyś zrozumiała. Słyszałaś chyba, co mówiłam? Musiałaś słyszeć. Zadbałam, żebyś usłyszała wszystko. Rzuciłam czar, pozwalający ci przez chwilę rozumieć naszą mowę.

Thurisaz wskazała jej łóżko. Dopiero teraz Kate zdała sobie sprawę, że znajdują się w ogromnej i pięknej komnacie. Bogate zdobienia na ścianach i meble lśniły w blasku złocistych lamp, a delikatna pościel na wielkim łóżku miała turkusowy kolor. Kate z ulgą przyjęła zaproszenie, by na niej usiąść.

– Pamiętasz, co powiedziałam. – Thurisaz pokręciła głową. Sama stała teraz przed łóżkiem, cierpliwie czekając, aż Kate na powrót utkwi w niej wzrok. – Widzisz, spotkania przedstawicieli tirnańskich rodów są tajne. Nie wolno mówić o ich przebiegu nikomu, kto nie jest do tego upoważniony, a zwłaszcza osobom

spoza krainy. Gdyby dowiedzieli się, że pozwoliłam ci wszystkiego wysłuchać, moje rozporządzenie obróciłoby się przeciwko mnie. Musiałabym skazać na śmierć samą siebie, a wierz mi, że tirnański honor kazałby mi przyjąć każdą, nawet najokrutniejszą karę.

– Honor? – Kate parsknęła śmiechem. – A jednak nie przeszkodził ci zabrać mnie do tych świątyń. Jaka to różnica, czy wiedzieli, czy nie, skoro i tak złamałaś zasady?

– Ogromna, Kate. Ponieważ ja zrobiłam to dla ich dobra, o czym jeszcze nie wiedzą. Chciałam, żebyś usłyszała, o czym rozmawialiśmy, chciałam, żebyś to pojęła. To bardzo ważne i konieczne, nim przejdziemy dalej.

Zaintrygowana Kate nie chciała przerywać. Pokrętnie rozumowanie Thurisaz stanowiło dla niej zagadkę. Przez chwilę sądziła nawet, że królowa jest szalona, ale odrzuciła to rozwiązanie. Wydawało się za proste.

– Najpierw chcę, abyś powiedziała mi, co zapamiętałaś z obrad – poprosiła Thurisaz i cierpliwie czekała na odpowiedź. Zebranie tego wszystkiego na nowo nie było dla Kate łatwe. Oczywiście wszystko zapamiętała, od początku chciała chłonąć jak najwięcej, pewna, że te informacje mogą się jej jeszcze przydać. Która z nich była jednak najważniejsza? Od której miała zacząć?

– No... mówiliście o wielu rzeczach... O jakimś strażniku i kamieniu, o jeźdźcach, którzy was prześladują, o tym, co macie zrobić, by z nimi walczyć...

Thurisaz kręciła głową.

– Tak, tak, masz rację. Cieszę się, że to zapamiętałaś. Do dalszej opowieści będą potrzebne tylko dwa pierwsze fakty.

– Opowieści? – spytała Kate. – Dlaczego chcesz mi coś opowiadać? Po co było to wszystko?

– Mam swoje powody. Niczego nie robię ot tak. Jestem królową tej krainy, a każda decyzja, jaką podejmuję, musi mieć na celu jej dobro. Dlaczego zabrałam cię na nasze obrady, pozwalając ci stać się pierwszą osobą spoza naszych klanów, która odwiedziła ukryte w sercu tej krainy świątynie? Kate Hallander, wiem, kim jesteś. – Thurisaz wbiła w nią uporczywy wzrok.

Kate starała się nie zdradzać niepokoju, który ją opanował. Nic nie odpowiedziała. Nadal nie było przesądzone, co takiego wie królowa. Może po prostu coś sobie wymyśliła?

Jednak...

– Jesteś Strażniczką kamienia Danu – powiedziała Thurisaz. – Strażniczką Księżyca.

Kate wstała.

– Skąd o tym wiesz?

– Tu, w Tir-na-Nog, mamy źródło, które przekazuje nam wszystko, co istotne. Nie sądz, że zdradzę ci, czym ono jest. To nie kwestia zaufania, choć przyznam, że wcale ci nie ufam, a rozmawiamy tylko dlatego, że nie mam innego wyboru. Chcę jednak opowiedzieć ci pewną historię. Ważną, najważniejszą historię, jaką posiadają dwa światy. Historię ich pierwotnego rozdzielenia u zarania dziejów

i być może, jeśli wierzyć w pouczającą moc opowieści, historię, która może stanowić klucz do ich ponownego połączenia.

Thurisaz westchnęła. Teraz na jej twarzy także pojawił się niepokój, który szybko przykryła uśmiechem.

– I znowu zrobię dla ciebie wyjątek. Mało kto zna tę historię. W królewskich kręgach jest ona objęta zaklęciem, które pozwala wygłosić ją tylko raz wybranej osobie. Zwykle jej treść przekazywano kolejnym władczyniom Tir-na-Nog, a one później opowiadały ją dalej, swoim dzieciom i następczyniom. Cóż, ciebie czar nie będzie obowiązywał. Nie złamię przysięgi, którą złożyłam przed usłyszeniem tej historii, ale gdy przekażę ją tobie, osobie spoza naszych rodów, czary wiążące usta słuchaczy zostaną przełamane. Uznałam jednak, że być może jest to odpowiednia pora, by właśnie tak się stało. Może świat potrzebuje usłyszeć tę historię na nowo, by przypomnieć sobie o swej jedności. Decyzja o tym, komu ją przekażesz i czy zechcesz ujawnić ją przed wszystkimi, będzie należeć tylko do ciebie. Ja, gdy już skończę mówić, nie będę mogła jej nikomu powtórzyć, ale ty owszem. Dlatego zapamiętaj ją dobrze i miej do niej szacunek. Myśl o niej jak o darze, jaki ci złożę.

Słowa Thurisaz brzmiały dla Kate zbyt górnolotnie. Jej opowieść mogła w rzeczywistości stanowić zaledwie rodzaj romantycznego mitu, dodatkowe insygnium władzy. Co tak niezwykłego mogła kryć w sobie jakaś historia? Tak czy inaczej, Kate miała zamiar jej wysłuchać, z nadzieją, że znajdzie w niej choć część odpowiedzi na pytania, które zadawała sobie od czasu, gdy zamieszkał w niej kamień Danu.

Thurisaz usiadła z założonymi nogami na środku pokoju. Skierowała swoją złotą różdżkę w stronę paleniska, w którym natychmiast zapłonął ogień. Zamknęła oczy i wydała z siebie długi pomruk, jakby coś nuciła.

– Dawniej, gdy... – Urwała. – Nie, zacznijmy inaczej. Czy wiesz, dlaczego kamień Danu jest też nazywany Kamieniem Księżycza?

Kate przecząco potrząsnęła głową.

– Nie... To znaczy tak jakby... Nie, nie wiem – przyznała. Wprawdzie w jej głowie na chwilę pojawiła się myśl o Eos i o tym, że kamień był na księżycu, ale przecież i tak nie powiedziano jej, jak tam właściwie trafił. A nawet nigdy się nad tym nie zastanawiała.

– Księżyc, jak zapewne wiesz, jest Krainą Podwójnej Bramy, która oddziela Jaar od świata, z którego pochodzisz. Księżyc to domena magii, a magia pozwala na podróże między światami. Był więc idealnym miejscem na przechowanie kamienia. Ale wcale nie stanowił jego pierwotnego domu. Pierwotnym domem kamienia był Jaar w czasach, gdy tworzył jedność z Ziemią. Moja opowieść będzie więc dotyczyć tego, jak kamień Danu trafił na księżyc i dlaczego doszło do podziału świata.

Na krótko po tym, jak Kate odkryła Jaar, Fion próbował opowiedzieć jej podobną historię, ale wtedy zbyła go, uznawszy ją za mit.

– Fery lubią mówić, że kamień jest darem Danu – mówiła dalej królowa. – Wierzmy, że tak nazywała się nasza przodkini, matka wszystkich ferów, ale to

bardziej legenda niż fakt. Nie wiemy tak do końca, skąd się wzięliśmy, a na pewno mamy więcej przodków niż tylko jedną postać. Trudno powiedzieć, kim była Danu. Może faktycznie stanowiła jakąś ważną istotę, która przywiodła fery do Elphame i z czasem zaczęto przypisywać jej pieczę nad najbardziej magicznym przedmiotem w świecie.

Sam kamień jest dużo starszy od nas czy od ludzi, od wszystkich istot, które zamieszkują oba światy. Powstał jako podwalina, fundament dla Jaaru, niewielki przedmiot, tryskający jednak pierwotną magią. Wraz z nim stworzono również inne kamienie, których zadaniem było chronić władcę poprzez moc żywiołów. Naturalnie przedmiot sam w sobie nie mógłby tego zrobić. Kamień Danu chroniły potężne siły zaklęte w pozostałych kamieniach. W świątyni północy znalazł się Czarny Onyks, kamień Wielkiej Matki Ziemi. Spadł na Jaar jako meteoryt. Na wschodzie, w wysokiej świątyni Sunkanturis, która dawniej znajdowała się na najwyższym szczycie Jaaru, Tar Nandzie, umieszczono Turkus Niebios. Kamień zmaterializował się sam, mówią o nim, że „przybył z chmur”. Najpotężniejszy z kamieni żywiołów, Ognisty Jaspis, znalazł się w świątyni południa, dziś całkiem pokrytej już piaskiem, a na zachodzie, w zielonej świątyni mórz, strzeżono Morskiego Awentury. Oczywiście dziś ta świątynia również nie istnieje.

Kamień-władca, jak się zapewne domyślasz, znalazł się w samym sercu Jaaru. Tam mógł oddziaływać na cały nasz świat, działając w harmonii z energiami pozostałych klejnotów. Ustanowiono nad nim dodatkową, jeszcze potężniejszą ochronę. Poprzez magiczny rytuał siła kamienia, siła ziemi, została zaślubiona sile słońca. Kamień zachował więc podwójną równowagę: równowagę między energiami naszego świata, a także, dzięki połączeniu ze słońcem, równowagę między nim i innymi światami.

Być może chciałabyś teraz zapytać, gdzie znajdowała się środkowa świątynia. Niestety nie znam odpowiedzi na to pytanie. W Tir-na-Nog wierzymy, że dokładny środek, odwieczna oś świata, przebiega w miejscu, gdzie znajduje się źródło naszej wiedzy. To w nim ukryty jest jeszcze jeden kamień, jednak do tego przejdę później.

Z czterech świątyń świata, a także z królestwa słońca, oddelegowano kapłanki, które miały pilnować kamienia. Sześć kapłanek, łącznie z najwyższą z nich, która miała najbliższy związek z kamieniem-władcą, codziennie stało na straży nadanej nam harmonii. Z pewnością wiesz, kim jest Eos.

– Wiem – odparła Kate. – Czy to ona była tą najwyższą kapłanką?

– Nie. To była jej matka.

Kate uniosła brwi. Eos wydawała się jej bardzo wiekowa, niemal odwieczna, tak stara jak sam księżyc. Jeśli miała matkę, musiało to być w czasach tak odległych, że Kate nie umiała sobie ich wyobrazić.

– Eos była błogosławieństwem dla matki. Każde błogosławieństwo musi być jednak zrównoważone przekleństwem. Tym przekleństwem było jej drugie dziecko, którego dziś nazywamy starym władcą. Już przed jego narodzinami najwyższa kapłanka wiedziała, że przyście na świat tego dziecka zaburzy cały

porządek. Dała mu jednak życie. Być może sądziła, jako mędrzyni, że musi zaakceptować nurt rzeki, a może, jako matka, wierzyła, że zdoła go zmienić.

Nie udało jej się jednak. Od dziecięcych lat jej syn próbował stać się kimś więcej niż synem najwyższej kapłanki, księciem Jaaru. Chciał zostać królem tego świata, a później także innych światów. Zdołał przekonać wiele istot, że życie w harmonii nie jest im pisane, że powinni poszukiwać czegoś więcej, że w Jaarze nie dzieje się dobrze. Wreszcie uciekł, by stać się królem własnej krainy. Jego dawna siedziba znajduje się na północ od stolicy Tir-na-Nog. By się tam dostać, musiałabyś przemierzyć skute lodem morze Gartha. To właśnie z tamtych terenów przybyły postacie na koniach, o których dziś usłyszałaś.

– Obawiacie się, że to on ich wysłał?

Thurisaz zamknęła na moment oczy i zacisnęła usta.

– Zaczekaj z tym pytaniem – powiedziała. – Staremu władcy nie na długo wystarczyło własne królestwo. Chciał w końcu objąć we władanie cały świat. Ponieważ wychowywał się blisko kamienia, wiedział, co musi zrobić, by stać się wiecznym królem. Musiał osiąść moc kamienia Danu. Najpierw powołał czterech nowych strażników, którzy mieli reprezentować wszelkie cechy przeciwne tym, jakie niosły ze sobą kamienie. Zamiast bystrości i siły pokoju powstał duch wojny, zamiast uzdrowicielskiej mocy wody: plaga. Dobrobyt sprawiał, że mało kto wierzył w słowa o poważnym kryzysie w Jaarze, więc stary władca postanowił przeciwstawić mu głód. Dla swoich wrogów przygotował śmierć w pustce i w zapomnieniu. Te cztery siły, ucieleśnione w jego generałach, wraz z wojskiem stworzonym z wygłodniałych namhajdów i istot pragnących dla Jaaru tego samego, co ich straszny król, miały zaatakować nasz świat w samym jego sercu.

Przeklęty brat Eos długo przygotowywał się do wyprawy, a wieść o niej dotarła do głównej świątyni, jeszcze zanim zdążył wyruszyć. Najwyższa kapłanka była wtedy w ciąży. Cięży, która miała na nowo przywrócić harmonię. Wszędzie wokół roїło się jednak od spisków i dobrze wiedziała, że nie zdoła ochronić Jaaru. Znała jednak moc kamienia wystarczająco długo, by wiedzieć, że w razie potrzeby zdoła obronić się sam i wcale nie będzie jej do tego potrzebować. Gdy jej syn przyszedł do świątyni, sama podłożyła się pod jego nóż.

– Co? – wyjąkała Kate. – On ją... zabił? Zabił własną matkę? Przecież spodziewała się dziecka!

– Przeklęty o tym nie wiedział. To by mu zresztą nie przeszkodziło, ale... Tak naprawdę najwyższa kapłanka nie była już w ciąży w chwili ataku. Jednak po zabiciu swojej matki, stary władca dokonał jeszcze większego gwałtu. Sięgnął po kamień Danu. Zapewne wiesz już, że każdy, kto chce zagarnąć dla siebie ten kamień, który nie należy do nikogo, choć chroni wszystkich, popełnia olbrzymie świętokradztwo, ale również poważny błąd. Naturalnie kamień nie wpadł w ręce Przeklętego. Poraził go, odbierając całą moc i sprawiając, że niedoszły król musiał uciekać do swojej krainy, na którą krótko potem rzucono czar zapomnienia.

Pogwałcenie harmonii nie mogło jednak ujść bez szwanku. Właśnie wtedy

kamień podzielił się, tworząc dwie jednakowe części, nie połowy, ale takie same kamienie, z których każdy wyglądał jak kopia drugiego, ale żaden nią nie był. Mimo dwóch form fizycznych, na każdym innym planie: astralnym, duchowym, energetycznym, kamień pozostał jednością.

Legenda podaje, że w chwili, gdy doszło do ataku na najwyższą kapłankę, a jej syn stracił swą moc, był wieczór. Ostatni z promieni słońca, który padał wtedy na ziemię, niósł ze sobą słowa Strażnika Mocy Słońca.

„Przeklinam cię” – rzekł strażnik do starego władcy. „Gdziekolwiek pójdziesz, razić cię będą moje ramiona, nie zniesiesz dotyku mej ciepłej dłoni. Każde światło zamieniać będziesz w cień, a przed tobą roztaczać będę tylko mrok i nawet druga małżonka Ziemi, Księżyc, z obrzydzeniem będzie odwracać od ciebie twarz”.

Od tego czasu nazywamy starego władcę Przeklętym. Ale właśnie teraz dochodzimy w tej historii do księżycy. Zapewne zastanawiasz się, co działo się z dzieckiem najwyższej kapłanki. Nie zapominaj o Eos. Nie brała bezpośredniego udziału w walce ze swoim bratem, bo jej matka powierzyła jej znacznie ważniejszą rolę. Gdy inni ponosili śmierć, ona musiała zachować życie: swoje własne i to, które rozwijało się w niej.

– Chcesz powiedzieć, że... – zaczęła Kate.

– Tak, Eos stała się drugą matką dla dziecka najwyższej kapłanki. Jego pierwsza matka nie zdołała go urodzić i przy pomocy zaklęć płód został przeniesiony z jej łona do łona Eos.

Eos uciekała w chwili największego chaosu. Środkowa świątynia zawaliła się, umieszczając jedną część kamienia pod gruzami. Eos zdołała schronić drugą część i zabrała ją ze sobą, przenosząc się na księżyc.

Jaar zaczął się rozdzielać na część magiczną i pozamagiczną. Wiedziano, że gdy dokona się pełen podział, między częściami nie zostanie zachowany żaden kontakt. Dlatego fery postanowiły połączyć swoją krew z ludźmi, którzy byli gotowi to zrobić. W ten sposób powstało plemię, w którego żyłach płynie domieszka naszej krwi. Członków tego plemienia znacie jako wiedźmy i czarowników.

Energia kamieni zaczęła szukać dla siebie schronienia, wchodząc w ciała Strażników, którzy dopiero mieli się narodzić. Gdy ostatni promień słońca zamienił się w cień, przeklinając starego władcę, powstał jeszcze jeden kamień. Kamień zaćmienia słońca i ciemnej strony księżycy. Właśnie ten kamień zamieszkał tu, gdzie teraz znajduje się Tir-na-Nog, i to jego moc ma przyjść do nas jako Siódmy Strażnik, o którym dziś usłyszałaś. Poszukujemy go, bo wiemy, że się przebudził, a skoro tak się stało, to znaczy, że mroczne siły powróciły.

– Uważasz, że jeźdźcy to generałowie starego władcy? – Kate ponownie zadała swoje pytanie.

– Tego się obawiam. – Thurisaz wyraźnie posmutniała. – Nie chciałam mówić o tym wprost przedstawicielom rodów, bo to wywołałoby chaos w krainie.

– A co z tym Strażnikiem? Podejrzewasz już, kim może być? A może... Może to

właśnie dziecko Eos, to znaczy, najwyższej kapłanki, czy tak?

– Nie. Syn najwyższej kapłanki, brat Eos, wypełnił dla nas szczególną rolę, o czym zaraz ci opowiem, ale nie on jest Siódmym Strażnikiem. Najwyższa kapłanka, Eos i inne podobne im istoty żyją poza naszym światem, w pewien sposób go kontrolują, ale Strażnicy zawsze pochodzili spośród nas.

– Co stało się ze starym władcą? Powiedziałaś, że został przeklęty, ale najwyraźniej nie poniósł całkowitej klęski?

Thurisaz przytaknęła.

– Przeklęty pochodzi przecież od samej najwyższej kapłanki. Nie można go całkiem zabić, nawet gdyby zniszczono jego fizyczną powłokę. To, co dalej się z nim działo, jest ściśle związane z tym, co wydarzyło się na księżycu.

Eos urodziła dziecko, syna. Wiedziała, że powodem, dla którego się narodził, było zrównoważenie sił starego władcy lub nawet całkowite pokonanie go. Ale syn i zarazem brat Eos, mimo że niezwykle, potrzebował czasu, by dorosnąć i stać się równy Przekłętemu. Zagrożenie na ziemi rosło. Świat nie podzielił się od razu, wielu uważało, że nigdy do tego nie dojdzie i szybko zaczęto znów ufać staremu władcy, a on, choć mocno osłabiony i rzeczywiście przeklęty przez siłę słońca, nadal miał swoich wiernych poddanych. Nie mógł tylko sięgnąć księżyca, mimo że wiele razy próbował to zrobić. Księżyc wciąż był gwarantem zachowania łączności między Jaarem a światem ludzi. Przeklęty miał rządzić do czasu, gdy jego brat był gotowy, by zstąpić na ziemię.

Dalej historia jest dość mglista. Nie wiemy jak, ale syn kapłanki zdołał pokonać starego władcę i dopełnić klątwy. Z pewnością uwolnił potężną energię, którą dziś pamiętamy jako Caithiu, Straszliwą, której świątynię odwiedziłaś. Całe królestwo mrocznego pana zostało pochłonięte przez czar zapomnienia, a wszelkie drogi do niego odcięte. Morze Gartha pokryło się lodem. Nie jest też pewne, co stało się z Przekłętym.

– Może syn kapłanki zdołał go całkowicie pokonać? – stwierdziła Kate. – A tych czterech jeźdźców... Może to niedobitki, energie, które powstały tylko na chwilę?

– Nie sądzę. Wtedy nie byłoby potrzeby, żebyście pojawili się wy, Strażnicy Żywiołów. Coś musiało się stać, tam, w przeklętym królestwie. Obawiam się, że by się o tym przekonać, będą musiały osobiście się do niego wybrać.

– Osobiście? Przecież to musi być wyjątkowo niebezpieczne!

– Jako królowa nie mogę robić tego, co chcę.

Nagle do Kate wróciły wspomnienia z minionego lata w Hagsborough. Stary budynek Rady i nedorzeczne słowa Roberta.

– Chyba wiem, kto przebudził jeźdźców – powiedziała. – Tyle że ta osoba już nie żyje. Był policjantem i pracował dla Społeczności w świecie ludzi. Próbował mnie zabić i wykraść kamień. To za jego pomocą chciał obudzić kogoś jeszcze. Teraz już wiem, że musiało chodzić o Przekłętego.

– Z pewnością. Kamień ma ogromną moc. Jeśli coś mogłoby ostatecznie przebudzić starego władcę, to właśnie on, nawet gdyby miał przy tym poważnie go zranić, jak za pierwszym razem. Nie sądzę, by Przeklęty się tym przejmował,

i tak rzucono już na niego klątwę. Nie zmyje swoich win, może co najwyżej dalej podążać ścieżką, którą wybrał. Nadal jest w stanie wiele osiągnąć i obawiam się, że właśnie teraz jesteśmy na skraju wojny. Dziś nasze siły są podzielone, jesteśmy słabsi niż wcześniej. Dawniej fery stanowiły jedność, jednorożce także stały po naszej stronie.

– Być może udałoby się wrócić do tych czasów?

Kate, zadając to pytanie, wiedziała, że mówi o czymś niemal całkiem nieprawdopodobnym. Problem polegał jednak na tym, że jeśli mroczny pan naprawdę został przebudzony, to nie mieli wielkiego wyboru. Musieli się połączyć.

Thurisaz pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie sądzę, by to było możliwe. Jednorożce pamiętają czasy, gdy czarownice na nie polowały, a my i fery z Elphame... Cóż, nie jesteśmy w stanie zawrzeć pokoju, jeśli oni nie zrozumieją, że to my chronimy dawne prawa i obyczaje. Mają nas za dzikusów i istoty parające się mroczną magią. Ale to my wciąż pamiętamy tę starą opowieść. To my wciąż czcimy pamięć o naszych obrońcach, Caithiu i Przyjacielu, jak nazywamy syna najwyższej kapłanki. Niestety nie pamiętamy już ani jego imienia, ani imienia Przeklętego. Dwanaście rodów powołano, gdy osiedliliśmy się tutaj setki lat temu, by strzegły naszych tajemnic i przekazywały naszą wiedzę. Drogo sobie cenimy te rzeczy, to prawda. Jednak chyba sama przyznasz, że są niezwykle ważne. – Królowa urwała na chwilę. Zapatrzona w złocistą lampę, powiedziała powoli: – Istnieje jeszcze jedna historia... Historia o wężu i ptaku.

– Fione właśnie o tym wspominała! – podchwyciła Kate.

– Otóż to. Właśnie dlatego pozwoliłam jej tu zostać, choć ona nie może poznać teraz tej opowieści. Nie z moich ust. Legenda mówi jednak, że gdy fery rozdzieliły się, widziano wieloskrzydłego potężnego ptaka i potężnego węża. Zwierzęta rozeszły się w przeciwnych kierunkach. Jak wiesz, są one symbolami naszych krain. Mamy nadzieję, że mogą znów się spotkać i połączyć, a wtedy harmonia między ferami zostanie przywrócona, ale... Cóż, jak powiedziałam, nie wierzę w to.

Kate westchnęła.

– Zastanawiam się, dlaczego Eos nigdy mi o tym wszystkim nie powiedziała.

– To stara historia. Być może Eos nie uznała za konieczne mówić ci o niej od razu. A może wolała, żebyś sama do niej dotarła. Widzisz, Kate, ja uważam, że w opowieści o synu najwyższej kapłanki i Przeklętym jest pewien... wzór. To nie jest *jedna* opowieść, ona się powtarza, pojawia na nowo w życiach wielu istot. Odgrywamy ją w mniejszym czy większym stopniu cały czas. Ciągłe wraca, wybierając sobie nowych bohaterów. Może Eos ci o niej nie opowiedziała, ponieważ tym razem historia ma rozegrać się inaczej?

– Tym razem możemy przegrać?

– Może zdarzyć się wszystko, ale wiele zależy od ciebie. Historia zaczęła się od kamienia Danu i najwyższej kapłanki. Teraz to ty stałaś się jej główną bohaterką.

Kate spojrzała głęboko w oczy królowej. Zdawało się, że Thurisaz próbowała przekazać jej coś bez słów. I nagle Kate zrozumiała to, a prawda ją sparaliżowała. Najwyższa kapłanka... Kate... Ich role nałożyły się na siebie.

Jedna rzecz z całej tej historii utkwiała w głowie Kate bardziej od innych: opiekunka kamienia-władcy została zabita przez własne dziecko.



Rozdział 25

Wspomnienia z dawnych dni

Za jeźdźcami ciągnął się mrok. Towarzyszył im niczym zwierzę, dzikie i groźne. To on jako pierwszy atakował ich ofiary. Gdy się zjawiał, wyraźnie wypełniał sobą całą przestrzeń i wkładał się niepostrzeżenie w serca, zasiewając w nich niepokój, radość zastępując zachłannym pragnieniem, a miłość strachem.

Sakit i Urbat postanowili szturmować krainę jednoroźców. Pamiętali Wielki Karkadann z czasów przed upadkiem potężnego władcy. Pod jego stopami rozległa kraina jednoroźców płaszczyła się i dzieliła na mniejsze plemiona. Prawdopodobnie tak powstało to, które zamieszkiwało teraz Las Wielu.

Było w jednoroźcach coś, czego jeźdźcy nienawidzili. Chodziło o ich starą magię, pochodzącą wprost od Tej, której imię ich brzydziło. Była to czysta, niezwykle silna moc, wciąż wirująca w ciałach wielkich rogatych koni, jak je nazywali. A jednak wiedzieli, że w jednoroźcach krył się też mrok, który mogli wykorzystać. W obecnych czasach było go więcej niż dawniej.

– Powietrze jest czyste – syknęła Sakit, poruszająca się na czarnym koniu. Przeszłość odbierała całą sobą, podobnie jak pozostali jeźdźcy. Nie miała nozdrzy, którymi mogłaby wciągać zapach. Jej ducha więziła tylko lśniąca zbroja. Gdyby się rozpadła, rozproszona Sakit znów musiałaby szukać siebie, a może i zasnąć potępionym snem na wiele tysięcy lat.

– Jaar zmienił się, ale ciągle trzyma go ta sama siła – odparł spowity białą zbroją Urbat. Dla niego wieki były jak mrugnięcia okiem, które, by go nasycić, musiały dążyć do nicości. Życie mierziło go, a ono w Jaarze wciąż miało się dobrze.

Karkadann był blisko. Drzewa o rozpiętych gałęziach połyskiwały od amuletów ochronnych. Mimo że ich magia była silna, nie mogła ustrzec jednoroźców od czegoś tak pierwotnego i potężnego jak jeźdźcy. Wreszcie Sakit i Urbat stanęli przed wielką błękitną bramą. Zdołały ją dwie wyrzeźbione głowy jednoroźców.

– Dalej. – Sakit ponagliła swojego wierzchowca, który na chwilę się zatrzymał. Zaraz potem ciężkie kopyta przekroczyły bramę, wnosząc ciemność do krainy spokoju.

Przebijanie się przez magię jednoroźców było dla jeźdźców jak brodzenie w rozszalałym morzu. Dało się uspokoić je jednym ruchem, ale sami nie mogli go wykonać. Mogli jedynie do niego zachęcić, przekabacając jednorożce na swoją stronę.

Kroczyli dalej, aż doszli do rozległej polany. Tam, pośród kolorowych namiotów, powiewała fioletowa płachta. Spoglądał z niej pysk srebrnego jednoroźca, władcy ich wszystkich. Ale jego samego tu nie było. Jeźdźcy powątpiewali, że przywódczyni tego plemienia ma z nim jeszcze jakiegokolwiek związku.

Teren wydawał się zupełnie czysty, zupełnie jakby jego mieszkańcy opuścili swoją siedzibę. Jednak jeźdźcy wyraźnie wyczuwali czyjąś obecność. Musiało minąć kilka chwil nim pod płachtą dostrzegli jednoroginię.

– To ona – powiedziała Sakit z pogardą.

Urbat zamruczał coś w odpowiedzi.

Starość przyniosła im wiedzę. Nie dziwiło ich to, że ktoś taki jak jednorogini, leżąca na kamiennym wzniesieniu, mogła być przywódczynią. Istoty podobne jednorożcom często wybierały na swych władców tych najsłabszych, o wiotkich ciałach. I taka właśnie była ona. Nie miała w sobie nic z potężnych jednoroźców. Przypominała starego, wychudzonego konia, karła, ledwo sięgającego głową do grzbietów prawdziwych, silnych zwierząt.

– Brzydzi mnie. – Sakit bardziej wypluła te słowa, niż je wypowiedziała. Nie chodziło jej tylko o wygląd Amentet, ale także o jej wewnętrzną moc. Z całą pewnością pochodziła od Znienawidzonej.

– Nie jest słaba – ocenił Urbat – ale z pewnością jest sama. Prędeej.

Amentet obudziła się dopiero, gdy stojąca przed nią rzeczywistość wkradła się w jej sen. Otworzyła czarne oczy i z niepokojem spojrzała na jeźdźców.

Milczeli. Jej oczy spotkały się z oczami ich koni, a wtedy ciemność wypłynęła z nich i spowiła aurę jednorogini ciasnym płaszczem.

Amentet się dusiła. Miała wrażenie, że jej ciało nagle zmalało do rozmiarów źrebęcia, ale stało się silniejsze, sprawniejsze.

– *Uciekaj!* – Usłyszała głos, który odbijał się echem w jej wspomnieniach. Po omacku szukała, do kogo mógł należeć, a gdy sobie to uświadomiła, coś ją poraziło.

– *Matko, nie!* – krzyknęła wtedy i tak samo krzyczała teraz.

W oddali lśniły pochodnie. Ich gwałtowny ogień zapalał drzewa. Postacie w ciemnych maskach wyciągały ich z namiotów, miotały czarami w ich stronę.

Ktoś wołał w nerwach:

– *Złapcie tego z największymi!*

Oczy Amentet rozszerzyły się, gdy zobaczyła, jak czterech czarowników dopada wielkiego czarnego jednoroźca, syna przywódcy ich plemienia. Zarżał i upadł, a potem zaczął przeraźliwie piszczeć głosem, którego nigdy by się po nim nie spodziewała. Jeden z czarowników złapał za róg, który pękł pod naporem jego wzmocnionych zaklęciem rąk. Ten ból, który i Amentet wtedy poczuła, miał jeszcze długo ją prześladować.

– *Uciekaj, dziecko!* – zawołała znów rozpaczliwie matka.

– *Nie chcę, nie!*

Mimo tych zaprzeczeń, Amentet uciekała. Gdyby tylko posłuchała matki od razu, gdyby schowała się te kilka chwil wcześniej...

Czyjeś ręce wychyliły się spośród drzew. Ciemne rękawice zacisnęły się na jej szyi. Zaczęła się więc, kopać, ale to na nic, jej niewielkie kopyta nie zdołały przebić się przez zaklętą, ochronną zbroję. Ktoś inny wyciągał dłonie po jej róg.

Kopnięcie.

Nawet ona to poczuła.

Gniew jej matki był niezrównany. Róg załśnił, porażając jedną z postaci, która padła martwa na ziemię. Druga zaczęła uciekać, jednak matka nie miała dla niej litości. Gonila ją, a Amentet, zamiast pomóc jej w walce, oddalała się.

Ale jak miała jej pomóc? Przecież nie mogła! *Styszycie, nie mogłam! Zostawcie mnie!*

Światło księżycy, które lśniło w rogach jednoroźców, nie brzydziło się także długich mieczy i harpunów. Migotało w nich, gdy przebiły się przez ciało jej matki. Krew wypłynęła z jej boków, a Amentet usłyszała przeraźliwy ryk śmierci.

Ta piękna jednorogini, jej najdroższa matka, której ona sama nie była w stanie się równać, zginęła. Nie było jej. Nie było nikogo. Chaos rozlewał się jak w pierwotnym tańcu żywiołów, ale tu dominowała gwałtowna nienawiść, a nie miłość, która u początku czasów połączyła je w kształty. Amentet nie zauważała, jak się oddala. Tylko odgłosy walk stawały się coraz cichsze.

Dygotała na całym ciele. Gdy otworzyła oczy, spływała potem i posyłała jeźdźcom zawstydzone spojrzenie. Widzieli jej słabość. Ale jak...?

– Kim jesteście? – rzuciła w ich stronę myśl.

– Twoje życie naznaczone jest cierpieniem i stratą – odparł Urvat. – Podąż z nami, wykorzystaj to.

– Przybądźcie – wysłała kolejną myśl, tym razem do członków swojego plemienia. Tej jeźdźcy nie mogli usłyszeć.

Znów wdarli się w jej głowę, ale teraz umiała odeprzeć atak. Nauczyła się kontroli własnych wspomnień tak, by nie wdzierały się nagle w jej codzienność. Gdy jeźdźcy wsączyli swój jad w jej wnętrze, nie zniszczyli jej, ale uodpornili na niego.

– Kim jesteście? – spytała znów. Teraz to ona zdobywała przewagę nad nimi.

– Jesteśmy wysłannikami starego władcy – z dumą oznajmił Urvat.

– Jesteśmy jego cieniem, jego prawą i lewą ręką – dodała Sakit. – Jesteśmy jego bronią i tarczą, generałami stron świata.

Amentet pokręciła głową.

– Wy nie rządźcie światem. On do was nie należy. – Wstała. – Wracajcie do przeklętych otchłani, tam, gdzie wasze miejsce! – zawołała.

Sakit syknęła. Jej koń wzniósł się na tylnych nogach i zarżał. Urbat pozostawał niewzruszony.

– Jeśli nie wybierzesz nas, co ci zostanie? – spytał. – Wiesz, że każda droga prowadzi do pustki, nawet te, które wybrała dla ciebie Ona, którą tak kochasz.

Amentet się zaśmiała. Wiedziała teraz, że on niczego nie rozumiał.

– Ale Ona jest w stanie wypełnić tę pustkę sobą, jak zrobiła to dawniej, a twojej nie wypełnia, bo nigdy jej na to nie pozwolił.

Urbat odsunął się, porażony samą myślą, że mógłby pozwolić wejść Jej do swojego serca, całkowicie oddanego staremu władcy.

– U końca nie zostanie ci nikt! – zagrzmiął.

Wtedy usłyszeli kopyta, a na horyzoncie zaśniły głowy wysokich jednoroźców z rogami przygotowanymi do walki.

– Ale teraz wciąż mam ich – powiedziała Amentet.

Urbat i Sakit, rozumiejąc, że nie mają z nią już szans, zaczęli się oddalać, po drodze wypluwając z siebie kolejne przekleństwa.

– Kim byli? – Moran, największy z jednoroźców, podszedł do Amentet.

– Oni? – Karkadanni wyglądała na niewzruszoną. – Oni są niczym.



Arloch i Kitlik opuszczali Tir-na-Nog. Ostatnie światełka w podziemnych domach gasły, gdy wyjeżdżali z krainy. Tirnanie wciąż budowali swoje siedziby w głębi czarnej matki ziemi, ich dachy wystawały nad nią, przypominając otwarte paszcze potworów. Tliły się w nich lampiony, wokół których tirnańskie dzieci zebrały się, patrząc na przejeżdżających. Tylko one umiały przyglądać się jeźdźcom z ciekawością. Podczas gdy dorosłe fery obawiały się ich mocy, dzieci – których nie mogli dotknąć – spoglądały na cztery konie jak na atrakcję.

Kuldenthal, Gęsty Mech, nie przyjął jeźdźców tak, jak się tego spodziewali. Sądził, że w ciemnej, porośniętej bujnymi roślinami krainie znajdą wierne sługi. Na końcu prowadzili jednak tylko trzech nowych niewolników. Zakłęte fery leciały za nimi jak zahipnotyzowane, wierząc w obietnicę, którą im złożyli.

– Dostaną to, czego pragną. – Kitlik się zaśmiała. Rdzawy koń, na którym jechała, wyglądał, jakby wykapano go w krwi, która skrzepła, na zawsze pokrywając skórę. – Gdyby tylko znali prawdziwą cenę swych pragnień, czy lecieliby za nami równie chętnie?

– Nie będziemy mieć z nich żadnego pożytku – odparł Arloch. Jego zbroja

Isniła na złoto nawet teraz, gdy księżyc objął rządy na niebie. – Nie pokazujemy ich Wielkiemu Panu. Nie wykorzystamy ich w żaden sposób.

Trzy niewielkie fery nie mogły zasilić armii, którą miał zamiar stworzyć stary władca. Każdego z niewolników jeźdźcy mieli zaprowadzić do przeklętego miejsca, w którym sami leżeli uśpieni przez tyle wieków. Nikt tam nie zaglądał, a teraz, gdy dawny strażnik tego miejsca został wyzwolony poprzez śmierć, było zupełnie opustoszałe, nie licząc błakających się tam echem przeszłości. Pojękiwały czasem, tworząc nowe wyrwy w starych kamieniach, ale nie miały żadnej mocy. Wielki Pan nie miał rozbudzić dawnego ducha, jego celem było stworzenie czegoś nowego.

Jeźdźcy kierowali się teraz w stronę polany Yrenndall. Stanowiła serce krain, tętniących życiem w Lesie Wielu. W ich czasach nie było tu tak wielu istot. Fery dopiero zaczęły tworzyć drugie, osobne państwo, a nieliczne jednorożce, odłączone od Wielkiego Karkadannu, szukały dla siebie miejsca po wielkiej wojnie. Las był bardziej dziki niż teraz. Nikt nie sprawował nad nim władzy, nie starał się nagiąć rządzących nim praw do własnej woli.

– Zostawmy ich najpierw w dawnym królestwie – powiedziała Kitlik. – Nie będą zawadzać nam w podróży.

Arloch przytaknął. Wystarczyło, że spojrzął na fery, które teraz były całkowicie pod jego kontrolą, a te upadły uśpione. Jeźdźcy zamienili się w czystą moc i, owiewając ciała niewolników, przenieśli się do przeklętego miejsca.

Mroźny wiatr zawodził tam tak samo jak w chwili, gdy się przebudzili, ale teraz zrobiło się nieznacznie cieplej. Skute lodem morze, w którym uwięziona została przeszłość, uwolniło się z uścisku snu i zaczęło znów wzbierać, wciąż jeszcze otępiałe, ale coraz bardziej świadome swoich mocy. Pod jego powłoką morskie potwory, węże i trytony czekały na znak, by ruszyć do walki za starego władcę.

Popękany zamek, spustoszony przez silną magię czasu, przypominał jeźdźcom o klęsce Wielkiego Pana, jednak kamienna budowla była niczym w porównaniu z jego potęgą. Ciało było niestałe, ale duch wciąż opętywał materię na nowo, spajał ją i rządził do chwili, aż się starzała i trzeba było wymienić ją na nową. Tak było z Wielkim Panem i tylko on był w stanie przeciwstawić się siłom, które go przekłęły.

Kitlik spojrzała na popękane schody, a jej myśli popłynęły do czasów, w których zamek wznosił się wysoko, będąc stolicą całego Jaaru.

Przechadzała się między złotymi komnatami, wszędzie widząc przepych. Szła z potarganymi, brudnymi włosami przed siebie, chuda i wciąż łaknąca. Jej oczy nigdy nie mogły nasycić się zgromadzonymi skarbami. Wyrывała je od kolejnych istot, chciała zgromadzić wszystkie klejnoty całego Jaaru, niepewna, czy nawet one by jej wystarczyły. Ale jeśli nie, to cóż z tego? Wielki Pan miał dość potęgi, by podbić kolejne światy, wszystko zagarnąć.

U jej stóp włóczył się wciąż skamlący pies. Kwilił z głodu niczym pozbawione mleka matka dziecko. Jej zwierzę – część jej samej – stanowiło postrach wśród

wszystkich mieszkańców zamku.

Lubiła patrzeć na bogate komnaty, z których wylewał się blask złota, kryształów i drogocennych magicznych narzędzi. Napawała nimi wzrok, spijając cały splendor, który się ich chwycił, aż do momentu, gdy one same traciły kolor na jej rzecz.

Podążała wzrokiem za długą, purpurową peleryną, wysadzaną kamieniami szlachetnymi. Ciągnęła się za Wielkim Panem, który kroczył tuż przed Kitlik i jej psem. Obok, po prawej stronie, stał Arloch – wysoki, młody, umięśniony. Po jego ramionach ciągnęły się rany, odniesione w boju. Nigdy się nie zasklepiały, a on nosił je z dumą. Po lewej stała Sakit – niepozorna, zwykła dworzanka, szara eminencja, która co dzień warzyła eliksiry zdolne do otrucia każdego wroga w kilka chwil. Była biegłą w sprowadzaniu chorób na wszystkie ludy, które nie chciały podporządkować się Wielkiemu Panu. Dziesiątkowała je bez użycia miecza, z triumfalnym uśmiechem. Gdzieś w pobliżu, zawsze gotów, by dokończyć każde ich dzieło, czaił się Urvat. Ciemna, prosta szata, którą nosił, sprawiała, że jego łysa głowa i ponura twarz wydawały się jeszcze bledsze, właściwie całkiem białe. To on był śmiertelną ostatecznością, czekającą na każdego, kto sprzeniewierzył się władcy.

I wreszcie on sam – ich pan – usiadł na tronie w chwale, oklaskiwany przez wytwornych dworzan. Jego brodę, palce rąk i stóp zdobiły najcenniejsze klejnoty. Czapka i laska o niezwyklej mocy przypominały o władzy, jaką sprawował nad całym Jaarem.

To był dzień, gdy wreszcie dotknął kamienia, którego moc rządziła tym światem. Pan mówił do nich. Mówił o zwycięstwie i potędze, ale jego słowa urywały się w myślach Kitlik, która wróciła teraz do pustych, zimnych ścian zniszczonego pałacu.

Arloch powędrował jeszcze dalej, do chwili, w której Wielki Pan ich stworzył. Od początku stanowili jego część. Był ich ojcem i matką, stworzycielem, nad którego nie mieli nikogo potężniejszego.

– U zarania dziejów z czterech żywiołów i łączącego ich ducha wyłonił się świat – powiedział, gdy przed nim stanęli, pełni mocy i skorzy do walki. – W czterech świątyniach Jaaru, kamieni żywiołów strzegą Strażnicy Powietrza, Ognia, Wody i Ziemi. Znienawidzona królowa, moja matka, powołała ich, by pilnowali ustanowionego przez nią porządku, ale ja powołuję was, o wiele lepszych od nich.

Patrzyli na niego z oczekiwaniem, spijając każde słowo płynące z jego ust.

– Tam, gdzie oni dają życie, ja nauczam o śmierci słabych, tam, gdzie oni przynoszą odwagę, ja mówię o sile, która zabija nawet najwaleczniejszych. Gdy oni mówią o miłości, wyśmiewam ich, zsyłając gorączkę, w której nie myślą o innych, ale jedynie o sobie. Wiem, że zamiast pokoju, tylko wojna i ciągły strach napędzają świat. Wy jesteście tymi rzeczami, które będą się dziać, Wielkimi Rzeczami.

Pobłogosławił ich i zagrzał do walki. Choć mordowali jego wrogów, siejąc terror i panikę, ostatecznie przegrali. Teraz jednak rozumieli, że nie była to

wojna, ale bitwa. Wojna dopiero miała nadejść.

– Zaprowadźmy ich tam, gdzie ich miejsce – powiedział Arloch, patrząc na uśpione fery.

Kitlik podniosła rękę. Ich ciała wzbiły się w powietrze i powędrowały wzdłuż kamiennej podłogi, opadając ponownie w miejscu, gdzie kiedyś mieściły się lochy zamku. Wielki Pan miał wielu wrogów, jednak szybko ich zabijał.

– Na razie niech śpią – zdecydowała Kitlik. – Zabijemy ich potem, gdy już zbierzemy armię i upewnimy się, że na pewno nam się nie przydadzą.

– Niech tak będzie – odparł Arloch. – A teraz na Yrenndall.

Wrócili do miejsca, w którym zakończyli swoją podróż. Tam czekali na nich już Sakit i Urbat.

– Razem jesteśmy silniejsi – powiedziała Sakit. – Idźmy wspólnie.

Kitlik i Arloch przytaknęli, a po chwili kopyta koni jeźdźców znów zaczęły wybijać złowieszczy rytm, który miał ogarnąć cały Jaar.



Rozdział 26

U bram Tir-na-Nog

Ostatnią rzeczą, o jaką Thurisaz poprosiła Kate, było to, aby dzieliła się usłyszaną opowieścią jedynie z godnymi tego osobami. Potem królowa odprowadziła ją do drzwi. Kate nie chciała, by towarzyszyła jej w drodze powrotnej do komnaty. Thurisaz pozostawiła ją więc swoim strażnikom, którzy zaczęli prowadzić ją krętym korytarzem. Tym razem, na polecenie władczyni, nie zawiązali jej oczu.

Teraz Kate była już całkiem pewna, że znajdują się pod ziemią. Korytarz przypominał podziemne tunele kopane przez krety, ale jego budowie towarzyszył pewien zamysł. Był niemal całkiem ciemny. Za pochodnie służyły jedynie dwie niewielkie skrzydlate istoty, natrętnie kręcące się wokół strażników. Wyglądały trochę jak fylgie, z tym że świeciły jaskrawym, ognistym światłem.

Korytarz wciąż zakręcał i Kate zaczęła zastanawiać się, czy nie zbudowano go na planie drogi przez Siedem Bram, która – przynajmniej sądząc po tym, jak rozrysował ją Calcus – wydawała się całkiem podobna. To przypomniało jej o pozostałych. Dotąd nie miała dość czasu, by o nich pomyśleć. Uznawała zresztą, że i tak znaleźli się w lepszym położeniu, teraz jednak nie była tego już tak pewna. Czas mijał, a oni mogli podjąć mnóstwo różnych decyzji. Z pewnością – o ile wszyscy przeszli próby – dotarli już do Kryształowego Pałacu. Czy wiedzą jednak, co stało się z nią i Dianą? A jeśli tak, to co zamierzają z tym zrobić? Nie mogli przecież zaatakować Tir-na-Nog.

Kate sama nie wiedziała już, czy wierzy Thurisaz. Wyglądało na to, że królowa

otworzyła się przed nią, powierzając jej tę opowieść. Ale może to był zwykły błąd? To zadziwiające, że im bliżej byli kresu swojej wędrówki, tym bardziej wszystko się komplikowało.

Strażnicy doprowadzili ją do drzwi, otworzyli je i kazali wejść do środka. Wolałaby jeszcze wstrzymać się z wejściem do komnaty. Wiedziała, że Diana zasypie ją pytaniami, których chciała teraz uniknąć. Odetchnęła jednak głęboko i przeszła przez próg.

Diana krążyła po komnacie, wyraźnie wzburzona. Gdy drzwi się otworzyły, wyglądała, jakby miała zamiar rzucić się na wchodzącego, jednak przystanęła zdziwiona na widok Kate.

– Ty żyjesz? – O dziwo, w tych słowach nie zabrzmiał wyrzut, co chyba można było uznać za postęp w ich relacjach.

Kate milczała, ale nie dziwiła się zdumieniu Diany. W końcu sama w ciągu ostatnich godzin już kilkakrotnie przygotowywała się na śmierć. W dodatku myśli o niej wcale nie opuściły jej głowy, a stały się jeszcze bardziej uciążliwe, bo nie bała się już nagłej, natychmiastowej śmierci, ale takiej, która była odległa i wisiała nad nią niczym fatum tylko dlatego, że Kate stała się Strażniczką kamienia Danu.

– Co się stało? Gdzie byłaś? – Diana krążyła wokół. – Co widziałaś? Wiesz, jak się stąd wydostać?

Kate usiadła na łóżku i spojrzała na Dianę. Oto, kogo przed sobą miała – ostatnią osobę, która mogła stać się jej przyjaciółką. Jednak Diana także była Strażniczką, a jeśli już ktoś miał poznać historię Thurisaz, to byli to właśnie Strażnicy Żywiołów.

– Bardzo dużo się wydarzyło – powiedziała więc. – Bardzo dużo...

Zaczęła opowiadać, najpierw nieco niemrawo, wciąż mając w myślach najwyższą kapłankę i jej straszliwy los, jednak z każdą chwilą mówiła coraz płynniej i pewniej. Diana, co było do niej niepodobne, ani razu jej nie przerwała. Jedyne minami zdradzała swoje uczucia: głównie niedowierzanie i podejrzliwość. Słuchając opowieści Kate, stała nieruchomo, ale zaraz potem znów zaczęła chodzić po komnacie.

– Mam nadzieję, że nie łyknęłaś tych bajek – powiedziała. – Tirnanie to podli oszuści.

– No nie wiem. – Kate westchnęła. – Wszystko brzmiało bardzo prawdopodobnie.

– Chyba żartujesz! Naprawdę wystarczy opowiedzieć ci jakąś historyjkę, żeby zyskać twoje zaufanie? Niczego się nie nauczyłaś w domu Kleftis?

Kate parsknęła śmiechem.

– To ja miałam się tam czegoś nauczyć? Myślałam, że to ty powinnaś była wynieść lekcję.

– Owszem, i tak właśnie się stało. Później ani razu się od was nie oddzieliłam ani nie wychylałam.

– Ale nadal masz swoje tajemnice.

– Że co?!

Diana mogła udawać zdumioną, ale nie była w stanie oszukać Kate.

– Mówię o kartce, którą dostałaś od Annwynn. Widziałam, jak dała ci ją jeszcze nim wyruszyliśmy w podróż do pałacu. Nie jestem głupia, choć bardzo się starasz taką ze mnie zrobić w oczach innych.

– Babcia Annwynn wcale nie... – Diana urwała. – Mamy chyba ważniejsze sprawy na głowie.

Nie zaprzeczyła, a więc Babcia faktycznie przekazała jej coś istotnego. Na razie Kate nie miała jednak zamiaru drażyć tematu.

– Zgadza się, mamy ważniejsze sprawy – przyznała ponuro. – Przede wszystkim Fione. Bez względu na to, co myślimy o słowach Thurisaz, ona jej wierzy i chce nawet wziąć ślub z Tirnanem.

– Bo jest durna. Miłość całkiem ją zaślepiła. Zresztą wcale bym się nie dziwiła, gdyby rzucono na nią zaklęcie. To wszystko czysta polityka. – Diana, najwyraźniej zmęczona ciągłym chodzeniem, padła w końcu na swoje łóżko. Po chwili znów się odezwała: – Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze?

– No?

– Że wylądowaliśmy tu razem.



Lilian, trochę z nudów, a trochę z ciekawości, wyznaczyła sobie nowe zadanie: próbowała podejść Silvanusa. Nie mógł wprost powiedzieć im, kto zlecił mu śledzenie ich ani jaki miał w tym cel, jednak jego uczucia, a może umiejętne zadawanie pytań, mogłyby pomóc rozwiązać tę zagadkę. Pozostali już się tym nie zajmowali. Tom i Hiacinthus omawiali wszelkie możliwe scenariusze tego, co może czekać ich w Tir-na-Nog, Darrin i Fion z jakiegoś powodu wrócili do tematu Murugana, a Jonathan trzymał się na uboczu, pogrążony we własnych myślach. Lilian nie pozostawało już nic innego, jak tylko zająć się Silvanusem, szczególnie że teraz była jej kolej pilnowania sznura, którym obwiązali jego dłonie.

– Więc... Jak to się stało, że zostałeś wygnany z Tir-na-Nog?

– Powody są różne – odparł zdawkowo fer.

– Oczywiście, to jasne. Tak tylko sobie pomyślałam, bo... Tirnanie nie oskarżają o zdradę bez powodu. Nie mówię, że faktycznie zrobiłeś coś niewłaściwego. W ogóle zastanawiam się, jak potem sobie radziłeś, jak spotkałeś kogoś, kto ci zaufał. Pewnie nie było łatwo zdobyć nowych przyjaciół?

To było to pytanie! Gdyby wymówił jakieś imię i akurat byłaby to osoba, która kazała mu za nimi podążać, czar prysnąłby. Wyglądało jednak na to, że Lilian zadała je za wcześnie, a Silvanus wyczuł jej intencje, bo zmierzył ją pobłażliwym spojrzeniem, zupełnie jakby wcale nie był więźniem, a zwykłym towarzyszem.

– Nie mam żadnych przyjaciół – odparł.

– Cóż, chodziło mi tylko o to, że jakoś musiałeś sobie radzić...

Silvanus nic na to nie odpowiedział. Lilian miała ochotę zakląć, zła na siebie, że zaprzepaściła swoją szansę na zbadanie fera. Jednak po dłuższej chwili milczenia ten oznajmił:

– Tir-na-Nog to mroczne miejsce. Dużo mroczniejsze, niż wszystkim się wydaje... Ci, których uważasz tam za przyjaciół, szybko stają się wrogami, a bywa i tak, że wrogowie stają się przyjaciółmi, głównie dla własnego interesu. Nie chcę tam wracać.

– Ale my musimy tam pójść – odparła Lilian. – Nie mamy już wyboru. Szukamy odpowiedzi na wiele pytań, a teraz doszło do nich kolejne. Musimy wiedzieć, kto kazał ci nas śledzić.

– Myślisz, że tego chciałem? – Silvanus spojrzał na nią. W jego ciemnych oczach Lilian napotkała dziwny, tajemniczy rodzaj głębi; coś, co rzadko widziała w oczach innych osób, których wnętrza starała się czytać. Takie spojrzenia stanowiły wyzwanie, więc tym bardziej je lubiła. – Od początku uważałem, że wszystko powinno być dla was jaśniejsze, ale to nie ja ustalałem zasady gry.

– A więc to gra? – powtórzyła Lilian. – Nie chodzi o coś pra...

Przerwał jej dobiegający zza pleców odgłos kruszejącego kamienia. Natychmiast się odwróciła, pewna, że ktoś ich śledzi. Nie myliła się, bo nagle na ścieżce, tuż za nimi, znikąd zaczęły pojawiać się ciemnoskóre, pokryte srebrnymi tatuażami fery. Ich skrzydła lśniły w wieczornym mroku, a oczu rozbłysły czerwonym blaskiem. Musieli być tu przez cały czas. Poruszali się powoli i bezszelestnie, okryci czarem niewidzialności, jednak teraz, gdy wiedzieli już, że ich dostrzegła, nie musieli dłużej się ukrywać. Było ich co najmniej dziesięciu.

– Zwiado...

Chciała krzyknąć, ostrzegając nieświadomą zagrożenia resztę, ale jeden z Tirnanów tylko poruszył ręką, a podmuch wiatru uderzył ją w głowę z taką siłą, że straciła przytomność. Gdy tirnańscy zwiadowcy zaatakowali pozostałych, Lilian i Silvanus leżeli już nieprzytomni.

Pierwszy w sytuacji zorientował się Darrin, który szedł na przedzie. Athame w jego ręku rozbłysło oślepiającą, złocistą energią, jakby zebraną wprost ze słońca. Za jednym zamachem zmiotł trzech tirnańskich wojowników, którzy próbowali rzucić się na Hiacintusa.

Tom stanął twarzą w twarz ze zwiadowcą. Złowieszcza czerwień jego oczu kojarzyła się z buchającym ogniem. Tirnan poruszył ręką, wywołując powietrzny podmuch, przed którym Tom instynktownie się osłonił. Fala powietrza odbiła się od jego łokci i niczym bumerang wróciła do zwiadowcy, odrzucając go w górę. To dało Tomowi czas na dobyte athame.

Jonathan również walczył. Tirnanie próbowali podejść go od tyłu, jednak on wytworzył wokół siebie ognisty krąg. Na miał pojęcia, jak pozbędzie się potem tak gwałtownie rozbudzonej energii, ale wcale się tym teraz nie przejmował. Musiał zdobyć przewagę nad ogniem tylko na tyle, by móc nim zawładnąć.

Przesunął dłonią nad kręgiem, sprawiając, że ten wystrzelił w górę, a potem uformował się w kulę i uderzył ferzego wojownika prosto w serce. Klatka piersiowa Tirnana zaczęła płonąć. Fer rzucił się na ziemię, próbując ugasić ogień.

Ale wciąż pozostawało wielu innych wojowników. Hiacinthus całkiem nieźle radził sobie z walką, jednak Fion, najmniej zaprawiony w boju, szybko został spacyfikowany i leżał na ziemi obok Lilian i Silvanusa. Hiacinthus szybko zresztą do niego dołączył, gdy dwaj Tirnanie pochwycili jego ręce, a trzeci zdzielił go w głowę.

Tom z gołymi pięściami rzucił się na fera, który uderzył Hiacinthusa. Sam nie zdawał sobie sprawy z tego, co po chwili zaczęło odstraszać od niego tirnańskich zwiadowców: z każdym ruchem jego dłoni powietrze wokół stawało się jakby cięższe. Wyglądało na to, że rozbudził w sobie nową moc. Jego pięści wywoływały fale, które uderzały w atakujące go fery, a te – niepewne, jak zareagować – rozpierzchły się.

Z ciemności wyszli kolejni wojownicy. Jonathan i Darrin walczyli z nimi najbardziej zaciekle. W końcu zetknęli się plecami, broniąc się przed ferami z obu stron. Jonathan wciąż miotał kulami ognia, które w powietrzu formowały się w ogniste węże, samoistnie atakujące zwiadowców, a blask z athame Darrina nieustannie rozświetlał niebo.

Walka przyspieszała, choć nie towarzyszył jej niemal żaden odgłos, nie licząc przekleństw Toma, wciąż bijącego nieprzytomnego już fera. Wojownicy mogliby przegrać tę walkę, gdyby nie ich liczebność. Gdy jeden z nich uniósł się w górę i dwa razy zagwizdał, na niebie pojawiły się nagle srebrzyste światła. Najpierw wyglądały na kontury ferzych skrzydeł, szybko jednak okazało się, że w rzeczywistości to o wiele większe stworzenia, przypominające ważki. Z ich odwłoków wystrzeliły sieci, które opadły na walczących Strażników.

Gdy sieci spowiły ich wszystkich, ogromne ważki wylądowały. Z jednej z nich zsiadł fer ubrany w biały płaszcz.

– Thurisaz się ucieszy – powiedział. – Szukamy tego, co grozi Cienistej Krainie, a okazuje się, że jedno z zagrożeń właśnie do nas przywędrowało.

– Panie granic – zwrócił się do niego fer, ten sam, który został wcześniej porażony ogniem Jonathana. Na jego piersiach rysował się nadpalony ślad, ale mimo oczywistego bólu wojownik mówił spokojnie: – Wśród tych wędrowców znaleźliśmy zdrajcę.

Zaprowadził swojego władcę do jednej z sieci i wskazał Silvanusa.

– Ciekawe – powiedział fer w płaszczu. – A więc w tym wszystkim grają rolę jeszcze inne siły...

– A ci czarownicy... – dodał zraniony fer. – Oni... nie są zwykli. Dysponują jakąś większą mocą. Wiesz, że gdyby tak nie było, szybciej dalibyśmy im radę.

Władca pokręcił głową.

– To też będziemy musieli zbadać. Dziękuję wam. Wspaniale wypełniliście swoje obowiązki. Dzięki wam wszystkiego się dowiemy.

Pan granic ruszył z powrotem do swojej ważki, a fer podążył za nim.

– Panie, czy sądzisz, że grozi nam wojna? – spytał, nim władca wspiał się z powrotem na grzbiet ważki.

– Wojna? – zastanowił się ten. – Być może, ale to nie my musimy czuć strach, ale nasi wrogowie.



Przed bramą do Tir-na-Nog stał pal na tyle niski, by zawieszona na nim czaszka spoglądała wprost w oczy przechodniów. Sama brama, tak biała, że najwyraźniej też wykonana z kości, nie była wiele wyższa, a mimo to sprawiała przytłaczające, ponure wrażenie. Porastały ją pnącza czarnej róży, o kolcach długich i niezwykle ostrych. Śmierć i ból – to właśnie miało kojarzyć się z Cienistą Krainą tym, którzy wchodzili tu bez zaproszenia. Może dlatego dodatkowi strażnicy nie byli potrzebni.

Badb pamiętała to miejsce jak przez mgłę. Jako dziecko odwiedziła je z matką, ale nie pamiętała już, po co. Najwyraźniej przeraziła się wtedy tak bardzo, że tamto wspomnienie samo niemal całkowicie zatarło się w jej pamięci. Może właśnie dlatego widok bramy wywarł na niej takie wrażenie, jak gdyby zobaczyła ją po raz pierwszy. Tyle że teraz sama była matką i przybyła tu, by uratować swoje dziecko, a klątwy Tir-na-Nog nie mogły jej zatrzymać.

Badb nie chciała tu stać i się wahać. Przyszła w konkretnym celu, którego była już niezmiernie blisko, i natychmiast ruszyła ku przejściu.

– Stój – powstrzymał ją Harold. Wydawał się wyjątkowo zdenerwowany. – Nie za bardzo ci się spieszy?

Badb odwróciła się w jego stronę, gotowa, by zbesztać go tak samo, jak wcześniej zbeształa Selene. Jej mąż niezwykle często działał jej na nerwy, ale teraz patrzyła na niego z większym oburzeniem niż zwykle.

– Możesz tu zostać, proszę bardzo – powiedziała i tylko obawa przed tym, że Tirnanie mogliby magicznie wykorzystać jej ślinę, powstrzymała ją przed splunięciem na ziemię. – Jeśli nie obchodzi cię Fione, wracaj do domu! Bardziej martwisz się o własną skórę niż życie naszej córki?! Zaczynam tobą gar...!

Hillena chrząknęła. Od chwili, gdy opuściła ich Selene, wiedziała, że z Badb należało postępować wyjątkowo ostrożnie, jednak nie mogła odmówić Haroldowi racji. On sam patrzył teraz na żonę z mieszaniną strachu i wstydu.

– Zastanów się trochę – poprosiła Hillena, podchodząc do Badb. – Wiem, że chcesz od razu dostać się do Fione, ale jeśli przejdiesz przez bramę, Tirnanie będą wiedzieć, że pojawił się ktoś obcy, a gdy wyczują fera z Elphame, tym szybciej się tu zjawia.

Nie trzeba było przeczytać wielu tomiszczy o Jaarze – co pani Hallander i tak niewątpliwie zrobiła, i to wielokrotnie – by wiedzieć, że bramy prowadzące do krain położonych w Lesie Wielu działały jak magiczny alarm. Ominięcie ich

stwarzało większe możliwości pozostania niezauważonym, choć nie na długo.

Nie zanosilo się jednak na to, by Badb wiele robiła sobie z podobnych zagrożeń. Na słowa Hilleny przewróciła oczami i odparła:

– Tir-na-Nog jest pełne pułapek. Skoro mam tu wchodzić, wolę zrobić to z podniesioną głową.

Dłużej już nie czekała. Zrobiła krok naprzód i przekroczyła bramę. Harold i pani Hallander, nie mogąc zrobić już nic innego, podążyli za nią.

Podobnie jak Elphame, Tir-na-Nog otaczała bariera ochronna, energetyczna zasłona, na którą składały się czary rzucane przez mieszkańców Cienistej Krainy od pokoleń, magiczne fantomy i duchy przodków. Jednak o ile po przejściu przez zasłonę Elphame odczuwało się harmonię i spokój, tutaj energia była zupełnie inna: ciężka i złowroga, ciemny las odpychał wynurzającymi się cieniami drzew o poskręcanych gałęziach. Zdawało się, że miały oczy, którymi uważnie śledziły przybyszów.

Harold i Hillena nigdy dotąd nie odwiedzali Tir-na-Nog. Ten pierwszy czuł się tu wyjątkowo nieswojo. Przez całe życie starał się trzymać tylko tego, co znane i swojskie, pozostałe rzeczy i miejsca traktując z większą lub mniejszą pogardą, a teraz zaczął się bać, że ta przerażająca kraina, w której cienie zdawały się ożywać, może go za to ukarać. Pani Hallander skupiła się jednak na innych sprawach. Jak przystało na wiedźmę, postanowiła odłożyć strach na bok i zająć się tym, co ją nurtowało, czyli na magicznej zasłonie. Chodziło jej przede wszystkim o strukturę energetyczną bariery. To, że wzbudzała takie emocje, musiało się wiązać z jej składem, a ten można przecież zbadać, pobierając próbki energii. Zresztą z całą pewnością ktoś już to zrobił – po powrocie do domu będzie trzeba dotrzeć tylko do odpowiednich księzek.

O ile wrócę – pomyślała.

Nie odzywali się do siebie, jakby w obawie, że każdy szept może ściągnąć na nich niebezpieczeństwo. Ich ostrożność była jednak zbyt dobra, bo byli obserwowani od samego początku. W górze, w koronach drzew, bezszelestnie poruszali się tirnańscy zwiadowcy. Ich ciemnogrnatowe ciała zlewały się w jedno z barwą nocy. Jeden z nich skinął ręką na pozostałych. Trzech sięgnęło po niewielkie, przymocowane do pasa kusze, włożyło do środka cienkie jak igły bełty i skierowało je w stronę wędrowców.

Wystarczyło delikatne dmuchnięcie, by pociski powędrowały w stronę Harolda, Badb i Hilleny. I mimo że każde z nich poczuło ukłucie, nie mieli nawet czasu, by się odezwać. Po kilku sekundach osunęli się na ziemię.



Cała trójka odzyskała przytomność, jeszcze zanim wrzucono ich do niewielkiej celi, oświetlonej jedynie światłami odległego miasta, które wpadały do środka

przez zakratowane okno. Światła wystarczyło im jednak, by zobaczyć, jak wielka niespodzianka tam na nich czekała – wielka i nieprzyjemna.

– Wy tutaj? – Wyraźnie usłyszeli głos Lilian. Ona i cała reszta, wyjąwszy Kate i Dianę, siedziała teraz pod ścianą. Wszyscy kierowali zdumione spojrzenia na przybyłych.

– No nie! – zdenerwowała się pani Hallander. W oczach wciąż jeszcze trochę się jej mroczyło, ale zaczęła już dochodzić do siebie po ataku tirnańskich strażników. – Od początku mówiłam wam, żebyście wracali do domów! No i proszę bardzo!

– Nie denerwuj się – odparła spokojnie Lilian. – Wiesz przecież, że nie chcieliśmy zostawić dziewczyn. Przecież nie wpadliśmy w pułapkę specjalnie. Poza tym wy, jak widać, też sobie nie najlepiej poradziliście.

Pani Hallander nie znalazła na to żadnej odpowiedzi. Żałowała, że kilka dni temu nie wykazała się większą rozważą. Gdyby na nowo przyszło jej wybierać, czy udać się do Tir-na-Nog, pewnie mimo zachęty Badb i Selene zostałyby w domu i działała w inny sposób. Mieli tak wiele innych możliwości. Przede wszystkim od razu powinni byli powiadomić Społeczność i Kryształowy Pałac, nie bawiąc się w żadne Bramy. Dlaczego wtedy nie posłuchała głosu rozsądku? Miała wrażenie, że wszyscy zupełnie oszaleli i oto dokąd ich to doprowadziło: cała rodzina – Maasów uwięziona w Tir-na-Nog, nie wspomniawszy już o jej bratanicy, która niemal uparcie pakowała się we wszelkie możliwe tarapaty.

– Nie zabawimy tu długo – stwierdził Darrin. – Książę Tammuz wie, gdzie wyruszyliśmy, i pewnie wyśle posiłki. Poza tym zostaje nam Annwynn, w razie czego... – Teraz nawet on musiał przyznać, że pomoc Babci bywała przydatna. – Albo mój ojciec.

– Nie sądzę – odparł z przekąsem Tom. – Dla niego tydzień życia na ziemi to mniej więcej minuta, więc jeśli zechce sprawdzić, co u ciebie nowego, odezwie się może za sto lat. Co do Annwynn, to pewnie w końcu znajdzie jakiś sposób, by tu dotrzeć.

– Ale do tego czasu będziemy musieli poradzić sobie sami – zauważył Harold – a przecież nawet, jeśli ktoś przyjdzie nam na pomoc, to niby jak nas znajdzie?

– Chwilę – odezwał się Fion, który dotąd siedział w kącie, unikając wzroku rodziców. – Kogoś tu brakuje.

Hiacynthus jęknął. Choć starał się tego nie okazywać, ujawnił się w nim lęk, który – z tego co pamiętał Fion – ludzie nazywali klajstrofonią. W przypadku Hiacynthusa objawiało się to tym, że od początku ich pobytu w celi, gdy tylko obudzili się, leżąc na zimnej posadzce, nie odezwał się ani słowem i z przerażeniem patrzył na własne, podwinięte kolana. Jęk Hiacynthusa był jednak zrozumiały – w środku i tak było już wystarczająco ciasno, więc brak kogokolwiek powinni raczej przyjąć z ulgą. No i zgubili Silvanusa, który pewnie oczekiwał w innym miejscu na karę za powrót do Cienistej Krainy.

– Nie ma Selene – zauważyła Lilian. – Co z nią?

Pani Hallander się skrzywiła.

– To długa historia.

Tej nocy żadne z nich nie zasnęło. Nawzajem opowiadali sobie o tym, co spotkało ich po drodze tutaj, i nie mogli uwierzyć, że od początku podróży minęło tak niewiele czasu. Rozmowie towarzyszyło wzajemne obrzucanie się pretensjami i wybuchy kłótni. Nad ranem, gdy wszystko się uspokoiło i gdy różowy blask zaczął wpadać przez żelazne kraty, część pomyślała nawet o drzemce, by zapomnieć na chwilę o głodzie i pragnieniu. Niedługo po tym, jak zobaczyli pierwsze promienie słońca, drzwi ich celi otworzyły się i stanęła w nich młoda ferini w otoczeniu strażników.

– Badb `yl Maas, mam dla ciebie przesłanie – powiedziała od razu i rozwinęła trzymany w dłoni cienki, lśniący pergamin. Zaczęła czytać: – *Oto słowa Thurisaz de Skaddan, królowej Tir-na-Nog, skierowane do Badb `yl Maas de Beedlebee. Wiem, z czym przychodzisz do tej krainy i choć twoją wizytę możemy traktować jak najazd, oszczędzę wasze życie. Stawiam jednak pewien warunek. Musisz opuścić Tir-na-Nog i nigdy więcej tu nie wracać, na zawsze zapominając o swojej córce. Jeśli jednak nadal chcesz z nami walczyć, wyzywam cię na honorowy pojedynek. Podobnie jak ty, jestem matką, choć moje dzieci, wszyscy Tirnanie, są liczniejsze. Zgodnie ze starymi zasadami Tuatha, możemy stoczyć bój na śmierć i życie: pojedynek matek. Gdy przegrasz, zginiesz nie tylko ty, ale wszyscy twoi towarzysze. Jeśli wygrasz i zabijesz mnie, odzyskasz swoją córkę i wszyscy będziecie mogli bezpiecznie opuścić Cienistą Krainę, gdy ta będzie poszukiwać nowej władczyni.*

Ferini zwinęła pergamin i skierowała na Badb oczekujące spojrzenie. Pani Hallander czuła, jak jej serce zaczyna mocniej bić. Propozycja królowej była zatrważająca. Pojedynek matek, którego fery z Elphame od dawna już nie praktykowały, odbywał się tylko w niezwykłych sytuacjach, ale nigdy dotąd osoba z królewskiego rodu nie wyzwała do niego zwykłej ferini. Czy dla Thurisaz sprawa Fione była aż tak ważna, by postawić na szali całe swoje królestwo?

Badb i młoda ferini trwały w milczeniu, a pozostali w celi przyglądali się im z rosnącym niepokojem. Każdy wiedział, że Badb za nic w świecie nie powinna przystawać na te warunki. Sposobów na odbicie Fione było wiele, zwłaszcza jeśli do sprawy włączyłaby się rodzina królewska z Elphame, a Badb nie miała przecież większych szans z Thurisaz w jej własnym królestwie. Zresztą całe to wyzwanie mogło być tylko rodzajem gry ze strony władczyni.

Pani Hallander wciąż otwierała usta, powtarzając bezgłośnie „Nie”, Fion i Harold stanęli po obu stronach Badb i położyli ręce na jej ramionach, jakby w ten sposób chcieli ją przekonać, by dała młodej ferini krótką odpowiedź. I Badb zrobiła to. Nie była to jednak odpowiedź, jakiej oczekiwali:

– Tak.

Słyszając to, Harold osunął się na ziemię, a z ust Fiona dobył się krótki krzyk. Młoda ferini wydawała się zdumiona.

– W takim razie pojedynek odbędzie się tego wieczora – odparła po krótkim wahaniu, po czym skłoniła się, jakby chciała dać wyraz szacunkowi, jaki miała dla Badb, i odeszła, zostawiając więźniów w poczuciu ogromnego szoku.

Badb wydała wyrok śmierci nie tylko na siebie – wydała go na nich

wszystkich.



Rozdział 27

Pojedynek matek

– Nie wierzę – łkała Fione. Siedziała teraz w komnacie Kate i Diany, ukrywając twarz w dłoniach. – Jak ona mogła to zrobić? Prosiłam, żeby zrezygnowała z tego pomysłu.

Obok stał Ailil, wysoki kasztanowy fer z bordowymi motylimi skrzydłami i ciemnymi włosami. Ze współczuciem przyglądał się Fione, gładząc jej głowę. Nie odezwał się ani słowem, za to krążąca po komnacie Diana miała wiele do powiedzenia:

– To twoja wina – wyrzucała z siebie ze złością kolejne słowa. – Swoją własną głupotą zabiłaś ich wszystkich, a teraz przychodzisz tutaj się żalić?! I myślisz, że ci pomożemy?!

– Thurisaz była przekonana, że matka nie podejmie wyzwania i odejdzie – tłumaczyła Fione. – A potem, gdyby już ochłonęła, mogłabym wytłumaczyć jej, o co chodzi.

– Jasne! – krzyknęła Diana. – Zadajesz się z oszustami i oczekujesz, że powiedzą ci prawdę?

Kate nie chciała mówić tego głośno, by nie pograżać Fione w jeszcze większym smutku, ale zgadzała się z Dianą. Nie sądziła, że Thurisaz naprawdę wierzyła w takie rozwiązanie. To wydawało się za proste. Z drugiej strony, trudno było też uznać, że władczyni dążyła do zabicia rodziny Fione. Nie mówiła więc całej prawdy, ale też nie kłamała – kryła się za tym jakaś gra, której zasady znała tylko królowa.

– Na czym polega ten pojedynek matek? – spytała Kate. – Nigdy jeszcze o nim

nie słyszałam.

Tym razem wreszcie odezwał się Ailil:

– To bardzo stara tradycja, której nie praktykuje się już nawet tutaj. Dawniej, by chronić honor rodziny, matki, uznawane za ich głowy, rzucały sobie wyzwania. Stawały w kręgu, by zmierzyć się ze sobą magicznie i walczyły zwykle dotąd, aż jedna z nich plegała. Niektórzy nadużywali tej tradycji, dlatego z czasem zanikła i dziś nieczęsto się o niej wspomina.

– Więc wygląda na to, że Thurisaz jest gotowa dla was umrzeć? – Diana obrzuciła wzrokiem Fione i Ailila, który otoczył ją teraz swoim ramieniem. – To niedorzeczne.

– I bardzo nie w jej stylu – dodała Kate. – Nie zrozumcie mnie źle, ale... nie sądzę, by dla niej wasza miłość miała większe znaczenie, a już na pewno nie na tyle, by poświęcić dla niej całe królestwo i własne życie.

– W takim razie o co może jej chodzić? – Fione uniosła na Kate zapłakane oczy.

Kate wzruszyła bezradnie ramionami, ale zaraz potem wpadła na pewien pomysł. Na razie jednak nie chciała z nikim się nim dzielić.



W niewielkiej celi panowała cisza, której nikt nie przerywał, nie mając nawet siły, by mówić. Pani Hallander czuła się już nie jak więźniarka, ale skazana. Wiedziała, że determinacja Badb nie doprowadzi ich do niczego dobrego. Wciąż wyrzucała sobie, że zgodziła się tu przyjść.

Badb medytowała w kącie celi, próbując zebrać swoje magiczne siły. Energia krążyła pod jej skórą, niesiona przez krew. Była silna, wspomagana gniewem, jaki Badb czuła do Thurisaz, i miłością, którą miała dla Fione.

Tego dnia dostali trzy posiłki. Nie był to zwykły chleb z wodą, ale miód, świeże, ciepłe mięso i owoce. Tirnanie starali się pokazać, że dobrze traktują tych więźniów, którzy ich zdaniem na to zasłużą. Z pewnością byli pełni podziwu dla decyzji Badb, pewnie nawet w oczach ich królowej uchodziła ona teraz za nieprzeciętną ferinię, zwłaszcza że zwykle traktowali fery z Elphame jako mniej honorowe i słabsze. Dla Fiona i Harolda, którzy cierpieli teraz najbardziej, niewiele to jednak zmieniało, a Badb aż do wieczora pozostawała w głębokiej medytacji, jakby zapomniała, że oprócz córki, dla której była w stanie poświęcić swoje życie, miała jeszcze męża i syna.

Lilian, Tom i Darrin nie mieli zamiaru się poddawać. Jako jedyni nie wyglądali teraz na przygnębionych, choć bali się tak samo jak reszta. Porozumiewali się ze sobą jedynie w myślach.

– *My na nic się nie zgodziliśmy* – zauważyła Lilian. – *I kiedy przyjdzie pora walki, powinniśmy zrobić wszystko, by jakoś się z tego wykaraskać.*

– I pomóc innym – dodał Tom.
– O ile będzie się dało – odparł Darrin.
– O czym ty mówisz?! Nie możemy ich zostawić!
– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, w jakiej jesteśmy sytuacji. Jasne, zrobimy wszystko, żeby pomóc każdemu, komu zdołamy, ale jeśli się nie uda, musimy myśleć o sobie. Nasze przetrwanie jest istotne dla Jaaru. Pamiętajcie, co mówiła Eos o rzeczach, jakie mają się wydarzyć? Już przebudziły się potęgi, z którymi musimy walczyć. Jako Strażnicy mamy ważniejszą rolę do odegrania.

– Cóż, szczerze mówiąc, zgadzam się z Darrinem – powiedziała Lilian, ostrożnie patrząc na Toma. – Wiem, o co ci chodzi, ale w razie czego będziemy musieli zdać się na moc swoich kamieni i jak najszybciej połączyć z Dianą i Kate. Dopiero potem wolno nam myśleć o pozostałych.

Tom nic na to nie odpowiedział. Zacisnął pięści, zły, że Lilian i Darrin okazywali taki brak skłonności do poświęceń, a jednocześnie wściekły na samego siebie, bo mimo wszystko musiał przyznać im rację. Odwrócił wzrok w kierunku ściany, pod którą siedział Jonathan. Jako jedyny z nich wszystkich został pozbawiony kamienia żywiołu, który był przymocowany do jego rózdzki. Jemu również trzeba będzie pomóc, a na razie nie znajdował pomysłu, jak to zrobić.

Mimo że czas dłużył się niemiłosiernie, nie znaleźli sposobu, by się uwolnić ani by w jakiś sposób oszukać królową. Gdy zapadł zmrok, usłyszeli odgłos rogu, a potem kroki zbliżających się do nich Tirnan. Na czele grupy strażników znów szła ta sama młoda ferini. W dłoniach trzymała ciemną, jedwabną płachtę.

– Pora walki nadeszła – oznajmiła, otwierając drzwi ich celi, które natychmiast zastawili postawni strażnicy.

Badb otworzyła oczy.

– Jestem gotowa – oznajmiła.

Pani Hallander poczuła chłód, a Harold zaczął panikować. Trząsł się i jęczał, podtrzymywany niepewnie przez Fiona i Hiacintusa. Młoda ferini wręczyła jedwabną płachtę strażnikom, którzy rozłożyli ją i zarzucili na więźniów, przenosząc ich z celi w zupełnie inne miejsce.

Sala, w jakiej się znaleźli, sprawiała przygnębiające wrażenie. Ciemne ściany porastał gęsty bluszcz, którego ciężkie, granatowe płatki opadały nisko, jakby tęskniąc za płynącą gdzieś pod ziemią wodą. Z sufitu zwisały grube korzenie drzewa, które wbijały się w kamienną posadzkę. Na środku pomieszczenia stał kamienny tron, otoczony szerokim, lśniącym kręgiem. Wokół niego rozstawiono wiele krzesel. Na razie jednak wszystkie pozostawały puste.

– Przekroczysz krąg. Pod tronem czeka na ciebie miecz, którego użyjesz w walce – mówiła do Badb młoda ferini, a potem spojrzała na pozostałych. – Będziecie obserwatorami. – Wskazała im krzesła.

Harold próbował porozmawiać z Badb, ale gdy tylko położył dłoń na jej ramieniu, strąciła ją i ruszyła w stronę kręgu. Tymczasem strażnicy otoczyli pozostałych więźniów i kazali im usiąść.

Z drugiego końca sali odezwały się kroki. Po chwili w cieniu pojawiło się kolejne źródło światła – jaśniejąca suknia, wyglądająca, jakby utkano ją z najprawdziwszego złota. Thurisaz kroczyła dumnie przed siebie, mając po bokach kolejnych strażników. Za nią ze spuszczonego wzrokiem podążali Fione i Ailil. Na samym końcu kroczyły Diana, bacznie rozglądająca się na wszystkie strony i gotowa do walki, oraz Kate.

Pani Hallander wstała z krzesła. Chciała coś zawołać, jednak jej słowa zostały magicznie stłumione. Kate posłała jej tylko jedno spojrzenie, sadowiąc się na krzesło po przeciwnej stronie kręgu. Sama nie wiedziała, co chciała w ten sposób wyrazić. Nie mogła sprawić, by ciotka się nie denerwowała. Przeniosła wzrok na Jonathana. On jeden wydawał się uspokojony. W końcu mógł ją zobaczyć, więc wiedział, że żyła.

Badb, Harold i Fion utkwili spojrzenie w Fione, która nie odważyła się podnieść głowy. Co zrobią, gdy się dowiedzą? Teraz żadne wyjście nie wydawało się właściwe.

Z cienia zaczęło wyłaniać się więcej postaci. Wyglądało na to, że wszyscy dworzanie zebrali się w Sali Prawdy, by oglądać pojedynek, jaki miała stoczyć ich królowa. Thurisaz przekroczyła krąg i stanęła oko w oko z Badb.

– A więc przyjęłaś moje wezwanie, Badb `yl Maas. Muszę przyznać, że jestem zaskoczona.

– W takim razie nigdy nie byłaś matką – odparła hardo Badb.

Thurisaz przemilczała tę uwagę, zmuszając się jedynie do nieznacznego uśmiechu.

– Znasz zasady – powiedziała – ale dla jasności powtórzę je. Stoczmy ten pojedynek na śmierć i życie. Jeśli zwyciężę, będę miała prawo ukarać śmiercią wszystkich twoich towarzyszy. Bezprawnie przekroczyliście granice mojego królestwa i traktuję was jak wrogów. Prawa Tir-na-Nog są surowe, jednak to one zapewniają nam bezpieczeństwo. Gdy już...

– Jeśli wygram, zostaniesz doszczętnie zniszczona, raz i na zawsze – przerwała jej Badb. – Postaram się, by o tobie zapomniano, uzurpatoroko i zdrajczyni. Jest tylko jedna królowa ferów, a ty nigdy, choćbyś zebrała wokół siebie tysiące fałszywych sług, nie zdołasz się z nią równać.

Z ust Badb wraz ze słowami wypływała nienawiść, jakiej Kate nigdy się po niej nie spodziewała. Thurisaz zachowała kamienną twarz. Zamiast odpowiadać obelgą, postanowiła uderzyć w najczulszy punkt, by ostatecznie osłabić Badb. Zza fałd sukni wyciągnęła ozdobną sakwę. Powoli otworzyła ją i wyjęła dwie splecione ze sobą obrączki, które lśniły jeszcze bardziej niż jej suknia.

– Czy myślisz, że walczymy o mnie lub o ciebie? – spytała. – Spójrz, głupia, o co tak naprawdę toczy się walka.

Podeszła z obrączkami do tronu i upuściła je, a te zawisły nad siedzeniem, otoczone jaśniejącą sferą.

– Oto, co naprawdę zostało położone na szali – ciągnęła Thurisaz. – Szczęście twojej córki. Czy myślisz, że ją porwałam? Nie, nie zrobiłam tego. Fione `yl Maas sama przysłała do mnie, bym pozwoliła jej wziąć ślub z... – Thurisaz

zawiesiła głos i przez chwilę napawała się swoim triumfem – ...Aililem – dokończyła. – Jednym z synów Tir-na-Nog.

Badb znów spojrzała na córkę, a jej usta zadrżały. Twarz Harolda nabrzmiała i poczerwieniała, gdy próbował krzyknąć i zerwać się z krzesła, gdzie przetrzymywali go strażnicy. Fion za to skierował swój wzrok w stronę Kate, jakby szukał u niej potwierdzenia, a ona tylko nieznacznie skinęła głową. Potem, modląc się, by wszystko zadziało, i pokładając nadzieję w najmniejszej, jak się wydawało, rzeczy, sięgnęła do kieszeni, w której udało jej się przemycić fiołkę z zamkniętymi wewnątrz fylgiami. To właśnie o nich pomyślała jako o potencjalnym rozwiązaniu. Wprawdzie wykorzystanie ich wydawało się zbyt proste w starciu z potężną magią Tir-na-Nog, ale skoro w Domu Przodków nikt nie zabezpieczył się przed chowańcami, może i fylgie mogły wspomóc ją swoją magią. Zresztą nic innego jej nie pozostawało, przyszła pora, by zdać się na magię szczęścia.

– Niech przyniosą rozwiązanie najlepsze dla nas wszystkich – szepnęła i otworzyła fiołkę.

Fylgie popędziły natychmiast w stronę korzeni drzewa, za którymi ukryły się niezauważone.

Badb ruszyła w stronę Thurisaz. Obie stały teraz przy tronie i jednocześnie wyciągnęły z niego miecze o złożonych rękojeściach ozdobionych rubinami – kamieniami krwi, jak nazywali je Tirnanie. Młoda ferini stanęła w kręgu i zaczęła odliczać:

– Trzyście, dwanaście, jedenaście...

Zdawało się, że nie tylko Thurisaz zna zasady. Badb bowiem, niepoinstruowana przez nikogo, zaczęła się oddalać. Władczyni zmierzała w drugą stronę.

– Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

Walczące odwróciły się w swoją stronę. Zmrużyły oczy i żadna nie widziała już niczego ani nikogo poza przeciwniczką.

– Sześć, pięć, cztery...

Po obu stronach sali zapanowało niezwykle napięcie. Cisza stała się wszechogarniająca. Nawet strażnicy i młoda ferini okazali strach, bo wraz z życiem ich królowej bezpieczeństwo całej krainy zostało zagrożone.

– Trzy, dwa, jeden.

Rozległ się pierwszy krzyk – z ust Badb. A potem obie przeciwniczki natarły na siebie.



– Teraz – powiedział mistrz, rozglądając się na wszystkie strony, po czym wskoczył w niewielkie, wydrążone w skale przejście. Astrin podążyła za nim.

Znaleźli się w pustym, ciemnym korytarzu i niemal natychmiast pojawiły się przy nich światła.

– Awernalie? – zdziwiła się Astrin. Znała te stworzenia. Ich zadaniem było oświetlanie drogi w mrocznych korytarzach i przejściach, zwykle same pojawiały się u boku podróżnych, chętne, by ich prowadzić. Czy jednak te konkretne awernalie nie powinny raczej towarzyszyć jedynie tym, którzy mieli prawo, by się tu znaleźć?

– To naprawdę niezwykle – wyszeptał mistrz. – Idzie nam zaskakująco łatwo.

Astrin myślała tak samo. Nadal nie mogła uwierzyć w to, jak szybko się tu dostali, właśnie tutaj, aż do Domu Przodków. Na drodze nie stanęła im żadna przeszkoda, nikt nawet ich nie zauważył, a mistrz wciąż spoglądał do swojej książki, gdzie pojawiały się nowe wskazówki, mapa wiodąca ich w głąb Cienistej Krainy.

Astrin oczywiście czytała wszystkie pojawiające się słowa i oglądała rysunki – układały się w logiczną całość, choć nie zawsze dało się je od razu zrozumieć. Podejrzewała, że czai się w nich jakaś drobna nieścisłość, coś, co ostatecznie skaże ich na porażkę. Ale na razie wszystko szło gładko. Wskazówki okazały się szczerze, musiały więc pochodzić od przyjaciela, co naturalnie komplikowało sprawę.

Kto miałby im pomagać? A przede wszystkim: *dlaczego* miałby to robić? Wiedza o pałacu, będącym mieszkaniem samej królowej Thurisaz, musiała być dostępna tylko nielicznym. Jeśli więc w Tir-na-Nog krył się zdrajca, zapewne stanowił jednego z najbardziej zaufanych dworzan, może nawet była to sama Thurisaz? Astrin wiele już o niej słyszała i wiedziała, że dla władczyni zbratanie się z kimkolwiek nie byłoby przeszkodą, gdyby tylko widziała w tym interes dla swojej krainy. Tirnanie nigdy nie opowiadali się po żadnej stronie odwiecznego konfliktu, czerpiąc korzyści od obu. Zimna kalkulacja, niedawne pojawienie się Wielkich Rzeczy, być może przewidywany przez wszystkich powrót Wielkiego Pana – to mogły być wystarczająco istotne powody, by tym razem stanąć po jego stronie.

Ten scenariusz nie musiał być jednak prawdziwy. Istniało równie duże prawdopodobieństwo tego, że wskazówki wysyłał ktoś inny; ktoś, komu udało się zdobyć poufne informacje i kto chciał przekazać je dalej. Korytarz wydłużał się, skręcał i robił coraz chłodniejszy. Wejście dawno zniknęło już za plecami mistrza i Astrin, a awernalie nie opuszczały ich ani na chwilę. Kręciły się tuż przy nosie Rubena, pozwalając mu odczytywać mapę.

– Spójrz. – Podsunął książkę Astrin. – Teraz droga ukazuje się zupełnie wprost.

Na ostatniej, pustej stronie książki wciąż pojawiały się kolejne linie, mówiące im, jak mają się poruszać. Cel był coraz bliżej, a pałac sprawiał wrażenie całkiem opustoszałego, zupełnie jakby ktoś celowo zebrał wszystkich jego mieszkańców w jednym miejscu, tak aby nie przeszkadzali intruzom.

Wreszcie droga na mapie urwała się, a Ruben i Astrin stanęli przed okrągłymi drewnianymi wrotami, które oblekały grube pajęczne sieci. Na pustej stronie

w książce mistrza pojawił się obraz – spiralny labirynt.

– Co mamy z nim zrobić? – spytała Astrin. – Chyba nie musimy znowu...?

– Spokojnie, wiem, co należy zrobić – odparł mistrz. Wyciągnął rękę i, uważnie śledząc kontury labiryntu, zaczął rysować go palcem na drzwiach. Gdy skończył, jego rysunek zalśnił, a drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, płosząc kilka wielkich pajaków.

Ogromna komnata, do której wkroczyli, była skąpana w niebieskim blasku dobywającym się z mazi oblegającej sufit – gruba warstwa śluzu była wytwarzana przez hekasehr, owady, mające stanowić ucieleśnienie pierwotnej siły magicznej. Ich liczna obecność tutaj nie dziwiła, biorąc pod uwagę fakt, że było to jedno z najbardziej magicznych miejsc, jakie widziała Astrin. Wszystko to za sprawą tylko jednej rzeczy – potężnego drzewa stojącego na środku komnaty. Jego pień był niezwykle gruby, korzenie wbijały się w posadzkę, a konary sięgały aż do sufitu, z którego przedostawały się na zewnątrz.

– To przecież... – zaczęła Astrin, a mistrz dokończył za nią:

– Drzewo Wzroku.

Wprost przed nimi uwidaczniały się stare legendy, a Drzewo Wzroku nabierało prawdziwego kształtu, przytłaczając intruzów swoją niezwykłością.

– Przyjaciele – rozległ się czyjś głos. Dopiero wtedy Ruben i Astrin zdali sobie sprawę z obecności fera o długich włosach i brodzie, które przeplatały się z gałęziami drzewa. Przybysze natychmiast do niego podeszli.

Fer wydawał się bardzo stary i można było odnieść wrażenie, że jedynym, co trzyma go przy życiu, jest kontakt z drzewem.

– Ty nas tu przywiodłeś? – spytał Ruben. – Kim jesteś?

Mędrzec się uśmiechnął.

– To ja – przyznał. – I, na Wielkiego Pana, cieszę się, że przybyliście.



Strumienie magicznej energii – krwistoczerwony Badb i ciemnofioletowy Thurisaz – przeskakiwały po granicach kręgu, jednak nie opuszczały go. Walka trwała już od pół godziny, jednak bez rozstrzygnięcia. Płynne, zwiewne ruchy Thurisaz przypominały taniec. Królowa długo potrafiła udawać brak zmęczenia, jednak w końcu na jej czole pojawiły się kropelki potu.

Badb walczyła z zaciekłością i siłą, o jakie nikt jej nie podejrzewał. Szybko okazało się, że stanowiła dla Thurisaz godną rywalkę. Nawet Fion i Harold nie byli pewni, gdzie nauczyła się posługiwania magicznym mieczem zamiast athame i dlaczego tak świetnie wykonywała uniki.

Thurisaz wypuściła ze swojego ostrza potężniejszy strumień energii, który zafalował w powietrzu i pomknął w stronę Badb, próbując ją otoczyć. Ta jednak przejęła go z łatwością i skierowała w stronę podłogi, gdzie energia się

rozproszyła. Badb wypuściła w stronę władczyni płomień, który przemknął tuż obok jej ucha, sprawiając, że Thurisaz krzyknęła, po raz pierwszy ukazując złość. Wyglądało na to, że zaczęła żałować propozycji pojedynku, bo nawet jeśli nie chciała zabić swojej przeciwniczki, ta robiła wszystko, by zadać śmiertelny cios, uderzając coraz mocniej. Królowa nie mogła dać się upokorzyć na oczach poddanych. Fione trzęsa się tak bardzo, że wraz z nią dygotało krzesło. Strażnicy Żywiołów zachowywali jednak względny spokój.

– *Pamiętajcie.* – Lilian wysłała swoje myśli do Toma i Darrina. Próbowwała także porozumieć się z Dianą, ale krąg, który je dzielił, blokował magiczne połączenie. – *Gdy przyjdzie odpowiednia pora, musimy zacząć działać.*

– *O ile tylko zdołamy rozpoznać tę porę* – zauważył Tom.

– *Jeśli nie przyjdzie sama, to my będziemy musieli do niej doprowadzić* – odparł Darrin. Spojrzał w stronę Kate, gdy w kręgu rozległ się kolejny wrzask, tym razem ze strony Badb, która nie zdążyła w porę uniknąć uderzenia Thurisaz, w efekcie czego energia poparzyła jej ramię. Darrin skupił jednak całą uwagę na Strażniczce kamienia-władcy i zadawał sobie w myślach pytania, których nie wysłał jednak swoim towarzyszom. Uciekający wzrok Kate sprawił jednak, że jego wątpliwości wydały mu się całkiem realne.

Wyglądało na to, że podczas tej walki każdy musiał trzymać którąś ze stron: nie tylko stronę Badb lub Thurisaz, ale także Elphame albo Tir-na-Nog, przetrwania Jaaru lub jego zagłady. Ale którą trzymała Kate?

Kolejne strumienie energii przecinały powietrze. Walka stała się jeszcze bardziej zacięta.



Rozdział 28

Drzewo wzroku

Sądząc, że zachowanie najwyższej ostrożności będzie teraz wskazane, Ruben i Astrin nie zrobili ani kroku dalej. Jeśli miała czekać na nich jakaś pułapka, to najpewniej właśnie tutaj. Rozejrzeli się dookoła. Wyglądało na to, że oprócz starca nikogo tu nie było, a on nie wydawał się dość silny, by ich zaatakować. Pozory mogły jednak mylić.

– Podejdźcie – zachęcił ich stary fer, szczerząc się do nich. Jego uzębienie było niepełne. – Jestem waszym przyjacielem.

Ruben, nadal zachowując czujność, zbliżył się do starca. Stał jednak w odpowiedniej odległości, by w razie czego móc umknąć przed atakiem. Astrin nie zrobiła najmniejszego kroku.

– Dlaczego nas tu ściągnąłeś? – spytał Ruben. – Kim właściwie jesteś?

– Nie mam imienia – odparł starzec. – Jeśli kiedykolwiek je nosiłem, sam już go nie pamiętam. Tutaj nazywają mnie Mędrce i właśnie tym jestem. I być może dlatego was tu ściągnąłem: bo znam mądrość.

– Wysyłałeś nam wszystkie te wskazówki, skierowałeś tutaj...

Mędrzec nic na to nie odpowiedział. Spojrzał w górę, gdzie przez konary wielkiego drzewa prześwitywało blade światło.

– Wiecie, co to za drzewo? – spytał.

– To starożytne Drzewo Wzroku – odparła Astrin – najświętsza rzecz w całym królestwie Tir-na-Nog.

– Zgadza się. Drzewo rośnie tu od początku Jaaru, a ten, kto je zasadził, był jednym z pierwszych władców tej krainy i całego świata. Ono nie należy do nas.

Przeciwnie, samo ściągnęło nas do siebie, przywołało swoją magią i pozwoliło zbudować tu miasto w oderwaniu od Elphame. Zaufało nam.

– Tym dziwniejsze wydaje się więc, że nas tu ściągnąłeś – odparła Astrin. – Tirnanie nie rozdają swoich świętości ot tak. Działałeś w pojedynkę, prawda? Pałacowe korytarze są zupełnie opuszczone. To twoja sprawka?

Na twarzy Mędrca pojawił się wyraz uznania.

– Zgadza się, młoda wiedźmo. Mój niezwykle związek z Drzewem Wzroku daje mi wgląd w najodleglejsze części świata, mogę kontaktować się z innymi krainami Jaaru, a także z ludźmi, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wypracowanie tej techniki, poznanie delikatnej struktury drzewa i impulsów, jakie przez nie przenikają, zajęło mi wiele lat, ale w końcu udało się. Sięgnąłem w głąb historii i zacząłem odczytywać gwiazdy wraz z przyszłością, jaką niosą. Wreszcie dotarłem do umysłów istot myślących, mogłem śledzić ich poczynania. Ta wiedza kosztowała mnie utratę własnej osobowości, ale przecież od początku właśnie o to w tym chodziło. Nie działałem dla siebie, dla żadnego... *mnie*. Działam dla *nas*, dla Tir-na-Nog.

– A jednak reszta Tirnan o tym nie wie... – Astrin nabierała coraz większych podejrzeń, a Ruben skarcił ją za to.

– Jakie to ma znaczenie? – syknął. – Przyprowadził nas tutaj, by powiedzieć o czymś ważnym, jest po naszej stronie. Czy musi obchodzić nas cokolwiek innego?

Astrin chciała odpowiedzieć, że owszem, powinno ich to obchodzić, ale Mędrzec ubiegł ją.

– Wiedźma ma rację – oznajmił. – Działam sam, ale istnieją ku temu ważne powody. To nie pomyłka, że nazywają mnie Mędrcem. Sama królowa Tir-na-Nog radzi się mnie w istotnych sprawach i wie, że nie jestem zwykłym poddanym, że bez mnie byłaby jak bez tego drzewa, z którym tylko ja umiem całkowicie się porozumieć. Ponieważ spoglądam w przyszłość i znam historię mojego ludu, wiem, po jakiej stronie powinniśmy stanąć i co jest dla nas dobre, ale inni potrzebują czasu, by to zrozumieć i zaakceptować. Długo myślałem nad swoim planem i wreszcie, znalazłszy was, zacząłem działać.

– Nawet twoja królowa o niczym nie wie? – spytała Astrin.

– Ona przede wszystkim nie może wiedzieć. Thurisaz jest rozsądną władczynią, ale nie zniosłaby tego, że robię coś bez jej zgody. Gdy już zobaczy właściwe rezultaty, będzie mi wdzięczna. Może nawet stanie u boku Wielkiego Pana...

Mędrzec westchnął i zapatrzył się w podłogę, na której odbijały się przelatujące hekasehr.

– Wielkiego Pana? – wyszeptał Ruben. – A więc to dla niego...

– Tak. – Mędrzec pokiwał głową. – Znam opowieść o starym władcy, a drzewo pozwoliło mi dotrzeć do was, jego wiernych sług. Od początku wiedziałem, że muszę wysłać wam wskazówki. Książka w twojej bibliotece, nazwisko dziewczyny, która znała Strażniczkę kamienia-władcy, pergamin, na którym pojawiały się znaki... Nawiasem mówiąc, droga, którą wam ukazałem, jest

wryta na ciele samej Thurisaz. Jej tatuaż wrył się w mojej pamięci, a potem, linia po linii, mogłem przesłać go wam.

– I teraz chcesz, by twoja królowa stanęła po naszej stronie? – spytała Astrin niemal z drwiną.

– O ile oczywiście przeżyje – oznajmił Mędrzec z pewnym smutkiem. – Bo widzicie, by móc się z wami skontaktować, musiałem dać jej jakieś zajęcie, a jednocześnie odwrócić uwagę całego pałacu. Wszyscy są teraz dość niedaleko, ale całkiem pochłonięci walką naszej władczyni z ferinią z Elphame.

– Ferinią z Elphame? – Astrin nie mogła ukryć zdumienia.

– To historia bez znaczenia – odparł obojętnie Mędrzec. – Mimo to Thurisaz zgodziła się na pojedynek matek, myśląc, że zdoła wyjść z twarzą, bo do niczego nie dojdzie. Nie miała zamiaru zabijać swojej przeciwniczki, ale przeciwniczka wciąż może zabić ją. Wtedy będziemy potrzebowali nowej królowej... Ale to nieistotne. Najważniejsze, że cała ta sprawa przywiodła tutaj Strażniczkę kamienia Danu.

– Ha! – Ruben zaklaskał. – A więc Hallander jest tutaj! Dlatego nas tu przywiodłeś!

Mędrzec nie podzielał jego entuzjazmu. Astrin również się mu dziwiła. Fakt, że Kate Hallander znalazła się w Tir-na-Nog wcale nie czynił jej w żaden sposób mniej odporną na magię Rubena, a Tirnanie mogli bronić kamienia Danu równie zaciekle co wiedźmy i fery z Elphame, choćby dlatego, że gwarantował przetrwanie im wszystkim.

– Nie do końca dlatego was tu sprowadziłem – oznajmił Mędrzec, sprawiając, że Ruben natychmiast spochmurniał. – Nie osiągnięcie Strażniczki kamienia-władcy i lepiej, by nikt nie dowiedział się, kim ona jest. W tej chwili wiedzą o tym tylko nieliczni. My, Thurisaz, ona sama i jej towarzysze. Nie byłoby dobrze zdradzić się z tą wiedzą przed całym światem, bo wtedy zyskamy więcej wrogów niż sprzymierzeńców.

– Po co więc nas tu ściągnąłeś, skoro nie masz żadnej kolejnej wskazówki?

Mędrzec wyciągnął ręce w górę.

– Nie mam wskazówki, lecz rozwiązanie...

Konary Drzewa Wzroku zaszeleściły. Powoli zaczęła sunąć po nich w dół świetlista kula. Jej blask był silniejszy od blasku hekasehr i delikatnego światła samego pnia drzewa, a wydawał się przy tym pochodzić z innego świata.

Mędrzec wystawił ręce, jakby próbował uchwycić w nie wodę, a świetlisty przedmiot opadł na nie spokojnie i stopniowo zaczął tracić blask. W końcu w dłoniach Mędrca znajdował się już tylko ciemnogrnatowy kamień, ociosany na kształt diamentu.

– Co? – zdumiał się mistrz. – To przecież nie...

– Nie, to nie kamień Danu – oznajmił Mędrzec – ale coś o niemal równej mu mocy.

– To któryś z kamieni żywiołów? – spytała Astrin. – Czy one wszystkie nie mają już właścicieli?

Mędrzec pokręcił przecząco głową.

– Czy słyszeliście kiedyś o Siódmym Strażniku? – zapytał, dobrze wiedząc, jaka padnie odpowiedź.

Astrin i mistrz spojrzeli po sobie. Nigdy dotąd nie słyszeli, by istniał Siódmy Strażnik, ale jeśli tak było, ta informacja stanowiła zupełny przełom we wszystkim, co do tej pory wiedzieli na temat Strażników Żywiołów.

– Istnieje sześciu Strażników – powiedziała powoli Astrin. – Pięciu ziemskich i jeden niebiański...

– Mylisz się. Jest jeszcze jeden Strażnik, o którego istnieniu wiemy tylko w Tir-na-Nog. A kamień, który przechowuje jego moc, znajduje się właśnie tu, w konarach Drzewa Wzroku. Mówiąc ściślej, teraz jest w moich rękach.

Mędrzec spojrział na swoje otwarte dłonie i skarb, który w nich trzymał.

– Jak to możliwe? – spytał Ruben. – Przecież wiedzielibyśmy o tym. Wszyscy znają historię powstania kamieni.

– Ten kamień nie powstał wraz z pozostałymi – wyjaśnił Mędrzec. – Stworzył go ktoś inny, w innych okolicznościach.

– Kto?

– To kamień przekleństw. Został zrodzony z mocy słońca, gdy opadła na ziemię, uderzając w Wielkiego Pana. W pewnym sensie stanowi przeciwieństwo kamienia władcy, bo nie powstał w harmonii, ale z gniewu, jednak z drugiej strony, w pewnym sensie dopełnia pozostałe. Teraz macie już odpowiedź, jak oddziaływać na Strażniczkę kamienia Danu: właśnie poprzez ten kamień. Wreszcie będzie można zrównać się z jej mocą, jednak użyć kamienia powinien ten, kto posiada wielką moc. Powinien go posiadać stary władca, bo – jak sądzę – to właśnie jego kamień.

– Nie rozumiem – powiedziała powoli Astrin. – Sądzisz, że stary władca jest waszym obrońcą?

Mędrzec westchnął.

– Tego nikt nie może być pewien, ale zdaje się, że mimowolnie ciemna moc słońca uczyniła go nim. W końcu to w czasach jego panowania doszło do rozpadu krainy ferów na dwie. Jeśli mam rację, to właśnie dzięki niemu możemy odzyskać dawną świetność ferów. Chcę się jednak całkowicie o tym przekonać i w tym musicie pomóc mi wy. Dlatego was tutaj sprowadziłem i mówię o tym wszystkim.

– Chcesz, żebyśmy skontaktowali się z Wielkim Panem? – odparł Ruben.

– Owszem. Przecież go obudziliście, prawda?

Ruben pobladał nieco.

– Tak, ale... Nie wszystko poszło po naszej myśli. On... nie jest zainteresowany współpracą.

Mędrzec przyglądał się mu przez chwilę. Zdawało się, że zaraz wybuchnie gromkim śmiechem.

– Współpracą? – zapytał. – Wy, ludzie, naprawdę odbiegliście daleko od naszych praw. Chcesz, by tak potężna istota jak Wielki Pan, władca z początku czasów, *współpracował* z wami? On wrócił, by rządzić.

– W takim razie czego chcesz od niego ty?

– Powiedziałem już: chodzi mi o dobro Tir-na-Nog. Wierzę, że Wielki Pan jest w stanie objąć nas swoim potężnym ramieniem i sprawić, że nic już nie będzie nam zagrażać. Naszą powinnością jest stanąć ponad innymi ludami zamieszkującymi Jaar, bo tylko my zachowaliśmy stare prawa i obroniliśmy magię, a on, jak zapewne wierzycie, jest jej ucieleśnieniem.

Ruben spoglądał długo w oczy Mędrca, a potem cicho przyznał:

– Wierzyłem w to, ale już nie wierzę

Zacisnął pięści.

– On nie jest ucieleśnieniem magii – ciągnął, każde kolejne słowo wypowiadając z narastającym gniewem. – Magia jest mocą tak samo dostępną dla niego, jak i dla mnie. Równie dobrze mógłbym sam zebrać wszystkie kamienie, zespolić się z nimi i rządzić wszystkimi światami, jakie istnieją. A ten, którego nazywasz Wielkim Panem, to teraz nic innego niż tylko kupa... – Zatrzymał się. Jego oczy lśniły z nienawiści. – Kupa łoju i śmierdząca pacynka, która nie może nawet sama się poruszać! – krzyknął. – Jedyne, czego chcę, to zamknąć go z powrotem w sarkofagu i niech w nim zgnije!

Oczy Mędrca zaczęły drżeć z wściekłości.

– A więc chcesz zbeczcześcić najwyższą świętość, której przysięgałeś służyć?

– Ja nie mam świętości i nie mam nikogo, komu miałbym służyć, stary głupcze!

Astrin złapała Rubena za rękę, gdy zaczął zbliżać się w stronę Mędrca.

– Nie – syknęła mu na ucho. – Nie widzisz, gdzie jesteśmy? Jedno jego słowo, a zaraz ktoś się pojawi i nas zabija!

Ale Ruben już jej nie słuchał. Wyrwał rękę i znów ruszył na Mędrca, w którego dłoniach na nowo zajaśniał siódmy kamień. Tym razem blask był tak porażający, że na chwilę oślepił mistrza, zmuszając go do zatrzymania się. Kamień wysłał ostrzeżenie.

– Widzisz? – zadrwił Mędrzec. – To ja jestem tu chroniony.

– Czyżby? – odparła Astrin. – A jak wytłumaczysz naszą obecność tutaj? Wtargnięciem? Czy Tirnanie nie dojdą prawdy? I co zrobi królowa, gdy dowie się o twojej zdradzie?

– Thurisaz nie może mi nic zrobić, głupia dziewczyno. To ja kontroluję ją, a nie na odwrót! – warknął Mędrzec. – Nie widzisz? To drzewo... To ja nim jestem! Stanowimy jedność, a nawet coś więcej. Ono mnie słucha, jestem jego panem. To za jego pomocą wysłałem wam wszystkie wskazówki, to ono sprawiło, że zbadałem grunt pod dalsze działania. Ono jest potęgą, ale ta potęga spoczywa tylko w moich dłoniach!

Ruben nie odważył się już po raz kolejny podejść do Mędrca. Astrin również stała w miejscu, jednak teraz jej uwagę przykuło coś innego, coś, co działo się z drzewem. Z góry zaczęły bowiem sunąć niewielkie, cienkie gałązki, które za plecami Mędrca formowały się w drewniane macki. Ten, ściskając teraz w rękach kamień, jak gdyby bał się, że Ruben znów zechce mu go odebrać, nie zauważył tego.

– Wielki Pan i ja połączymy się – mówił dalej. – Będzie mi wdzięczny za

wszelką pomoc, a wasza zdrada nie ujdzie bez... – Kolejne słowa ugrzęzły mu w gardle, z którego zamiast nich dobył się charczący odgłos. Jedna z cienkich gałęzi zaplotła się wokół jego szyi, owijając ją ciasno niczym stalowa lina. Kolejne sunęły już wzdłuż jego rąk i nóg, zaciskając się na kostkach i przegubach dłoni, z których wypadł kamień Siódmego Strażnika.

Po chwili zakłęta w drzewie siła poderwała Mędrca w górę. Przypominał teraz szmacianą kukłę, której ręce i nogi rozciągały się w różnych kierunkach. W jego oczach pojawił się czysty strach i panika, gdy bezskutecznie próbował złapać oddech. Siłował się z gałęziami przez kilka chwil, po czym drzewo z głośnym szelestem wciągnęło go w górę. Liście na wszystkich gałęziach szumiały niespokojnie, ale towarzyszyły temu inne, przeraźliwe odgłosy, odgłosy rozrywania ciała i łamanych kości. Potem, nagle, wszystko ucichło, a po grubym pniu powoli zaczęła spływać ciemnoczerwona krew.

– Zabiło go! – zawołał Ruben z nieskrywaną radością. Astrin, choć nie współczuła Mędrcowi, nie potrafiła się teraz uśmiechnąć. Wciąż była zupełnie osłupiała.

Ruben podbiegł do leżącego na podłodze kamienia i natychmiast go porwał, nie myśląc o żadnych konsekwencjach, zapominając o tym, co spotykało innych, gdy chcieli wykraść kamienie żywiołów. Ale przecież ten kamień był inny, stworzony dla Wielkiego Pana.

– Spójrz! – zachwycał się mistrz. – Jest nasz, jest mój... Tak, musimy zbadać jego moc, ale... On jest niezwykły. Czuję to!

Astrin stanęła tuż za mistrzem, który odwrócił się w jej stronę, jednak zamiast zobaczyć na twarzy swojej towarzyszki uśmiech, ujrzał ostrze jej athame wbite w swoją pierś.

Zadowolenie na twarzy Rubena ustąpiło nagle miejsca nie bólowi, ale najszczerzszemu zdumieniu. Astrin wciąż trzymała klingę sztyletu, więc gdy mistrz osunął się na ziemię, zakrwawione athame zostało w jej ręku.

– Dla... Dlaczego? – zdołał wydusić Ruben, nim wyzionął ducha.

Astrin wytarła ostrze o jego szaty, a potem sięgnęła po spoczywający w otwartej dłoni Rubena kamień.

Drzewo Wzroku było ciche. Wchłonęło krew Mędrca, na zawsze zabierając go do siebie. Mimo tego spokoju, Astrin dobrze wiedziała, że drzewo oczekiwało. Czekalo, aż da mu to, co do niego należy. Podeszła więc bliżej i umieściła kamień między gałęziami. Ten zajaśniał znów i powoli wzbił się w górę, gdzie na nowo znalazł schronienie w konarach.

Astrin odwróciła się z nadzieją, że pamięta jeszcze drogę powrotną i ma dość czasu, by podążyć nią niezauważona.

– Kate Hallander – szepnęła, nim opuściła komnatę. – Wkrótce będę musiała dotrzeć do ciebie.



Rozdział 29

W sali prawdy

Z ust Thurisaz wyrwał się wrzask bólu. Królowa upadła, mimo że nie ugodziło jej żadne z zaklęć rywalki. Badb zastygła z mieczem uniesionym w górę, niepewna, co powinna robić dalej. Nie chciała atakować bezbronnego przeciwnika i mimo że rozsądek kazał jej brać pod uwagę możliwość, że Thurisaz próbowała ją teraz oszukać, pochyliła się nad nią. W oczach królowej dostrzegła przerażenie połączone z szokiem. Władczyni wpatrywała się przed siebie i zdawało się, że nie dochodziły do niej żadne inne bodźce.

Nagle magiczna atmosfera spokoju prysła i w całym pomieszczeniu rozległ się gwar. Strażnicy przekroczyli krąg, by pomóc swojej królowej, a dworzanie krzyczeli. Nikt nie wiedział, co właściwie się wydarzyło. Ci, którzy dotąd obserwowali walkę, zebrali się wokół kręgu. Jedyne Fion, Harold i pozostali więźniowie, wciąż pilnowani przez tirnańskich strażników, nie mogli się ruszyć.

Kate i Diana stanęły przy krawędzi kręgu, spoglądając na Thurisaz. Badb odsunęła się, a strażnicy złapali królową za ramiona i pomogli jej wstać. Dopiero wtedy, gwałtownie łapiąc oddech, jakby dusiła ją niewidzialna siła, wyjąkała:

– Drzewo... Musimy je chronić... Natychmiast.

Towarzyszący Thurisaz strażnicy poderwali się, zostawiając władczynię samej sobie, i natychmiast wybiegli z pomieszczenia. Królowa, jakby całkiem zapominając o pojedynku, podażyła za nimi.

– Teraz! – krzyknęła Lilian, wykręcając rękę strażnika, który stał tuż obok niej. Zdołała wytrącić z jego dłoni kostur, gdy Tom z całej siły kopnął go

w brzuchu, tak że fer skulił się z bólu.

Darrin i Hiacinthus również zerwali się z krzesel. Wspólnie powalili dwóch strażników. Nie zorientowali się nawet, kiedy stanęła obok nich Diana.

– Wreszcie – powiedziała. – Musimy dorwać się do naszych kamieni.

– Wiesz, gdzie mogą je trzymać? – spytał Tom.

– Nie mam pojęcia, ale przeszukamy każde pomieszczenie i rozwalimy wszystkie drzwi.

Ruszyli w stronę wyjścia, z którego wybiegał już tłum Tirnan. Pałacowi strażnicy mieszały się z dworzanami, którzy w popłochu bezwiednie torowali im drogę dostępu do więźniów.

– Gdzie Kate?! – zawołał Darrin, gdy biegli już ciemnym korytarzem. Wokół uszu przelatywały im zdezorientowane awernalie, niepewne, którym z wielu osób mknących korytarzem powinny oświetlać drogę.

– Porozmawiamy o tym później! – warknęła Diana. – Teraz są ważniejsze rzeczy.

Żadne z pozostałych nie odpowiedziało, jednak wszyscy przeczuwali, że coś jest nie tak.

Kate została w pomieszczeniu, gdzie Jonathan próbował dostać się do niej, wymijając uciekających Tirnan. Ale ona nie chciała teraz z nim rozmawiać. Nie było czasu, by wszystko mu tłumaczyć, i mimo że robiła to ze smutkiem, starała się go wyminąć. Nie udało jej się to jednak, bo Jonathan zdołał pochwycić ją w ramiona. Nim cokolwiek powiedział, mocno ją przytulił i choć przez ostatnie dni tak za tym tęskniła, teraz musiała go od siebie odtrącić. Gdy odepchnęła jego ręce, spojrzał na nią z największym zdziwieniem.

– Co ty...?

– Nie teraz! – zawołała. – Muszę znaleźć Thurisaz!

Nie powinna była głośno wypowiadać tych słów.

Jonathan próbował ją zatrzymać, jednak Kate biegła już w stronę wyjścia z sali. Po drodze złapała ją jednak ciotka.

– Dokąd biegniesz?! Musimy znaleźć drogę do domu!

– Nie! – Kate bezskutecznie szarpała za rękę, by się wyrwać. – Puść mnie!

– Kate, czy ty zwario...

– Puszczaj, słyszysz?! – wrzasnęła i z całej siły oderwała się od trzymającej ją ciotki.

Hillena stanęła jak wryta, patrząc za uciekającą Kate, i nim zdołała za nią ruszyć, obok niej przemknął Jonathan. W znikającym tłumie straciła ich oboje z oczu i sama nie wiedząc, co robić, zaczęła rozglądać się za innymi.

Fione i Ailil stali w sercu całego tego chaosu, wtuleni w siebie. Z trudem przeciskając się przez chaos, Badb powoli zmierzała w ich stronę, a oni patrzyli na nią jak na dzikie zwierzę, które zaraz zaatakuje. Gdy do nich dotarła, sala była już niemal całkiem opustoszała, nie licząc Hilleny, która nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić, oraz Fiona i Harolda, stojących tuż za plecami Badb. Cała trójka wyglądała surowo, ale pod tą miną krył się prawdziwy ból, bo teraz, gdy widzieli Fione złączoną w uścisku z tirnańskim wrogiem, wiedzieli już, że

naprawdę ich zdradziła.

– Ty... – Badb zdołała wykrztusić z siebie tylko tyle. Jej dłoń zawisła w powietrzu, jednak nim zdążyła wylądować na policzku Fione, powstrzymał ją Harold. Musiał ścisnąć rękę żony z całej siły, by okiełznać jej złość.

Oczy Fione zaszczyły łzami. Milczenie jej brata i ojca jedynie pogarszało sytuację. Woląca, by matka ją uderzyła, przynajmniej byłaby to jakaś reakcja, na którą mogłaby odpowiedzieć. Ailil patrzył na rodzinę swojej ukochanej pełen niepokoju. Był gotów bronić Fione przed wszystkim, co mogło ją spotkać, ale jak miał walczyć z jej własnymi rodzicami?

Hillena wciąż tylko stała, wiedząc, że nie powinna się wtrącać. Nie umiała jednak udawać obojętności. Patrzyła na całą scenę, a w jej głowie kołatała się jedna myśl: Fione nie była winna. Popełniła straszną głupotę, zachowała się w okrutny sposób, ale nie chciała tego. Ona naprawdę kochała tego fera i była gotowa zostawić dla niego całą przeszłość i poświęcić przyszłość. Nie było już odwrotu, a kolejne słowa Badb jedynie to potwierdziły.

– A więc wybrałaś, tak?

Fione skinęła głową.

– Miej odwagę mi odpowiedzieć! – wrzasnęła jej matka.

– Tak, wybrałam – odparła cicho Fione.

Badb na nic więcej już nie czekała. Odwróciła się, a Harold i Fion – po chwili wahania, wypełnionej całą masą najbardziej bolesnych uczuć – ruszyli za nią. Fione załkała głośno i ukryła twarz w ramionach Ailila.

Hillena chciała pozbyć się tej sceny z umysłu. Nie mogła teraz nad nią rozmyślać. Musiała jak najprędzej dotrzeć do Kate. Wybiegła z sali na ciemny korytarz, po którym wciąż przemykały czyjeś cienie, jednak większość Tirnan dawno się rozpierschła, a ich wzbudzone głosy stanowiły teraz tylko echa. Hillena zaczęła podążać w ich stronę – nie było to najbezpieczniejsze wyjście, ale była niemal pewna, że Kate pobiegła wraz z tłumem.

Dotykała miękkiej ściany korytarza i wdychała jego ziemistą woń. Powietrze było chłodne i wilgotne. Dopiero po kilku zrobionych w ciemności krokach Hillena dostrzegła niewielkie światełko, które zamigotało przy jej uchu. Awernalia, wyraźnie otumaniona nagłym zrywem, próbowała rozświetlić jej drogę, wplątując się przy tym we włosy. Hillena ostrożnie ją wyjęła – ciało istoty było ciepłe, jakby nagrzane promieniami słońca. Nie dawało jednak wystarczająco dużo blasku, by można było pewniej poruszać się przed siebie. Pani Hallander była przerażona, choć ze wszystkich sił starała się umknąć temu uczuciu, tak samo jak próbowała to robić od samej chwili przekroczenia bramy Tir-na-Nog. Szła przed siebie, trzymając się ściany.

To dziwne, ale ściana wydawała się żywa. Coś poruszało się pod jej powierzchnią, coś, co Hillena najpierw wzięła za cienie biegnących Tirnan, potem za swój własny cień, ale teraz wiedziała już, że te istoty znajdują się wewnątrz ścian. Sylwetką przypominały fery, a ich ruchy były leniwe i jakby wymuszone. Od czasu do czasu ich głowy zbliżały się do samej krawędzi ściany, ale nigdy przez nią nie przenikały. Hillena nie miała pojęcia, czym były te

cienie, jednak wzbudzały w niej dziwny rodzaj lęku. Odkleiła dłonie od ściany i zaczęła podążać tuż za awernalią.

W oddali zobaczyła światło. Ruszyła w jego stronę, a im bardziej się zbliżała, tym więcej szczegółów mogła zobaczyć. Awernalia, instynktownie wiedząc, że przydaje się jedynie w ciemności, odfrunęła, gdy pani Hallander była już kilka kroków od światła.

Tylko nie to – pomyślała. Wyglądało na to, że dotarła do wyjścia z pałacowych korytarzy, i choć w innych okolicznościach przyjęłaby to z ulgą, teraz miała ochotę zakląć. Musiała wrócić, choć nie miała żadnej pewności, że później ponownie uda jej się trafić w to miejsce.

Nagle za plecami usłyszała czyjś zdyszany oddech. Odwróciła się w chwili, gdy rozpedzona osoba wpadła wprost na nią. W szoku Hillena nie dożyła z siebie nawet najmniejszego głosu. Wpadła na mokrą, błotnistą ziemię i zdawało jej się, że na głowę zarzucono jej płachtę. Czuła na sobie coś ciężkiego – ktoś na niej leżał. Osoba ta szybko się jednak zerwała i zaczęła biec dalej, a Hillena dostrzegła, że to, co wzięła za płachtę, w rzeczywistości było obszerną peleryną, powiewającą teraz za plecami biegnącej. Poza tym nie zauważyła wiele więcej – jedynie tyle, że pędząca postać była kobietą. Przez chwilę Hillena chciała za nią biec, by przekonać się, kim była, jednak mimo wszystko nie mogła zapomnieć o Kate. Nim jednak wróciła do ciemnych, podziemnych korytarzy, spojrzała w górę, by upewnić się, gdzie jest. Dotąd widziała to miejsce jedynie na rysunkach, ale nawet, gdy już przed nim stanęła, wydawało się nierealne, jakby i tutaj ktoś je narysował.

Dom Przodków – olbrzymi kopiec, przypominający olbrzymią termitierę, zwieńczony rozległymi konarami potężnego drzewa. *Tego drzewa – Drzewa Wzroku.*

Znów pani Hallander musiała odrzucić od siebie instynkt badaczki. Wzięła jeszcze jeden wdech i ruszyła przed siebie, do tunelu pełnego cieni.



Kate również widziała cienie, ale nie zwracała na nie teraz uwagi. Dostrzegła je już wcześniej, gdy poruszały się wewnątrz ścian pałacu, odwiedzając nawet od czasu do czasu komnatę, w której spała wraz z Dianą. Ta druga zdawała się ich nie dostrzegać lub też udawała, że ich nie widzi. Może były szpiegami Thurisaz, a może innymi, samodzielnymi istotami. Kate tego nie wiedziała. Wiedziała teraz tylko tyle, że musi jak najszybciej dotrzeć do królowej, by nikomu z jej towarzyszy nie stała się krzywda, a potem trzeba będzie zebrać Strażników i odbyć z nimi długą rozmowę. Była już na nią gotowa. Wiele myślała o opowieści Thurisaz i zaczęła lepiej rozumieć swoją rolę, jednak wszyscy musieli ją poznać i musieli też zrozumieć, że Tir-na-Nog wcale nie będzie ich

wrogiem, że w istocie może stać się jednym z najważniejszych sprzymierzeńców.

Biegła przed siebie, otoczona gromadą awernalii, które najwyraźniej bardzo chciały jej pomóc. Kate nie miała pojęcia o tym, o czym wiedzieli niemal wszyscy wokół niej: że Drzewo Wzroku jest zagrożone. Nie wiedziała nawet, czym jest to drzewo. A mimo to – lub też właśnie dlatego – instynktownie dotarła pod okrągłe drewniane drzwi. Zamiast przejścia do komnaty, czekał tam na nią tirnański strażnik.

– Nikt tu teraz nie wejdzie – przemówił łamaną angielszczyzną.

– Muszę natychmiast porozmawiać z królową – zaprotestowała Kate.

– Nie rozumiesz? Królowa jest teraz zajęta, a tobie nie wolno wejść do świętego miejsca!

– Co się stało? O czym mówisz?

Strażnik milczał. Kate natarła na niego, próbując wyrwać kostur z jego rąk, ale ten jednym ruchem powalił ją na ziemię. Nie zrobił jednak nic więcej.

– Muszę tam przejść! – wrzasnęła wściekła Kate. – Wiesz, kim jestem?!

Nie sądziła, że kiedykolwiek przyjdzie jej użyć tego argumentu w ten sposób i tak naprawdę wcale nie chciała tego zrobić. Tak długo trzymała swoją tożsamość w sekrecie przed całym światem, a miałyby ujawniać ją przed tirnańskim strażnikiem? Ale jednak królowa wiedziała, więc może i reszta dworzan się domyślała?

– Jestem...

– Jeśli chcesz pomóc królowej, odejdz stąd. I znajdź obrączki.

– Co?

– Ktoś musi zająć się obrączkami. Są bardzo ważne. Nie wolno ich zniszczyć.

Kate wpatrywała się przez chwilę w strażnika. Jak mogła zapomnieć o obrączkach? Wprawdzie nie wiedziała, do czego ich użyć, ale przecież pamiętała rozmowę między królową a tamtym starcem.

Awernalie zawirowały znów wokół jej głowy, jakby próbując odciągnąć ją od strażnika. Wstała z ziemi i odwróciła się. Wtedy dostrzegła Dianę. Stała tuż za nią i z pewnością słyszała słowa strażnika. Rzuciła Kate tylko jedno spojrzenie, w którym na nowo zebrała się pogarda, jaką czuła do niej od ich pierwszego spotkania, wzmocniona teraz nową porcją nienawiści.

– Dostać się do królowej? – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – *Porozmawiać z nią? Ja pierwsza, Hallander, zdobędę te obrączki!*

Diana rzuciła się przed siebie, a Kate natychmiast ruszyła za nią. Biegły teraz spiralnymi korytarzami w stronę Sali Prawdy. Awernalie wariowały, próbując rozświetlić ich drogę – cała chmara świetlistych owadów pędziła szaleńczo, zderzając się ze sobą i tnąc skrzydłami powietrze.

Korytarze rozwidlały się. Jedna odnoga, kolejna, w tę stronę, w inną. Po drodze do Kate i Diany dołączyła reszta Strażników. Teraz wszyscy biegli w jednym kierunku, jednak Kate wiedziała już, że gdy znajdą się w sali, każde będzie miało inny cel.

Diana wpadła do Sali Prawdy jako pierwsza, jednak zatrzymała się tuż przed jaśniejącą krawędzią kręgu. Pomieszczenie było teraz opuszczone i przepętniał

je niezmacony spokój.

Kate, która weszła do środka zaraz po Dianie, ruszyła w stronę kręgu. Nie przekraczała go dotąd, ale znała zasady. Tylko ten, który miał czyste intencje, mógł wejść do kręgu. Zrobiła jeszcze jeden krok i znalazła się tuż przy jego granicy, a potem, z zamkniętymi oczami, przeszła przez nią.

Nie doznała żadnej różnicy, może tylko tę, że czuła się teraz znacznie pewniej.

– Znasz zasadę tego kręgu? – rzuciła w stronę Diany. – Tylko szczerze osoby mogą go przekroczyć.

Reszta Strażników, którzy zebrali się w sali, przyglądali się Kate i Dianie zdumieni. Czuli, że coś się stało, ale jeszcze nie wiedzieli co.

Diana, jak było to w jej zwyczaju, postanowiła udawać odważniejszą niż była w rzeczywistości. Skrzyżowała dłonie na piersiach i również przekroczyła krąg. Stała oko w oko z Kate.

– A więc uważasz, że moje intencje nie są szczerze? – spytała.

– Są tak samo szczerze jak moje.

Wzrok obu powędrował w stronę obrączek. Fione i Ailil z jakiegoś powodu pozostawili je unoszące się nad tronem. Może również nie znali ich prawdziwej roli.

Diana wyciągnęła rękę w stronę tronu, ale Kate odepchnęła ją. Przez chwilę siłowały się ze sobą.

– Przestańcie! – zawołał Tom, odruchowo machnąwszy rękami. A wtedy Kate i Diana wzbily się w powietrze. Jakaś siła rozdzieliła je i odrzuciła od siebie.

Tom spojrzał na swoje dłonie.

– Przepraszam, to moja nową moc – oznajmił z właściwym dla siebie spokojem.

– Powiedz, Hallander, co to za obrączki?! – krzyknęła Diana, która wstała już z podłogi. – Dlaczego są tak ważne dla Thurisaz? A może nie powiedziała ci o tym podczas waszej przechadzki po pałacu? Czyżby twoja nowa przyjaciółka coś przed tobą zataiła?!

– O czym ona mówi? – spytał Darrin. On również wkroczył do srebrzystego kręgu, a za nim podążyli pozostali.

– Wiecie już pewnie – zwróciła się do nich Diana – że Fione wcale nie została uprowadzona. Przyszła tu na własne życzenie. Została przyjaciółką Thurisaz i to samo tyczy się naszej przywódczyni.

Kate czuła na sobie spojrzenia ich wszystkich. Gniew kotłował się w niej, gdy Diana opowiadała im tę historię z własnej perspektywy. A ona niewiele mogła na to odpowiedzieć, nie miała równie silnych argumentów – jedynie ten, że Thurisaz wiedziała o rzeczach, które okazały się przydatne, i że wcale nie chciała ich skrzywdzić.

Diana skierowała w jej stronę dłoni z oskarżycielsko wyciągniętym palcem.

– To zdrajczynie!

– Chwilę! – zawołała Lilian. – O co tu chodzi? To prawda, że Thurisaz i ty macie teraz coś wspólnego?

Z braku lepszej odpowiedzi, Kate odparła tylko:

– To nie do końca tak...

– Widzicie?! – krzyknęła Diana, omal nie rzucając się na Kate. – Ona jest opętana! Zgodziła się na jakiś układ! Teraz służy Tirnanom, a może już opowiedziała się po stronie naszych wrogów!

Kate miała ochotę z całej siły przywalić Dianie w głowę.

– Zamknij się! – zawołała. – Jeśli ktoś miał przed nami tajemnice, to od samego początku ty! Niczego nie rozumiesz! To... – zwróciła się do reszty – to skomplikowane, ale Thurisaz powiedziała mi coś ważnego! Coś, co dotyczy naszej misji i tego, kim jesteśmy. Znalazłam tu odpowiedzi na wiele pytań.

Patrzyła po kolei na każdego z nich, szukając w ich oczach zrozumienia. Nie znalazła go jednak.

– Jeśli dacie mi chwilę, wszystko mogę wam wyjaśnić – dodała błagalnie.

Tom pokręcił głową.

– Ale my nie mamy tej chwili. Tirnanie w każdej chwili mogą tu wrócić. Musimy uciekać. Sądziłem, że gdy już wszyscy się zbierzemy, znikniemy stąd razem.

– Nie mogę nigdzie pójść – odparła Kate, wywołując tym chwilę ciszy, którą przerwał Jonathan

– Chyba żartujesz – prychnął. Wydawał się najbardziej skonsternowany z nich wszystkich. Najmniej orientował się w sytuacji, niewiele rozumiał z tego, co działo się między Tir-na-Nog a Elphame. Przybył tu tylko po to, by odbić swoją dziewczynę z rąk kogoś, kogo uznał za jej porywaczy.

– Ona nie żartuje – oznajmiła Diana, kładąc dłoń na jego ramieniu. Ten dotyk wzbudził w Kate zazdrość.

– To prawda, nie żartuję – wycedziła. – Nigdzie się stąd nie ruszę, bo nie mogę tego zrobić, nie teraz, gdy Thurisaz podzieliła się ze mną istotnymi informacjami. Nadal jestem waszą przewodniczką, czy się to wam podoba, czy nie, i możecie albo mi uwierzyć, albo odejść.

Nikt nic nie powiedział, jednak Darrin, który prawie wcale się nie odzywał, ruszył w stronę Kate i po prostu stanął po jej stronie.

Diana otworzyła usta, niepewna, jak to skomentować.

– Ona jest Strażniczką kamienia-władcy, a naszym obowiązkiem jest ją wspierać i chronić – powiedział spokojnie Darrin. – Jeśli któreś z was widzi jakąkolwiek inną drogę, jest dla mnie zdrajcą.

– Nie musimy od razu mówić takim językiem! – Tom wyglądał na naprawdę zaniepokojonego. – Kate, jesteś pewna, że wiesz, co robisz? Thurisaz... Ona jest królową Cienistej Krainy. Fery z Tir-na-Nog łatwo mogą cię oszukać, wykorzystać do swoich celów...

– Jestem pewna – odparła Kate. Wiedziała, że Tom mógł mieć rację, ale nawet wtedy, pomimo ryzyka, musiała tu zostać, bo wierzyła, że Thurisaz ma jej do powiedzenia o wiele więcej.

Lilian patrzyła to na Dianę, to na Kate. Wreszcie jednak, z oczami pełnymi łez, dołączyła do tej drugiej. Teraz byli już w trójkę: Kate, Darrin i Lilian. Oczywiście Toma również zalsniły.

– Nie mogę – powiedział. – To zupełnie niedorzeczne...

Stanął obok Diany i zakrył twarz dłońmi.

Najdłużej czekali na decyzję Jonathana, który nie odezwał się ani słowem. Patrzył w stronę Kate, jednak w jego spojrzeniu widać było gniew i zawód. Jeszcze nim podjął decyzję, Kate wiedziała, co zrobi. Ruszył w stronę Diany, która z hardą miną wysoko podnosiła głowę. Odbierając Kate Jonathana, zwyciężyła.

Kate poczuła, że wszystko, co mieli zbudować w drodze tutaj, i wszystko, z czym zaczęli swoją podróż, prysło jak bańka.

Lecz jeden cel tylko będzie ich wiódł...

Teraz już tak nie było, a Kate miała wrażenie, jakby pękało jej serce. Kamień poruszał się w nim niespokojnie, reagując bólem na to, co się wydarzyło.

Drugi pięć potęg połączy w parę...

Stali po przeciwnych stronach. Nie zostali połączeni, stało się coś zupełnie odwrotnego. A jednak amulety na szyi Kate jeszcze mocniej do siebie przylgnęły. Czarna i biała połowa zespoliły się ze sobą, zupełnie jakby czekały z ostatecznym połączeniem dokładnie na ten moment.

Diana odwróciła się i wraz z Tomem i Jonathanem opuściła krąg.

Wysoko nad nimi, z wielkich gór wznoszących się nad Tir-na-Nog, na Cienistą Krainę spoglądali czterej jeźdźcy. Wykonali powierzone im zadanie, wpływając swoją mocą na tego, którego głupcy zwali Mędrce. Nie obchodziło ich już tylko Tir-na-Nog. Teraz mieli zacząć przejmować cały Jaar, dotrzeć do jego najgłębszych zakątków, przekonać każdego, by zechciał stanąć po ich stronie, zmusić tych, którzy nie będą chcieli tego zrobić.

Rozpierzchli się w cztery przeciwne strony, niosąc ze sobą zwycięską pieśń.

Strażnicy Żywiołów zostali rozdzieleni; teraz już nic nie mogło powstrzymać Wielkiego Pana.



Rozdział 30

Rozstania

Kate patrzyła przed siebie, ale niczego nie widziała. Łudziła się nadzieją, że za chwilę pozostali wrócą, że uda im się jeszcze wszystko odkręcić. Lilian i Darrin, jedyjni, którzy z nią byli, nie wiedzieli, co robić.

Obrączki wciąż unosiły się nad tronem, niewzruszone tym, że przed chwilą ktoś próbował je wykraść. Teraz były bezpieczne, w przeciwieństwie do reszty świata, jaki je otaczał. Kate podeszła do tronu, zdjęła rzucony przez Thurisaz czar i zabrała artefakty.

– Teraz musimy je chronić – powiedziała, nie patrząc na pozostałych. Zmagiała się z każdym słowem i starała, by ani przez chwilę nie drżał jej głos. – To nasze kolejne zadanie.

Lilian podeszła do niej.

– Kate...

– Nie. – Kate zatrzymała zmierzającą ku jej ramieniu dłoń. Nie potrzebowała niczyjego współczucia. Zbyt wiele działo się teraz w jej głowie i sercu.

Nigdy nie sądziła, że tak szybko traci się przyjaciół. Nawet Jonathan, jej własny chłopak, ją zostawił. Czy którekolwiek z nich było z nią zresztą ze względu na nią samą? Nigdy się dla nich nie liczyła. Nawet Darrin i Lilian, stojący teraz za jej plecami, byli tu tylko ze względu na poczucie swojej misji. Nie była dla nich Kate Hallander – była Strażniczką kamienia-władcy. Dla Kate nikt by przecież nie został...

Nienawidziła tego kamienia, który zabrał całą jej osobowość, w zamian oferując tylko ból i stratę. Miała ochotę krzyczeć, wrzeszczeć i przekląć

wszystko wokół, a potem gołymi rękami wyrwać to przekleństwo ze swojego serca i mieć wreszcie spokój, być tym, kim była wcześniej.

Teraz jednak nie mogła zrobić żadnej z tych rzeczy. Wszystko zaszło za daleko, a ona znalazła się w samym środku tej historii i teraz to na nią przyszła kolej, by wytyczać jej dalsze losy. Za każdym razem, gdy przed oczami stawały jej twarze Toma, Diany i Jonathana, porażał ją ból, który z trudem znosiła. I wciąż najbardziej ciążyła jej decyzja Jonathana.

Na nowo musiała postarać się o nim zapomnieć.



Jonathan nie mógł wyjść z szoku. Nie umiał się odezwać, niczego nawet nie czuł. Gdy tylko otworzyli drzwi szafy w bazie, całkiem rozdygotany Tom natychmiast padł na krzesło i zakrył twarz dłońmi, a Jonathan bez słowa zajął miejsce obok niego. Jedyne Diana była w stanie okazać teraz należytą wściekłość – z całej siły kopnęła w nogę stołu.

– Co wy tu robicie? – Joe zamrugał z najwyższym zdziwieniem. – Przerwaliście wędrowkę, nie przekroczyliście ostatniej z Bram?

– Owszem, przekroczyliśmy – warknęła Diana. – Właśnie wracamy z Tir-na-Nog.

– Zaraz? Teleportowaliście się z Tir-na-Nog? Ale jak...?

Joe pozostawał jedyną osobą, która była w stanie zadać to najlogiczniejsze pytanie. Nikt nie umiał na nie odpowiedzieć. Tom i Jonathan wiedzieli tylko, że stało się coś dziwnego, gdy Diana złapała ich za dłonie i przeniosła, ale żaden nie miał teraz ochoty dopytywać.

– To teraz najmniej istotne – odparła. – Liczą się inne rzeczy.

– No właśnie – podchwycił Joe. – Gdzie Fione? Dlaczego wróciliście tylko w trójkę?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Nie chcecie chyba powiedzieć, że ona...

– Dla mnie to tak jakby umarła – przerwała Diana. – Fione okazała się zdrajczynią, a nasza wspaniała przewodniczka stanęła po jej stronie. Pewnie obie knują teraz przeciwko Elphame.

Joe był gotów uwierzyć, że to żart – gdyby tylko nie ich miny.

– To prawda? – wyjąkał, patrząc na pozostałą dwójkę. – A co z Darrinem i Lilian?

Jonathan machnął tylko ręką, za to Tom wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać, odpowiadając:

– Oni też zostali w Tir-na-Nog.

– Musisz więc tam wrócić i ich uratować! – zawołał Joe, patrząc na Dianę.

– Ani mi się śni. Zresztą i tak nie wiem, jak to się stało, że się przenieśliśmy.

Po prostu spróbowałam i się udało. Może dlatego, że byłam wzburzona. Mniejsza z tym, nie będę testować swoich mocy dla zdrajców. A jeśli chodzi o Fiona i Hiacinthus, zostali, by jeszcze rozmawiać z Fione, jakby to miało coś zmienić.

Joe z niedowierzaniem pokręcił głową.

– To niemożliwe – powiedział. – Przecież macie misję.

– Którą część z nas ma w nosie – stwierdziła Diana. – I wcale mnie to nie dziwi. Eos powinna lepiej dobrać sobie Strażników. Od początku przypuszczałam, że Hallander nie nadaje się, by powierzyć jej tak ważne zadanie. Jest po prostu głupia i prędzej czy później musiała zawieść.

– Zamknij się!

Jonathan nie wytrzymał. Gniew buzował w nim, gdy wstał z krzesła i skierował palec w stronę Diany. To właśnie tutaj, dokładnie w miejscu, w którym teraz stał, zdołał kiedyś ujarzmić płomień. Teraz był gotów wypuścić je i pozwolić strawić budynek Rady, kończąc dzieło, które wtedy zaczęły.

– Nie widzisz, że to wszystko twoja wina?! – wrzasnęła.

– Moja?! – zawołała oburzona Diana. – Niby jak...?!

– *Twoja*, ty podła, zarozumiała kretynko! Pierwsza się od nas oddzieliłaś, a potem, w Tir-na-Nog, nazwałaś Kate zdrajczynią zamiast jej wysłuchać!

– A czy zabroniłam ci tam zostać?! Czy zmusiłam cię do powrotu? Możesz iść do swojej Kate i jej wysłuchać. Proszę bardzo. Uważacie, że to moja wina?! – zawołała tym razem do wszystkich, choć nikt oprócz Jonathana się nie odezwał. – Świetnie! To wszyscy przyłączcie się do zdrajców! Wiecie co? Wcale was nie potrzebuję! Żadnego z was!

Rzuciła się w kierunku szafy i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Ciekawe... – Joe westchnął.

– Co jest ciekawe?! – warknął Jonathan.

– Nie, nic... Po prostu ciekawy zapowiada się wam czas...



Murugan stanął przed chatką Babci zupełnie wycieńczony. Nie sądził, że ta wyprawa do Puszczy Krzyków tak się na nim odbije. Myślał, że zdążył poznać tamte tereny na tyle, by móc sobie radzić w każdej sytuacji, sądził, że utarł już bezpieczne ścieżki. Mylił się jednak. Głupotą było sądzić, że ktokolwiek mógł odwiedzać puszcę bez szwanku, bez ponoszenia ofiary. Teraz Murugan był poobijany, przygnębiony i rozżalony, a najgorsze było to, że nie zdobył tego, po co wyruszył.

Nie zapukał w drzwi chatki, po prostu uchylił je i trzymając się ostatkiem sił, od progu wysapał:

– Nie mam jej. Przykro mi.

Babcia przyjęła jego słowa ze spokojem. Pokiwała tylko głową. Nie wyglądała na zdziwioną. Można było spodziewać się, że o tej porze nie znajdą już w puszczy tego, czego szukali, i gdy Murugan wyruszał, oboje nie mieli większej nadziei, że ich plan się powiedzie. Annwynn próbowała nawet powstrzymać go przed podróżą, ale on nie chciał o tym słyszeć. Musieli spróbować wszystkiego. Babcia była potrzebna, wciąż była bardzo potrzebna...

– Ale za to ja mam zioła potrzebne tobie – oznajmiła, podnosząc się z krzesła.
– Usiądź.

Murugan doczłapał się do łóżka. Dopiero teraz obejrzał swoje rany. Ramiona krwawiły, czuł też ból w stopach, łydkach i dłoniach. Prawdopodobnie silnie je poharatał, na co nawet nie zwracał uwagi, przedzierając się przez puszcze.

Babcia trzymała swoje zioła w pogotowiu, spodziewając się, że będą im potrzebne. Teraz tylko nieco je przygrzała i zamieszała kilka razy, po czym kazała Muruganowi położyć się i zaczęła okładać nimi rany. Ich kojące soki natychmiast wniknęły w jego ciało – po kilku godzinach po ranach nie będzie już śladu. Pozostanie tylko żal i niepewność o to, co przyniesie przyszłość.

– Martwisz się – bardziej stwierdziła, niż zapytała Babcia.
– Przecież wiesz...
– Nie musisz się martwić. Jak to mówią ludzie... Jesteś dużym chłopcem, prawda?

Murugan nic na to nie odpowiedział. Zabrzmiało to tak, jakby Babcia chciała mu powiedzieć, że niedługo jej przy nim nie będzie, ale przecież ona nie mogła zniknąć. To ona go przyniosła, wiele lat temu to właśnie jej ręce uratowały go przed pożarciem przez likantusy w Lesie Wielu, gdzie płaczącym, dwuletnim ferem nie zainteresował się ani żaden jednorożec, ani Tirnanin. Mimo że oddała go na wychowanie Badb, twierdząc, że sama nie znosi dzieci, to ona była jak jego prawdziwa matka.

– Muszę teraz odejść – wypowiedziała słowa, których tak się bał.
Poruszył się niespokojnie, sprawiając, że zielna maź opadła z jego dłoni na podłogę z głośnym plaśnięciem.

– Co masz na myśli?
– Tylko tyle – odparła Babcia. – Stara wiedźma musi odejść, zniknąć. Zdaje się, że sporo namieszałam. Oczywiście robiłam wszystko w dobrej wierze, ale teraz wszyscy będą mieć mi to za złe, a ja nie mam ochoty się przed kimkolwiek tłumaczyć. Annwynn Beedlebee nie jest uczniakiem, o nie. I nigdy nie była.

– Namieszałaś? O czym ty mówisz?
Westchnęła głęboko.
– Och, gdybyś tylko wiedział... Właściwie tylko przed tobą jest mi trochę wstyd. Reszcie mogę patrzeć w oczy bez mrugnięcia, ale jeśli mogę, wolałabym tego uniknąć. Nigdy nie wiadomo, co strzeli im do głowy. Mają przewagę liczebną, a ja... Cóż, to już nie te lata. Ale tobie jestem winna jakieś wyjaśnienia, po tym, co dla mnie zrobiłaś.

Murugan wiele by dał, żeby nie musiał teraz leżeć, a zamiast tego móc wstać i spojrzeć wprost w twarz Babci. Ona unikała jednak jakiegokolwiek kontaktu.

Słyszał tylko jej słowa.

– Co takiego zrobiłaś, żeby ktokolwiek miał mieć ci to za złe?

– Całą masę rzeczy, nawet nie masz pojęcia. I to razem z tą małą Fione. Spryciuła... To od niej wszystko się zaczęło. Słowo daję, dziewczyna mogłaby dać wszystkim jeszcze popalić. Kto wie, może będzie moją następczynią w tej rodzinie. Bądź jest raczej... No, jak to mówią ludzie? Czarną owcą? Wolę raczej określenie: czarną krową.

Nic z tego, co mówiła Babcia, nie było zrozumiałe.

– Zaraz – powiedział Murugan – możesz mówić trochę jaśniej?

– Mogę, proszę bardzo. Wszystko zaczęło się, jak już powiedziałam, od Fione...



– Ile razy mam ci powtarzać, że *nie wiem*, jak do tego doszło?! – Selene straciła w końcu cierpliwość. – Byłam zdenerwowana. Chciałam jak najszybciej sobie stamtąd pójść. Zapomniałam nawet, że tam nie można się przenosić. Po prostu to robiłam. Myślisz, że mnie samej to nie zdziwiło? Potem, gdy już się uspokoiłam, zaczęłam się nad tym zastanawiać.

– I co? Doszłaś do jakichś wniosków? – spytała pani Hallander. Nie mogła odpuścić tej sprawy. Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, mimo każdej sprawy, która ją teraz przygnębiała, nie umiała pozbyć się z głowy zagadkowej teleportacji Selene. Musiała tu przyjść i z nią o tym porozmawiać. Thurisaz, która uznała pojedynek matek za zakończony, pozwoliła im opuścić Dom Przodków, a Hillena nie miała zamiaru dłużej czekać z rozwiązaniem nowej zagadki.

– Jakiegokolwiek pomysły? – powtórzyła pytanie.

Selene przygryzła wargę. Wyglądało na to, że i ona tego nie rozumie.

– Nie – przyznała markotnie. – Nie mam pojęcia, co się stało. Myślałam, że to może moja moc, ale przecież to niemożliwe. Nikt chyba nie zna czarów, które zdołałyby przełamać blokadę przejść w Lesie Wielu. Rozważyłam więc inne wytłumaczenie. Może blokada nie zadziałała? Może raz na pewien czas, ale... No nie, to też bez sensu. W takim razie jedyne, co przyszło mi do głowy... właściwie to jedyna osoba...

– Babcia! – Hillena wypowiedziała to słowo razem z Selene, a ta przytaknęła. – Od początku to podejrzewałam, nie tylko dlatego, że Annwynn oszukała nas w wielu kwestiach, ale to oczywiste, że zdolności do teleportacji ferów i ich wiedzę są zbieżne. Jedni i drudzy mogą przenosić się w dane miejsca, a przecież ona jest twoją ferinią. *Nadal* nią jest.

– No, ale teraz nie mogę się z nią skontaktować – zauważyła Selene. – Nie odpowiada mi i prawdopodobnie już tego nie robi. Poza tym chyba wcale nie chcę z nią gadać... – Westchnęła. – Nieważne. Powiedz lepiej, jak wam poszło.

Nie wyglądasz najlepiej.

Hillena wciąż miała na sobie zabrudzony strój, w którym wędrowała przez ciemny korytarz Domu Przodków.

– Całkiem dobrze – powiedziała urażonym tonem. – Jestem zła, że nas zostawiłaś. Zupełnie jakbyś zapomniała, że jesteśmy wszyscy przyjaciółmi.

Nie zanosilo się na to, by Selene miała wziąć sobie tę uwagę do serca.

– Dobrze wiesz, że to wina Badb.

– Powinnaś ją zrozumieć! – zaprotestowała Hillena. – Była w przerażającej sytuacji, choć... No tak, ty znalazłaś się w takiej samej, ale nieszczególnie się tym przejęłaś.

– Ach, mówisz o Dianie. – Selene machnęła ręką. – Nie musiałam się o nią bać. Zresztą już sobie poradziła. Skontaktowała się ze mną i o wszystkim mi opowiedziała, także o Kate. Przykro mi.

Ostatnie słowa padły bez większych emocji, zupełnie jakby Selene wypowiedziała je tylko dlatego, że musiała to zrobić. Ale pani Hallander nie chciała teraz rozmawiać o Kate. Łzy cisnęły jej się do oczu na samą myśl, jak łatwo jej bratanica dała się omamić Tirnanom. Najgorsze, że będzie musiała powiedzieć o tym Bradanowi. Miała zamiar odłożyć tę rozmowę na jutro. Jakoś zniesie dodatkowe pretensje brata o to, że nie poinformowała go od razu – to było niczym w porównaniu do reszty rzeczy, które się wydarzyły.

– Jeśli Badb się do mnie odezwie, nie będzie sprawy – powiedziała Selene.

– Nie sądzę, że to ona powinna przeprosić jako pierwsza.

– Doprawdy? A więc nie widzisz nic złego w tym, że...

– Że powiedziała ci prawdę? Nie, nie widzę.

Po tej odpowiedzi zapadła cisza. Pani Hallander słyszała jedynie własne serce, które przyspieszyło. Przez dłuższą chwilę Selene trwała w bezruchu, szykując się najwyraźniej do ataku, i gdy Hillena była już pewna, że jej przyjaciółka po raz kolejny będzie próbowała zaprzeczyć, Selene zaskoczyła ją.

– Prawdę? – spytała. – Owszem, to prawda, właśnie tak. Szukam kamienia, odkąd tylko zniknął, i nadal będę to robić, aż do skutku, bo taka jest moja powinność. Ale ty nigdy nie rozumiałaś mojej misji.

– Misji! – prychnęła Hillena. – Czy ty słyszysz, co mówisz?

– Byłabym wdzięczna, gdybyś...

Selene zawiesiła głos. Po raz pierwszy w ciągu ich długiej znajomości wyprosiła Hillenę ze swojego domu. Jednak pani Hallander wiedziała, że ma to znacznie głębsze znaczenie. Selene wypraszała ją ze swojego życia, a ona nie miała na to żadnej odpowiedzi. Odwróciła się więc w stronę portalu stałego, mieszczącego się w schowku na bieliznę. Nim weszła do środka, jeszcze raz spojrzała na przyjaciółkę, chcąc potrząsnąć ją za ramiona i spróbować ponownie przemówić do rozumu. Powstrzymała się jednak, zatrzasnęła drzwi schowka i w kolejnej chwili była już z powrotem w swoim domu.

Salon był cichy i wyjątkowo pusty. Przez ostatnie dni nikt tu niczego nie dotknął, nie zabrzęczała nawet jedna mucha. Hillena zapaliła lampkę i usiadła na sofie, nie przejmując się, że zabrudzi ją zabłoconymi spodniami.

A więc w ten sposób miały zakończyć swoją przyjaźń. Może i nie była to ich pierwsza kłótnia, ale tym razem chodziło o coś znacznie poważniejszego. Nawet gdyby miały znów rozmawiać, Hillena nie umiałaby przejść do porządku dziennego nad obsesją Selene. Kamień zupełnie ją opętał.

Na myśl o dniu, jaki czekał ją jutro, pani Hallander miała ochotę schować się do szafy i spędzić w niej najbliższe tygodnie, a wyjść dopiero, gdy wszystko już się ułoży. Zbyt dobrze wiedziała jednak, że rzeczy nie ułożą się same, że będzie musiała im pomóc, jednak teraz, po raz pierwszy od dawna, czuła, że straciła nad nimi kontrolę. Z niewiadomego powodu przed oczami stanął jej niebieski kwiat, który zwiędnął, gdy stanęli przed nim czterej jeźdźcy. Nagle przypomniała sobie jego nazwę.

– *Supperessia epiviosa* – wyszeptała, a słowa nauczycielki z usłyszanego dawno temu wykładu wróciły do niej o wiele wyraźniejsze.

Lubi cieniste przestrzenie, sam otwiera swoje płatki i wyciąga je ku słońcu, gdy potrzeba mu światła, nic nie jest w stanie go zniszczyć, bo za każdym razem jego szczątki wytwarzają nowe ziarno. Jego potoczna nazwa to Przetrwalnik. Zdaje się, że kwiat chce nam powiedzieć: „Przetrwam mimo wszystko”.

Przetrwam – zabrzmiało w głowie pani Hallander jak echo.

– Przetrwam – powtórzyła cicho.



– Teraz już rozumiesz, dlaczego muszę zniknąć? – spytała Babcia, gdy skończyła swoją opowieść. Powiedziała Muruganowi wszystko. O tym, jak Fione zjawiała się u niej pewnego dnia, o tym, jak dała jej przepowiednię, nad którą później wspólnie się głowili. Annwynn nie wstydziła się tego, że tak skrzętnie wszystko ukartowała. Ba, była z tego dumna. W końcu na tym polega dobra magia: uprawia się ją pod nosem innych, wplątuje się ich w nią bez użycia zbędnych zaklęć i ingerowania w wolę, bo to podobno niemoralne czy jakoś tak, a potem osiąga się stopniowo swoje cele.

Murugan milczał. Zioła zdążyły już zadziałać, więc strzepnął je z siebie i wpatrywał się w Babcie z wyrazem twarzy, który nie zdradzał tego, co tak naprawdę czuł. Sam zresztą tego nie wiedział. Słowa Babci były zupełnie szokujące.

– Nikt mi tego nie wybaczy, jeszcze nie teraz – ciągnęła Annwynn. – Na razie są na to za głupi. Nic a nic nie rozumieją. Myślałam, że Diana pójdzie po rozum do głowy. Dałam jej nawet kartkę z przepowiednią. Chciałam, żeby sama wydedukowała, co się dzieje, ale teraz przypuszczam, że ona i Selene będą najbardziej wnerwione ze wszystkich. Obie są... charakterne.

– A więc... jeszcze raz – poprosił Murugan, gdy zaczęło zanosić się na to, że Babcia nie ma już nic do dodania. – Pomyślałaś, i Fione też tak stwierdziła, że

jej małżeństwo z tamtym ferem mogłoby doprowadzić do pokoju między Elphame a Tir-na-Nog, ale coś poszło nie tak. Przecież zamiast tego zanosi się na wojnę!

Babcia się zamyśliła.

– Dokładnie tak – przyznała – ale jakby się nad tym zastanović, to wszystko idzie zgodnie z planem.

– Zgodnie z planem? Osiągnęłaś coś zupełnie przeciwnego!

– Och, bo trzeba było to w końcu ruszyć! Musiało się ruszyć, byle tylko nie stało w miejscu. Rzeczy zawsze wiedą do swoich przeciwności. Wojna prędzej czy później musi przecież sprowadzić pokój, czasami nawet go przyspiesza, więc chyba spisałyśmy się z Fione na medal.

Murugan pokręcił głową z niedowierzaniem. Ledwo wrócił z Puszczy Krzyków, a już musiał mierzyć się z Jaarem, którego się obawiał. Przecież wojna między Elphame i Tir-na-Nog mogła pociągnąć za sobą dalsze konflikty. I pomyśleć, że to tylko z winy Babci.

– Jest jeszcze jedna ważna sprawa – oznajmiła Annwynn. – Ta Kate... Będzie trzeba się nią zająć. Dziewczyna nie jest głupia. Nie mówiłam ci, ale to Strażniczka kamienia Danu.

Murugana całkowicie zatkało. Zerwał się z łóżka.

– Co? – wyjąkał.

– No, teraz już wiesz. Tylko nikomu nie mów. Myślę, że rozumiesz, co to oznacza? Jeśli Strażnicy Żywiołów się przebudzili, jakaś tam wojna między ferami to nic. Szykuje nam się coś o wiele gorszego... No, ale wtedy zacnie się już inna bajka, nowa opowieść. Nie moja. Ja w swojej już zagrałam, i to niejednej. Teraz mam zamiar się wypisać.

– I zostawisz mnie z tym wszystkim? Tak to sobie wyobraziłaś?

Babcia wydawała się zdziwiona tym nagłym przejawem samolubstwa.

– Nie przesadzaj. Przecież nie będziesz sam. Tu nikt nigdy nie jest tak do końca sam. Ktoś zawsze się tym... *zajmuje*, opiekuje, a ja nie będę się wścibiać w działania tej... *istoty*. Wiem, kiedy pora zejść ze sceny. Nawet ja nie jestem niezastąpiona. Tak mi się przynajmniej wydaje, choć czasem w to powątpiewam. Ale kosmos chyba da sobie beze mnie radę, pozwolę mu się w końcu wykazać.

Po tych słowach Babcia sięgnęła po swoją tuchę i założyła na ramię czerwoną torbę.

– Możesz tu zostać, jeśli chcesz – rzuciła Muruganowi na odchodne. A on rozchylił tylko usta, jednak nic nie powiedział. Nie było sensu pytać Babci, dokąd zmierza, bo i tak by mu nie powiedziała. Nie pożegnał się z nią, bo to ostatecznie potwierdziłoby fakt, że się rozstawali. Na dobre.

Babcia, nie udając już kuśtykania, za to czując wszystkie swoje lata – a nie umiała już zliczyć, ile ich właściwie było – jakby nagle opadły jej na plecy, ruszyła ku drzwiom. Zamknęła je za sobą szybko, nie dając sobie czasu na odwrócenie się.

Potem spojrzała na czerwony blask, rysujący się na horyzoncie. Niedługo

w Jaarze nastanie nowy dzień i będzie to dzień, w którym Annwynn Beedlebee nie będzie już maczać palców w żadnej sprawie. Słońce na nowo leniwie wtoczy się na niebo, gdzieś daleko mroczne moce będą rosnać w siłę. Stare przebudziło się, jeszcze starsze nadejdzie, ale nim to się stanie, nowe będzie musiało określić, po której właściwie stoi stronie.

– Jak zwykle to samo. – Babcia westchnęła i ruszyła w drogę, której celu jeszcze nie знаła. Krył się jednak gdzieś za górą i wierzyła, że w odpowiednim czasie sam się ujawni. Bo cele mają to do siebie, że prędzej czy później, bez względu na to, czy podąża się prostą drogą, czy przez kręty, mroczny labirynt, w końcu zawsze się ujawniają.



Epilog

W zimnej sali rozległ się chichot. Nie brzmiał ani radośnie, ani złośliwie, nie towarzyszyły mu żadne uczucia, jedynie chłód, taki sam, jak panujące tu powietrze.

– Strażnicy Żywiołów zostali rozdzieleni – oznajmił Wielki Pan.

Zebrani wokół niego słudzy nie odezwali się na to ani słowem. Od początku podejrzewali, że istota, którą obudził ich mistrz, jest szalona. Stary władca nie zachowywał się zwyczajnie. Rzadko mówił, a gdy już to robił, zwracał się bardziej do siebie. Innym tylko rozkazywał. Zwykle żądał krwi, którą członkowie zakonu pozyskiwali ze zwierząt. Czasem zdarzało mu się nakazać któremuś ze sług, by go podniósł. Chciał w ten sposób sprawdzić, jak sprawują się jego zastygłe kości. Wszyscy obawiali się, że wzrok władcy natrafi właśnie na nich. Nie lubili go dotykać. Jego ciało wciąż wydawało się martwe, a gdy miało się z nim kontakt, czuło się, że mimo wyglądu, Wielki Pan nie jest człowiekiem, ale czymś bardzo nieludzkim i o wiele gorszym od namhajdów.

Zdaniem mistrza tym właśnie cechowała się jego magiczna potęga. Jednak mistrz zniknął i nikt nie rządził już zakonem.

Wielki Pan miał jednak rację. Strażnicy zostali rozłączeni. Nie potrzebował nawet, by donosili mu o tym jego dawni generałowie – sam posiadał zdolność wyczuwania tego, co dzieje się z kamieniami z początku czasów.

Rozłączenie nie mogło nastąpić w lepszej chwili niż ta: stary władca zyskiwał na sile, a Strażnicy Żywiołów wkrótce zaczną ją tracić. Jeszcze parę miesięcy, a będzie w stanie sam podnieść się z tronu, wrócić do swojego królestwa i odzyskać utraconą moc. A wtedy nic nie będzie w stanie go powstrzymać.

Nie tym razem.



Stara czarownica spojrzała na swojego ucznia: młodego, wysokiego chłopaka z Sehrgaru, Miasta Magów. Wzięła go do siebie już trzy lata temu. Miała go przysposobić, nauczyć tego i owego o prawdziwych czarach, wypłenić całą tę *magowską* krew. I prawie jej się to udało. Wyglądał już jak rasowy czarownik. W jej mniemaniu. Miał na sobie grubą czapkę, kozuch i wysokie buty, a czarne spodnie oblepiała mu biała sierść górskich kóz, których wypasania go nauczyła. Ale w jego twarzy, sposobie mówienia i myślenia (przynajmniej na tyle, na ile dobrze odczytywała jego myśli, gdy miała potrzebę kontrolnie w nich pobuszować) wciąż wyczuwało się coś sehrgarskiego. I ta sehrgarska rzecz wciąż pozostawała trochę niepewna, jakby sceptycznie nastawiona do samej obecności młodego mężczyzny tutaj, w domu wiedźmy.

Pewnie coś w tym było. To w końcu anomalia, by czarownica nauczała maga... Ale mniejsza z tym. Wiedźma miała wizję dotyczącą chłopaka, a wizji nie wolno przemilczeć, należy o nich dyskutować.

Otwarcie i delikatnie – powtarzała w myślach czarownica, stawiając na stole, przy którym siedział chłopak, dzban z mlekiem. Kilka białych kropeł spadło na blat i tak już pokryty mnóstwem plam, których usunięcie byłoby koszmarem dla najlepszego alchemika, choć wiedźma osobiście uważała, że wystarczyłoby nieco denaturatu.

– Posłuchaj – zaczęła, a chłopak, co było zresztą bardzo w jego stylu, od razu jej przerwał:

– Tak, wiem, co chcesz powiedzieć – oznajmił szybko.

– Czyżby? – rzuciła wiedźma z oburzeniem, choć jednak nie bez nadziei, że chłopak ma w sobie coś z jasnowidza.

Nie miał.

– Znowu chcesz mnie wyrzucić – oznajmił znudzonym głosem. – Nic z tego. Już to przerabialiśmy i zawsze wracałem. Czemu nie dasz sobie w końcu spokoju?

– Ha, wcale nie wiesz, co chciałam powiedzieć! A jeśli chcesz wiedzieć, to milcz i posłuchaj. To, co mam do powiedzenia, jest o wiele ważniejsze od tego, co bełkoczesz pod nosem.

– Zamieniam się w słuch.

Chłopak właściwie lubił słuchać czarownicy, gdy opowiadała mu o magii. Zresztą samo patrzenie na nią było ciekawe. Wyglądała jak rasowa czarownica. W *jego* mniemaniu. Miała długie, srebrne włosy, które niektórzy nazywali siwymi, złote zęby, które niektórzy nazywali żółtymi, jej szyję ozdobił korale z jarzębiny, a dziś miała na sobie swoją szarą, nieco już wyświechtaną szatę –

tę ostatnią niektórzy nazywali łąchem.

– Miałam wizję – oznajmiła czarownica. – W śnie nawiedziła mnie ferini.

– W śnie czy w wizji? – spytał chłopak.

– Wizja była podczas snu.

– Hm... W takim razie nie można mieć pewności, czy to była wizja, czy sen...

Wiedźma uderzyła w stół.

– Żyję na tym świecie wystarczająco długo, by umieć odróżnić wizję od snu. A ty miałeś siedzieć cicho.

Odchrząknęła kilka razy. Musiała się uspokoić. Chłopak nieraz doprowadzał ją do szewskiej pasji, co tylko przypominało jej, dlaczego wiedźmy powinny mieszkać samotnie.

– Ferini przyszła do mnie we śnie i powiedziała tak: „Uczysz tego chłopaka już od tylu lat i powinnaś wypuścić go w świat, najlepiej gdzieś daleko. Niech zdobędzie jakiś fach, pozna kilka nowych rzeczy, a zwłaszcza jedną, która mu się bardzo spodoba. Jest to rzecz błyszcząca i granatowa”. No i to by było na tyle.

Wiedźma nie najlepiej opowiadała, nawet bajki przychodziły jej z trudem.

Chłopak westchnął i przewrócił oczami.

– Tak jak myślałem, znowu chcesz się mnie pozbyć. A przecież pomagam z kozami i tak dalej.

Już chciał wstać od stołu, gdy wiedźma złapała go za rękę. W jej małych oczach zalśniła złość – magiczna złość, taka, jaka pojawia się u czarownic, gdy ktoś nie traktuje ich wystarczająco poważnie.

– Siadaj – wycedziła.

Nogi chłopaka posłuchały same i ugięły się w kolanach.

– Skoro miałam wizję dotyczącą twojej przyszłości, byłbyś głupcem, gdybyś za nią nie podążył.

– Ale co mam robić, gdzie mam podążać? Poza tym, jeśli chodzi o fery, to...

– Wiem, wiem, wy, magowie, nieszczególnie z nimi gadacie. Ale ty jesteś prawie czarownikiem.

– Tyle że ferini nie powiedziała ci, gdzie właściwie mam podążyć – zauważył chłopak.

Wiedźma wyjrzała za okno. Widziała tam tylko góry. Nigdy jeszcze ich nie przekroczyła, zawsze zrzucała to na miotłę, którą trzeba było naprawić już od tylu lat. Ale przecież za tymi górami coś musiało się kryć – wierzyła w to z całego serca.

– Oczywiście mam już pewien plan – powiedziała. Naturalnie nie było to prawdą, z czego chłopak doskonale zdawał sobie sprawę. – Żeby nauczyć się czegoś od ferów i może zdobyć tę granatową, lśniąca rzecz... pewnie jakiś klejnot... powinieneś udać się do świata ludzi.

Chłopak milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy jego nauczycielka jest pewna tego, co mówiła.

– Czy to nie jest tak jakby... odwrotny kierunek? – spytał nieśmiało. – Przecież fery są najbardziej magicznymi stworzeniami, więc jak mam do nich dotrzeć,

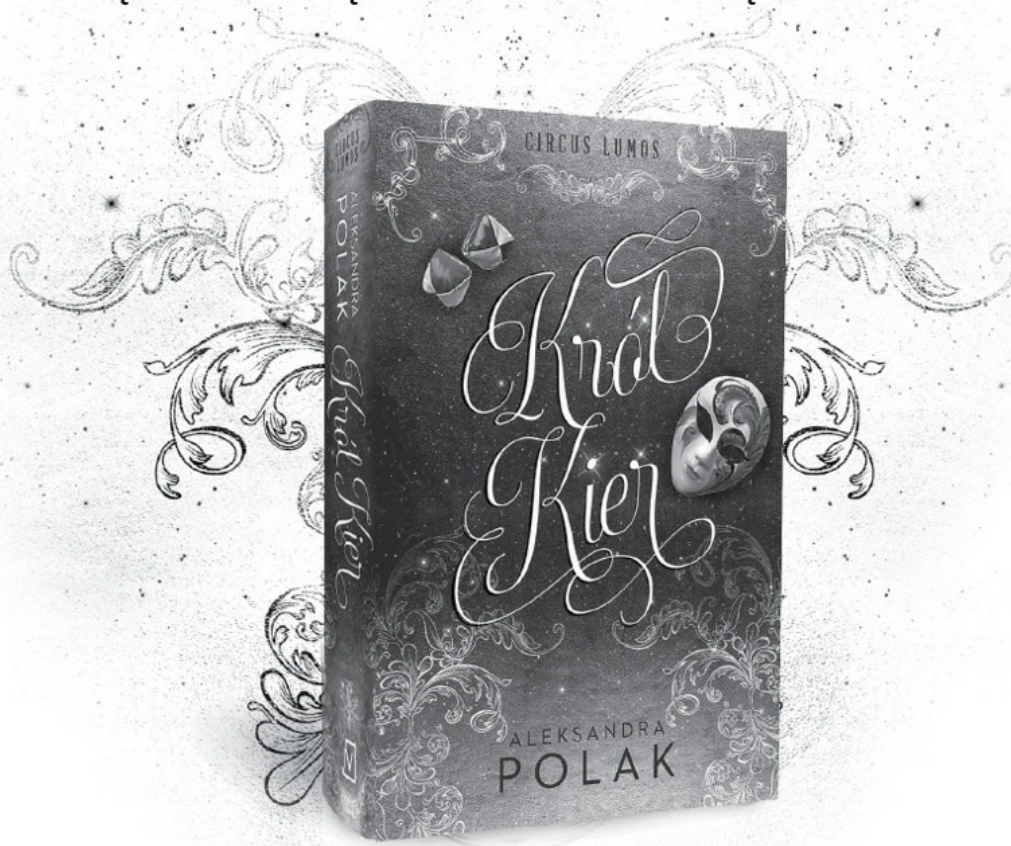
odwiedzając najbardziej *niemagiczny* świat?

Wiedźma zamyśliła się.

– No i co z tego, że niemagiczny? – odparła. – Czasem, żeby dotrzeć do celu, trzeba iść w odwrotnym kierunku. Wierz mi, że nie będziesz pierwszym, który tak robi.

NOCNI ŁOWCY, SUPERNATURAL, CARAVAL
– BRZMI ZNAJOMO?

SIĘGNIJ PO SERIĘ CIRCUS LUMOS I DAJ SIĘ OCZAROWAĆ!



Alicja jest w ostatniej klasie liceum, do tej pory jej życie przebiegało spokojnie, by nie powiedzieć, że nudno. Jednak los bywa przewrotny, a seria nieprzewidzianych zdarzeń rzuca ją na głęboką wodę magii i miłości. Kiedy poznaje Hadriana z Circus Lumos, wie, że nic nie będzie takie jak dawniej.

Demony atakują waszą duszę, niszczą was od wewnątrz. Budują w ludziach zło i tak zakorzeniają się w świecie. Im więcej w ludziach ciemności, tym ciemniejszy robi się świat. Im bardziej się im poddajecie, tym są silniejsze. Pokonać je można tylko swoją własną światłością. Sercem.

KSIĄŻKA NAGRODZONA
GOODREADS CHOICE AWARDS 2016

**BARDZIEJ WYBUCHOWA
NIŻ PROCH STRZELNICZY!**

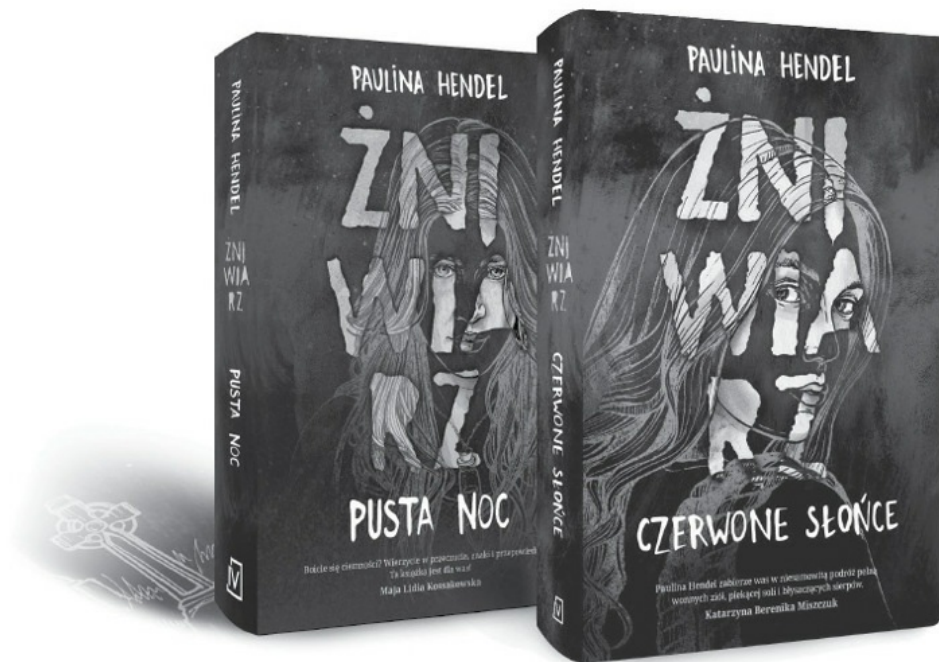


Bezkresne piaski pustyni przemierzają tajemnicze bestie, w których żyłach płynie czysty ogień. Krążą pogłoski, że istnieją jeszcze takie miejsca, w których dżiny wciąż parają się czarami. Lud Miraji coraz mocniej występuje przeciwko tyranii Sułtana. Każda noc pośród wydm pełna jest niebezpieczeństw i magii.

Los pustyni spoczywa w jej rękach.
Zapomnij o wszystkim, co wiesz o Miraji, o rebelii, o dżinach i Jinie oraz Niebieskookiej Bandytce. W Zdrajcy tronu jedyne, czego możesz być pewien, to to, że nic nie jest pewne.

MÓWIĄ, ŻE DEMONY, ZABOBONY I CZARY
ODESZŁY JUŻ DO PRZESZŁOŚCI.

CZY NA PEWNO?

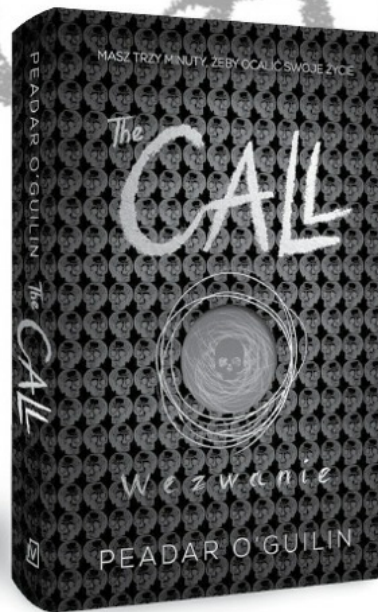


Na pierwszy rzut oka Magda jest zwykłą dwudziestolatką. Czas wypełnia jej praca w małej księgarni oraz obowiązki domowe. To jednak tylko pozory, gdyż w wolnych chwilach, zamiast spotykać się z rówieśnikami, Magda tropi upiory rodem ze słowiańskich wierzeń. Z krainy umarłych ucieka najpotężniejsza istota, z jaką żniwiarze kiedykolwiek musieli się zmierzyć.

Tymczasem między Magdą a Mateuszem, tajemniczym chłopakiem, który niedawno wprowadził się do miasteczka, zawiązuje się nić sympatii. Dziewczyna pokazuje Mateuszowi świat słowiańskich wierzeń, nie mając pojęcia, że już wkrótce ona i jej przyjaciele znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

ZAPOMNIJCIE O IGRZYSKACH ŚMIERCI
I WIĘZNIU LABIRYNTU.
PORA NA:

The CALL



Co byś zrobił mając tylko chwilę, żeby uratować swoje życie, a zegar już zaczął odliczanie?

Nessa, Megan i Anto wiedzą, że pewnego dnia znajdą się w przerażającej krainie, do której zostaną Wezwani.

Na nieznanym terenie ruszą za nimi bezwzględni łowcy, którzy zrobią wszystko, by ich dopaść i zabić.

A Nessa nie może biegać. Czy mimo porażenia nóg ma szansę na przeżycie, kiedy przyjdzie pora jej Wezwania?

Trzy minuty

Dwie minuty

Minuta

Czas ucieka...



Spis treści

Prolog

Część pierwsza. Wyprawa

[Rozdział 1. Zaproszenie](#)

[Rozdział 2. Prośba córki](#)

[Rozdział 3. Przejście w szafie](#)

[Rozdział 4. Decyzja królowej](#)

[Rozdział 5. Bar Pod Pijanym Bardem](#)

[Rozdział 6. Strażniczki rubieży](#)

[Rozdział 7. Spotkanie na bagnach](#)

[Rozdział 8. Co widziała Sundari](#)

[Rozdział 9. Fer w lustrze](#)

[Rozdział 10. Mile widziani goście](#)

Część druga. Żelazne Miasto

[Rozdział 11. Świątynia pierwotnego światła](#)

[Rozdział 12. Kara ziemi](#)

[Rozdział 13. Nowa moc Lilian](#)

[Rozdział 14. Babcia numer dwa](#)

[Rozdział 15. Iarandinn](#)

[Rozdział 16. Wątpliwości](#)

[Rozdział 17. Oszukana wiedźma](#)

[Rozdział 18. Kryształowy Pałac](#)

Część trzecia. Tir-na-Nog

[Rozdział 19. Cudzymi oczami](#)

[Rozdział 20. Wyznanie Fione](#)

[Rozdział 21. Stały towarzysz podróży](#)

[Rozdział 22. Wielki Pan](#)

[Rozdział 23. Dwanaście rodów](#)

[Rozdział 24. Starożytna opowieść](#)

[Rozdział 25. Wspomnienia z dawnych dni](#)

[Rozdział 26. U bram Tir-na-Nog](#)

[Rozdział 27. Pojedynek matek](#)

[Rozdział 28. Drzewo wzroku](#)

[Rozdział 29. W sali prawdy](#)

[Rozdział 30. Rozstania](#)

Epilog

Polecamy również